Stefan Grabiński
NIESAMOWITE OPOWIEŚCI

Posłowiem zaopatrzył Stanisław Lem
WTDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW

Maszynista Grot

Z urzędu ruchu stacji Brzana nadeszła do naczelnika Podwyża depesza następującej treści:
— Baczność na pospieszny nr 10! Maszynista pijany lub niepoczytalny.
Urzędnik, wysoki kościsty blondyn z rudawymi baczkami, odczytał rulon raz i drugi, odciął wąską białą taśmę, wysnutą z bloku i zwinąwszy w pierścień dookoła palca, wsunął do kieszeni. Krótkie spojrzenie rzucone na zegar stacyjny pouczyło go, że na sygnalizowany pociąg jeszcze dość czasu. Ziewnął więc znudzony, zapalił niedbałym ruchem papierosa i przeszedł do sąsiedniego pokoju kasjerki, jasnowłosej, przysadzistej panny Feli, przygodnego ideału w chwilach nudy i oczekiwań na lepszy kąsek.
Podczas gdy pan naczelnik tak godnie przygotowywał się na przyjęcie zapowiedzianego parowozu, podejrzany pociąg ujechał już spory kawał drogi poza stację Brzana.
Pora była przecudna. Gorące, czerwcowe słońce przeszło już zenit i rozlewało po świecie złotą siejbę promieni. Migały w przelocie ukwiecone jabłonią i czereśnią wsie i przysiółki, rzucały się wstecz zielonymi płachtami łąki i sianożęcia. Pociąg pędził całą siłą pary: tu go chwytał w szumiące chwiejbą sosen i świerków ramiona las, tam wynurzone z objęć drzew witały przetowłosym pokłonem zbożne pola. Daleko na horyzoncie siniała mglistą wstęgą linia gór...
Grot oparty o skrzydło maszyny wbił poprzez owalne okienko nieruchome spojrzenie w przestrzeń, która snuła się długim, szarym traktem ujętym w czarne pasy szyn. Pociąg wślizgiwał się na nie lekko, drapieżnie okraczał żelaznym układem kół i zgarniał skwapliwie pod siebie.
Maszynista czuł niemal fizyczną rozkosz tego ciągłego zdobywania, co nigdy niesyte wypuszcza lekceważąco dopadnięty już łup i mknie dalej na nowe podboje. Grot lubił pokonywać przestrzeń!...
Bywało, zapatrzy się we wstęgę toru, zaduma, zamyśli, o świecie bożym zapomni, aż go palacz za ramię szarpnąć musi i ostrzec, że ciśnienie za wielkie lub stacja już blisko. Zapamiętalcem bo był maszynista Grot nie lada!
Zawód swój kochał ponad wszystko i nie zmieniłby go za nic w świecie. Wstąpił do służby stosunkowo dość późno, bo dopiero w trzydziestym roku życia, lecz mimo to od razu okazał tak pewną rękę w prowadzeniu parowozów, że prześcignął wkrótce starszych kolegów.
Czym był przedtem, nie wiedziano. Wypytywany, odpowiadał niechętnie ni to, ni owo lub milczał uporczywie.
Towarzysze i władze otaczały go widocznym szacunkiem, wyróżniając wśród innych. W słowach jego krótkich, skąpo rozdzielanych między ludzi, przebijała inteligencja niepowszednia, cześć nakazująca.
Chodziły o nim i jego przeszłości pogłoski przeróżne, często wzajem sprzeczne, lecz na dnie

wszystkich spoczywało zgodne przekonanie, że Krzysztof Grot był jednostką tzw. zwichniętą, czymś w rodzaju spadłej gwiazdy, jednym z tych, którzy mieli pójść górnym szlakiem, a dzięki fatalizmowi życia osiedli na mieliźnie.
On sam jednak jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia i nie ubolewał nad sobą. Służbę pełnił chętnie i nie zabiegał o urlopy. Czy zapomniał o tym, co minęło, czy nie czuł się nigdy powołanym do wyższych celów — nie wiadomo.
Z przeszłości Grota zdołano wyłonić i ustalić tylko dwa fakty: jeden ten, że służył w wojsku podczas kampanii francusko-pruskiej, drugi, że wtedy stracił ukochanego brata.
Bliższych szczegółów mimo wszelkich wysiłków ciekawców wydobyć zeń nikt nie potrafił. W końcu dano za wygraną, zadowalając się skąpą wiązanką biograficznych danych „inżyniera Grota". Tak bowiem bez określonej przyczyny nazwali z czasem kolejarze małomównego towarzysza. Przezwisko to, nadane mu zresztą wcale nie w złośliwej intencji, zrosło się jakoś tak dokładnie z osobą maszynisty, że nawet władze tolerowały je w rozkazach i rozporządzeniach. W ten sposób chcieli ludzie zaznaczyć jego odrębność...
Maszyna pracowała ciężko, oddychając co chwila kłębami kłaczastego, zmierzwionego dymu. Podsycana wciąż gorliwą ręką palacza para rozlewała się piszczelami rur po kośćcu żelaznego olbrzyma, popychała suwak, parła o tłoki, pędziła koła. Gruchotały szyny, skrzypiały, przerzucały się z trzaskiem dźwignie i heble rewersujące...
Na chwilę Grot ocknął się z zadumy i spojrzał na manometr. Wskazówka, zakreśliwszy łuk, zbliżała się ku fatalnej trzynastce.
— Puść pan parę!
Palacz wyciągnął rękę i szarpnął wentyl; rozległ się przeciągły, dojmujący gwizd, a równocześnie z boku maszyny wykwitła cieniutka mlecznobiała tulejka.
Grot skrzyżował ramiona na piersiach i zapadł powtórnie w marzenia.
— „Inżynier Grot" — cha, cha! Nader trafny przydomek! Ludzie nawet nie przypuszczają, jak bardzo trafny!...
Maszynista ujrzał nagle gdzieś w dalekiej mglistej perspektywie lat ubiegłych cichy, skromny domek na przedmieściu stolicy. W jasnej środkowej izbie duży stół, zarzucony stosem planów, dziwacznych rysunków, technicznych szkiców. Nad jednym pochylona płowa główka Olesia, młodszego brata. Obok stoi on, Krzysztof, i wodzi palcem wzdłuż szafirowej linii okrążającej eliptycznym zgięciem jakąś płaszczyznę. Oleś przytakuje, coś poprawia, tłumaczy... To ich pracownia — to tajemnicze wnętrze, z którego wylągł się śmiały pomysł latawca, który swobodnie bujając po przestworzach, miał podbić atmosferę, poszerzyć myśl ludzką i ponieść ją w zaświaty, w nieskończoność... Niewiele już brakowało do ukończenia dzieła: miesiąc, dwa, trzy najwyżej. Wtem przyszła wojna, branka, pochód, bitwa i... śmierć.
Pamięta ten moment jedyny, okropny moment wdzierania się na szczyt „czerwonego fortu". Olek pomknął bohatersko naprzód, widny z dala na czole oddziału. Już wyciągnięta jego szabla muskała brzeszczotem skraw barwnego proporca, już męska ręka ujmowała zwycięskim chwytem jego drzewce... Wtem błysnęło coś z bastionu, kurzawa dymu bluznęła z fortecznych wyziorów, piekielny huk rozkołysał blanki... Oleś zachwiał się, zawahał pod migotliwą tęczą wypuszczonego pałasza i runął w dół — na progu bojowych zamierzeń, w samym momencie żołnierskich ziszczeń, w chwili docierania do celu...
Śmierć tę odchorował Krzysztof: długie miesiące przeleżał w malignie w polowym lazarecie. Potem — wrócił do codziennego życia na pół złamany. Zarzucił dawne pomysły, światoburcze idee, zdobywcze plany: został maszynistą. Odczuwał kompromis, rozumiał karykaturę myśli, lecz nie miał już sił; poprzestał na miniaturze. Wkrótce surogat zastąpił zupełnie pierwotny ideał, przesłonił swą ciasną, szarą ramą szerokie niegdyś horyzonty: zdobywał przestrzeń na nową, małą skalę. Lecz wyprosił u władz jazdę wyłącznie pospieszną — pociągów zwyczajnych nigdy nie prowadził. Tym sposobem, zyskując na terenie, zbliżał się choć w części do pierwowzoru. Upajał się szaloną jazdą na szeroko rozpiętych Uniach, odurzał pokonywaniem w krótkim czasie znacznych odległości.
Nie znosił tylko dróg powrotnych, nie cierpiał rekordów tzw. tour-retour. Grot lubił pędzić tylko

przed siebie — brzydził się wszelkimi powtórzeniami. Dlatego wolał wracać do nieubłaganego punktu wyjścia drogą okrężną, linią kolistą lub elipsą, byle nie bezwzględnie tą samą; dostrzegał wybornie niedoskonałość tych krzywizn, które w siebie wracają, czuł nieetyczność tych dróg, bądź co bądź wsobnych, lecz ocalał choć pozór ruchu postępowego, miał przynajmniej złudzenie, że dąży przed siebie.
Grot nie cierpiał jakiejkolwiek mety. Od czasu tragicznej śmierci brata wytworzył się szczególny uraz psychiczny, objawiający się w lęku przed wszelkim celem, przed wszelkim dowolnego rodzaju końcem, kresem. Ukochał całą mocą wieczystość dążenia, znojność zasięgów, znienawidził realizację dopięć, drżał przed momentem spełnienia z obawy, by w owej ostatniej, rozstrzygającej chwili nie zaskoczył go zawód, nie pękła napięta struna, by nie stoczyć się w przepaść, jak wtedy — jak Oleś przed laty...
Stąd maszynista odczuwał żywiołowy lęk przed stacją i przystankami. Miał ich wprawdzie na swoich przestrzeniach niedużo, lecz zawsze były i pociąg należało od czasu do czasu zatrzymywać.
Stacja stała się dlań z czasem symbolem znienawidzonego końca, plastycznym urzeczywistnieniem wytkniętych celów wędrówki, ową przeklętą metą, przed którą zdejmował go wstręt i trwoga.
Idealna linia drogi rozpadała się na szereg odcinków, z których każdy był zamkniętą całością od punktu wyjścia do punktu przybycia. Powstawało rozczarowujące ograniczenie, ciasne, nad wyraz banalne: stąd — dotąd.
A ratunku na razie nie widział nigdzie: z natury rzeczy pociąg musiał co jakiś czas zawijać do obmierzłych przystani.
I gdy już na widnokręgu wynurzały się kontury zabudowań stacyjnych, rysowały czerwonym lub żółtym ekranem rozpięcia ścian, opadał go nieopisany lęk i obrzydzenie; podniesiona ku korbie ręka mimo woli cofała się i musiał używać całej siły woli, by stacji nie minąć.
W końcu, gdy sprzeciw wewnętrzny wzrósł do niebywałego napięcia, wpadł na szczęśliwy pomysł. Postanowił wprowadzić pewną dowolność w zakresie mety przez uruchomienie jej punktów granicznych. Dzięki temu pojęcie stacji, tracąc dużo z wyrazistości, stawało się czymś ogólnikowym, czymś tylko z lekka naszkicowanym i nader elastycznym. Owa przesuwalność granic użyczała pewnej swobody ruchów, nie krępowała bezwzględnie kagańcem hamulca. Punkty postojowe, nabrawszy charakteru płynności, przetworzyły nazwę stacji w termin nieokreślony, sobiepański, niemal fikcyjny, z którym nie trzeba się było już tak liczyć; słowem stacja w tak szeroko pojętym znaczeniu, poddana dowolnej interpretacji maszynisty, była teraz mniej groźną, chociaż mimo to wstrętną.
Chodziło więc przede wszystkim o to, by nigdy nie zatrzymywać pociągu w miejscu oznaczonym przez przepis, lecz zawsze wychylać się o jakiś kawałek za lub przed.
Grot postępował zrazu bardzo ostrożnie, by nie budzić podejrzeń urzędników; odchylenia były początkowo tak nieznaczne, że nie zwracały uwagi. Chcąc jednak wzmocnić w sobie poczucie dowolności, wprowadził maszynista pewne urozmaicenie: raz stawał za wcześnie, drugi raz za późno — drgnienia wahały się to w jedną, to w drugą stronę.
Lecz z czasem ta ostrożność zaczęła go drażnić; swoboda wydawała się pozorną, iluzoryczną, czymś w rodzaju samooszukiwania się; nie zamącony zdziwieniem spokój rozlany na twarzach kierowników stacji irytował, budząc ducha przekory i buntu. Grot rozzuchwalił się: wychylenia stawały się z dniem każdym silniejsze, diapazon rósł, wzmagał się.
Już wczoraj naczelnik ruchu w Smagłowie, szpakowaty, z wiecznie przymrużonymi jak u starego lisa oczkami jegomość, dziwnie zezował w stronę pociągu zatrzymanego spory kawał przed stacją. Grotowi zdawało się nawet, że coś mruczał, wskazując ręką w jego stronę. Lecz jakoś uszło na sucho.
Maszynista zacierał ręce i cieszył się:
— Przecież zauważyli!
Wyjeżdżając dziś nad ranem z Wrotycza, postanowił podwoić stawkę.
Ciekaw jestem — pomyślał puszczając kurki w ruch — w jakim też stosunku wzrośnie irytacja tych panów? Przypuszczać by należało, że do kwadratu odległości.
Jakoż domysł nie zawiódł. Cała dzisiejsza tura miała być nieprzerwanym pasmem awantur.

Zaczęło się w Zaszumiu, pierwszej większej przystani na linii, którą zamierzał przebyć. Uśmiechając się złośliwie pod wąsem, zatrzymał pociąg kilometr przed stacją. Oparłszy się o parapet maszyny, zapalił Grot fajeczkę i pykając z niej powoli, przypatrywał się z zajęciem zdumionym minom konduktorów i kierownika pociągu, który nie umiał wytłumaczyć sobie postępowania maszynisty. Kilku pasażerów wychyliło strwożone głowy i rozglądało się na prawo i lewo, zapewne przypuszczając jakąś przeszkodę w ruchu. Nadbiegł wreszcie i urzędnik stacyjny, zapytując o powód:

— Czemu pan nie zajeżdżasz przed peron? Przeszkody żadnej nie sygnalizowano, wszystko w porządku.

Grot wypuścił spokojnie duży, zwarty kłąb dymu i nie wyjmując fajki z ust, wycedził flegmatycznie przez zęby:

— Hm... tak? A mnie zdawało się, że zwrotnica źle nastawiona. Nie opłaci się już podjeżdżać ten kawałeczek: moja staruszka trochę się zadyszała.

Tu uderzył pieszczotliwie w bęben kotła.

— Zresztą goście i tak już sami wysiadają — niech pan naczelnik popatrzy — o, jeden, dwóch, tam cała rodzina.

Istotnie: zniecierpliwieni czekaniem pasażerowie zaczęli opuszczać wagony i piechotą, uginając się pod ciężarem tobołów i pakunków, zdążali ku stacji. Grot przeprowadzał ich ironicznym spojrzeniem i ani myślał zmieniać taktyki.

Urzędnik lekko zmarszczył się i dając za wygraną, upomniał na odchodnym:

— Na przyszłość wytężaj pan lepiej oczy! Maszynista zbył uwagę pogardliwym milczeniem. W parę minut potem pociąg poszybował w dalszą drogę.

Na najbliższym z kolei przystanku Brzana powtórzyła się niemal identyczna historia z tą tylko odmianą, że tym razem spodobało się Grotowi zatrzymać pociąg kilometr poza stacją. I tu postawił maszynista na swoim i nie cofnął się przed peron. Zauważył jednak, jak przed ruszeniem w dalszą drogę kierownik pociągu szeptał coś żywo przez parę minut z naczelnikiem; z wyrazu oczu i gestów Grot poznał, że on był przedmiotem rozmowy, lecz udał, że tego nie dostrzega. Ubawił go tylko znamienny półkolisty ruch zakreślony palcem na czole przez urzędnika w czerwonej czapce. Wkrótce potem pędził znów pełną parą ani nie przypuszczając, że aparat telegraficzny puszczony w ruch w Brzanie zwrócił nań uwagę władz stacyjnych Podwyża.

A już był od miasta niedaleko. Już przekreślały podwieczorne niebo złociste krzyże kościołów, mijały się nad morzem dachów przeguby dymów, strzelały ostro iglice fabryk. Już krzyżowała się w dali sieć szyn, czerniał las zwrotnic.

Grot ujął krzepko korbę, nastawił dźwignię, zakręcił hamulec; maszyna wydała żałosną skargę niby jęk, niby świst, wypluła potężną siklawę pary i osadziła się na miejscu: pociąg stanął dobre półtora kilometra przed stacją.

Grot odjął ręce od kurków i studiował efekt. Nie zawiódł oczekiwania. Uprzedzony już naczelnik wysłał w roli parlamentariusza niższego kolegę.

Młody człowiek miał minę surową, niemal skupioną.

Wyprostował się, naciągnął sztywnie służbową bluzę i wstąpił uroczyście na platformę maszyny.

— Zajeżdżaj pan na stację!

Grot milcząco zawinął korbę, puścił w ruch heble: pociąg ruszył.

Dumny z odniesionego tryumfu asystent skrzyżował po napoleońsku ramiona i odwrócony lekceważąco od maszynisty i kotła, zapalił papierosa.

Lecz sukces był tylko pozorny. Bo oto pociąg przeleciał z szumem mimo peronu i zamiast zatrzymać się przed stacją, ujechał znaczny kawał poza nią, by tam dopiero przystanąć na odpoczynek.

Urzędnik zrazu nie zorientował się; dopiero spostrzegłszy na lewo poza sobą budynek stacyjny, rzucił się groźnie ku maszyniście:

— Czyś pan zwariował? Zatrzymywać pociąg w czystym polu! Albo masz pan bzika, albo piłeś dziś za dużo! Proszę natychmiast zawracać!

Grot ani drgnął, nie ruszył się z miejsca. Wtedy urzędnik odsunął go gwałtownie od kotła i

zająwszy jego stanowisko, puścił kontrparę; po chwili pociąg dysząc zajechał przed peron.
Grot nie przeszkadzał. Jakaś szczególna apatia obezwładniła mu ruchy, spętała ręce. Patrzył tępo na twarze służby, funkcjonariuszy i urzędników, którzy gromadnie otoczyli jego maszynę; bezwolnie dał się ściągnąć z platformy, jak automat poszedł za wzywającym go za sobą naczelnikiem.
Po paru minutach znalazł się w biurze stacyjnym przed dużym, zielonym suknem zasłanym stołem, na którym kłapały bezustannie w nerwowych podrzutach aparaty, wysnuwały się z bloków długie taśmy, trzepotały dzwonki.
Kierownik stacji poddał go przesłuchaniu. Siedzący obok protokolant umoczył pióro i w natchnieniu czyhał na pytania, które miały paść z ust zwierzchnika.
Jakoż padły.
— Pańskie nazwisko?
— Krzysztof Grot.
— Wiek?
— Trzydzieści dwa lata.
— Kiedy pan wyjechał z Wrotycza?
— Dziś o 4.54 nad ranem.
— Czy oglądał pan maszynę przed objęciem pociągu?
— Oglądałem.
— Czy pamięta pan serię i numer maszyny?
Po twarzy Grota przemknął dziwny uśmiech.
— Pamiętam. Seria: zero, numer: nieskończoność.
Urzędnik spojrzał porozumiewawczo na zapisującego zeznania kolegę.
— Proszę liczby podane w tej chwili przez pana napisać na tej kartce.
Tu naczelnik podsunął mu pod rękę ćwiartkę papieru i ołówek.
Grot wzruszył ramionami:
— A owszem.
I skreślił w odstępach następujące dwa znaki: 0 oo. Naczelnik spojrzał na liczby, pokiwał głową i prowadził w dalszym ciągu indagację:
— Liczba jaszczyka?
— Nie pamiętam.
— To źle, bardzo źle. Maszynista powinien wiedzieć takie rzeczy — zaopiniował sentencjonalnie.
— Jak się nazywa pański palacz? — zapytał po małej przerwie.
— Błażej Niedorost.
— Imię zgadza się, nazwisko błędne.
— Powiedziałem prawdę.
— Mylisz się pan, nazywa się Błażej Smutny. Grot machnął obojętnie ręką:
— Być może. Dla mnie nazywa się Niedorost.
Naczelnik znów wymienił z towarzyszem znaczące spojrzenie.
— Nazwisko kierownika pociągu?
— Stanisław Mrówka.
Przesłuchujący z trudem powstrzymał wybuch wesołości:
— Mrówka, powiada pan? Mrówka?! A to dobre! Bajeczny pan sobie jesteś! Mrówka?! No proszę kogo!
— Tak jest. Stanisław Mrówka.
— Nie, panie Grot. Kierownik pańskiego pociągu nazywa się Stanisław Żywiecki. Znów się pan pomyliłeś.
Protokolant pochylił wypomadowaną głowę ku zwierzchnikowi i szepnął Ha ucho:
— Panie naczelniku, ten człowiek albo pijany, albo ma tęgiego fioła.
— Zdaje się to ostatnie — odpowiedział chrząkając urzędnik, po czym zwrócił się do winowajcy z ponownym pytaniem:
— Pan żonaty?
— Nie.

— Czy pił pan co przed wyjazdem?
— Alkoholu nie znoszę.
— Ile pan godzin w służbie?
— Szesnaście.
— Nie czujesz się pan znużony jazdą?
— Bynajmniej.
— Dlaczego pan dzisiaj cztery razy z rzędu nie zatrzymał pociągu na właściwym miejscu przed stacją?
Grot milczał. Nie mógł, nie chciał za nic w świecie tego powiedzieć.
— Czekam na odpowiedź.
Maszynista zwiesił ponuro głowę.
Wtedy urzędnik podniósł się uroczyście od biurka i zawyrokował:
— Teraz pójdzie się pan wyspać. Zastąpi pana inny kolega. Zawieszam pana na razie w służbie; być może, wezwie się pana z powrotem w swoim czasie, kiedyś później. Tymczasem radzę panu jak najrychlej poddać się oględzinom lekarskim. Pan jesteś poważnie chory.
Grot pobladł, zachwiał się. Historia przybrała charakter tragiczny. Z wyrazu twarzy, tonu i treści słów poznał, że go uważają tutaj za wariata. Zrozumiał, że stracił posadę, że przestał być maszynistą.
— Panie naczelniku — jęknął załamując ręce — zdrów jestem zupełnie. Mogę dalej jechać.
— To wykluczone, panie Grot. Nie mogę panu powierzać losu kilkuset osób. Czy wiesz pan, że omal nie stałeś się dzisiaj sprawcą katastrofy? Zajechałeś za daleko, docierając do punktu, w którym miało nastąpić skrzyżowanie z osobowym z Czerniawy. Gdyby pan asystent nie był cofnął w porę pociągu, nastąpiłoby niechybne zderzenie. Sygnalizowany już pociąg nadjechał w dwie minuty potem.
Pan się nie nadaje do służby, panie Grot. Trzeba się wpierw leczyć. Poza tym skończyliśmy. Proszę opuścić lokal.
Ciężkim, ołowianym krokiem wyszedł Grot z pokoju, przemierzył peron, poczekalnię i zataczając się jak pijany, powlókł się wzdłuż magazynów kolejowych. Czaszkę rozpierał głuchy ból, w duszy łkała rozpacz. Stracił służbę.
Nie chodziło o te marnych kilkadziesiąt sztuk monety, o posadę, o tytuł — szło o maszynę, bez której żyć już nie umiał. Chodziło o nieoceniony, jedynie dlań dostępny środek, którym mógł zmagać się z przestrzenią, pędzić w mroczniejące dale. Z utratą służby usuwał mu się grunt pod nogami.
Targany dławiącym krtań bólem minął magazyny, minął most, tunel i machinalnie wszedł na tory. Było już daleko za stacją. Potykając się co krok o drewniane podkłady skrzyżowanych szyn, zaczepiając o zwrotnice, błąkał się pomiędzy lśniącym zimno żelaziwem.
Wtem usłyszał za sobą ciężki stek, poczuł pod nogami drżenie ziemi. Odwrócił się i spostrzegł powoli szybującą, luźną maszynę. Objął ją wzrokiem znawcy, stwierdził zasobność jaszczyka, zauważył radośnie nieobecność palacza.
Postanowienie szybkie jak błysk, jak mgnienie oka, zalśniło w skołatanym mózgu i dojrzało w momencie.
Krokiem ostrożnym, drapieżnym, krokiem czającego się lamparta podkradł się pod bok żelaznego potwora i jednym susem wskoczył na platformę.
Ruch był tak nagły i niespodziewany, że maszynista osłupiał. Grot wyzyskał chwilę. Zanim zdumiony kolega zorientował się w sytuacji wytworzonej przez nieoczekiwanego gościa, napastnik zakneblował mu chustką usta, spętał ręce na krzyżach i powaliwszy na spód maszyny, zepchnął z pomostu na ziemię.
Załatwiwszy się z tym w przeciągu kilku minut, Grot zajął przy kotle miejsce swego poprzednika.
Tytaniczna radość rozsadzała mu serce — okrzyk tryumfu rozpierał piersi. Był znów u steru!
Pocisnął korki, siepnął parą, zatoczył młyńcem korbę. Maszyna, jakby odczuwszy rękę mistrza, zadrżała w posadach, zaniosła się krzepkim, pożegnalnym gwizdem i ruszyła w szeroki świat.
Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie

jak strzała, tor i runął w przestrzeń!
Rozpoczął się wichrowy pęd, nie krępowany niczym, nie przerywany przystankami, nudą postojów. Bez przerwy czerpał szuflą węgle, wrzucał je w palenisko; sycił ogień, zgęszczał parę. Jak opętany biegał od jaszczyka do kotła, od kotła do jaszczyka, stwierdzał stan wody w wodomierzu, badał ciśnienie pary.
Nie widział nic, nie myślał o niczym — upajał się tylko pędem, żył tylko ruchem. Zatracił rachubę czasu, nie wiedział, jak długo już trwa piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...
Maszyna rozpętała się. Obłąkane chyżością koła wykonywały nieuchwytne, fantastycznie chybkie obroty, uznojone tłoki cofały się, to znów parły w przód, tłukły się opętańczo zziajane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę — rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwarem, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędzej! W cwał! W cwał!
Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier — nowa falanga pary wstrzyknęła ognisty war w topniejące rury...
Wtem... zakotłowało coś, zawyło szatańskim skowytem — rozległ się huk jak z tysiąca armat, zaryczał grzmot jakby stu piorunów... Wytrysnął w górę ognisty, splątany kłąb, zgmatwany słup odłamków, żelaznych skorup, pogiętych blach...

Błędny pociąg

Legenda kolejowa

Na dworcu w Horsku panował gorączkowy ruch. Czas był przedświąteczny, w perspektywie parę dni wolnych od pracy, pora wymarzona. Peron mrowił się od przyjezdnych i wyjeżdżających. Migały podniecone twarzyczki kobiet, wiły się barwne wstążki kapeluszy, pstrzyły szale podróżne; tu przeciskał się wśród tłumu smukły cylinder wytwornego pana, tam zaczerniał sutanną duchowny; ówdzie pod arkadami siniały poprzez ciżbę kolety wojskowych, obok szarzały robotnicze bluzy.
Wrzało bujne życie i ujęte w zbyt ciasne ramy dworca przelewało się z szumem poza jego brzegi. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczonej pary zlewały się w zawrotną symfonię, w której traciło się siebie, oddawało zmalałą, ogłuszoną jaźń na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał...
Służba pracowała intensywnie. Co chwila wynurzały się wśród zgiełku to tu, to tam czerwone kepi urzędników ruchu wydających rozkazy, usuwających z toru roztargnionych, przeprowadzających bystrym i czujnym okiem pociągi w chwili odjazdu. Konduktorzy uwijali się bez przerwy, przebiegając nerwowym krokiem długie szeregi wagonów, blokmistrze-piloci stacji spełniali instrukcje krótkie a sprawne jak trąbki — hasła odlotu. Wszystko szło w tempie raźnym, odmierzonym na minuty, sekundy — wszystkich oczy odruchowo kontrolowały czas na podwójnej białej tarczy zegara tam w górze.
Mimo to spokojny widz stanąwszy na uboczu doznałby po krótkiej obserwacji sprzecznego z pozornym porządkiem rzeczy wrażenia.
Coś jakby wkradło się w unormowany przepisami i tradycją bieg czynności; jakaś nieokreślona, choć ważka zawada stanęła w poprzek regularności uświęconej ruchu.
Znać to było w nerwowych gestach ludzi, niespokojnych rzutach oczu, wyczekującym wyrazie twarzy. Coś się popsuło we wzorowym dotąd organizmie. Jakiś niezdrowy prąd krążył po jego rozgałęzionych stokrotnie arteriach i przesiąkał na powierzchnię w półświadomych wybłyskach.
Gorliwość kolejarzy cechowała widoczna chęć przezwyciężenia tajemnej rozterki, która wkręciła się ukradkiem w wyborny mechanizm. Każdy dwoił się i troił, by gwałtem przydusić denerwującą

zmorę, utrzymać wymarzoną do automatyzmu sforność pracy, żmudną, lecz bezpieczną równowagę funkcji.
Była to przecież ich dziedzina, ich „rejon”, uprawiany od wielu lat pilnej praktyki, teren, który, zdawało się, znali par excellence na wylot. Byli przecież przedstawicielami tej kategorii pracy, tego zakresu czynności życiowych, gdzie dla nich, wtajemniczonych, nic nie powinno było pozostać niejasnym, gdzie ich, reprezentantów, jedynych wykładników całej skomplikowanej sieci zajęć, nie mogła, nie powinna była zaskoczyć jakakolwiek zagadka. Wszakże wszystko od lat obliczone, zważone, odmierzone — wszakże wszystko, choć złożone, nie przekraczało ludzkich pojęć — wszakże wszędzie dokładność umiaru bez niespodzianek, regularność powtarzających się zajść, obliczonych z góry!
Poczuli się tedy niejako do solidarnej odpowiedzialności wobec zwartej masy podróżnych, którym należało zapewnić spokój i bezpieczeństwo zupełne.
Tymczasem wewnętrzna ich rozterka udzielała się publiczności i płynąc od nich falą zdenerwowania, rozwodziła się w nieokreślone prądy nurtujące pasażerów.
Gdyby przynajmniej chodziło o „przypadek”, którego wprawdzie nie można przewidzieć, lecz który daje się potem po momencie spełnienia wyprowadzić z tego, co go poprzedzało — zapewne wobec przypadku i oni, zawodowcy, stawali bezradni, choć nie zrozpaczeni. Lecz tutaj chodziło o coś zupełnie innego.
Zaszło coś nieobliczalnego jak chimera, kapryśnego jak szaleństwo i przekreśliło za jednym zamachem prastary układ zdarzeń.
Więc wstyd im było przed sobą i przed innymi poza obrębem zawodu.
W obecnej chwili szło tedy przede wszystkim o to, by się „sprawa” nie rozeszła, by się „szeroka publiczność” nie dowiedziała; należało dołożyć wszelkich możliwych starań, by „dziwaczna historia” nie nabrała rozgłosu w dziennikach, by uniknąć za wszelką cenę „skandalu”.
Dotąd jakoś rzecz pozostała w ścisłej tajemnicy. Przedziwna solidarność połączyła tych ludzi w wyjątkowym wypadku: milczeli. Tylko wymowne spojrzenia oczu, specjalne gesty i gra słów dobranych ułatwiały porozumienie. Dotąd publiczność nie wiedziała o niczym.
A „sprawa” była istotnie dziwaczną i zagadkową. Od pewnego czasu pojawił się na liniach kolei państwowych jakiś pociąg nie objęty powszechnie znanym rejestrem, nie wciągnięty w poczet kursujących parowozów, słowem intruz bez patentu i aprobaty. Nie zdołano nawet określić, do jakiej należał kategorii i z jakiej wyszedł fabryki, gdyż krótki przeciąg czasu, przez jaki dawał się za każdym pojawieniem obserwować, uniemożliwiał jakąkolwiek orientację. W każdym razie, wnosząc z nieprawdopodobnej wprost chyżości, z jaką przesuwał się przed oczyma zdumionych widzów, musiał zajmować bardzo wysoki stopień w skali pojazdów: był to pociąg co najmniej błyskawiczny.
Lecz rzeczą najbardziej niepokojącą była jego nieobliczalność. Intruz pojawiał się to tu, to tam, nadchodził nagle ni stąd, ni zowąd, skądś z odległej przestrzeni linii kolejowej, przelatywał z szatańskim szumem po torach i znikał w dali; dziś widziano go koło stacji M., nazajutrz wyłonił się gdzieś w czystym polu poza miastem W., w parę dni później przeszybował z osłupiającym tupetem koło budki dróżnika w okolicy przystanku G.
Zrazu myślano, że szalony pociąg należy do istniejącego etatu i tylko opieszałość lub pomyłka urzędników ruchu nie zdołała dotąd stwierdzić jego tożsamości. Zaczęły się więc dochodzenia, sygnalizacje bez końca, wzajemne porozumienia się stacji — wszystko bez skutku: intruz po prostu drwił sobie z wysiłków funkcjonariuszy, wynurzając się zwykle tam, gdzie go się najmniej spodziewano.
Szczególnie przygnębiająco działała okoliczność, że nigdzie go nie można było przyłapać, nigdzie dopaść ani zatrzymać. Urządzony kilkakrotnie w tym celu pościg na jednej z najwyborniejszych maszyn, uznanej w całym tego słowa znaczeniu za ostatni wyraz współczesnej techniki, zakończył się fiaskiem; niesamowity pociąg wziął rekord bez zająknienia.
Wtedy zaczęła ludzi ogarniać przesadna obawa i głucha, tłumiona strachem wściekłość. Rzecz była bowiem istotnie niesłychana! Od lat wozy kursowały według wytkniętego z góry planu, który układano w dyrekcjach, zatwierdzano w ministeriach, realizowano w ruchu — od lat wszystko

można było obliczyć, mniej więcej przewidzieć, a gdy zaszła jakaś „pomyłka” lub „przeoczenie”, to naprawić, logicznie wytłumaczyć — aż tu nagle nieproszony gość wślizguje się na tory, psuje porządek, wywraca na nice regulamin, wnosi w zgrany organizm zaczyn nieładu i rozstroju!

Całe szczęście, że dotąd natręt nie spowodował żadnej katastrofy. Był to w ogóle szczegół, który zastanawiał od samego początku. Zawsze jakaś przestrzeń, na której, się wynurzał, była w danej chwili wolną; szaleniec dotąd nie wywołał zderzenia. Lecz mogło to nastąpić lada dzień, tym bardziej że z wolna zaczął zdradzać w tym kierunku pewną inklinację. Po jakimś czasie skonstatowano z przerażeniem w jego ruchach pewną dążność do wejścia w bliższy kontakt z regularnie kursującymi towarzyszami. O ile zrazu zdawał się unikać bliskiego ich sąsiedztwa, pojawiając się zawsze w znacznej odległości za lub przed, obecnie wyrastał na szynach po upływie coraz to krótszych odstępów czasu za plecami poprzedników. Raz już przemknął obok ekspresu w drodze do O., tydzień temu ledwo wyminął osobowy na przestrzeni między S. a F., onegdaj cudem tylko skrzyżował się szczęśliwie z pośpiesznym z W.

Drżeli naczelnicy stacji na wiadomość o tych wyjątkowych wyminięciach, które należało zawdzięczać li tylko podwójnej wstędze torów i przytomności maszynistów. Podobnie „cudowne ocalenia” zaczęły w ostatnich czasach zdarzać się coraz częściej, przy czym szansę szczęśliwego wyjścia ze spotkania widocznie malały z dniem każdym.

Intruz z roli ściganego przeszedł w rolę czynną, pchany jakby magnetycznym popędem do tego, co regularne i w normę ujęte, zaczął grozić bezpośrednią destrukcją spraw starego porządku. Historia mogła lada dzień skończyć się tragicznie.

Toteż i kierownik ruchu w Horsku od miesiąca wiódł życie nad wyraz przykre. W ciągłej obawie przed niepożądaną wizytą, czuwał prawie bez przerwy, nie opuszczając dniem i nocą posterunku, który mu powierzono niespełna od roku w dowód uznania dla jego „energii i niezwykłej sprężystości”. A placówka była ważna, bo na stacji w Horsku przecinało się parę zasadniczych linii kolejowych i ogniskował się ruch całej połaci kraju.

Dziś zwłaszcza, wobec niebywałego napływu gości, praca w podobnie naprężonej sytuacji była nader uciążliwa.

Zapadał powoli wieczór. Rozbłysły światła lamp elektrycznych, rzuciły potężne swe projekcje reflektory. W zielonych ogniach zwrotnic szyny lśnić poczęły ponuro metalicznym połyskiem, giąć się zimnymi wstęgami żelaznych węży. Gdzieniegdzie w pomroce zapełgał nikły kaganek konduktora, błysnął sygnał dróżnika. W dali, hen, hen za dworcem, tam gdzie już gasną szmaragdowe oczy latarń, kreślił nocne swe znaki stacyjny semafor.

Oto właśnie wychodząc z poziomu zatoczył kąt 45 stopni i ustawił się w Unii ukośnej: szedł pociąg osobowy z Brzeska.

Już słychać zdyszany oddech lokomotywy, miarowy gruchot kół, już widać jasnożółte okulary na przedzie. Wtoczył się na stację.

Z otwartych okien wychylają się złote loki dzieci, ciekawe twarze kobiet, powiewają przywitalne chusty.

Ława czekających na peronie posuwa się gwałtownie ku wagonom, wyciągnięte ramiona dążą obustronnie ku spotkaniu...

Co to za hałas tam z prawej?! Przeraźliwe gwizdy świstawek rozdzierają powietrze. Naczelnik krzyczy coś ochrypłym, dzikim głosem.

— Precz! Cofnąć się, uciekajcie! Puść kontrparę! Wstecz! Wstecz!... Nieszczęście!!

Tłum rzuca się zwartym naporem ku balaskom i łamie je. Obłąkane oczy instynktownie patrzą w prawo, gdzie służba wyległa, i widzą spazmatyczne, bezcelowo wściekłe wibracje latarek usiłujących zawrócić pociąg jakiś, który całym rozmachem najeżdża z przeciwnej strony torem zajętym przez osobowy z Brzeska. Wichurę gwizdów przerzynają rozpaczliwe odezwy trąbek i piekielna wrzawa ludzi. Nadaremnie! Nieoczekiwany parowóz zbliża się z zawrotną chyżością; olbrzymie, zielone ślepia maszyny roztrącają ciemność upiornym spojrzeniem, potężne tłoki obracają się z bajeczną, opętaną sprawnością...

Z tysiąca piersi wyrywa się okropną trwogą, bezdenną paniką nabrzmiały okrzyk:

— To on! Obłąkany pociąg! Szaleniec! Na ziemię! Ratunku! Na ziemię! Giniemy! Ratunku!

Giniemy!
Jakaś gigantyczna, szara masa przelatuje nad pokotem ciał, popielata, mglista masa z wykrojami okien na przestrzał — czuć wicher szatańskiego przeciągu, wiejący z tych otwartych nor, słychać łopot rozwianych szaleńczo żaluzji, znać widmowe twarze pasażerów...
Wtem dzieje się coś dziwnego. Obłąkany pociąg zamiast zdruzgotać dosiągniętego już drapieżnie towarzysza, przechodzi przezeń jak mgła; przez chwilę widać, jak przesuwają się przez siebie dwa szeregi wozów, ocierają bezgłośnie ściany wagonów, przenikają w paradoksalnej osmozie tryby i osie kół — jeszcze sekunda i intruz, przesiąkłszy z błyskawiczną furią przez stały organizm pociągu, rozwiewa się po drugiej stronie gdzieś w polu. Ucichło...
Na torze przed stacją stoi spokojnie nienaruszony osobowy z Brzeska. Wkoło cisza, tylko od łąk, tam w dali, idzie ściszony poświerk koników, tylko po drutach, tam w górze, płynie mrukliwa gawęda telegrafu...
Ludzie z peronu, służba, urzędnicy przecierają ze snu oczy i spoglądają po sobie zdumieni:
— Prawda to czy zły majak?
Powoli wszystkich spojrzenia, wiedzione wspólnym impulsem, skupiają się na pociągu z Brzeska. Stoi wciąż głuchy i milczący. Tylko wewnątrz zapalone lampy płoną równym, spokojnym światłem, tylko w otwartych oknach igra lekko wietrzyk firankami...
W wozach grobowa cisza; nikt nie wysiada, nikt nie wychyla się z wnętrza. Przez oświetlone czworokąty okien widać pasażerów: mężczyzn, kobiety i dzieci; wszyscy cali, nie uszkodzeni — nikt nie doznał najlżejszej kontuzji. Lecz stan ich dziwnie zagadkowy...
Wszyscy w postawie stojącej, twarzami w kierunku, gdzie zniknął upiorny parowóz; jakaś siła zaklęła tych ludzi w jedną stronę i trzyma w niemym osłupieniu; wyciągnięte naprzód ręce wskazują cel jakiś nieznany, cel pewnie daleki — podane przed się ciała, pochylone torsy w dal dążą, w odległą gdzieś, mglistą krainę, a oczy zeszklone trwogą i ...zachwytem toną w przestrzeni.
Tak stoją i milczą; muskuł nie drgnie, nie spadnie powieka. Tak stoją i milczą...
Bo przeszedł przez nich powiew przedziwny, bo tknęło ich wielkie ocknienie, bo byli to już ludzie... obłąkani.
Wtem zabrzmiały dźwięki mocne i znane, w codzienność bezpieczną spowite — uderzenia jędrne jak serce, gdy o pierś zdrową łomoce — miarowe dźwięki nawyku, od lat to samo głoszące...
— Bim-bam... — i przerwa — bim-bam... bim-bam. —
Sygnały szły.

Demon ruchu

Błyskawiczny „Continental” w drodze z Paryża do Madrytu pędził co sił w tłokach. Pora była już późna, śródnocna, czas słotny, deszczowy. Mokre bicze dżdżu chłostały oświetlone jasno szyby i rozbryzgiwały się na szkle w łzawe różańce kropel. Skąpane w ulewie kadłuby wagonów połyskiwały pod światło przydrożnych latarń niby wilgne pancerze, wyrzygiwały rynnami pluszczącą wodę. Od czarnych ich ciał szedł w przestrzeń głuchy postęk, zmieszany rozhowor kół, potrącających się zderzaków, tratowanych bez litości szyn. Zapamiętały w obiegu łańcuch wozów budził w ciszy nocy uśpione echa, wywabiał zamarłe po lasach głosy, cucił drzemiące stawy. Podnosiły się jakieś ciężkie, senne powieki, otwierały w przerażeniu jakieś duże oczy i trwały tak w lęku. A pociąg mknął dalej w wichurze wiatru, w tańcu jesiennym liści, wlokąc za sobą wydłużoną tuleję wirów wstrząśniętego powietrza, leniwo wieszających się na tyłach dymów, kopciu i sadzy,

pędził dalej bez tchu, rzucając poza siebie krwawe wspomnienie iskier i węgłowych odmiotów...
W jednym z przedziałów klasy pierwszej, wciśnięty w kąt między ścianą wozu a poduszką oparcia, drzemał mężczyzna przeszło czterdziestoletni, o silnej, herkulicznej niemal budowie ciała. Stłumione światło lampy, przecedzające się z trudem przez zaciągnięty ciemnik, oświecało twarz starannie ogoloną, podłużną, z grymasem zaciętości wkoło wąskich ust.
Był sam; nikt nie przerywał sennego dumania. Ciszę zamkniętego wnętrza przekreślał chyba tylko stukot kół pod podłogą lub pełgotanie gazu w palniku. Czerwony kolor pluszowych poduszek rozpościerał wkoło duszny, parny ton, który działał nasennie jak narkoza. Miękki, ustępliwy pod palcami meszek materii ściszał odgłosy, głuszył gruchot szyn, uginał się posłuszną falą pod naciskiem ciężaru. Przedział zdawał się pogrążony w głębokim uśpieniu; drzemały zasunięte na kółkach firanki, wahały się sennym ruchem zielone siatki, rozpięte pod powałą. Ukołysany miarowym ruchem wagonu podróżny przechylił znużoną głowę na wezgłowie i śnił. Wypuszczona z rąk książka ześliznęła się z kolan i upadła na podłogę; na oprawce z delikatnej, ciemnoszafranowej skórki widniał tytuł: *Wichrowate linie,* obok wybite pieczęcią nazwisko właściciela: Tadeusz Szygoń...
W jakiejś chwili śpiący poruszył się niespokojnie, otworzył oczy i powiódł nimi po otoczeniu: na moment odbił się na twarzy wyraz zdumienia i wysiłek orientacji; podróżny jakby nie mógł zrozumieć, gdzie i dlaczego się tu znalazł. Lecz już zawitał na wargi uśmiech pobłażliwej rezygnacji; mocna, nerwista ręka podniosła się gestem nakazującym zaniechanie, kurczowy grymas ust przeszedł w znak zniechęcenia i lekceważącej pogardy. Zapadł z powrotem w stan półsenny...
Na korytarzu wagonu ozwały się czyjeś kroki; szarpnięte drzwi odsunęły się i do przedziału wszedł konduktor:
— Proszę o bilet.
Szygoń nie drgnął, nie dał znaku życia. Funkcjonariusz sądząc, że śpi, przystąpił i ujął go za ramię:
— Przepraszam pana — proszę o bilet. Podróżny spojrzał błędnie na intruza:
— Bilet? — ziewnął niedbale. — Nie mam go jeszcze.
— Dlaczego pan nie kupił na stacji?
— Nie wiem.
— Zapłaci pan za to karę.
— Ka-arę? Tak — dorzucił sennie — zapłacę.
— Skąd pan jedzie? Z Paryża?
— Nie wiem. Konduktor oburzył się:
— Jak to nie wie pan? Łaskawy pan kpi sobie ze mnie. Któż ma wiedzieć?
— Mniejsza o to. Przypuśćmy, że wsiadłem w Paryżu.
— Dokąd mam zatem wystawić bilet?
— Jak najdalej.
Konduktor popatrzył uważnie na pasażera:
— Mogę panu dać bilet tylko do Madrytu; tam może pan przesiąść się w dowolnym kierunku.
— Wszystko jedno — machnął obojętnie ręką. — Byle tylko jechać.
— Bilet wręczę panu dopiero później. Muszę go wpierw wystawić i obliczyć cenę wraz z karą.
— Dobrze, dobrze.
Uwagę Szygonia przykuły od chwili wyłogi kołnierza z odznakami kolejowymi: para strzępiastych skrzydełek, wplecionych w koło. Gdy konduktor uśmiechnięty ironicznie zabierał się już do wyjścia, nagle Szygoniowi wydało się, że twarz tę, wykrzywioną podobnym grymasem, już widział parę razy. Jakaś pasja poderwała go z miejsca i aa odchodnym rzucił mu przestrogę:
— Panie skrzydlaty, uważaj na przeciąg!
— Proszę być spokojnym, zamykam drzwi.
— Uważaj pan na przeciąg — powtórzył uparcie — można czasem kark skręcić.
Funkcjonariusz był już na korytarzu:
— Wariat lub pijany — zauważył półgłosem i przeszedł do sąsiedniego wozu.
Szygoń pozostał sam...
Był w stadium jednej ze swych słynnych „ucieczek”. Pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, znajdował

się ten dziwny człowiek o kilkaset mil od rodzinnej Warszawy, gdzieś na drugim krańcu Europy, w Paryżu, w Londynie lub w jakiejś trzeciorzędnej mieścinie we Włoszech — budził się ku niezmiernemu swemu zdziwieniu w jakimś nieznanym hotelu, który oglądał po raz pierwszy w życiu. W jaki sposób dostawał się niespodzianie w obce sobie środowisko, nie umiał nigdy w takich razach wytłumaczyć. Wypytywana o to służba hotelowa mierzyła zwykle wysokiego jegomościa w żółtym płaszczu ciekawym, czasem ironicznym spojrzeniem i informowała go o rzeczywistym stanie rzeczy; oto przybył wczoraj wieczornym lub rannym pociągiem, zjadł kolację i zażądał pokoju. Raz jakiś dowcipny famulus zapytał go, czy też przypadkiem ma mu przypomnieć, pod jakim nazwiskiem zawitał. Złośliwe pytanie było zresztą całkiem uzasadnione: człowiek, który zapomniał, co się z nim działo dnia poprzedniego, może też nie wiedzieć, jak się nazywa. W każdym razie był w tych improwizowanych jazdach Tadeusza Szygonia pewien rys tajemniczy i nie wyjaśniony; ich bezcelowość, zupełna niepamięć zdarzeń ubiegłych, dziwna amnezja obejmująca wszystko, cokolwiek się stało od chwili wyjazdu aż do momentu przybycia w nieznaną stronę.
Nie ulega wątpliwości, że przez cały ciąg podróży musiał Szygoń znajdować się w stanie patologicznym, prawdopodobnie półświadomym, a stąd niezupełnie poczytalnym. Po powrocie z każdej takiej awanturniczej wyprawy wszystko szło znów normalnym trybem — odwiedzał, jak dawniej, gorliwie kasyno, zgrywał się w brydża i robił słynne swoje zakłady podczas wyścigów konnych. Wszystko było po dawnemu zwyczajne, codzienne i przeciętne...
Nagle pewnego poranku Szygoń znikał i przepadał znowu bez śladu...
Przyczyna owych ucieczek pozostała nie wyjaśnioną. Zdaniem niektórych źródła należało szukać w żywiole atawistycznym, tkwiącym w naturze oryginała; w żyłach Szygonia płynęła podobno krew cygańska. Odziedziczył, zdaje się, po bujnych swych, wędrownych przodkach tęsknotę wieczystej włóczęgi, głodną wrażeń żądzę królów gościńca. Jako objaw wypływający wprost z tego „nomadyzmu” przytaczano fakt, że Szygoń nigdy nie mógł wytrzymać dłużej na jednym miejscu, lecz ciągle zmieniał mieszkanie, przeprowadzając się z jednej dzielnicy w drugą. Jakiekolwiek pobudki skłaniały dziwaka do romantycznych podróży bez określonego wyraźnie celu — on sam z pewnością nie pochwalał ich ex post po powrocie. W jakiś czas po tajemniczym zniknięciu wracał równie niespodzianie, zły, wyczerpany i ponury. Przez parę następnych dni zamykał się w domu unikając widocznie ludzi, przed którymi odczuwał wstyd i zakłopotanie.
Jakaś ciemna moc wyrywała go z domu, pędziła na dworzec, pchała do wagonu — jakiś nieprzezwyciężony nakaz zmuszał do porzucenia nieraz wśród głębokiej nocy wygodnego posłania, wiódł jak skazańca przez labirynt ulic usuwając z drogi tysiące przeszkód, wsadzał do przedziału i wysyłał w szeroki świat. Następowała jazda przed siebie, po omacku, na chybił trafił, jakieś przystanki, przesiadania w nieokreślonym kierunku, a wreszcie postój w jakimś mieście, mieścinie lub wiosce, w jakimś kraju, pod jakimś niebem, nie wiadomo dlaczego tu właśnie, nie gdzie indziej — i wreszcie owo fatalne przebudzenie w obcej, cudzej okolicy...
Szygoń nigdy nie przyjeżdżał na to samo miejsce: zawsze wyrzucał go pociąg gdzie indziej. Nigdy nie „budził się”, to jest nie uświadamiał sobie bezcelowości tego, co czyni w czasie jazdy — pełnia władz psychicznych powracała dopiero po definitywnym opuszczeniu pociągu, i to zwykle po głębokim, pokrzepiającym śnie w przydrożnym zajeździe lub gospodzie...
I w obecnej chwili był w stanie jakby zbliżonym do transu. Pociąg, który go wiózł, wyjechał wczoraj nad ranem z Paryża. Czy wsiadł doń w stolicy Francji, czy też na jakiej stacji po drodze — nie wiedział. Wyjechał skądś i zdążał dokądś — oto wszystko, co można było w tej sprawie powiedzieć...
Poprawił się na poduszkach, wyciągnął nogi przed siebie i zapalił cygaro. Miał uczucie niesmaku, niemal wstrętu. Podobnych wrażeń doznawał zawsze na widok konduktora lub w ogóle któregoś z kolejarzy. Ci ludzie stali się symbolem pewnych braków czy niedoborów, ucieleśnieniem niedoskonałości, jakie widział w ustroju pociągu i ruchu kolejowym. Zdawał sobie aż nadto dokładnie sprawę, że gdyby nie ta smutna okoliczność, iż jest przykuty do ziemi i jej praw, wędrówki jego przybrałyby postać bez porównania bujniejszą i piękniejszą, porzucając utarty szablon i metodę.
A właśnie pociąg, kolej i jej funkcjonariusze uosabiali dlań tę ciasną formułę, to błędne koło bez wyjścia, z którego on, człowiek, biedny syn ziemi, na próżno by usiłował się wyłamać.

Dlatego pogardzał tymi ludźmi, czasem nienawidził ich nawet. Ta niechęć wzrastała w miarę powtarzania się fantastycznych „ucieczek”, których się wstydził nie tyle z powodu ich bezcelowości, ile raczej dlatego, że były zakrojone na tak nędzną skalę.
Podniecały to uczucie drobne zajścia i zatargi z władzami kolejowymi, nieuniknione ze względu na anormalny stan podróżnika. Na niektórych liniach służba zdawała się znać go już dobrze i nieraz podchwytywał w przelocie ironiczny uśmiech tragarza, konduktora lub urzędnika ruchu.
Funkcjonariusz obsługujący wóz, którym obecnie jechał, wydał mu się szczególnie znajomy. I już nieraz przesunęła mu się przed roztargnionymi, zapatrzonymi w przestrzeń oczyma ta chuderlawa, ospowata twarz, rozjaśniająca się drwiącym uśmieszkiem na jego widok. Tak mu się przynajmniej zdawało...
Zwłaszcza irytowały Szygonia kolejowe anonse, reklamy i mundury. Jakże śmiesznym był patos porozwieszanych po poczekalniach alegorii ruchu, jakże pretensjonalnym szeroki gest geniuszków pędu!
Lecz najkomiczniejsze wrażenie sprawiały owe skrzydlate koła na czapkach i wyłogach urzędników. To mi dopiero rozmach co się zowie! To mi fantazja!
Szygoniowi na widok tych odznak przychodziła nieraz szalona ochota zedrzeć je i zastąpić wizerunkiem psa kręcącego się za własnym ogonem...
Cygaro żarzyło się powoli, rozpylając po przedziale obłoczki sinawego dymu. Z wolna ujmujące je palce rozkurczały się leniwo i wonne trabuco potoczyło się pod kanapkę, pryskając rakietą drobnych iskier: palacz zadrzemał...
Puszczona świeżo w rury gorąca para zaseplениła cicho pod nogami i rozlała po coupe miłe, pokojowe ciepło. Jakiś komar spóźniony zanucił nikłą piosenkę, zatoczył parę nerwowych kręgów i skrył się w ciemny zaułek między wypuklinami pluszu. I znów tylko cichy pełgot palnika i miarowy łomot kół...
O jakiejś godzinie Szygoń przebudził się. Potarł czoło, zmienił senną pozycję i spojrzał przytomnie po wagonie. Ku niemiłemu zdumieniu zauważył, że nie jest sam: miał towarzysza podróży. Naprzeciw, rozpostarty wygodnie na poduszkach, siedział jakiś urzędnik kolejowy i ćmił papierosa, puszczając impertynencko dym w jego stronę. Spod rozpiętej lekceważąco bluzy służbowej wyglądała aksamitna kamizelka, zupełnie jak u pewnego naczelnika stacji, z którym. Szygoń miał raz piekielną awanturę. Natomiast pod sztywnym kołnierzem z trzema gwiazdkami i parą skrzydlatych kółek owijała szyję czerwona jak krew chusta, zupełnie jak u bezczelnego konduktora, który drażnił go swym uśmieszkiem „Co u licha?! — pomyślał przypatrując się uważnie fizjonomii intruza. — Ależ to jest najwyraźniej obmierzła twarz konduktora! Te same zapadłe policzki głodomora, te same ślady po przebytej ospie. Ale skąd znów ta ranga i mundur naczelnika?”
Tymczasem „intruz” znać zauważył zainteresowanie Współpasażera; wypuścił trąbkę dymu i strzepując lekko popiół z rękawa, przyłożył rękę do daszka czapki i pozdrowił ze słodziutkim uśmiechem:
— Dobry wieczór!
— Dobry wieczór — odpowiedział sucho.
— Łaskawy pan z daleka?
— Nie jestem w tej chwili nastrojony towarzysko. W ogóle lubię podróżować w milczeniu. Dlatego zwykle obieram samotny przedział i płacę za to gruby napiwek.
Nie zrażony szorstką odprawą kolejarz uśmiechnął się błogo i ciągnął dalej z niewzruszonym spokojem:
— Nic nie szkodzi. Powoli nabierze łaskawy pan rozmachu. Kwestia wprawy i nawyku. Samotność, wiadomo, jest złym towarzyszem. Człowiek jest bydlęciem społecznym — zoon politikon — czyż nieprawda?
— Jeśli pan zalicza się dobrowolnie do kategorii bydlątek — nie mam osobiście nic przeciwko temu. Ja jestem tylko człowiekiem.
— All right! — zaopiniował urzędnik. — A widzi łaskawy pan, jak mu się język rozwiązał. Nie jest tak źle, jak by się na pozór zdawało. Owszem, posiada pan duży talent konwersacyjny, zwłaszcza w kierunku parowania pytań. Pomału wyrobimy się. No, no — pójdzie jakoś, pójdzie... — dorzucił

protekcjonalnie.
Szygoń zmrużył podejrzliwie oczy i poprzez szpary między powiekami studiował natręta.
— O ile się nie mylę, jesteśmy starzy znajomi. Widywaliśmy się już parę razy w życiu — po chwili milczenia nawiązał rozmowę niezmordowany kolejarz.
Opór Szygonia powoli topniał. Bezczelność tego człowieka, który pozwalał się znieważać bezkarnie bez powodu, rozbrajała. Zrodziła się ciekawość poznania, z kim się właściwie miało do czynienia.
— Możliwe — odchrząknął. — Tylko zdaje mi się, nosił pan do niedawna jeszcze inny mundur.
W postaci kolejarza zaszła w tej chwili zagadkowa metamorfoza. Momentalnie zniknęła gdzieś urzędnicza bluza ze świecącymi złotym szychem gwiazdkami, zniknęła czerwona czapka ruchu i zamiast uprzejmie uśmiechniętego „naczelnika" siedział naprzeciw zgarbiony, wymięty i szyderczy konduktor wagonu w wytartym płaszczu, z nieodstępnym bukietem latarki przypiętym do piersi.
Szygoń przetarł oczy, mimo woli czyniąc gest odpychający:
— Przemienienie Pańskie? Tfy! Czary czy diasek?! Lecz już pochylał się ku niemu z przeciwnej strony uprzejmy „naczelnik", zbrojny we wszystkie oznaki swego urzędu.
Konduktor wśliznął się gdzieś bez śladu pod mundur przełożonego
— Ach, tak — mówił swobodnie, jak gdyby nigdy nic — awansowałem.
— Gratuluję — bąknął Szygoń wpatrzony osłupiałym wzrokiem w transformistę.
— Tak, tak — gawędził tamten — tam „w górze" umieją cenić energię i sprężystość. Poznali się na człowieku: zostałem naczelnikiem. Kolejka, panie łaskawy, wielka rzecz. Warto służyć i wyładowywać siłę. Czynnik cywilizacyjny! Lotna pośredniczka narodów, wymiany kultur! Pęd, panie kochany, pęd i ruch!
Szygoń wydął pogardliwie wargi.
— Pan naczelnik — podkreślił z przekąsem — żartuje. Co za ruch? W dzisiejszych warunkach, przy udoskonalonej technice, bierze pierwszorzędny parowóz, tak zwany Express-Pacifique w Ameryce, dwieście kilometrów na godzinę; — przyjmijmy z biegiem czasu, w miarę dalszych postępów, dwieście pięćdziesiąt kilometrów, choćby trzysta kilometrów — cóż stąd? Patrzmy na efekt końcowy; mimo wszystko nie wychylamy się ani na milimetr poza obręb ziemi.
Naczelnik uśmiechał się nie przekonany:
— Czegóż pan chce więcej? Piękna chyżość! Dwieście kilemetrów na godzinę! Niech żyje kolej!
— Pan oszalał? — zapytał wściekły już Szygoń.
— Bynajmniej. Wzniosłem tylko okrzyk na cześć naszej skrzydlatej patronki. Cóż łaskawy pan może jej przeciwstawić?
— Choćbyście osiągnęli rekord czterystu kilometrów na godzinę — czym to wszystko wobec wielkiego ruchu?
— Ile? — intruz nastawił uszu.
— Niedobrze zrozumiałem. Wielki ruch?
— Czym są wasze jazdy choćby z największą przypuszczalnie chyżością, choćby na najdalej rozpiętych liniach wobec wielkiego ruchu i wobec faktu, że ostatecznie mimo wszystko zostajecie na ziemi. Choćbyście wynaleźli pociąg piekielny, który by w jednej godzinie objechał całą kulę ziemską, ostatecznie wrócicie do punktu, z którego wyjechał: jesteście przykuci do ziemi.
— Che, che! — szydził kolejarz — kochany pan zapewne poeta. Wolne żarty.
— W czym wpłynie choćby zawrotna, bajeczna chyżość ziemskiego pociągu na w i e l k i r u c h i na jego efekt?
— Che, che, che! — beczał rozbawiony naczelnik.
— W niczym! — krzyknął Szygoń. — Ani o cal nie zmieni jego wielkiej drogi, ani na milimetr nie przesunie jego kosmicznych szlaków. Jedziemy na toczącej się w przestrzeni kuli.
— Jak mucha na gumowym baloniku. Che, che, che! Co za myśli, co za koncepty! Z kochanego pana pierwszorzędny causeur humorysta.
— Pański nędzny pociąg, pańska mrówcza, chuderlawa kolej w swym największym, najśmielszym, jak się panu podobało nazwać, „pędzie" podlega — uważa pan — wyraźnie podkreślam — dosłownie „podlega" równocześnie dwudziestu blisko najrozmaitszym ruchom, z których każdy w

swym efekcie jest bez porównania silniejszy, bezwzględnie mocniejszy od jej miniaturowego rozmachu.
— Hm... zajmujące, arcyciekawe! — drwił nieubłagany przeciwnik. — Dwadzieścia blisko ruchów! Pi, pi — pokaźna liczba.
— Pomijam już uboczne, o których się zapewne żadnemu kolejarzowi nie śniło, a przypomnę zasadnicze, podstawowe, znane każdemu uczniakowi. — Pociąg pędzący z największą furią z A do B musi równocześnie z ziemią odbyć pełny ruch obrotowy z zachodu na wschód około jej osi w przeciągu jednej doby...
— Che, che, che! Nowiny, nowiny...
— Równocześnie wiruje wraz z całym globem dookoła słońca...
— Jak ćma dookoła lampy...
— Oszczędź mi pan swych dowcipów! Nieciekawe. Lecz na tym nie koniec. Wraz z ziemią i słońcem dąży po linii eliptycznej ku jakiemuś nieznanemu punktowi w przestworzach, znajdującemu się w stronie konstelacji Herkulesa względnie Centaura.
— Filologia na usługach astronomii. Parbleu! Tęgo!
— Głupiś, mój kochany! Przejdźmy do ruchów ubocznych. Słyszałeś coś kiedyś o ruchu precesyjnym ziemi?
— Może i słyszałem. Lecz cóż nas to wszystko obchodzi? Niech żyje ruch kolejowy!
Szygoń wpadł w pasję. Podniósł ciężką swą jak młot rękę i spuścił gwałtownie na głowę kpiarza. Lecz ramię przecięło tylko powietrze: intruz znikł gdzieś jak kamfora; miejsce naprzeciw nagle opustoszało.
— Che, che, che! — zarechotało coś w drugim kącie przedziału.
Szygoń odwrócił się i spostrzegł „naczelnika" siedzącego w kucki między oparciem a siatką; skurczył się jakoś ogromnie i wyglądał na karzełka.
— Che, che, che! A co? Będziemy grzeczni na przyszłość? Chcesz ze mną dalej gadać, to zachowuj się przyzwoicie. Inaczej nie zlezę. Pięść, mój kochany, to za ordynarny argument.
— Dla tępych osobników jedyny; innymi nie przekonasz.
— Słuchałem — cedził tamten wracając na dawne miejsce — słuchałem cierpliwie przez kwadrans z górą pańskich utopijnych wywodów; posłuchajże teraz trochę i mnie.
— Utopijnych?! — zawarczał Szygoń. — Wymienione przeze mnie ruchy są więc fikcją?
— Nie zaprzeczam ich istnieniu. Lecz cóż mnie one obchodzić mogą? Liczę się tylko z chyżością mojego pociągu. Dla mnie miarodajnym jest tylko ruch parowozu. Co mnie to może obchodzić, o jaki kawałek naprzód posunąłem się równocześnie w przestworzach międzygwiezdnych? Należy być praktycznym: jestem pozytywistą, mój panie.
— Argumentacja godna stołowej nogi. Musisz mieć sen zdrowy, panie naczelniku?
— Dziękuję, owszem. Pan Bóg łaskaw — sypiam jak suseł
— Naturalnie. Łatwo było się domyślić. Takich jak ty nie dręczy demon ruchu.
— Che, che, che! Demon ruchu! Otóż i wpadliśmy w sedno sprawy! Potrąciłeś o mój rentowny pomysł — właściwie, prawdę mówiąc — nie mój, tylko zamówiony przeze mnie u pewnego malarza dla naszej stacji.
— Rentowny pomysł? Zamówiony? No tak, chodzi o świeżo wydany prospekt na parę świeżo zbudowanych odnóg kolejowych, tak zwanych Vergnügungsbahnlinien. Uważasz — rodzaj reklamy czy anonsu, który by zachęcił publikę do używania tych nowych dróg komunikacyjnych. Otóż potrzebna była jakaś winieta, jakiś bohomaz, niby alegoria, niby symbol.
— Ruchu?! — Szygoń pobladł.
— Właśnie. Owóż wspomniany pan wymalował bajeczną figurę — imponujący symbol, który w mig rozchwytały mi poczekalnie wszystkich stacji nie tylko w kraju, lecz i za granicą. A że postarałem się o patent i prawa niby autorskie zastrzegłem sobie z góry, więc zarobiło się nieźle.
Szygoń dźwignął się z poduszek i wyprostował w całej swej imponującej wysokości.
— A w jakąż postać, jeśli wolno wiedzieć, przyoblekliście wasz symbol? — zasyczał zdławionym, nie swoim głosem.
— Che, che, che! W postać geniusza ruchu. Olbrzymi, śniady młodzieniec, ważący się na kruczych,

potwornie rozpiętych skrzydłach, opasany wirami kręcących się w opętańczym tańcu światów — demon międzyplanetarnej wichury, śródgwiezdnej zamieci księżyców, cudnej, obłąkańczej gonitwy komet...
— Łżesz! — ryknął rzucając się ku niemu Szygoń. — Łżesz jak pies.
„Naczelnik" zwinął się w trąbkę, zdrobniał jakoś, zmalał i wsiąknął w dziurkę od klucza. Lecz niemal w tejże chwili odsunęły się drzwi przedziału i znikający natręt zlał się z postacią konduktora, który ukazał się w progu. Funkcjonariusz zmierzył złośliwym spojrzeniem wzburzonego pasażera i podał mu bilet:
— Proszę, bilet już gotowy; cena wraz z karą dwieście franków.
Lecz uśmiech przyniósł mu zgubę. Zanim zdołał zorientować się, jakieś ramię mocne jak przeznaczenie chwyciło go za pierś i wciągnęło do wnętrza. Rozległ się rozpaczliwy krzyk o pomoc, potem trzask kruszonej kości i zapadła głucha cisza.
Po chwili duży cień przesunął się po oknach samotnego korytarza — przemknął między ścianą wozu a przedziałami i zniknął u wylotu wagonu. Ktoś otworzył drzwi na platformę i szarpnął sygnał alarmowy. Pociąg zaczął raptownie zwalniać...
Ciemna postać zbiegła po schodach, pochyliła się w kierunku ruchu i jednym susem runęła między modrzejące w świetle brzasku przydrożne zarośla...
Pociąg stanął. Zaniepokojona służba długo szukała sprawcy alarmu; nie wiedziano, z którego wagonu wyszedł sygnał. Wreszcie konduktorzy zauważyli brak jednego z kolegów. — Wóz Nr 532! — Wpadli na korytarz, zaczęli przeszukiwać klasy. Zastali puste. Na koniec w przedziale pierwszym na kraju znaleźli zwłoki nieszczęśliwej ofiary. Jakaś tytaniczna siła wykręciła mu głowę w tak piekielny sposób, że oczyma wyszłymi z orbit spoglądał na własne plecy. W ściętych białkach zagrało poranne słońce okrutnym uśmiechem...

Smoluch

Starszy konduktor Błażek Boroń, obszedłszy powierzone swej opiece wagony, wrócił do zakątka oddanego do jego wyłącznej dyspozycji, czyli „miejsca przeznaczonego dla konduktora".
Znużony całodzienną włóczęgą po wozach, zachrypły od wywoływania stacji w jesienną, mgłą napęczniałą porę, zamierzał odpocząć trochę na wąskim, ceratą obitym krzesełku; uśmiechała mu się godnie zasłużona sjesta. Dzisiejsza tura właściwie skończyła się; pociąg przebył już strefę gęsto w bliskich odstępach rozmieszczonych przystanków i wyciągniętym kłusem zmierzał do stacji kresowej. Aż do końca jazdy nie będzie już Boroń zrywał się z ławeczki i zbiegał po stopniach na parę minut, by zdartym głosem oznajmiać a światu, że jest stacja taka a taka, że pociąg zatrzymał się y, na minut pięć, dziesięć lub cały długi kwadrans lub że czas już przesiadać.
Zgasił latarkę przypiętą do piersi i postawił ją wysoko nad głową na półce, zdjął szynel i zawiesił na kołku.
Siwe, wypłowiałe oczy konduktora utknęły nieruchomo w szybie wagonu i patrzyły w świat poza oknami. Szyba trzęsła się w podrzutach wozu, wciąż jednakowo gładka i czarna — nie widział przez nią nic.
Oderwał oczy od monotonii ramy i skierował w głąb korytarza. Spojrzenie prześliznęło się po szeregu drzwi wiodących do przedziałów, przerzuciło na ścianę okien naprzeciw i zgasło na nudnym szlaku chodnika podłogi.
Z wnętrza przedziałów przypłynęła fala śmiechu: goście byli w dobrych humorach.

Konduktor zacisnął zęby ze złością:
— Komiwojażerowie! Handlarska branża!
Boroń zasadniczo nie cierpiał pasażerów; irytowała go ich „praktyczność”. Dla niego istniała kolej dla kolei, nie dla podróżnych. Zadaniem kolei nie było przewożenie ludzi z miejsca na miejsce w celach komunikacyjnych, lecz ruch jako taki i pokonywanie przestrzeni. Co ją mogły obchodzić marne interesy ziemskich pigmejów, zabiegi przemysłowe oszustów, plugawe przetargi handlarzy? Stacje były nie na to, żeby na nich wysiadać, lecz by mierzyły przebytą drogę; przystanie kolejowe były probierzem jazdy, ich kolejna zmiana, jak w kalejdoskopie, dowodem postępów ruchu.
Toteż z pogardą spoglądał zawsze na tłumy cisnące się przez drzwi wagonów na peron, i na odwrót, z grymasem ironii obserwował zadyszane jejmoście i rozgorączkowanych pośpiechem jegomościów pędzących na łeb, na szyję, wśród krzyków, przekleństw, czasem szturchańców do przedziałów, by „zająć miejsce” i ubiec towarzyszy z owczego stada.
Tymczasem rzeczywistość stanowiła rażący kontrast z poglądami Boronia. Ludzie wciąż wsiadali i wysiadali na stacjach, wciąż cisnęli się z tą samą zapalczywością, zawsze w tych samych praktycznych zamiarach. Ale też konduktor mścił się za to przy każdej sposobności.
Faktem było, że nawet w czasie największej frekwencji w porze świątecznej wnętrza wagonów Boronia zdradzały normalny wygląd, przejścia były wolne, oddychało się powietrzem znośnym. Siedzeń nadliczbowych i miejsc stojących konduktor nie uznawał. Surowy dla siebie i wymagający w służbie, umiał też być nieubłaganym dla podróżnych. Przepisów przestrzegał dosłownie, z drakońskim nieraz okrucieństwem. Nie pomagały wybiegi, podstępne szacherki, zręczne wślizgiwanie w rękę łapówek — Boronia nie można było przekupić. Parę osób nawet zaskarżył z tego powodu, jednego osobnika spoliczkował za obrazę i przed władzami wyszedł obronną ręką. Nieraz też zdarzało się, że w środku jazdy, gdzieś na jakimś nędznym przystanku, na jakiejś li stacyjce, w czystym polu wypraszał grzecznie, lecz stanowczo z wagonu oszukującego „gościa”. Dwa razy tylko w ciągu swej długoletniej kariery natknął się na „godnych” pasażerów, którzy odpowiadali poniekąd jego ideałowi podróżnych.
Jednym z tych rzadkich okazów był jakiś bezimienny włóczęga, który bez centa przy duszy wsiadł do przedziału pierwszej klasy. Gdy Boroń zażądał karty jazdy, obdartus wytłumaczył mu, że biletu nie potrzebuje, bo jedzie bez określonego celu, tak sobie, w przestrzeń, dla przyjemności, z wrodzonej potrzeby ruchu. Konduktor nie tylko uznał rację, lecz przez cały przeciąg jazdy czuwał troskliwie nad wygodą gościa i nie wpuszczał nikogo do jego przedziału. Poczęstował go nawet połową swych prowiantów i zapalił z nim fajeczkę wśród przyjacielskiej pogawędki na temat: podróż na chybił trafił.
Drugi podobny pasażer zdarzył mu się parę lat temu na drodze między Wiedniem a Triestem. Zapytany, dokąd jedzie, odpowiedział, że właściwie sam nie wie, gdzie wsiadł, dokąd zdąża i po co.
— W takim razie — zauważył Boroń — może by najlepiej było wysiąść na najbliższej stacji. — Ej, nie — odparł niezrównany pasażer — nie mogę, dalibóg nie mogę. Muszę jechać naprzód, coś mnie pędzi. Wystaw pan bilet, dokądkolwiek się panu podoba. Odpowiedź oczarowała Boronia do tego stopnia, że pozwolił mu jechać aż do końcowej stacji za darmo i nie naprzykrzał się już ani razu.
Tak, tak — istnieli jeszcze na szerokim świecie doskonali podróżni, lecz czymże były nieliczne perły w morzu hołoty? Konduktor nieraz wracał z utęsknieniem ku tym dwom świetnym zdarzeniom swego życia, pieszcząc duszę wspomnieniami chwil wyjątkowych...
Przeważył głowę wstecz i śledził ruchy błękitnoszarych smug, porozwieszanych warstwami w korytarzu. Ponad miarowy stuk szyn wydostał się powoli szypot gorącej pary pędzonej w rury. Usłyszał bulgotanie wody w zbiornikach, czuł ciepły jej napór o brzegi naczyń: ogrzewano przedmioty, bo wieczór był chłodny.
Momentalnie lampy u szczytu zmrużyły świetlne rzęsy i gasły. Lecz nie na długo, bo już w następnej chwili gorliwy regulator wstrzyknął automatycznie świeżą dozę gazu, który podsycił słabnące palniki. Konduktor uczuł jego specyficzną, ciężką woń, przypominającą trochę koper włoski.
Zapach był mocniejszy od dymu fajeczki, wnętliwszy i mącił zmysły...
Nagle Boroniowi zdało się, że słyszy stąpanie bosych nóg po podłodze korytarza.

— Duh, duh, duh — dudniły gołe stopy — duh, duh, duh...
Konduktor wiedział już, co to znaczy; nie po raz pierwszy słyszał te kroki w pociągu. Wychylił głowę i spojrzał w mroczną perspektywę wozu. Tam u końca, gdzie ściana załamuje się i cofa ku przedziałowi pierwszej klasy, ujrzał na sekundę jego jak zwykle nagie plecy — na sekundę tylko mignął jego wyprężony w kabłąk, zlany rzęsistym potem grzbiet.
Boroń zadrżał: Smoluch znów pojawił się w pociągu.
Po raz pierwszy zauważył go lat temu dwadzieścia. Było to na godzinę przed straszną katastrofą między Zniczem a Księżymi Gajami, w której zginęło przeszło czterdzieści osób, nie licząc wielkiej liczby rannych. Konduktor miał wtedy lat trzydzieści i jeszcze silne nerwy. Pamięta dokładnie szczegóły, nawet numer nieszczęśliwego pociągu. Prowadził wtedy wagony końcowe i może dlatego ocalał. Dumny ze świeżo zdobytego awansu, odwoził do domu w jednym z przedziałów narzeczoną, swoją biedną Kasieńkę, jedną z ofiar nieszczęścia. Pamięta, jak wśród rozmowy z nią nagle uczuł dziwny niepokój: coś go ciągnęło gwałtem na korytarz. Nie mogąc oprzeć się wyszedł. Wtedy zobaczył u wylotu wagonowego przedsionka znikającą postać nagiego olbrzyma; ciało jego, zasmolone sadzą, zlane brudnym od węgla potem, wydzielało duszny odór: był w nim zapach włoskiego kopru, swąd dymu i woń mazi.
Boroń rzucił się za nim i chciał przychwycić, lecz zjawisko rozpłynęło się w oczach. Słyszał tylko czas jakiś tupot bosych nóg na podłodze — duh, duh, duh, — duh, duh, duh...
W godzinę potem pociąg zderzył się z pośpiesznym dążącym z Księżych Gajów...
Od tego czasu zjawił mu się Smoluch jeszcze dwukrotnie, każdym razem jako zapowiedź nieszczęścia. Po raz drugi ujrzał go na parę minut przed wykolejeniem pod Rawą. Smoluch biegł wtedy po desce na dachach wagonów i dawał mu znaki czapką palacza, którą zerwał z uznojonej głowy. Wyglądał mniej groźnie niż za pierwszym razem. Toteż obeszło się jakoś bez większych ofiar: wyjąwszy paru lekko rannych, nie zginął nikt.
Pięć lat temu, jadąc osobowym do Bązka, zoczył go Boroń między dwoma wozami przejeżdżającej mimo towarówki, która zdążała ze strony przeciwnej do Wierszyńca. Smoluch siedział w kucki na zderzakach i bawił się łańcuchami. Koledzy, którym zwrócił na to uwagę, wyśmiali go nazywając bzikiem. Lecz najbliższa przyszłość przyznała mu rację; towarowy, przejeżdżając przez podmulony most, runął w prze paść tej samej nocy.
Przepowiednie Smolucha były nieomylne; gdziekolwiek zjawił się, groziła niechybna katastrofa. Trzykrotne doświadczenie umocniło Boronia w tym przekonaniu, ukształtowało głęboką wiarę kolejarza związaną ze złowieszczą zjawą. Konduktor żywił ku niemu cześć bałwochwalczą i lęk, jak przed bóstwem złym i niebezpiecznym. Otoczył swoje zjawisko specjalnym kultem, urobił sobie oryginalny pogląd na jego istotę.
Smoluch tkwił w organizmie pociągu, przepajał sobą jego wieloczłonowy kościec, tłukł się niewidzialny w tłokach, pocił w kotle lokomotywy, włóczył po wagonach. Boroń wyczuwał jego bliskość wkoło siebie, obecność stałą, ciągłą, lubo nie naoczną. Smoluch drzemał w duszy pociągu, był jego tajemnym potencjałem.
Sprzeciwiać mu się uważał konduktor za rzecz zbyteczną, nawet śmieszną; wszelkie ewentualne wysiłki, zmierzające ku temu, by zapobiec nieszczęściu, które zapowiadał, byłyby daremne, oczywiście bezskuteczne. Smoluch był jak przeznaczenie...
Ponowne ukazanie się dziwadła w pociągu, i to na krótko przed metą, wprawiło Boronia w stan silnego podniecenia. Lada chwila można się było spodziewać jakiejś katastrofy.
Powstał i zaczął przechadzać się nerwowo po korytarzu. Z wnętrza jednego z przedziałów doszedł go gwar głosów, „śmiech kobiet. Zbliżył się i przez parę sekund patrzył w głąb. Zgasił wesołość.
Ktoś odsunął drzwi od sąsiedniego coupe i wychylił głowę:
— Panie konduktorze, daleko do stacji?
— Za pół godziny jesteśmy u celu. Dojeżdżamy do końca.
Było coś w intonacji odpowiedzi, co uderzyło pytającego. Oczy jego zatrzymały się przez dłuższą chwilę na konduktorze. Boroń uśmiechnął się zagadkowo i przeszedł. Głowa znikła z powrotem we wnętrzu.
Jakiś mężczyzna wyszedł z przedziału klasy drugiej i otworzywszy okno na korytarzu wyglądał w

przestrzeń. Gwałtowne jego ruchy zdradzały niepokój. Podniósł okno i oddalił się w stronę przeciwną, na koniec kuluaru. Tu zaciągnął się parę razy papierosem i rzuciwszy pożuty ustnik wyszedł na platformę wozu. Boroń widział przez szybę jego sylwetkę przechylającą się ponad sztabę ochronną, w kierunku jazdy.
— Bada przestrzeń — mruknął uśmiechnięty złośliwie. — Nic nie pomoże. Licho nie śpi.
Tymczasem nerwowy pasażer wrócił do wagonu.
— Czy pociąg nasz skrzyżował się już z pośpiesznym z Gronia? — zapytał z wysilonym spokojem, spostrzegłszy konduktora.
— Dotąd nie. Spodziewamy go się lada chwila. Zresztą być może wyminiemy go na stacji kresowej; nie jest wykluczone spóźnienie. Pospieszny, który ma pan na myśli, nadjeżdża z bocznej linii.
W tej chwili odezwał się z prawej strony gwałtowny łoskot. Za szybą przemknął olbrzymi kontur ziejący mietlicą iskier, a za nim lotem myśli prześmignął łańcuch czarnych pudeł oświeconych wykrojami czworokątów. Boroń wyciągnął rękę w kierunku znikającego już pociągu:
— Otóż i on.
Niespokojny pan z westchnieniem ulgi wyciągnął papierośnicę i podał ją konduktorowi:
— Zapalmy sobie, panie konduktorze. Morrisy oryginalne.
Boroń przyłożył rękę do daszka czapki:
— Dziękuję pięknie. Ćmię tylko fajkę.
— Szkoda, bo dobre.
Podróżny zapalił sam papierosa i wrócił do coupe. Konduktor uśmiechnął się szyderczo za odchodzącym:
„Che, che, che! Coś przeczuł! Tylko za prędko się uspokoił. Nie gadaj, brachu, hop, boś jeszcze nie przeskoczył".
Lecz szczęśliwe skrzyżowanie trochę go zaniepokoiło. Seanse wypadku zmniejszyły się o jedną. A już były trzy kwadranse na dziesiątą — za 15 minut mieli stanąć w Groniu, u kresu jazdy. Po drodze nie było już żadnego mostu, który by mógł się zawalić: jedyny pociąg z przeciwnej strony, z którym by ewentualnie mogło zajść zderzenie, szczęśliwie wyminięto. Należało chyba spodziewać się wykolejenia lub też jakiejś katastrofy na samej stacji.
W każdym razie prognoza Smolucha musiała się sprawdzić — on za to ręczył, on, starszy konduktor Boroń.
Tu chodziło nie o ludzi, nie o pociąg ani o całość jego własnej małej osoby, lecz o nieomylność bosego dziwadła. Boroniowi zależało niezmiernie na utrzymaniu powagi Smolucha wobec sceptycznych konduktorów, na zachowaniu jego prestiżu w oczach niedowiarków. Koledzy, którym parę razy opowiadał o tajemniczych jego odwiedzinach, brali sprawę z humorystycznego punktu widzenia, tłumacząc całą historię przywidzeniem lub co gorsza zalaniem pały. Zwłaszcza to ostatnie przypuszczenie bolało bardzo, ile że nigdy nie pijał. Kilku uważało Boronia za przesądnego bzika i pomyleńca. Toteż w grę wchodził poniekąd jego honor i zdrowy ludzki rozum. Wolał sam kark skręcić niż przeżyć fiasko Smolucha...
Brakowało dziesięciu minut do dziesiątej. Dopalił fajki i po schodkach wszedł na szczyt wozu, do oszklonej zewsząd Budki. Stąd, z wysokości „bocianiego gniazda", leżała za dnia przestrzeń jak na dłoni. Teraz świat nurzał się w grubych ciemnościach. Od okien wozów odpadały plamy świateł, przeglądając zbocza nasypu żółtymi oczyma. Przed nim, w odległości pięciu wagonów, rozsiewała maszyna krwawe kaskady iskier, oddychał komin białoróżowym dymem. Czarny, dwudziestoprzegubowy wąż połyskiwał łuskami boków, zionął ogniem paszczy, oświetlał drogę otoczami ślepiów. W oddali majaczyła już zorza dworca.
Jakby czując bliskość upragnionej przystani, dobywał pociąg wszystkich sił i podwajał chyżość. Już mignął jak majak sygnał, nastawiony na wolny przejazd, już witały przyjaźnie podane ramiona semaforów. Szyny zaczęły się powielać, krzyżując w posetne linie, kąty, żelazne przeploty. Na prawo i lewo wypadały z mroków nocy niby na spotkanie latarki zwrotnic, wyciągały szyje stacyjne żurawie, studnie, ciężarowe dźwignie.
Wtem, na parę kroków przed rozhukaną w pędzie lokomotywą, zagrał czerwony sygnał. Maszyna

wyrzuciła ze spiżowej gardzieli urwany gwizd, zazgrzytały hamulce i pociąg, powstrzymany szalonym wysiłkiem kontrapary, zatrzymał się tuż przed drugą zwrotnicą.
Boroń zbiegł na dół i przyłączył się do gromadki kolejarzy, którzy też powysiadali, by zbadać powód przerwy w ruchu. Blokowy, który dał znak ostrzegawczy, wyjaśniał sytuację. Oto tor pierwszy, na który miano zajechać, był chwilowo zajęty przez towarowy. Trzeba było więc przerzucić zwrotnicę i puścić pociąg na tor drugi. Zwyczajnie przeprowadza się ten manewr w bloku, za pomocą jednej z dźwigni. Tymczasem podziemne połączenie między nim a torami uległo jakiemuś uszkodzeniu, tak że blokmistrz musiał dokonać przesunięcia na przestrzeni. Spuścił więc tylko łącznik łańcuchowy w blokhazie i kluczem otworzył stawidło. Teraz miał dostęp bezpośredni do zwrotnicy i mógł już skierować szyny na tor właściwy.
Uspokojeni funkcjonariusze powrócili do wagonów, by czekać na hasło wolnego przejazdu. Boronia coś przykuło do miejsca. Wzrokiem błędnym patrzył na krwawy sygnał, jak odurzony słuchał chrzęstu przestawianych szyn.
— W ostatniej chwili zorientowali się! W ostatnim niemal momencie, na jakich trzysta metrów przed stacją! Więc Smoluch kłamał?
Nagle zrozumiał swoją rolę. Szybko zbliżył się ku blokowemu, który założywszy kolbę przerzucał stawidło i zmieniał barwę sygnału na zieloną.
Za wszelką cenę należało odciągnąć tego człowieka od zwrotnicy i zmusić do opuszczenia stanowiska.
Od końca pociągu szło już podawane z ust do ust hasło: „jazda!”
— Zaraz! Czekać tam! — krzyknął Boroń.
— Panie zwrotniczy! — zwrócił się półgłosem do wyprężonego w postawie służbowej funkcjonariusza. — Tam na pańskim bloku widać jakiegoś włóczęgę!
Blokowy zaniepokoił się. Wytężył wzrok w kierunku ceglanego domku.
— Prędzej! — podszczuwał Boroń. — Ruszaj pan z miejsca! Gotów poprzerzucać dźwignie, popsuć przyrządy!
— Jazda! Jazda! — brzmiały zniecierpliwione głosy konduktorów.
— Czekać, do stu piorunów! — zaoponował Boroń. Zwrotniczy, zniewolony siłą głosu, szczególną mocą nakazu rzucił się biegiem ku blokowi.
Wtedy Boroń korzystając z chwili chwycił za kolbę stawidła i na powrót połączył szyny z torem pierwszym.
Manewr wykonany był zręcznie, szybko i cicho. Nikt nie zauważył.
— Jazda! — krzyknął usuwając się w cień.
Pociąg ruszył nadrabiając spóźnienie. Za chwilę zasuwał się w mroki przestrzeni już ostatni wagon, wlokąc za sobą długi, czerwony szlak latarni...
Po chwili nadbiegł od bloku zbity z tropu zwrotniczy i oglądał starannie pozycję stawidła. Coś mu się nie podobało. Podniósł do ust gwizdawkę i dał trzykrotny, rozpaczliwy sygnał.
Za późno!
Bo oto od strony stacji wstrząsnął powietrzem okropny łoskot, głuchy, dudniący huk detonacji, a potem piekielna wrzawa, zgiełk i jęki — lament, płacz i wycie, splecione w je den dziki chaos ze szczękiem łańcuchów, trzaskiem druzgotu kół, łomotem miażdżonych bezlitośnie wagonów.
— Karambol! — szeptały zbielałe wargi. — Karambol...”

Sygnały

Na dworcu towarowym, w starym, dawno z obiegu wyszłym wagonie pocztowym, zgromadziło się jak zwykle na pogawędkę kilku wolnych od służby kolejarzy. Było trzech kierowników pociągu, starszy kontroler Trzpień i zastępca naczelnika stacji Haszczyc.
Ponieważ październikowa noc była dość chłodna, więc zapalili ogień w żelaznym piecyku, którego rurę wpuszczono w otwór dachu. Szczęśliwy ten pomysł zawdzięczało grono inwencji kierownika Świty, który osobiście sprowadził rdzą już przeżarty ogrzewacz wyrzucony z jakiejś poczekalni i przystosował go wybornie do zmienionych warunków. Cztery drewniane, podartą ceratą obciągnięte ławki i stół ogrodowy o trzech nogach i szerokiej jak tarcza płycie uzupełniały urządzenie wnętrza. Nad głowami siedzących zawieszona na haku latarnia rozsiewała po twarzach przymglone światło półmroku.
Tak wyglądało „kasyno kolejowe" funkcjonariuszy stacji Przełęcz, przygodny przytułek dla bezdomnych kawalerów, cicha, ustronna przystań dla luzujących się w służbie konduktorów.
Tutaj w chwilach wolnych schodzili się strawieni jazdą bywalcy, by wytchnąć po odbytej turze i pogwarzyć z kolegami. Tutaj w dymie konduktorskich fajek, w czadzie tytoniu, papierosów tułały się echa opowieści, tysięcznych przygód i anegdot, snuło przędziwo kolejarskiej doli.
I dziś posiedzenie było gwarne i ożywione. Właśnie przed chwilą opowiedział Trzpień ciekawy epizod z własnego życia i zdołał tak przykuć uwagę słuchaczy, że zapomnieli podsycić dogorywające fajeczki i teraz trzymali je w zębach zimne już i wygasłe.
W wagonie zaległa cisza. Przez zwilżone kroplami dżdżu okno widać było mokre dachy wozów lśniące pod światło reflektorów jak stalowe pancerze. Od czasu do czasu przemknęła latarka budnika, mignął niebieski sygnał maszyny przetokowej; od czasu do czasu rozrywał ciemności zielony refleks zwrotnicy, zagrał czerwony krzyk drezyny. Z dala, spoza czarnego szańca drzemiących wozów, dochodził stłumiony gwar dworca głównego.
Przez rozstęp między wagonami przeglądała część toru parą równoległych pasów szyn. Na jeden z nich zajeżdżał powoli opróżniony już pociąg; znużone całodzienną gonitwą tłoki pracowały leniwo, ospale przerabiając ruch swój na obroty kół.
W pewnej chwili parowóz stanął. A spod piersi maszyny wytoczyły się kłęby oparów i otuliły pękaty kadłub, światła latarń na czole olbrzyma zaczęły uginać się w tęczowe glorie, złociste obręcze i przepajać sobą chmurę pary. W jakimś momencie wynikła optyczna złuda: lokomotywa, a wraz z nią wagony uniosły się ponad zwały par i tak trwały przez pewien czas zawieszone w powietrzu. Po paru sekundach pociąg wrócił do poziomu szyn, by odtąd pogrążyć się w zadumę nocnego spoczynku.
— Piękne złudzenie — zauważył Świta, który od dłuższego już czasu wyglądał przez szybę. — Widzieliście, panowie, ten pozorny zwód maszyny?
— Rzeczywiście — potwierdziło parę głosów.
— Przypomniało mi to legendę kolejarską słyszaną przed laty.
— Opowiedzcie ją, Świta, prosimy! — zachęcił Haszczyc.
— Prosimy, prosimy!
— Owszem — historia niedługa; można ją streścić w paru słowach. Krąży pomiędzy kolejarzami jako opowieść o pociągu, który zniknął.
— Jak to zniknął? Ulotnił się czy jak?
— No nie. Zniknął — nie znaczy jeszcze: przestał istnieć! Zniknął — to znaczy: nie ma go pozornie dla oka ludzkiego — w rzeczywistości zaś gdzieś jest, gdzieś przebywa, chociaż nie wiadomo gdzie. Fenomen ten miał wywołać pewien naczelnik stacji, jakiś dziwak ogromny, a może czarownik. Sztuki dokonał przez szereg w specjalnym porządku po sobie następujących sygnałów. Zjawisko zaskoczyło go znienacka, jak sam potem utrzymywał. Oto bawił się sygnałami, które kombinował w najrozmaitszy sposób, zmieniając ich następstwo i jakość. Aż raz po wypuszczeniu

siedmiu takich znaków pociąg zajeżdżający na jego stację nagle w pełnym biegu uniósł się w górę równolegle do toru, zawahał parę razy w powietrzu, po czym przechyliwszy się pod kątem zniknął i rozwiał się w przestrzeni. Odtąd nikt więcej nie widział ani pociągu, ani ludzi, którzy nim jechali. Mówią, że pojawi się z powrotem, gdy ktoś wyda te same sygnały, lecz w porządku odwrotnym. Naczelnik niestety wkrótce potem zwariował i wszelkie próby wydobycia zeń prawdy spełzły na niczym. Chyba wypadek zdarzy, że ktoś trafi na właściwe znaki i wywabi pociąg na ziemię.

— Awantura jakich mało — zauważył kierownik Zdański. — A kiedy zaszło to cudowne zdarzenie?

— Jakich sto lat temu.

— Pi, pi! Ładny szmat czasu! W takim razie pasażerowie z wnętrza pociągu byliby w chwili obecnej o cały wiek starsi. Proszę wyobrazić sobie, co by to był za spektakl, gdyby tak dziś, jutro udało się jakiemuś szczęśliwcowi odnaleźć apokaliptyczne sygnały i zdjąć siedem pieczęci czaru. Ni stąd, ni zowąd zaginiony pociąg nagle spada z nieba na ziemię, wypoczęty należycie po stuletniej windzie, i wysypuje z wagonów tłum uginających się pod ciężarem wieku staruszków.

— Zapomniałeś o tym, że w czwartym wymiarze prawdopodobnie nie potrzebują ludzie ani jedzenia, ani napoju i nie starzeją się.

— Racja — zawyrokował Haszczyc. — Święta racja. Piękna legenda, kolego, bardzo piękna.

Umilkł coś sobie przypominając. Po chwili, nawiązując do słów Świty, rzekł w zamyśleniu:

— Sygnały, sygnały... I ja coś o nich potrafię opowiedzieć — tylko nie legendę, lecz historię prawdziwą.

— Słuchamy! Prosimy! — odezwał się chór kolejarzy.

Haszczyc oparł łokieć o blat stołu, nałożył fajeczkę i wyrzuciwszy pod strop wozu parę mlecznych kręgów zaczął swoją opowieść.

Pewnego wieczora, koło godziny siódmej, zaalarmowano stację Dąbrowa sygnałem: „wozy odbiegły”; młotek dzwonka oddał cztery po cztery uderzenia w odstępach trzech sekund**.** Zanim naczelnik Pomian zdołał zorientować się, skąd nadszedł sygnał, nadpłynął z przestrzeni znak nowy; odezwały się po trzy uderzenia na przemian z dwoma, nadane czterokrotnie. Urzędnik zrozumiał; znaczy to: „wszystkie pociągi zatrzymać”. Niebezpieczeństwo wzmogło się widocznie. Wnosząc z pochyłości toru i kierunku silnego wiatru wiejącego z zachodu, oderwane wozy biegły naprzeciw pociągu

osobowego, który właśnie odchodził ze stacji.

Należało koniecznie pociąg wstrzymać i cofnąć parę kilometrów w stronę przeciwną, jako też kryć podejrzaną przestrzeń.

Ekspedient, młody, energiczny urzędnik, wydał stosowne zarządzenia. Osobowy szczęśliwie zawrócono z drogi, a równocześnie wysłano ze stacji maszynę z ludźmi, których zadaniem było wstrzymać biegnące samopas wagony. Lokomotywa ostrożnie posuwała się w niebezpiecznym kierunku, rozświetlając sobie drogę trzema potężnymi reflektorami; przed nią w odległości siedmiuset metrów szło dwóch dróżników z zapalonymi pochodniami i tropiło uważnie linię. Lecz ku zdumieniu całego personelu odbiegłych wozów nigdzie po drodze nie spotkano i po dwugodzinnej, oględnej do ostatecznych granic jeździe maszyna zawinęła do najbliższej stacji Głaszów. Naczelnik przyjął ekspedycję z ogromnym zdziwieniem. Nikt o sygnałach nic nie wiedział, przestrzeń absolutnie była pewną i żadne niebezpieczeństwo z tej strony nie zagrażało. Zbici z tropu funkcjonariusze wsiedli na maszynę i około jedenastej w nocy powrócili do Dąbrowy.

Tutaj tymczasem zaniepokojenie wzrosło. Dziesięć minut przed powrotem parowozu dzwonki znowu odezwały się, tym razem domagając się przysłania lokomotywy ratunkowej ż robotnikami. Urzędnik ruchu był w rozpaczy. Zdenerwowany sygnałami płynącymi wciąż od strony Głaszowa przemierzał niespokojnymi krokami peron, wychodził na linię, to znów wracał do biura stacyjnego, bezradny, przerażony, wylękły.

Istotnie sytuacja była przykra. Alarmowany co kilkanaście minut kolega z Głaszowa odpowiadał zrazu z flegmą, że wszystko w porządku; potem zniecierpliwiony zaczął łajać od półgłówków i wariatów. A tu tymczasem szły sygnały za sygnałami, coraz natarczywiej dopraszające się wysyłki wagonów robotniczych.

Czepiając się jak tonący ostatniej deski ratunku, zatelefonował Pomian w stronę przeciwną do Zbąszyna, przypuszczając nie wiadomo dlaczego, że stamtąd idzie alarm. Oczywiście odpowiedziano przecząco; i tam wszystko szło wzorowym porządkiem.
— Czy ja zwariowałem, czy tamci nie przy zmysłach? — zapytał w końcu przechodzącego blokmistrza.
— Panie Sroka, czy słyszał pan te przeklęte dzwonki?
— Słyszałem, panie naczelniku, słyszałem. O, znowu! Ki kaduk?
Rzeczywiście, nieubłagane młotki tłukły ponownie o żelazne kresy; wołały o pomoc robotników i lekarzy. Na zegarze mijała wtedy już pierwsza. Pomian wpadł we wściekłość.
— A co mnie to wszystko wreszcie do stu piorunów obchodzi? Stąd wszystko w porządku, stamtąd wszystko na miejscu — więc czego chcesz u diabła ciężkiego? To jakiś błazen głaszowski figle z nami stroi, wywracając do góry nogami całą stację! Zrobię doniesienie, i kwita!
— Nie przypuszczam, panie naczelniku — wtrącił spokojnie asystent — sprawa za poważna, by ją ujmować z tego punktu widzenia. Raczej przyjąć trzeba jakąś omyłkę.
— Ładna omyłka! Czyż nie słyszałeś, kolega, co odpowiedzieli mi z obu stacji najbliższych? Chyba niepodobna przypuścić jakichś przypadkowo zabłąkanych sygnałów z dalszych przystanków, o których by tamci nie wiedzieli. Jeśli dotarły do nas, musiały wpierw przejść przez ich rejon. Więc?
— Więc prosty wniosek, że pochodzą od jakiegoś dróżnika na przestrzeni między Dąbrową a Głaszowem.
Pomian spojrzał na podwładnego z uwagą:
— Od któregoś z budników, powiada pan? Hm... może. Ale po co? Dlaczego? Nasi ludzie zbadali przecież całą tę linię krok za krokiem i nie znaleźli nic podejrzanego.
Urzędnik rozkrzyżował ramiona.
— Tego to już nie wiem. Rzecz można zbadać później, w porozumieniu z Głaszowem. W każdym razie sądzę, że możemy spać spokojnie i nie zważać na dzwonki. Wszystko, co należało do nas, zrobiliśmy — przestrzeń przeszukana dokładnie, na linii nie ma ani śladu niebezpieczeństwa, którym nam grożą. Uważam te znaki po prostu za tak zwany fałszywy alarm.
Spokój asystenta podziałał kojąco na naczelnika. Pożegnał kolegę i zamknął się na resztę nocy w biurze. Lecz służba niełatwo przeszła nad tym do porządku. Ludzie skupili się na bloku koło zwrotniczego i coś szeptali między sobą tajemniczo; od czasu do czasu, gdy ciszę nocy „przerwał nowy podrzut dzwonka, pochylone ku sobie głowy kolejarzy zwracały się w stronę słupa sygnałowego i kilka par oczu rozszerzonych zabobonną trwogą śledziło ruchy kujących młotków.
— Zły znak — mruczał strażnik Grzela — zły znak!
I tak grały sygnały aż do pierwszego brzasku. Lecz im bliżej było rana, tym dźwięki stawały się słabsze, niklejsze, w tym dłuższych odstępach czasu po sobie, aż zgłuchły echa przed świtem. Ludzie odetchnęli, jakby zmora la usunęła się z piersi.
Nazajutrz Pomian zwrócił się do władz w Ostoi, zdając dokładny raport z zajść ubiegłej nocy. Nadeszła telegraficzna odpowiedź: kazano mu czekać na przybycie specjalnej komisji, która miała sprawę gruntownie zbadać.
W ciągu dnia ruch odbywał się regularnie i wszystko miało przebieg normalny. Lecz z uderzeniem godziny siódmej wieczór odezwały się znowu alarmujące sygnały w tym samym co wczoraj porządku; więc najpierw sygnał: „wozy odbiegły”, potem rozkaz: „wszystkie wozy zatrzymać”, wreszcie „przysłać lokomotywę z robotnikami”, i rozpaczliwy krzyk o pomoc: „przysłać maszynę z robotnikami i lekarzem”. Charakterystycznym było stopniowanie w doborze znaków, w których każdy następny zdradzał wzmożenie się urojonego niebezpieczeństwa. Sygnały uzupełniały się oczywiście, tworząc rozerwany przestankami łańcuch snujący jakąś opowieść o domniemanym nieszczęściu.
A jednak rzecz wyglądała na drwiny lub głupi figiel.
Naczelnik wściekał się, służba zachowywała się różnie; jedni brali historię z humorystycznego punktu widzenia i śmiali się z zapamiętałych dzwonków, inni żegnali przesądnie. Blokowy Zdun utrzymywał półgłosem, że diabeł siedzi w słupie sygnałowym i kłapie dzwonkiem na przekorę.
W każdym razie nikt znaków nie tłumaczył na serio i na stacji nie poczyniono odpowiednich

zarządzeń. Alarm trwał z przerwami aż do rana i dopiero gdy na wschodzie przetarła się bladoróżowa linia, dzwonki uspokoiły się.
Nareszcie po bezsennie spędzonej nocy doczekał się naczelnik przybycia komisji koło dziesiątej nad ranem. Przyjechał z Ostoi jaśnie wielmożny nadinspektor Turner, wysoki, szczupły, ze zmrużonymi złośliwie oczkami, pan z całym sztabem urzędników. Zaczęło się śledztwo.
Panowie z „góry” mieli już ustalony pogląd na sprawę. Sygnały zdaniem pana nadinspektora pochodziły z budki któregoś z dróżników na linii Dąbrowa—Głaszów. Chodziło tylko o to, z czyjej. Według etatu było na tej przestrzeni budników ośmiu, którzy nie posiadali aparatu do dawania sygnałów tego typu. Podejrzenie padło zatem na pozostałych dwóch. Inspektor postanowił wybadać obu na miejscu ich przeznaczenia.
Po sutym obiedzie u pana naczelnika wyruszył z Dąbrowy po dwunastej w południe specjalny pociąg z komisją śledczą. Po półgodzinnej jeździe panowie wysiedli przed budką dróżnika Dziwoty; był to jeden z podejrzanych.
Biedny człeczyna przerażony najściem nieoczekiwanych gości zapomniał języka w gębie i na pytania odpowiadał jakby zbudzony z głębokiego uśpienia. Po przeszło godzinnym badaniu doszła komisja do przekonania, że Dziwota Bogu ducha winien i o niczym nie ma pojęcia.
Więc, by nie tracić czasu, pan nadinspektor zostawił go w spokoju, zalecając swoim ludziom dalszą jazdę do ósmego strażnika, na którym teraz skupiła się jego śledcza uwaga.
W czterdzieści minut potem stanęli na miejscu. Na spotkanie nie wybiegł nikt. To zastanowiło. Posterunek wyglądał jakby wymarły; żadnej poszlaki życia w obejściu, żadnego śladu żyjącej istoty wokoło.
Po stromych, w parę poręczy ujętych schodkach weszli na wzgórze, na którym wznosił się domek budnika Jaźwy. U wejścia powitały ich niezliczone roje much złych, zjadliwych, brzęczących; owady jakby wściekłe na intruzów rzucały się do rąk, do oczu, do twarzy.
Zapukano do drzwi. Z wnętrza nikt nie odpowiedział. Jeden z kolejarzy nacisnął klamkę — drzwi były zamknięte.
— Panie Tuciak — skinął Pomian na ślusarza stacyjnego — wytrychem go.
— Duchem, panie naczelniku.
Zazgrzytało żelazo, zamek zachrzęścił i ustąpił. Inspektor wyważył nogą drzwi i wszedł do środka. Lecz w tejże chwili cofnął się z powrotem do podwórza, przytknął chusteczkę do nosa. Z wnętrza uderzył okropny zaduch. Jeden z urzędników odważył się przekroczyć próg i zajrzał w głąb.
Przy stole pod oknem siedział budnik z głową spuszczoną na piersi, z ręką prawą opartą palcami na guziku aparatu sygnałowego.
Urzędnik zbliżył się do stołu i zbladłszy zawrócił ku wyjściu. Krótkie spojrzenie rzucone na rękę dróżnika przekonało, że nie palce ujmowały taster, lecz trzy nagie, ogołocone z mięsa piszczele.
W tej chwili siedzący przy stole zachwiał się i zwalił się kłoda na ziemię; poznano trupa Jaźwy w stanie zupełnego rozkładu. Obecny lekarz stwierdził śmierć zaszłą przynajmniej dziesięć dni temu.
Spisano protokół i pochowano na miejscu zwłoki, rezygnując z obdukcji z powodu silnie posuniętego zepsucia. Przyczyny śmierci nie wykryto. Wypytywani o to chłopi sąsiedniej wsi nie umieli dać żadnych wyjaśnień oprócz tego, że już od dłuższego czasu Jaźwy nie widywano. W dwie godziny później wróciła komisja do Ostoi. Naczelnik Dąbrowy miał tej nocy i następnych sen spokojny i nie zmącony sygnałami. Lecz w tydzień potem zaszła na linii Dąbrowa—Głaszów straszliwa katastrofa. Oderwane nieszczęśliwym trafem wagony wpadły na pociąg pośpieszny podążający z przeciwnej strony i zdruzgotały go doszczętnie. Zginął cały personel służbowy i osiemdziesięciu kilku podróżnych.

Ultima Tiule

Lat temu dziesięć. Zdarzenie przybrało już kształty rozwiewne, niemal senne — zasnuło się błękitną mgłą rzeczy minionych. Dziś wygląda jak wizja lub jak szalone marzenie; a jednak wiem, że wszystko do najdrobniejszych szczegółów było naprawdę tak, jak pamiętam. Od owej chwili wiele zajść przesunęło mi się przed moimi oczyma, dużo przeżyłem — lecz wspomnienie wypadku pozostało niezmienione, obraz dziwnej chwili wyrzeźbił się w duszy głęboko na zawsze; patyna czasu nie przyćmiła silnego rysunku, owszem, zda mi się, z lat ubiegiem podkreśla cienie w sposób tajemniczy...

Byłem wtedy kierownikiem ruchu w Krępaczu, małej, śródgórskiej stacji niedaleko granicy; z mojego peronu widać było jak na dłoni wydłużony, szczerbaty łańcuch rubieży.

Krępacz był przedostatnim przystankiem na linii zmierzającej ku pograniczu, poza nim w odległości pięćdziesięciu kilometrów były jeszcze tylko Szczytniska, końcowa stacja kraju, w której stróżował Kazimierz Joszt, kolega po zawodzie i przyjaciel.

On sam lubił porównywać siebie z Charonem, a stację powierzoną swej pieczy przemianował artystycznym trybem na Ultima Thule. Widziałem w tym dziwactwie nie tylko reminiscencje ze studiów klasycznych, gdyż racja obu nazw tkwiła głębiej, niżby się na pozór zdawało.

Okolica Szczytnisk była dziwnie piękna. Chociaż oddalona od mojego posterunku ledwo o trzy kwadranse drogi pociągiem osobowym, zdradzała zasadniczo odrębny i swój charakter, jakiego nie spotykało się nigdzie w tych stronach. Malutki budynek stacyjny przytulony do potężnej, granitowej ściany, spadającej prostopadle w dół, przypominał jaskółcze gniazdo przypięte do wnęki skalnej. Wokoło spiętrzone na dwa tysiące metrów szczyty kryły w półmroku przestrzeń, stację i magazyny. Posępny smutek zwiany z czół olbrzymów owijał nieuchwytnym całunem kolejową przystań. W górze kłębiły się wieczne mgły i staczały w dół turbanami mokrych oparów. Na poziomie tysiąca metrów, mniej więcej w połowie swej wysokości, tworzyła ściana gzyms kształcie olbrzymiej platformy, której wyżłobienie niby pieczarę wypełniało po brzegi modrosrebrzyste jezioro. Parę zaskórnych strumieni, zbratawszy się potajemnie w trzewiach biło z jej boku tęczowym łukiem siklawy. Po lewej usłoń skały w zarzuconym na ramiona wiecznie zielonym płaszczu jodeł i limb, po prawej dzikie urwisko z kosodrzewiną, naprzeciw, niby słup kresowy, nieugięta grań wierchu. Nad nią przestrzeń nieba, chmurna lub pod brzask zrumieniona zorzą porannego słońca — poza nią... świat inny, obcy, nieznany. Dzika, zamknięta ustroń, groźną poezją szczytów owiana rubież...

Stację łączył z resztą przestrzeni długi, w skale wykuty tunel; gdyby nie on, izolacja zakątka byłaby zupełną. Ruch kolejowy zabłąkany pomiędzy samotne turnie malał, słabł, wyczerpywał się. Nieliczne pociągi, niby bolidy wytrącone z ruchu centralnego, wyłaniały się rzadko z czeluści tunelu i zajeżdżały przed peron cicho, bezgłośnie, jakby w obawie, by nie zmącić zadumy gór. Nikłe wibracje wniesione za ich przybyciem w śródgórskie zacisze tężały rychło i krzepły wylękłe.

Po opróżnieniu wagonów maszyna szybowała parę metrów poza peron i pociąg podjeżdżał pod sklepioną w granitowej ścianie wykutą halę. Tu stał długie godziny, wypatrując pieczary oczodołami pustych okien, w oczekiwaniu na zmianę. Gdy nadszedł upragniony towarzysz, opuszczał leniwo skalne schronisko i odchodził w świat życia. A tamten zajmował jego miejsce. I znów stacja zapadała w senne drzemanie spowite mgłą.

Lubiłem tę górską pustelnię ogromnie. Była dla mnie symbolem tajemniczych krańców, jakimś mistycznym pograniczem dwóch światów, jakby zawieszeniem między życiem a śmiercią.

W każdą wolną chwilę, powierzywszy Krępacz opiece mego asystenta, jeździłem drezyną w odwiedziny do Szczytnisk do kolegi Joszta. Przyjaźń naszą starą, bo zawartą jeszcze na szkolnej ławie, wzmocniła wspólność zawodu i bliskie sąsiedztwo. Zżyliśmy się z sobą bardzo i dzięki czystej wymianie myśli stopili w przedziwną jedność.

Joszt nigdy wizyt nie oddawał.

— Nie ruszę się już stąd ani krokiem — odpowiadał zwykle na moje wymówki — tutaj mi już zostać do końca. Bo czyż tu nie pięknie? — dorzucał po chwili, obejmując zachwyconym spojrzeniem otoczenie.

Przyznawałem w milczeniu i wszystko wracało do dawnego porządku.

Niezwykłym człowiekiem był kolega Joszt, ze wszech miar dziwnym. Mimo swej iście gołębiej łagodności i bezprzykładnej dobroci nie cieszył się sympatią w okolicy. Górale zdawali się stronić od naczelnika stacji, z daleka schodząc mu z oczu. Przyczyna leżała w dziwacznej opinii, którą sobie o nim nie wiadomo jak ludzie urobili. Joszt uchodził wśród ludu za „widuna", i to w ujemnym tego słowa znaczeniu. Mówiono, że przewiduje u bliźnich „przywilej śmierci", że niejako przeczuwa chłodny jej powiew na twarzach wybrańców.

Ile w tym było prawdy, nie wiem — w każdym razie zauważyłem w nim coś, co mogło zaniepokoić umysł wrażliwszy i skłonny do przesądów. Utkwił mi mianowicie w pamięci następujący dziwny zbieg okoliczności.

Był w Szczytniskach między funkcjonariuszami stacyjnymi zwrotniczy nazwiskiem Głodzik, pilny i sumienny pracownik. Joszt bardzo go lubił, traktując nie jak podwładnego, lecz jak kolegę.

Pewnej niedzieli, zjechawszy jak zwykle w odwiedziny, zastałem Joszta w posępnym nastroju; był chmurny jakiś i ponury. Zapytany o powód zbył mnie zrazu niczym i gwałtem nadrabiał miną. Wtem nawinął się Głodzik; coś tam meldował, prosił o dyspozycje. Naczelnik bąknął ni to, ni owo, popatrzył mu dziwnie w oczy i uściskał jego szorstką, spracowaną rękę.

Zwrotniczy odszedł, zdumiony zachowaniem się przełożonego, kręcąc z niedowierzaniem swoją dużą, kędzierzawą głową.

— Biedak! — szepnął Joszt patrząc smutno za nim.

— Dlaczego? — zapytałem nie pojmując całej tej sceny.

Wtedy Joszt wytłumaczył.

— Miałem zły sen tej nocy — mówił unikając mego spojrzenia — bardzo zły sen.

— Ty wierzysz w sny?

— Niestety, ten, który śniłem dzisiaj, jest typowym i nigdy nie zawodzi. Widziałem dzisiejszej nocy starą, zapadłą ruderę z powybijanymi szybami. Ile razy mi się wyśni ten przeklęty budynek, jest nieszczęście.

— Ale w jakim związku pozostaje to ze zwrotniczym?

— W jednym z pustych okien ujrzałem wyraźnie zarysowaną jego twarz. Wychylił się z tej czarnej nory i powiał ku mnie swą kraciastą chustką, którą zawsze nosi na szyi.

— I cóż stąd?

— To był gest pożegnalny. Ten człowiek wkrótce umrze — dziś, jutro, lada chwila.

— Sen mara, Bóg wiara — usiłowałem go uspokoić. Joszt uśmiechnął się tylko z przymusem i zamilkł.

A jednak tegoż dnia wieczorem zginął Głodzik wskutek własnej pomyłki. Wprowadzona w błąd jego fałszywym sygnałem maszyna ucięła mu obie nogi; wyzionął ducha na miejscu.

Wypadek wstrząsnął mną do głębi i przez długi czas unikałem z Jokosztem rozmowy na ten temat. W końcu, może rok potem, zagadnąłem raz niby od niechcenia:

— Od kiedy miewasz twe złowróżbne przeczucia? O ile pamiętam, nigdy dawniej nie okazywałeś podobnych właściwości.

— Masz słuszność — odparł niemile tknięty poruszoną kwestią — ta przeklęta właściwość rozwinęła się u mnie dopiero później.

— Wybacz, że cię nękam tą niemiłą sprawą, lecz rad bym znaleźć środek do wyzwolenia cię z fatalnego daru. Kiedy zauważyłeś to u siebie po raz pierwszy?

— Mniej więcej przed ośmiu laty.

— Więc rok po twym przesiedleniu się w te strony?

— Tak, w rok po przeniesieniu mnie do Szczytnisk. Wtedy to, w grudniu, w samą Wigilię, przeczułem śmierć Groceli, ówczesnego wójta. Historia stała się powszechnie znaną i w ciągu kilku dni zjednała mi złowieszczy przydomek „widuna". Górale zaczęli uciekać przede mną jak przed puszczykiem.

— Dziwne. A jednak coś w tym tkwić musi. Zachodziłby tu zatem klasyczny przykład na „drugi wzrok”, o którym swego czasu naczytałem się dużo w księgach starej magii. Podobną właściwością obdarzeni być mają dość często górale szkoccy czy iryjscy.
— Tak, i ja studiowałem dzieje tego objawu z łatwym do zrozumienia zainteresowaniem. Zdaje mi się nawet, że znalazłem w ogólnych zarysach przyczynę. Twoja wzmianka o puszczykach szkockich czy też iryjskich jest bardzo trafna, tylko wymaga paru słów uzupełnienia. Oto zapomniałeś dodać, że ci znienawidzeni przez otoczenie, niejednokrotnie wypędzani jak trędowaci poza obręb wsi nieszczęśliwcy zdradzają swe zgubne zdolności tylko tak długo, dopóki przebywają na wyspie; przeniesieni na kontynent tracą żałobny swój dar i niczym nie różnią się od przeciętnych osobników.
— To szczególne. To, co mówisz, świadczyłoby więc o tym, że to wybitnie psychiczne zjawisko przecież zależnym jest od czynników natury chtonicznej.
— Istotnie. Fenomen ten ma dużo w sobie składników tellurycznych. Jesteśmy synami Ziemi i podlegamy jej potężnym wpływom nawet w dziedzinach oderwanych pozornie od jej podłoża.
— Czy objawy własnego jasnowidztwa wywodzisz z podobnych źródeł? — zapytałem po chwili wahania.
— Naturalnie. Wpływa na mnie otoczenie, pozostaję pod działaniem tutejszej atmosfery. Żyję na pograniczu dwu światów.
— Ultima Thule! — szepnąłem schylając głowę.
— Ultima Thule! — powtórzył jak echo Joszt. Umilkłem przejęty uczuciem lęku. Po czasie, otrząsnąwszy się z wrażenia, zapytałem:
— Dlaczego zdając sobie tak jasno sprawę z wszystkiego nie przeniosłeś się dotąd w inne strony?
— Nie mogę. W żaden sposób nie mogę. Czuję, że gdybym się stąd usunął, postąpiłbym wbrew swemu przeznaczeniu.
— Przesądny jesteś, Kazik.
— Nie, to nie jest przesąd. To przeznaczenie. Mam głębokie przekonanie, że tylko tutaj, tylko na tym skrawku ziemi mam spełnić ważną jakąś misję, jaką — nie wiem jeszcze dokładnie — mam tylko słabe jej przeczucie...
Urwał, jakby zląkł się tego, co powiedział. Po chwili zwracając swe siwe, prześwietlone blaskiem zachodu oczy na skalistą ścianę dodał ściszonym szeptem:
— Wiesz, nieraz zdaje mi się, że tu, z tą prostopadłą granią kończy się świat widzialny, że tam, po drugiej stronie, zaczyna się świat inny, nowy, jakieś nie znane w ludzkim języku marę tenebrarum.
Spuścił znużone oczy ku ziemi i zwrócił się w stronę przeciwną, ku przestrzeni kolejowej.
— A tutaj — dorzucił — tutaj kończy się życie. Oto jego ostatni wysiłek, ostatnia krańcowa odwaga. Tutaj wyczerpuje się jego twórczy rozmach. Przeto stoję tu jako strażnik życia i śmierci, jako powiernik tajemnic z tej i tamtej strony grobu.
Domawiając tych słów spojrzał mi głęboko w twarz. Był piękny w tej chwili. Natchnione spojrzenie zamyślonych oczu, oczu poety i mistyka, skupiło w sobie tyle ognia, że nie mogłem znieść ich promiennej mocy i pochyliłem ze czcią głowę. Wtedy zadał mi końcowe pytanie:
— Czy wierzysz w życie po śmierci? Podniosłem powoli głowę:
— Nic nie wiem. Ludzie mówią, że tyle jest dowodów za, co i przeciw. Rad bym uwierzyć.
— Umarli żyją — powiedział mocno Joszt. Nastało dłubie, wsłuchane w siebie milczenie. Tymczasem słońce, zakreśliwszy łuk nad zębatym żlebem, skryło tarczę poza jego zrębem.
— Już późno — zauważył Joszt — i cienie wychodzą z gór. Musisz dziś wcześniej się położyć; zmęczyłeś się jazdą.
Na tym zakończyliśmy pamiętną naszą rozmowę. Odtąd ani razu już nie mówiliśmy o rzeczach ostatecznych ani groźnym darze drugiego wzroku. Wystrzegałem się dyskusji na ten niebezpieczny temat, gdyż widocznie sprawiała mu przykrość...
Aż razu pewnego on sam przypomniał mi swe ponure zdolności.
Było to dziesięć lat temu, w środku lata, w lipcu. Daty tych zdarzeń pamiętam dokładnie — wraziły się w pamięć na zawsze.
Było to w środę, trzynastego lipca, w dzień świąteczny. Jak zwykle rano przyjechałem w

odwiedziny; mieliśmy razem ruszyć ze strzelbami w sąsiedni parów, gdzie pojawiły się dziki. Zastałem Joszta w nastroju poważnym, skupionym. Mówił mało, jakby zajęty upartą myślą, strzelał źle, w roztargnieniu. Wieczorem na pożegnanie uściskał mnie gorąco i podał zapieczętowany list w kopercie bez adresu.

— Słuchaj, Roman — mówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Mają zajść w życiu moim ważne przemiany; być może będę zmuszony wyjechać stąd na czas dłuższy i zmienić miejsce pobytu. Jeśliby to rzeczywiście nastąpiło, otworzysz ten list i odeślesz pod adresem zawartym wewnątrz; sam nie będę mógł tego zrobić z rozmaitych powodów, których obecnie nie wymienię. Zrozumiesz to później.

— Chcesz mnie opuścić, Kaziu? — zapytałem zdławionym od bólu głosem. — Dlaczego? Czy otrzymałeś jaką smutną wiadomość? Może jakie nieszczęście w rodzinie? Dlaczego wyrażasz się tak niejasno?

— Zgadłeś. Ujrzałem dzisiaj we śnie znowu rozwalony dom, a w jednej z jego czeluści postać osoby bardzo mi bliskiej. Oto wszystko. Żegnaj, Romku!

Rzuciliśmy się sobie w ramiona na długą, długą chwilę. Za godzinę byłem już u siebie i targany burzą sprzecznych uczuć wydawałem instrukcje jak automat.

Tej nocy nie zmrużyłem oka, niespokojnie przechadzając się po peronie. Nad ranem, nie mogąc znieść dłużej niepewności, zatelefonowałem do Szczytnisk. Odpowiedział natychmiast, dziękując serdecznie za troskliwość. Głos jego spokojny i pewny, treść słów pogodna, niemal żartobliwa, podziałały kojąco; odetchnąłem.

Czwartek i piątek upłynęły spokojnie. Co parę godzin porozumiewałem się z Josztem telefonicznie, za każdym razem otrzymując odpowiedź uspokajającą: nie zaszło nic ważnego. Podobnie rzecz się miała w sobotę w ciągu dnia.

Zacząłem odzyskiwać zachwianą równowagę i udając się na spoczynek koło dziewiątej wieczór w lokalu służbowym, zwymyślałem go przez tubę telefonu od puszczyków, kruków i tym podobnych złowieszczych stworzeń, które same nie mogąc znaleźć spokoju innym go zamącają. Przyjął wyrzuty w pokorze i życzył mi dobrej nocy. Jakoż wkrótce zasnąłem twardo.

Spałem parę godzin. Nagle wśród najgłębszego snu usłyszałem nerwowe dzwonienie. Na pół przytomny zerwałem się z otomany zasłaniając oczy przed rażącym światłem gazu w lampie. Dzwonek wzywał powtórnie. Podbiegłem do aparatu przykładając ucho do receptora.

Mówił Joszt urywanym głosem:

— Wybacz... że ci przerywam sen... Wyjątkowo muszę puścić dziś wcześniej... towarowy nr 21... Trochę mi nieswojo... Odejdzie za pół godziny... wydaj odpowiedni sygn... Ha!...

Błonka wydawszy parę chrapliwych tonów nagle przestała drgać.

Nasłuchiwałem z tętniącym sercem, czy czegoś jeszcze nie usłyszę, lecz nadaremno. Z tamtego końca drutu szło ku mnie głuche milczenie nocy.

Wtedy zacząłem sam mówić. Pochylony ku otworowi aparatu rzucałem w przestrzeń słowa niecierpliwe, wyrazy bólu... Odpowiadała kamienna cisza. Wreszcie zataczając się jak pijany na nogach odszedłem w głąb pokoju.

Wyciągnąłem zegarek i spojrzałem na tarczę; było dziesięć minut po dwunastej w nocy. Odruchowo porównywałem czas z zegarem ściennym nad biurkiem. Rzecz dziwna! i Zegar stał. Znieruchomiałe wskazówki zasunięte jedna na drugą znaczyły godzinę dwunastą; zegar stacyjny przestał chodzić od dziesięciu minut, to jest od chwili gwałtownego urwania rozmowy! Zimny dreszcz wstrząsnął mym ciałem.

Stałem bezradny w środku pokoju nie wiedząc, dokąd się zwrócić, co począć. W jakiejś chwili chciałem wsiąść na drezynę i pędzić co sił do Szczytnisk. Lecz w porę wstrzymałem się. Nie mogłem teraz opuszczać stacji; asystenta nie było, służba pospana, a nadzwyczajny pociąg towarowy mógł lada chwila zajechać przed peron. Bezpieczeństwo Krępacza spoczywało wyłącznie na moich barkach. Nie pozostało nic innego jak czekać.

Więc czekałem, jak ranny zwierz rzucając się z kąta w kąt pokoju, czekałem z zaciśniętymi ustami, co chwila wychodząc na peron i nasłuchując sygnałów. Wszystko na próżno: nic nie zapowiadało przybycia pociągu. Więc znów wróciłem do biura, by okrążywszy parę razy pokój ponowić próbę z

telefonem. Bezskutecznie: nikt nie odpowiadał.
W dużej stacyjnej sali oświetlonej oślepiająco białym światłem gazu uczułem się nagle ogromnie samotny. Jakiś lęk dziwny, nieokreślony ujął mnie w drapieżne pazury i trząsł, że zacząłem dygotać jak w febrze.
Usiadłem znużony na otomanie i ukryłem twarz w dłoniach. Bałem się patrzeć przed siebie, by nie spotkać czarnych palców zegara wskazujących niezmiennie godzinę północy — jak dziecko bałem się spojrzeć otwarcie dokoła, by nie zobaczyć czegoś strasznego, co krew ścina lodem. Tak minęły dwie godziny.
Nagle drgnąłem. Grały dzwonki telegrafu. Podskoczyłem do stołu, gorączkowo puszczając w ruch przyrząd odbiorczy.
Z bloczku powoli jęło się wysnuwać długie, białe pasemko. Nachylony nad zielonym prostokątem sukna, ująłem w rękę pełzającą wstążkę i szukałem znaków. Lecz rulon był nie zapisany; ani śladu rylca. Czekałem z wytężonym wzrokiem śledząc ruch taśmy...
Nareszcie pojawiły się pierwsze słowa w długich, minutowych odstępach, wyrazy ciemne jak zagadka, złożone jakby z trudem wielkim i wysiłkiem, ręką drżącą i niepewną...
.. Chaos... mroczno... bezład snu... daleko... szary... świt... oh!... jak ciężko!... jak ciężko... wyzwolić się... wstręt! wstręt... szara masa... gęsta... cuchnąca... nareszcie... oderwałem się... Jestem...
Po ostatnim słowie nastąpiła dłuższa, parominutowa przerwa; lecz papier snuł się dalej leniwą falą. I znów poją wiły się znaki — teraz już pewniej stawiane, śmielsze:
... Jestem! Jestem!... Jestem!... On... mój kształt leży tam… na sofie... zimny, brr... rozpada się powoli... od wnętrza. Obojętny mi już... Przychodzą jakieś fale... duże, jasne fale... wir!... Czujesz ten ogromny wir?!... Nie! Ty go czuć nie możesz... I wszystko przede mną obecne... wszystko teraz... Cudowny odmęt!... Porywa mnie!... z sobą!... porywa!... Idę już, idę... Żegnaj... Rom...
Depesza nagle urwała się; aparat stanął. Wtedy prawdopodobnie zachwiałem się i upadłem na posadzkę. Tak przynajmniej utrzymywał asystent przybyły koło trzeciej nad ranem; wszedłszy do biura zastał mnie bez pamięci na ziemi z ręką owiniętą szarfami papieru.
Oprzytomniawszy zapytałem o pociąg towarowy. Nie przybył. Wtedy bez wahania wsiadłem do drezyny i wśród pierzchających mroków puściłem motor w stronę Szczytnisk. Po półgodzinnej jeździe byłem na miejscu.
Zaraz u wstępu spostrzegłem, że zaszło coś niezwykłego. Zwykle spokojną i samotną stację zalegał tłum ludzi cisnących się do lokalu służbowego.
Gwałtownie rozpychając gawiedź utorowałem sobie drogę do wnętrza. Tu zobaczyłem paru mężczyzn pochylonych nad sofą, na której leżał z przymkniętymi oczyma Joszt.
Odtrąciłem jednego i przypadłem do przyjaciela chwytając go za rękę. Dreszcz grozy ściął mi krew: ręka Joszta zimna i sztywna jak marmur wysunęła się z mojej i opadła bezwładnie poza brzeg posłania. Na twarzy ściętej mrozem śmierci, w wichurze bujnych, popielatych włosów, rozlany był cichy, błogi uśmiech...
— Udar serca — wytłumaczył stojący obok lekarz. — Dziś o północy.
Uczułem ostry, kłujący ból w lewej stronie piersi. Odruchowo podniosłem oczy na zegar ścienny nad otomaną. I on stanął w tragicznej chwili, i on wskazywał dwunastą.
Obsunąłem się na sofę siadając przy zmarłym.
— Czy zaraz stracił przytomność? — zwróciłem się do lekarza.
— Na miejscu. Śmierć nastąpiła równo o dwunastej w nocy w chwili nadawania depeszy przez telefon. Gdy dziesięć minut po północy przybyłem zawezwany przez dróżnika, pan naczelnik już nie żył.
— Czy kto telegrafował do mnie między drugą a trzecią? — zapytałem wpatrzony w twarz Joszta.
Obecni spojrzeli po sobie zdumieni.
— Nie — odpowiedział asystent — to wykluczone. Wszedłem do tego pokoju koło pierwszej, by objąć funkcję po zmarłym, i dotąd nie opuściłem lokalu służbowego ani na chwilę. Nie, panie naczelniku — ani ja, ani nikt inny ze służby tej nocy nie używał telegraficznego aparatu.
— A jednak — rzekłem półgłosem — dziś w nocy między drugą a trzecią odebrałem depeszę ze Szczytnisk.

Zapadło głuche, kamienne milczenie.
Jakaś słaba, niedołężna myśl przedzierała się z trudem do świadomości...
— List!
Sięgnąłem do kieszeni, rozdarłem kopertę. Był przeznaczony dla mnie. Oto co pisał Joszt:

Ultima Thule, 13 lipca

Drogi Romku!
Mam zginąć wkrótce, nagle. Człowiekiem, którego dziś śnie widziałem w jednym z okien rudery, byłem ja sam. Może niebawem spełnię swą misję, a ciebie wybiorę na pośrednika. Opowiesz ludziom, dasz świadectwo prawdzie. Może uwierzą, że jest świat inny... Jeśli zdołam. — Zegnaj! Nie! Do widzenia — kiedyś po tamtej stronie...

Kazimierz.

Szary pokój

Moje ostatnie mieszkanie też mnie nie zadowoliło. Zrazu zdawało się, że to, przed czym uciekłem z dawnego, tutaj wykluczone jest bezwarunkowo, że bezpiecznym będę przed czymś nieznanym, które zmusiło mnie do opuszczenia przedostatniej siedziby. Lecz kilka dni spędzonych w tym świeżo wynajętym pokoju przekonało mnie, że nowe schronisko jest jeszcze gorsze od poprzedniego, gdyż pewne niepokojące cechy, jakie zraziły mnie do tamtego, tu zaczęły występować w ostrzejszej, silniej podkreślonej formie. Po tygodniowym pobycie w nowym lokalu doszedłem do przykrego wniosku, że wpadłem w matnię stokroć zawilszą od dawnej, że niemiły nastrój, jaki wypłoszył mnie z byłego mieszkania, powtarza się znów, i to w spotęgowanej znacznie mierze.
Uświadomiwszy sobie ten niezbyt ponętny na przyszłość stan rzeczy, począłem w pierwszej chwili dopatrywać się przyczyny w samym sobie. Może mieszkanie nie ma z tym nic wspólnego? Może to ja sam przywlokłem z sobą przykry ton i usiłuję zrzucić go na otoczenie i przypatrując mu się jako czemuś poza mną, w ten nieszczery sposób staram się zamaskować własną słabość?
Lecz temu przypuszczeniu stanęło na przeszkodzie pełne poczucie wewnętrznej pogody ducha, jaką tchnęło w tym czasie całe me jestestwo i wyjątkowo pomyślny stan zdrowia.
Niebawem wpadłem na inną hipotezę, która wnet zmieniła się w pewność stwierdzaną codziennym doświadczeniem.
Oto wiedziony trafnym przeczuciem zasięgnąłem informacji co do ostatniego lokatora, który bezpośrednio przede mną zajmował pokój. Jakież było me zdumienie, gdy wymieniono nazwisko Łańcuty. Był to ten sam człowiek, po którym wynająłem i poprzednie mieszkanie. Jakiś dziwny zbieg okoliczności kazał mi być dwukrotnie jego następcą. Poza tym nic mnie z nim bliższego nie łączyło, nie wiedziałem nawet, kim jest i jak wygląda.
W ogóle nie można było dowiedzieć się o nim niczego pozytywniejszego nad to, że się nazywał Kazimierz Łańcuta i mieszkał tu parę miesięcy. Na zapytanie, jak dawno temu i dokąd się wyprowadził, odźwierny bąknął mi jakąś nieokreśloną odpowiedź, widocznie nie mając najmniejszej ochoty zapuszczać się w dokładniejsze objaśnienia. A jednak po wyrazie jego twarzy domyśliłem się, że mógłby mi niejedno powiedzieć o mym poprzedniku, lecz woli milczeć z własnej inicjatywy czy nakazu właściciela domu; może miał specjalne do tego powody, może z

zasady nie lubił udzielać dalej idących informacji.
Dopiero znacznie później zrozumiałem jego ostrożną taktykę; istotnie z punktu widzenia interesów gospodarza była jedyną: nie należało gości odstraszać. Lecz sprawa wyjaśniła mi się dopiero po szeregu własnych przeżyć, które rzuciły światło na osobę byłego lokatora i jego właściwe, zatajone przede mną umyślnie losy.
W każdym razie podobieństwo nastrojowe obu mieszkań tak dziwnie schodzące się z tożsamością przedostatniego lokatora dawało dużo do myślenia.
Z biegiem czasu nabrałem przekonania, iż dusza, że się tak wyrażę, obu pokoi nasiąkła jaźnią Łańcuty.
Że coś podobnego jest możliwym, wcale nie wątpię. Owszem, sądzę, że wyrażenie takie jak „zostawić gdzieś cząstkę tej duszy" nie tylko przenośnie brać należy. Nasze codzienne współżycie z danym miejscem, dłuższe przebywanie w pewnym środowisku, choćby ono należało tylko do świata organicznego, bez współbytności ludzi, co więcej, ograniczało się do sfery tak zwanych przedmiotów martwych — musi po jakimś czasie wywołać wzajemny wpływ i obopólne oddziaływanie. Powoli wytwarza się rodzaj nieuchwytnej symbiozy, której ślady niejednokrotnie utrwalają się na dłuższą metę i po zerwaniu bezpośredniej styczności. Jakaś energia psychiczna pozostaje po nas i czepia się miejsc i rzeczy, do których przywykła. Owe remanenty, subtelne pozostałości związków ubiegłych, pokutują potem latami, kto wie, może wieki całe, niewidoczne dla niewrażliwych, lecz niemniej istotne, by czasem odezwać się wyraźniejszym gestem.
Stąd dziwny lęk i szacunek zarazem wobec starych zamków, zapadłych domów, czcigodnych zabytków przeszłości. Nic nie ginie i nic nie idzie na marne; po pustych ścianach, wyludnionych krużgankach tułają się uporczywie echa lat minionych...
W moim jednak wypadku zastanawiał jeden ważny szczegół, który musiałem uwzględnić od samego początku. Jak utrzymywał dozorca, mieszkał Łańcuta w tym domu parę miesięcy, po czym gdzieś wyprowadził się. Czas zatem, przez jaki mógł wpływać na wnętrze i przepajać je sobą, był stosunkowo znacznie krótszy od tego, który spędził przede mną w poprzednim mieszkaniu. Mimo to ślad jego zaznaczył się tutaj silniej niż w dawniejszym lokalu, gdzie miał możność działania na otoczenie przez dwa lata z górą. Widocznie siła rozpromieniania jaźni w tym okresie u niego wzmogła się i w nierównie krótszym przeciągu czasu doszła do rezultatów znacznie wydatniejszych.
Chodziło tylko o to, czemu należało przypisać ten nieproporcjonalny do dawniejszego stanu wzrost zdolności udzielania się na zewnątrz.
Wnosząc z rodzaju nastroju, którym tchnął mój obecny pokój, powód tego zjawiska nie leżał bynajmniej w spotęgowaniu energii życiowej jej byłego mieszkańca. Przeciwnie. Na podstawie rozmaitych objawów doszedłem do wniosku, że przyczyną był tu raczej rozkład wewnętrzny, jakiś rozstrój duchowy, i to dość silny, który zakaził sobą otaczającą atmosferę. Łańcuta był wtedy najprawdopodobniej człowiekiem chorym.
O tym świadczył zasadniczy ton, jakim oddychało moje mieszkanie. Była nim cicha, beznadziejna w swym smutku melancholia. Wiała od popielatych obić ścian, stalowej barwy aksamitnych foteli, szła od srebrnych ram obrazów. Czuło się ją w powietrzu, rozpyloną w tysiączne, nieuchwytne atomy, ocierało niemal o wiotkie, delikatne przędze, jakie rozsnuła po wnętrzu. Smutny, szary pokój...
Nawet kwiaty w doniczkach przy oknie i parę większych w wazonach koło etażerki jakby przystosowały się do panującego tu stylu; pochylone anormalnie na jedną stronę łodygi i kielichy zginały się smutno w bezwładnej zadumie. Głos nawet, chociaż pokój był duży i słabo zastawiony sprzętami, cichnął gdzieś, wylękły, po wnękach, jak intruz strwożony własną śmiałością. Kroki moje głuchły bez echa na posadzce; przechodziłem jak cień.
Mimo woli chciało się usiąść gdzieś w kącie w wygodnym pluszowym fotelu i zapaliwszy papierosa godziny całe tracić w zamyśleniu, gonić bezcelowym spojrzeniem za obłoczkami dymu, śledząc, jak skręcają się w spirale, rozpierścieniają w obręcze, płożą w taśmach po stropie... Coś ciągnęło do palisandrowego pianina, by wygrywać melodie łagodne, o tonach ściszonych.
Na tym szarym, chorobliwie nastrajającym tle zaczął po pierwszym tygodniu mego pobytu

rozsnuwać się jakiś dziwaczny, senny haft. Odtąd śniłem co nocy bez przerwy. Treść snów była mniej więcej zawsze ta sama; marzenia zdawały się być tematem ustalonym, który ulegał tylko nieznacznym modyfikacjom lub drobnym przeróbkom; były to rozmaite redakcje tej samej historii.
Tłem, na którym rozgrywała się owa zresztą monotonna akcja, było moje mieszkanie. W jakiejś porze nocy wyłaniał się na ekranie snu mój szary pokój z drzemiącymi po kątach sprzętami, z melancholijną nudą zamyślonych zwierciadeł i tak trwał przez długie godziny nocnego spoczynku. Pod oknem wsparty na łokciu siadywał jakiś mężczyzna o pociągłej, bladej twarzy i patrzył smutno przez szybę na ulicę. Przeciągało się to czasami na całe godziny. Potem wstawał, przemierzał parę razy pokój powolnymi, automatycznymi krokami, ze wzrokiem utkwionym uparcie w posadzkę, jakby zajęty wyłączną jakąś myślą. Czasem przystawał i pocierał ręką czoło, podnosząc w górę oczy jasne, duże, zaciągnięte cichą melancholią. Gdy go przechadzka znużyła, siadał z powrotem, lecz teraz zwyczajnie już, przy biurku pod lewą ścianą, i znów długie chwile spędzał w pozycji nieruchomej, z twarzą ukrytą w dłoniach. Niekiedy pisał coś drobnym, nerwowym charakterem. Skończywszy odrzucał gwałtownie pióro, prostował wątłą postać i znów rozpoczynał spacer. Chcąc widocznie zyskać na przestrzeni wędrował po pokoju w linii kolistej, czemu nie przeszkadzało rozmieszczenie sprzętów. Spostrzegłem jednak, że Unia ta załamuje się nierówno w okolicy prawego węgła od drzwi, gdzie stała szafa; tutaj krzywizna, którą opisywał, z wypukłej przechodziła we wklęsłą: wyglądało tak, jakby tego kąta unikał.
Na tym wyczerpywał się temat snu. Po kilku godzinach takiej monotonnej wędrówki przerywanej dłuższym lub krótszym wypoczynkiem przy oknie, stoliku lub w którymś z foteli — smutny człowiek, a wraz z nim i obraz pokoju rozwiewał się i zapadał w senną otchłań, a ja budziłem się zazwyczaj już nad ranem. Tak powtarzało się co nocy bez zmiany.
Ta uporczywość powracających wciąż obrazów i styl ich tak znamienny doprowadziły mnie niebawem do niezachwianego wniosku, że aktorem rozgrywającej się co noc pantominy nie jest nikt inny tylko Łańcuta. Sny te pełne melancholijnej monotonii były niejako plastycznym uświadomieniem duszy mieszkania, którą odczuwałem tak przygnębiająco za dnia, praktyczną materializacją rzeczy za subtelnych dla stanu jawy.
Przypuszczam, że to samo działo się bez przerwy i przez cały dzień, lecz wyraźnemu percypowaniu sprzeciwiały się zwodnicze zmysły i przemądry w swej zarozumiałości intelekt.
Wszak gwiazdy istnieją i w dzień, choć przyćmione zgiełkiem przemożnych promieni słońca — widać je dopiero po zachodzie. Przypomina się mimo woli tak zwane pismo sympatyczne, sporządzone przy pomocy atramentu, który po wyschnięciu czasowo sczeza, pozostawiając papier pozornie nie zapisany; by móc list odczytać, trzeba go nagrzać przy ogniu — wtedy niewidzialne dotąd litery wynurzają się, wywabione ciepłem.
W początkach zajmowało mnie obserwowanie snów i wyszukiwanie odpowiednich związków, jakie bezsprzecznie zachodziły między nimi a nastrojem dziennym pokoju. Lecz powoli spostrzegłem, że nieznacznie, lecz stale ulegam szkodliwym wpływom mego otoczenia, że widziadła senne i wnętrze, w którym przebywam za dnia, oddziaływają na mnie ujemnie.
Postanowiłem^ bronić się. Należało wydać walkę niewidzialnemu poprzednikowi, zetrzeć się z nim i wyrugować wspomnienia po nim, którymi tu wszystko przesiąkło.
Przede wszystkim trzeba było usunąć i zastąpić innymi sprzęty znajdujące się w pokoju. One bowiem, jak trafnie przypuszczałem, stanowiły jeden z punktów atrakcyjnych dla groźnych pozostałości obcej psychiki. Spodziewałem się, że po usunięciu ich poza nawias mieszkania wyschnie parę zasadniczych źródeł przynęty, zerwie się kilka ważnych węzłów sympatii, utrzymujących niebezpieczny dla mnie związek.
Rzecz przeprowadziłem systematycznie, niemal doświadczalnie, metodą drobnych, ledwo dostrzegalnych różnic.
Kazałem tedy najpierw wynieść z pokoju duży, pluszowy fotel stojący przy oknie i zastąpić go zwykłym krzesłem. Już ta drobna modyfikacja mebli odbiła się wyraźną zmianą w przebiegu snu, który uległ jak gdyby pewnemu uproszczeniu; zabrakło mianowicie jednego z jego momentów: obrazu Łańcuty w pozycji siedzącej pod oknem; przez całą noc melancholik ani razu nie zajął świeżo sprowadzonego krzesła.

Nazajutrz usunąłem biurko, a na jego miejsce ustawiłem mały, zgrabny stolik na karty, nie omieszkując przy tym zmienić też przyborów do pisania na inne. Najbliższej nocy usiadł wprawdzie Łańcuta przy gierydonie, na dawnym, nie ruszanym jeszcze krześle, lecz nie opierał się już na jego pulpicie, przez cały czas nie ruszył piórem i w ogóle zdawał wystrzegać wszelkiego z nowym meblem kontaktu. Gdy z kolei i to krzesło wymieniłem na elegancki, ostatnimi dniami nabyty taburet, nie zbliżył się już nawet do stolika. Ta partia pokoju stała się dlań niejako terenem obcym, wrogim, którego widocznie unikał.
Tak stopniowo wyrzucałem sprzęt po sprzęcie, wprowadzając meble zupełnie nowe, w rażącej sprzeczności z dawnymi, o barwach obić żywych, pełnych umyślnej jaskrawości i krzyku. Po dwóch tygodniach pozostały z dawniejszych mebli tylko wspomniana już szafa i obok niej wiszące lustro przy drzwiach; tych dwóch sprzętów nie miałem zamiaru zmieniać z tej oczywistej przyczyny, że według mych przypuszczeń byłoby to całkiem zbytecznym: Łańcuty widocznie nic nie łączyło z tym kątem pokoju i unikał go ostentacyjnie. Po cóż więc narażać się na niepotrzebny trud?
A jednak domysł mój tym razem był mylny: powód niechęci, jaką okazywał Łańcuta ku tej partii, był całkiem inny; była nim nie obojętność, lecz wstrętne wspomnienie.
Przeprowadzone zmiany wywarły zbawienny wpływ na moje codzienne otoczenie: pokój jakoś poweselał, nadwątlił się przygnębiający nastrój wnętrza ustępując miejsca pogodniejszej atmosferze. Równocześnie i sny moje przeszły w nowe stadium. W miarę jak postępowała coraz dalej metamorfoza mieszkania, Łańcucie jakby grunt usuwał się pod nogami. Odciąłem go najpierw od okna, później od tej części pokoju, gdzie stało niegdyś biurko, z kolei ograniczyłem do kilku ledwo foteli. Wreszcie po usunięciu tych pozostała mu wąska przestrzeń między nowymi meblami. Lecz znać zmieniona atmosfera poczęła też wpływać nań deprymująco, bo zauważyłem w jego dotąd wyraźnie rysującej mi się postaci pewną rozwiewność konturów: człowiek ten z nocą każdą jakby subtelniał i ulatniał się: widziałem go już jak przez mgłę. W końcu przestał chodzić pomiędzy krzesłami, lecz przesuwał się jak cień po ścianach. Czasami całość postaci rwała się i dostrzegałem tylko fragmenty rąk, nóg lub zarys twarzy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości — Łańcuta, pobity na głowę, ustępował. Uradowany niechybnym już zwycięstwem zacierałem ręce z zadowoleniem, zabierając się do zadania mu ostatecznego ciosu: kazałem zedrzeć stalowoszare tapety i obić pokój czerwonym papierem.
Skutek nie zawiódł: cień upartego przeciwnika przestał wałęsać się po ścianach.
Lecz czułem jeszcze jego obecność w powietrzu; była nieuchwytna, niezmiernie rozrzedzona, lecz mimo wszystko była. Musiałem zmierzić mu atmosferę do reszty.
W tym celu przez dwie noce z rzędu urządzałem w swym domu wesołą zabawę. Sam podniecałem pijanych gości. Szaleliśmy. Po tych dwu piekielnych, bezsennie odbytych hulatykach, które mi narobiły wiele nieprzyjemności ze strony współlokatorów, w końcu trzeciej dopiero nocy rzuciłem się w ubraniu, śmiertelnie wyczerpany, na łóżko i natychmiast usnąłem.
Zrazu zmęczenie przemogło onejroplastię i spałem bez widzeń. Lecz po kilku godzinach wypoczynku wynurzył się z mgławicy sennej jak zwykle mój pokój. Patrzyłem nań spokojnie, przez sen uśmiechając się triumfująco: w pokoju f nie było nikogo, absolutnie nikogo.
Chcąc umocnić się w przekonaniu, wodziłem oczyma zwycięzcy po wszystkich kątach, zaczynając od okna; tak przewędrowałem trzy czwarte pokoju, przeglądnąłem bystro fortele, sięgnąłem wzrokiem pod strop, zaczepiłem uważnie o ściany — nigdzie podejrzanego śladu, nigdzie choćby najlżejszej poszlaki. Nagle rzuciwszy niedbałe spojrzenie w ciemny węgieł pode drzwiami, ową jedyną partię zawsze tak starannie omijaną — spostrzegłem go. Stał w pełnej, wyrażanej postaci, trochę zgarbiony, jak zwykle odwrócony do mnie plecyma.
Właśnie wyciągnął rękę ku szafie i przekręciwszy klucz, potworzył. Zatrzymał się tak, wpatrzony w puste jej wnętrze z rzędami szczerzących drewniane zęby kołków. Powoli, ze spokojnym namysłem, wydobył z kieszeni rodzaj taśmy czy skórzanego rzemyka i przywiązał do jednego z wieszadeł; Spadający koniec zgiął w pętlę i zakluczył. Zanim zdołałem zorientować się, już wisiał. Ciało skręcone śmiertelnym podrzutem zwinęło się o pewien kąt i odbiło w lustrze na sąsiedniej ścianie. Ujrzałem dokładnie w jego głębi twarz wisielca: była wykrzywiona szyderczym uśmiechem

i patrzyła wprost we mnie...
Krzycząc zerwałem się z posłania i wstrząsany febrycznym dreszczem wyskoczyłem przez okno na ulicę. Tu, nie oglądając się poza siebie, zacząłem biec wśród nocy po pustych chodnikach, póki nie wpadłem do jakiejś austerii. Otoczyło mię wnet podejrzane towarzystwo podmiejskich rzezimieszków. Ich wesołość ocuciła mię: potrzebni mi byli w tej chwili. Zaciągnęli mię do drugiej, jeszcze plugawszej knajpy; poszedłem; potem do trzeciej, czwartej i tak dalej — towarzyszyłem wszędzie aż do końca, aż do białego rana. Wtedy, słaniając się na nogach, zawinąłem nareszcie do jakiegoś hotelu, by tu zasnąć snem kamiennym.
Nazajutrz wynająłem wesoły, słoneczny pokoik na krańcu miasta. Do dawnego mieszkania nie wróciłem już nigdy.

Nocleg

W drodze powrotnej z odwiedzin u krewnych wpadłem na niefortunny pomysł, by drogę do najbliższej stacji kolejowej przebyć nie wozem, lecz pieszo. Nęciła pora letnia, przedwieczorna, i perspektywa wędrówki wśród pól ciężkich już wykłoszonym zbożem i łąk oddychających wonią polnych kwiatów. Lecz już w połowie drogi zacząłem żałować. W powietrzu zrobiło się jakoś duszno i parno; rozpierzchłe przez dzień stronami chmury skojarzyły się gwałtownie w groźne rzesze i zawisły ponuro w środku nieba. Zanosiło się na burzę.
Pomykałem kroku, by dotrzeć do przystanku kolejowego przed wybuchem żywiołu, i dla uproszczenia drogi rzuciłem się na przełaj przez las. Po kwadransie wytężonego marszu po krętych ścieżkach zrozumiałem, że trud mój daremny i przed burzą nie ucieknę.
Chmury rozdarł nagle oślepiający zygzak piorunu i głuchy łomot zmącił leśne zacisza. Lunął nawalny deszcz.
Schroniłem się przed pierwszym atakiem ulewy w jakiś zarosły drzewami zaułek, zaszywając się cały w gęsty krzak leszczyny. Tu przeczekałem moment krytyczny.
Gdy deszcz trochę zelżał, opuściwszy kryjówkę ruszyłem dalej. Teraz szło się trudniej po rozmokłym, śliskim od dżdżu gruncie; parę razy potknąłem się i omal nie wywróciłem na jakiejś złamanej gałęzi. Na domiar złego ściemniło się i słabo orientowałem się wśród ścieżek i ścieżyn. Po półgodzinnym chodzie, na pół przesiąkły dżdżem, znużony wypatrywaniem zbawczej drogi, doszedłem do smutnego wniosku, że zmyliłem zupełnie kierunek i zgubiłem się w lesie.
Położenie było fatalne. Zapaliłem zapałkę, by przy jej blasku stwierdzić na zegarku, że jest już godzina siódma wieczorem, że o pociągu ani marzyć, bo pora mocno spóźniona. Deszcz wprawdzie ustał, lecz ewentualność spędzenia nocy w lesie, na wilgotnej ziemi, nie uśmiechała się mi wcale. Instynktem tonącego chwyciłem się uporczywie jakiejś ścieżki i nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo, zacząłem pędem biec między dwoma szeregami koślawych sosen.
Ruch rozgrzał mię i podwoił siły; po upływie kilkunastu minut zamajaczyła poręba, a w chwilę potem wydostałem się z przeklętego lasu na czyste, puste jak okiem sięgnąć pole. Byłem na jakiejś drożynie, która wciśnięta głęboko niby parów w ramy zagonów biegła w ciemniejącą dal. Postanowiłem iść nią nie zmieniając kierunku, w nadziei, że prowadzi do wsi lub przysiółka.
Na chwilę wychylony z obłoków księżyc skrył się z powrotem; szedłem po ciemku.
Zaczął mżyć znowu drobny, przejmujący do szpiku deszczyk. Było mi zimno w lekkim, spacerowym ubraniu bez zarzutki. Dążyłem przed siebie w absolutnej ciemności, od czasu do czasu wyciągając ręce, by zbadać zbocza parowu, w obawie, czy nie schodzę z drogi. Raz natrafiłem na

jakąś i jamę i z trudem tylko wydobyłem się z chlupoczącej deszczówki.
Szedłem dalej. Grunt powoli jakby podnosił się, parów przechodził do jednakowego poziomu z polami. Wyczułem pod nogami zarosła trawą przykopę, która rozdzielała podwójny tor kolei.
Po czasie doszedł mię z prawej strony zapach czeremchy. Przyspieszyłem kroku wciągając z rozkoszą woń; była teraz mocniejsza i zmieszana z zapachem akacji: niewątpliwie zbliżałem się do jakiejś wsi lub dworu. Nade mną odezwał się rozłożysty szum drzew. Wytężyłem oczy w kierunku poszumu, lecz nie spostrzegłem nic: panowała bezwzględna, czarna jak kir oćma...
Po twarzy musnęła mię mokra gałąź oblewając kaskadą kropel. Otarłem oczy i sięgnąłem ręką w górę, by pochwycić gałąź; zamiast niej palce objęły sztywne drewno sztachet.
„Sad — pomyślałem z uczuciem radości — lub park dworski. W każdym razie znajdę przytułek na noc”.
By nie stracić kontaktu, nie wypuszczałem już z rąk ogrodzenia, lecz ciągle posuwając się naprzód, prześlizgiwałem palce po drewnianych przęsłach, niby po nici przewodniej wśród mroków nocy. W pewnym miejscu sztachety ustąpiły odchylając się w głąb. Była furtka. Wszedłem i zamknąłem za sobą; w ciszy rozległ się wyraźnie skrzyp zardzewiałych zawiasów.
Szedłem jakąś aleją owianą ruchem drzew, które rosły po obu jej stronach; wkoło odzywał się szmer liści i łopot gałęzi miotanych na wietrze. Nie widziałem nic — nawet pnie drzew niewidzialnych zlewały się zupełnie z czernią nocy; nie wyodrębniał się ani jeden szczegół. Tak uszedłszy kilkaset kroków niespodziewanie uderzyłem głową o coś twardego; podniósłszy rękę w kierunku przeszkody przekonałem się, że były to sztachety. Więc ogród tutaj się kończył, widocznie ścieżka, którą szedłem, nie była główną i biegła wszerz. Przypuszczalny dwór czy zagroda leżały zatem u końca ścieżki głównej, która zapewne krzyżowała się gdzieś z dróżką obraną przypadkowo przeze mnie. Należało szukać punktu węzłowego ścieżek. Zawróciłem tedy i zacząłem posuwać się ostrożnie w kierunku, skąd przyszedłem. Lecz nie mogłem jakoś trafić na upragnioną drogę, która według mych domysłów miała zaprowadzić do domu. Poszukiwania spełzły na niczym; po kilkunastu minutach drogi znalazłem się z powrotem u furtki. Zrozpaczony niepowodzeniem, przemokły do nitki, podjąłem trud od nowa, postanawiając teraz iść tylko brzegiem prawym i najpierw przepatrzyć jak najdokładniej tę stronę.
Zaledwie uszedłem parę kroków, potknąłem się o jakiś wystający pniak; padając, odruchowo wyciągnąłem ramię, by uchwycić się drzewa lub krzaku. Wtedy zamiast pnia ręka natrafiła na węgieł jakiegoś budynku. Zatrzymałem się wodząc dłonią po jego ścianie. Była drewniana, zbita z nie „wygładzonych tarcic. Tak namacałem drzwi zamknięte na kołek...
Zawahałem się: wejść czy szukać dalej?
Chyba dworem ta buda być nie mogła?
Rozstrzygnęło ogromne znużenie. Nagle uczułem, że dalej Już iść nie zdołam. Dreszcz gorączki wstrząsał mną już od chwili. Zapukałem. Z wnętrza nikt nie odpowiedział. Przyłożyłem ucho do ściany, nasłuchując. Cisza zupełna. Zniecierpliwiony, wyrwałem kołek i całym sobą pchnąłem drzwi. Otworzyły się bez oporu.
Uczułem woń świeżego siana i zgaszonych świec.
„Szczególna kombinacja” — pomyślałem zamykając za sobą skwapliwie wejście.
— Dobry wieczór! — odezwałem się głośno.
— Dobry wieczór! — odpowiedziało echo. Przestrzeń, do której wszedłem, była pustą. Głos dudnił jak w beczce.
Potarłem zapałkę jedną, drugą — niestety odmówiły posłuszeństwa; przemokły wraz ze mną. Trzeba było zrezygnować ze światła. Po omacku przesunąłem się wzdłuż ścian, potykając ich powierzchni. W drugiej z rzędu wnęce zatrzymał mnie jakiś przedmiot, który potrącony nogą zadudnił głucho. Chciałem go wyminąć i pójść dalej, lecz ręka trafiła na próżnię i wpadłem w jakieś wnętrze. Sprzęt był widocznie wydrążony.
„Co u licha? — pomyślałem czepiając się wystającego brzegu. — Niecka czy koryto?”
Wreszcie wydobyłem się na zewnątrz. Zrobiło mi się nagle jakoś nieswojo.
— Gdzie jestem? — krzyknąłem na cały głos. Milczenie. Stałem łowiąc uchem śmiertelną ciszę. Najlżejszy oddech nie mącił głuszy nocy. Słyszałem tylko przyspieszone uderzenia własnego

serca...
Podjąłem wędrówkę po izbie. Po chwili nogi wplątały się jakieś chusty czy odzienie porzucone na podłodze. Schyliłem się, podniosłem. Był to podarty, wilgotny łachman, cuchnący zgnilizną i zapachem starych łojowych świec. Odrzuciłem go z obrzydzeniem.
Znużony mózg snuł domysły na temat miejsca. Może buda sadownika dworskiego lub wyszły z użycia stebnik? Ponętna woń siana zwabiła mię ku środkowi izby.
„Może będzie się można przespać na nim, choćby na podłodze?"
Na poziomie piersi wyczułem nagle przeszkodę: jakiś stół czy pryczę zasłaną warstwą świeżego siana Wyciągnąwszy rękę błądziłem z lubością po wonnym podścielisku. Tapczan był nie zajęty: znalazłem łoże.
Bez namysłu zrzuciłem przemokłą bluzę i położywszy w głowach, wydłużyłem się rozkosznie na posłaniu.
Na dworze padał wciąż deszcz, bębniły po dachu duże, ciężkie krople, szemrał wiatr w gałęziach drzew. Ukołysany tą monotonią, wyczerpany długą włóczęgą wśród deszczu i burzy, niebawem zapadłem w stan przedsennych marzeń. Przez chwilę trwało zawieszenie między snem a jawą, pełne skłębionych obrazów, kształtów, postaci — z kolei spadła gęsta zsiadła mgła — wreszcie nadpłynęła pierwsza fala snu i przeszła nade mną, pogrążając w odmęcie. Wkrótce porwany sennym nurtem znalazłem się daleko, w otoczeniu zgoła nowym, nieznanym, wśród ludzi obcych, wytwornie odzianych.
Wnętrze staroświeckiego dworu. Na ścianach tureckie makaty, konterfekty dziadów i broń myśliwska. Jakaś sala duża, jasna, w obłokach tytoniowego dymu. W środku, przy stole zielonym suknem obciągniętym, grupa mężczyzn w strojach wieczorowych. Grają w karty: wist. Twarze znużone, zmięte. Zapewne po nie przespanej nocy. Uwagę skupiają na sobie trzy postacie — dwóch mężczyzn i kobieta. Piękni ludzie. Zwłaszcza ten blondyn o charakterystycznym, angielskim profilu. Rasowy człowiek. Gra nerwowo, jakby roztargniony, i przegrywa ciągle. Ciemnofiołkowe oczy co chwilę podnoszą się sponad kart i wpijają w bladą, czarnowłosą panią w szkarłatnym szalu, siedzącą przy tamtym mężczyźnie, zapewne mężu.
Tych dwoje ludzi coś wiąże ze sobą, jakaś mocna, serdeczna tajemnica. Spojrzenie kobiety nie schodzi z twarzy przegrywającego. Twarz męża skupiona, marmurowa; głęboka rysa przekreśla czoło w okolu bujnej, kasztanowatej czupryny. Gra równo, spokojnie — tylko od czasu do czasu pochyla się ku dogorywającej świecy po prawej stronie i zapala u jej płomienia papierosa. Wtedy na moment oczy jego szare, stalowe szukają oczu przeciwnika i patrzą w nie zimno, z natężoną uwagą. Gra toczy się dalej nieubłaganym, fatalnym ciągiem.
Mijają długie minuty, kwadranse, godziny... Wtem pani nieznacznie pod osłoną szala wyciąga ramię krągłe, cudnie wyrzeźbione i szuka ręki blondyna. Dłonie ich spotykają się na mgnienie oka, na krótką chwilę i spłoszone cofają z powrotem.
Mąż drgnął niespokojnie, gwałtem stłumił odruch podniesionej już ręki. Tylko twarz zszarzała jak popiół, sfałdowała się w nerwowe, ostre linie i wysiłkiem woli ułożyła w maskę obojętności. Zauważył...
Blondyn zaczął, rozdawać karty. Padły króle, walety, zakręcił się młyńcem na suknie as karowy.
Kobieta wstaje i coś mówi. Przeprasza gości, każe podać poranną przekąskę. Przechodząc obok blondyna musnęła z lekka, niby przypadkiem, jego policzek szerokim rękawem kimona. Postać jej znika za portierą w przyległym pokoju. Mężczyźni przeprowadzają odchodzącą ukłonem i wracają do wista.
Znać sytuacja powstała w grze jest arcyciekawą, bo chwilowo twarze ożywiają się i znać naprężenie uwagi. Wygrał pan domu...
Wchodzi służąca i podaje na tacy herbatę i ciasta. Goście spożywają śniadanie. Z zamieszania i ruchu odsuwanych krzeseł korzysta sługa, by zręcznie wcisnąć blondynowi w rękę drobny, papierowy zwitek. Chwycił chciwie, rzucając wkoło szybkie, badawcze spojrzenie. Odetchnął: nikt nie widział...
Nieobecność pani domu zwraca uwagę męża. Pyta o coś sługę i wychodzi. Chwila nader stosowna. Szczęśliwy rywal kryje się we framudze okna, rozwija papier, czyta. Fala krwi zalewa mu twarz, w

oczach grają blaski. Zwinął, schował na piersi... Dopala papierosa, usuwa się w głąb i wśród gwaru znika za drzwiami naprzeciw portiery.
Po czasie wraca mąż. W rysach wzburzenie, błysk gniewu. Po scenie. Bierze go w wyłączne posiadanie jakiś opasły jegomość i ciągnie w kąt na pogadankę. Ustąpił, choć niechętnie. Mija kwadrans, pół godziny.
Rozpierzchli goście powoli wracają na swe miejsca przy zielonym stoliku. Zauważono brak blondyna. Na kilku twarzach świtają uśmiechy, padają jakieś półsłówka, domyślniki. Spojrzeniaześrodkowują się nieznacznie na panu domu.
Powstał blady, drżący.
— Przepraszam panów. Obowiązkiem moim odszukać zabłąkanego gościa. Zaraz będę służył z powrotem.
Odsuwa gwałtownie kotarę i przechodzi w głąb domu. Widać długą, gubiącą się w ogrodzie amfiladę pokoi, starych, zgłuszonych adamaszkiem kotar komnat — otwierają się jedne po drugich drzwi, odrzucane nerwowo skrzydła, odchylają ciężkie zasłony... Padają w kąty spojrzenia złe, badawcze, świdrują alkowy, przepatrują sypialnię...
Wypadł na ganek, zbiegł ze schodów, skręcił deptakiem w lewo. Kroki ciche, ostrożne. Doszły go jakieś głosy, szepty namiętne. Zajrzał przez kratę oplecionej dzikim winem altany. Zobaczył... Przechyliła mu głowę na piersi, podała usta. Całował długo, przeciągle...
Nagle scena zmieniła się. W środku chłodnika stanął mąż. Na ustach zimny, ironiczny uśmiech, w rękach szpicruta.
— Excusez!
Kobieta porwała się z ławki, chciała coś przemówić. Przerwał jej świst trzciny. Z krótkim okrzykiem podniosła rękę do policzka, na którym wykwitła podłużna, czerwonosina pręga... Tamten rzucił się na oszalałego z gniewu, zamierzył się ręką ku twarzy. Lecz w drodze napotkał opór: zatrzymało go mocne, stalowe ramię...
— Znajdziemy inny sposób załatwienia tej sprawy. Ruchem rozkazującym wyciągnął rękę ku kobiecie i wskazał dom:
— Proszę nas zostawić samych!
Odeszła. Niema gra twarzy, pojedynek spojrzeń. Oczy przeciwników niemal równocześnie zatrzymują się na koszyczku od robót, pozostawionym przez panią na stole. Przykuwają uwagę dwa kłębki na spodzie: zielony i błękitny. Dziwny uśmiech błąka się na wargach męża. Sięgnął po kłębki, położył na ręce; igra nimi, taczając po dłoni. Patrzy pytająco na tamtego. Ujął w palce kulkę błękitną:
— Śmierć.
Blondyn skinął na zgodę. Teraz podsuwa dłoń z zieloną.
— Życie.
— Dobrze.
— Kto będzie ciągnął losy?
Dialog przerywa duży angielski chart. Śliczne zwierzę wbiega do altany w krótkich, gibkich skokach i zaczyna łasić się u stóp blondyna. Ten głaszcze psa po łbie, po czym wskazując go przeciwnikowi objaśnia:
— Nero.
— Dobrze.
Wkłada na powrót do koszyka oba kłębki i stawia na stopę. Z kolei sięga po nie rywal i ująwszy w prawą rękę, zwraca się do psa:
— Apporte, Nero! Apporte!
Z palców wymknęły się różnobarwne kule i zataczając podwójną parabolę spadły o kilkadziesiąt kroków na ścieżkę: Bliżej zielona, o kilka metrów za nią błękitna.
— Apporte, Nero! — zachęcił powtórnie blondyn.
Pies rzucił się z miejsca i lekkim truchtem zbliżał ku kłębkom. Obaj mężczyźni śledzili bacznie z altany jego ruchy. Nero chwycił w zęby najbliższy motek zielony i już miał zawrócić ku panu ze zdobyczą, gdy wtem spostrzegł drugi poza nim pod klombem. Zwierzę zawahało się na moment,

jak postąpić; po namyśle podbiegł do klombu i podjął. Dumny z sumiennego rozwiązania problemu wracał chart do altany trzymając w wysoko podniesionej paszczy oba kłębki. Wtem zaczepił nogą o jakiś korzeń, podskoczył i trzepnął głową o krzak: wtedy, zdaje się, jeden motek wyśliznął mu się i wypadł gdzieś po drodze pomiędzy krzewy. W chwilę potem zdyszany podawał swemu panu pozostały kłębek. Był to kłębek błękitny.

Blondyn odebrał go i pogłaskał psa po lśniącej jedwabistej sierści.

— Dziękuję ci, Nero.

Uśmiechnął się i patrząc na swego zwycięzcę, dodał spokojnie:

— Dzielny pies. Tak, tak. Mój własny pies. Żegnam pana. Odpowiedział milczący ukłon.

Krokiem szybkim, nerwowym opuścił altanę, przemierzył park i furtą wydostał się na pola. Za nim biegł Nero. Młody człowiek zwolnił kroku i skręcił pomiędzy wikliny za dworem. Szedł brzegiem zarosłej tatarakiem i rogoża rzeki. Rozsuwał mechanicznie wilgne rosą ich pałki, nurzał się w lesie mokrych okiści. Wśród zieleni przesianej złotem porannego słońca odcinał się czarnym konturem jego świetnie skrojony frak.

Pies towarzyszył wytrwale, wstępując w tropy pana, który zdawał się go nie dostrzegać. Nagle wyszedłszy z gąszczy na małą łączkę obrócił się i spostrzegł wiernego towarzysza.

Błysk gniewu zagrał w zeszklonych rozpaczą oczach. Podbiegł i kopnął zwierzę z całej siły.

— Precz, ty bydlę podłe!

Pies zaskowyczał, zatoczył się i popatrzył z wyrzutem w oczy. Pan odwrócił się i poszedł dalej. Teraz błądził nad samą rzeką. Tępe spojrzenie snuło się po fali, wlokło z biegiem prądu. U nóg odezwało się pokorne skomlenie psa: Nero przepraszał za nieznaną mu przewinę, lizał ręce, łasił się. Wtedy człowiek wydobył z kieszeni mały, krótki rewolwer i strzelił mu w łeb. Zwierzę wydało cichy jęk i padło u stóp pana, składając roztrzaskaną głowę na wyciągniętych łapach.

Desperat oglądał broń i zauważywszy widocznie brak naboi odrzucił w wiklinę jako rzecz niepotrzebną. Potem bez namysłu wskoczył w rzekę. Woda pod nim wzburzyła się, wzdęła, prysła pluskotem pian i zawarła się nad ofiarą.

Obudziłem się...

Był dzień duży, jasny. Leżałem na wznak, twarzą wystawiony na działanie promieni słońca, które całym snopem wpadały przez małe, zakratowane okienko w ścianie naprzeciw. Oślepiony blaskiem przysłoniłem oczy i spojrzałem uważnie dookoła. Przykry wstrząs przejął niespodzianie me ciało. W kącie spostrzegłem trumnę. Otwarte jej wnętrze zionęło ku mnie pustką śmierci.

Odwróciłem oczy; wzrok padł na wystający róg pryczy, na której leżałem. Był okryty jakimś czarnym spłachciem czy sztuką obdartej materii. Machinalnie wziąłem do ręki; był to łachman kiru brudny od prochu i błota, skąpany łzami świec. Przypomniałem sobie ubiegłą noc i gałgan podjęty przeze mnie wśród ciemności. Brrr... Nogą strąciłem go na ziemię.

Przetarłem oczy. Resztki snu ulotniły się. Otrzeźwiałem zupełnie.

Gdzie jestem?

Pod ręką lewą ukrytą w sianie pościeli uczułem jakiś twardy przedmiot, który obejmowałem dotąd bezwiednie palcami. Lenistwo nie pozwoliło mi dźwignąć się i przekonać, co. Zwróciłem tylko w tę stronę głowę, lecz nie zobaczyłem nic; spiętrzona ściana słomy i siana przesłaniała mą rękę wraz z trzymanym w niej przedmiotem. Zacząłem poruszać palcami wzdłuż. Szczególne! Teraz miałem wrażenie, że przesuwam je po czymś miękkim, niby po suknie, niby po czyimś rękawie. Nagle zrozumiałem. Ręka moja trzymała w bezwiednym uścisku przez noc całą ramię człowieka. Jednym podrzutem porwałem się z pryczy i usiadłem. Wał słomy usunął się, odsłaniając przede mną leżącego tuż obok na tym samym tapczanie mężczyznę. Krótkie spojrzenie rzucone na twarz towarzysza zmroziło mi krew w żyłach: poznałem blondyna widzianego we śnie.

Była to ta sama arystokratyczna twarz, te same wytworne rysy, tylko teraz podkreślone ostrzej rylcem śmierci. Leżał wyciągnięty sztywno na podścielisku słomy, w pomiętym, jeszcze wilgotnym fraku, z wisiorami zielsk wodnych w bujnych, jasnych włosach, ze smugami mułu na spodniach i gorsie koszuli.

Patrzyłem jak osłupiały, nie dowierzając oczom...

Nagle jednym skokiem opuściłem trupie legowisko i nie patrząc poza siebie, zacząłem wciągać na

ramiona bluzę. Chciałem wyjść stąd jak najprędzej, uciec jak najdalej.
Wtem z zewnątrz odezwały się liczne kroki i szmer głosów. Przymknięte drzwi odchyliły się i do środka weszło paru mężczyzn: trzech chłopów z wójtem na czele, żandarm, jakieś chuderlawe indywiduum o wyglądzie pisarza gromadzkiego i dwóch gentlemenów. Towarzystwo miało postawę uroczystą, urzędową.
„Komisja śledcza" — pomyślałem.
— A pan co tu porabiają? — zapytał mnie wójt grubym, niskim basem.
— A cóż? Przespałem się niechcący w tej izbie.
— Nie wolno. Taż to trupiarnia — zgromił surowo.
— Wczoraj po nocy zabłądziłem tu, uciekając przed zlewa. Nie wiedziałem, gdzie wchodzę.
— Winszuję noclegu — odezwał się jeden z inteligentów, szczupły brunet z kozią bródką, zapewne lekarz.
— Istotnie, dziwnie się trochę spało. Te zwłoki?
— Wydobyli tutejsi chłopi wczoraj po południu z wody. Rzeka wyrzuciła na brzeg niedaleko młyna.
— Panowie — zagadnąłem — zapewne chcą teraz przystąpić do sekcji?
— Właśnie. Komisja w komplecie. Panie sędzio — zwrócił się do przysadkowego pana w urzędniczej czapce z teką pod bokiem. — Czy zaczekamy na przybycie pana Giżyckiego?
— A właśnie sam jaśnie wielmożny pan dziedzic — chórem odpowiedzieli chłopi, robiąc miejsce mężczyźnie, który tejże chwili przekraczał próg kostnicy. Przybyły zdjął szeroki, biały kapelusz panama i objąwszy mary krótkim rzutem oczu zbladł jak ściana. Poznałem męża ze snu. Zapanowało głębokie milczenie. Lekarz otworzył duże, orzechowe puzdro i zaczął dobywać zeń przybory do obdukcji. Połyskiwały pod światło zimne ostrza lancetów, legał się metaliczny dźwięk rozkładanych w porządku nożów i pincet.
Wtedy milcząco skłoniwszy się obecnym, opuściłem wnętrze.
Za drzwiami przywitał mię skąpany w rosach porannych, zbrzmiały brzękiem owadów i ptaszków cmentarz.

Znak

Passę!
— Trójka.
— Spód.
— Passę.
— Dziesięć taroków, pagat ultimo, tous les trois!
— Contra!
— Re! — odparował spokojnie pan domu i rozpoczął grę królem czerwiennym.
Papierowy władca zebrał okrężną daninę i nie przebity po drodze wrócił lewą do właściciela. Rozmuski zadał z kolei taroki, zręcznie a z powodzeniem prowadząc inicjatywę gry. Nie pomogły wybiegi chytrych partnerów zastawiających sidła na muzykalnego pagata — przebiegły cytrzysta wymknął się z obieży i zgodnie z zapowiedzią u początku triumfalnie zakończył turę. Rozmuski wygrał.
Powoli, znużonym ruchem zapalił papierosa i zgarnąwszy parę złotówek, zaczął mieszać karty. Fortuna stała dziś wytrwale za jego krzesłem. Hazardował, podwajał i potrajał stawki — zawsze

szczęśliwie: stos złotych i papierowych rulonów po jego lewej ręce rósł bezustannie. Kiedy indziej może by go powodzenie dziwiło — dziś był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać. Grał tylko z automatyczną uwagą, obliczał ze szczególną sumiennością, jakby z obowiązku, w rzeczywistości obojętny.

Właściwie narzucono mu tę grę, do której zupełnie nie był nastrojony. Uległ tylko życzeniu trzech swoich towarzyszy i przyjaciół z sąsiedztwa, którzy po hucznej zabawie w domu przyszłych teściów Rozmuskiego wprosili się doń już późno wieczorem na partię taroka. Cóż było począć? Ludzie mili, szczerze mu życzliwi, a nadto moralni sprawcy bliskiego już małżeństwa, przyjaciele-swaci. Wsiedli do sań i prosto od Załęskich zjechali do dworu Rozmuskiego.

Zjedli krótką, kawalerską przekąskę, wypili parę kieliszków starej, gdańskiej wódki i żwawo zasiedli do zielonego stolika. Rozgrzani siarczystym mrozem, sporą ilością wychylonych napoi i ciepłem dużej, staropolskiej świetlicy, panowie rozobozowali się w domu przyjaciela swobodnie, nie krępowani obecnością kobiet.

Kostrzycki, wesoły, smukły blondyn z bujną, zawadiacką czupryną, zrzucił nawet frak i przewiesiwszy go przez grzbiet krzesła, grał nucąc od czasu do czasu jakąś krotochwilną piosenkę.

Zgorzelski, rosły, barczysty właściciel żytomierskiego klucza, rozparłszy się szeroko w skórzanym, wypłowiałym już mocno fotelu, wtórował mu grubym basem, sięgając w przerwach po butelkę węgrzyna umieszczoną u jego nóg pod stolikiem.

Trzeci z rzędu, szczupły, z zawiesistym, melancholijnie trochę opuszczonym wąsem, Biedrawa, milczał zawzięcie, pykając z krótkiej fajansowej fajeczki.

Na dworze padał śnieg, na szybach malował krzepkie kwiaty mróz, a w kominie buzował pryskający co chwila mietlicą iskier ogień. Zaciszno było w starym dworze, zaciszno i ciepło.

Pan domu był tego wieczora małomówny. Po bladej jego twarzy nie przemknął ani razu uśmiech. Zbywał milczeniem dowcipy przyjaciół, ze spokojnym chłodem odpowiadał na przekorne ich zaczepki. Był w nastroju zgoła nie przedweselnym. Usiłowania druhów, którzy już od lat paru dokładali wszelkich starań, by go wyprowadzić ze stanu zobojętnienia, dziś także spełzły na niczym. Ponura zaduma zagnieździła się w sercu tego zamkniętego człowieka.

Był jeszcze młody i piękny. Spod bujnych, kruczych włosów wyglądało oblicze męskie, o liniach mocno zakreślonych, pełne energii i poczucia siły. Niegdyś należał podobno do najweselszych ludzi w okolicy. Dopiero małżeństwo, zawarte lat temu dziesięć z Jadwigą Grotkowską, zmieniło go najzupełniej. Spoważniał, zaczął unikać towarzystwa, wieść życie w zaciszu domowym.

Różne krążyły pogłoski o pożyciu Rozmuskich i gadatliwa plotka snuła o nim najdziwaczniejsze powieści. Najprawdopodobniej jednak szczęśliwym nie było. Związek tych dwojga wyjątkowych ludzi, dumnych nad miarę i nad wyraz gwałtownych, należał do rzędu tych rzadkich stosunków, które znajdują ujście albo w miłości do zatraty tchu lub — w śmierci. I tę ostatnią drogę obrała Jadwiga Rozmuska. Pewnej zimowej nocy znaleziono ją martwą, z przestrzeloną na wylot piersią, w sypialni męża. W liście ukrytym za gorsetem wyznała ta dziwna kobieta, że ginie z własnej ręki i woli, nie podając przyczyn samobójczego zamachu.

Rozmuski szalał z bólu, wił się z rozpaczy i gdyby nie wyraźne życzenie zmarłej wyrażone w testamencie, by został przy życiu, byłby niewątpliwie poszedł w jej ślady.

Lecz od owej tragicznej nocy chmura bólu nie zeszła z jego czoła. Rozpytywany o szczegóły śmierci i przeszłość małżeńską milczał uporczywie i odmawiał wszelkich zwierzeń. W ogóle nigdy o wypadku i żonie nie wspominał, zawarłszy w sobie przeszłość na żelazne wrzeciądze.

Od tego czasu upłynęło lat pięć. Ból ukoił się, złagodniał i przeszedł w stałe zamyślenie. Dopiero w ostatnich miesiącach Rozmuski jakby otrząsnął się pod dobroczynnym wpływem przyjaciół i z wolna powracał do życia. Wreszcie ustąpił usilnym ich zabiegom i poprosił o rękę bogatej a pięknej Leokadii Załęskiej, córki sąsiada, która podobno od dawna, jeszcze przed zawarciem jego pierwszego małżeństwa, darzyła go cichym, nie odwzajemnionym uczuciem.

Rozpoczęto czwartą partię. Zgorzelski zmieszał karty, rozdał i po przeprowadzeniu licytacji gra potoczyła się od nowa.

Wtem skrzypnęły z cicha drzwi wchodowe i do pokoju wsunął się nieśmiało Filip, stary sługa domu.

Rozmuski usłyszał ostrożne kroki i zwrócił się doń profilem.
— Jaśnie panie!
— Co powiesz, stary?
— Jakaś pani w żałobie czeka w sieni i rada by bardzo w ważnej sprawie widzieć się z jaśnie panem.
Rozmuski spojrzał na zegarek.
— Teraz? O trzeciej po północy? Także fantazja! Pewnie jakaś wdowa po oficjaliście. Nie macie wyobrażenia, kochani — dokończył w stronę przyjaciół — jak mnie nuży ta wieczna żebranina. Nachodzą mnie i dręczą niemal codziennie.
— Jaśnie panie — wtrącił poważnie Filip — znam je wszystkie, bo nie od dziś i nie od wczora tutaj służę — to jest żadna z tych. To jest ktoś inny.
Rozmuskiego uderzyło coś w głosie sługi, bo popatrzył uważnie, po czym wstając od stołu przeprosił gości:
— Wybaczcie, muszę na parę minut przerwać partię, zawrócę. Filipie, przyniesiesz tymczasem panom parę butelek węgrzyna, tego w zielonych flaszkach, wiesz?
— Stanie się, jaśnie panie!
Rozmuski nacisnął klamkę i zniknął w sieni. Za nim milcząco wymknął się z komnaty służący. Goście zostali sami we trójkę.
— A to jakaś romantyczna historia! — zauważył wesoło Costrzycki. — Odwiedziny po północy w grubej żałobie!
— Ej, kto wie — podchwycił krotochwilnie Biedrawa — nasz Stefan nie ma jeszcze jakichś zaległości nowszej daty?
Aha, właśnie i ja o tym myślałem — potwierdził sentencjonalnie Zgorzelski — może jakaś maleńka likwidacja ostatniej doby wdowiego bytowania. A w samą porę się głosiła — za jaki tydzień, dwa mogłoby być za późno.
Tok dalszych uwag przerwało wejście Filipa z węgrzynem. Stary milcząc postawił trzy omszałe butelki na srebrnej, masywnej tacy i odkorkowawszy nalał do dużych szklanic. Obecność starca zmroziła jakoś wesołość. Wiał od niego jakby chłód i utajona niechęć.
Kostrzycki podniósł pod światło likwor i pojąc oczy jego soczystą barwą, przerwał przykre milczenie
— Na zdrowie miłego gospodarza i jego przyszłej pięknej żony!
— Na zdrowie, vivant! Crescent et multiplicentur! — zawtórowali wszyscy trzej chórem, spełniając toast.
Filip nieznacznie skrzywił się i zabierał do wyjścia.
— No, a ty, stary — zatrzymał go w drodze Kostrzycki — nie napijesz się z nami na zdrowie twej przyszłej pani?
Starzec spojrzał nań surowo i odpowiedział spokojnym, równym głosem:
— Nie — dziękuję wielmożnemu panu — za wielki zaszczyt. Zresztą jedną miałem panią w życiu i tej wiernie służyłem, a dziś ona nieboszczka. Stary ja już niezdara — dorzucił z tłumioną goryczą — czas mi już odejść na spoczynek, czas. Nie umiem dwom bogom służyć.
I nie czekając na odpowiedź, skwapliwie opuścił zaskoczonych mężczyzn.
Kostrzycki pierwszy ochłonął ze zdziwienia.
— A to ciekawy stary! Słyszeliście?
— Istotnie, uparty dziwak, któremu trudno nagiąć się do nowych porządków.
— Wiecie — zauważył Biedrawa — wygląda to tak, jakby nie życzył sobie ponownego małżeństwa Stefana.
— Et, głupstwo — zawyrokował Zgorzelski — chyba nie będziemy zastanawiać się nad sympatiami i zapatrywaniami sługi. Szkoda czasu. Lepiej opowie nam Kostrzycki jedną ze swoich kapitalnych anegdot, których spory zapas miewa zawsze pod ręką.
Wezwany nie bronił się bardzo i popiwszy węgrzyna zaczął opowiadać. Historia była nader ucieszna. Za jedną krotochwilą poszła druga, za nią trzecia i dalsze przeplatane częstym wychylaniem szklanek, osnute kłębami tytoniowego dymu, ubarwione pustą piosenką.

Tak mijały niepostrzeżenie chwile i staroświecki zegar rozpięty na kolumienkach wskazywał już czwartą nad ranem.
Podochoceni goście jakoś nie zauważyli przydługiej nieobecności gospodarza i zabawiali się sami w najlepsze. Dopiero wejście Filipa otrzeźwiło trochę zmącone głowy. Biedrawa rzucił okiem na sługę, potem na zegar i nagle spoważniał:
— Filipie, gdzie pan? Czemu do nas nie wraca? Czyżby zapomniał, żeśmy u niego w gościnie?
Dwaj inni również pytająco zwrócili się do starego. Na twarzy sługi widniało trwożne zakłopotanie.
— Pana nie ma we dworze.
— Jak to? Wyjechał?
— Może zamknął się na rozmowę w którymś z dalszych I pokoi?
— Nie, proszę panów. Jaśnie pan jeszcze nie wrócił.
— Więc wychodził z domu? Kiedy? Dokąd? Starzec tajemniczo zniżając głos mówił:
— Było tak. Wyszedłem tuż za panem w sień, gdzie miała oczekiwać go owa pani w żałobie. Rozglądaliśmy się wkoło, ale w sieni nie było nikogo. Jaśnie pan myślał, że mi się przywidziało lub że kpię z niego, i już chciał mnie surowo zgromić, gdy wtem spojrzał ku wyjściu i jakby coś spostrzegł. Ja nic nie widziałem... Pan otworzył drzwi i wyszedł na podwórze, ja za nim, lecz ręką wstrzymał mię i kazał nie ruszać się z miejsca. Potem przeszedł podwórzec, ciągle patrząc prosto przed siebie, jak ślepiec, z wyciągniętymi naprzód ramionami, którego ktoś prowadzi. Tak przeszedł podwórze, klepisko i przez bramę wjazdową wyszedł na drogę przed dworem. Stangret, który drzemał w wozowni, widział go także, jak brnął przez śnieg i otwierał wierzeje — lecz oprócz pana nie dojrzał wkoło ani żywej duszy... I tak wydostał się na czyste pole w mróz, w zawały śnieżne po kolana. Bez płaszcza poszedł, bez czapki, tak jak wstał stąd od stołu. Widziałem go z dworu jak na dłoni. Wyraźnie czernił się na śniegu — noc dziś księżycowa.
— Czemużeś nie zarzucił nań przynajmniej okrycia? — przerwał zmienionym głosem Kostrzycki.
— Tam na polu będzie ze dwadzieścia stopni mrozu.
Stary bezradnie opuścił głowę:
— Nie śmiałem iść za nim: zabronił wyraźnie. W oczach miał przy tym takie błyski, że coś mię od niego odpychało.
— I cóż dalej? Dokąd zaszedł?
— Nie wiem. Widziałem go jeszcze czas jakiś na gościńcu; potem skręcił w lewo...
— W lewo! — podchwycił Biedrawa. — Ależ trakt główny skręca w przeciwną stronę! Na lewo biegnie droga...
— Na cmentarz — dopowiedział półgłosem sługa. — Tam zniknął z oczu...
— Nie ma ani chwili do stracenia — zawołał nagle Zgorzelski, opanowując przemocą dziwne uczucie lęku, jakim I przejęły obecnych słowa Filipa. — Trzeba zwołać parobków i zaprząc dwoje sań. Może go jeszcze ocalimy, o ile dotąd nie zamarzł.
— Parobków już wysłałem — odparł Filip — a sanie wielmożnych panów też gotowe do odjazdu... Złą noc podobno wybrali panowie na zabawę, bardzo złą noc...
Mężczyźni, już na wychodnym, równocześnie zwrócili się pytająco ku starcowi.
— Dzisiejszej nocy — objaśnił — przypada rocznica śmierci nieboszczki pani.
Gdy domawiał tych słów, drzwi od sieni otworzyły się i do pokoju wszedł Rozmuski.
Okrzyk przerażenia powitał go u progu. Mimo woli jak przed widmem cofnęli się wszyscy w głąb sali.
Był blady jak płótno i zesztywniały jakby od mrozu. Gęste okiście szronu srebrzyły się na wąsach, wąska biała taśma lodu obrzeżyła klapy fraka... Patrzył w nich błyszczącymi obłąkaniem i grozą oczyma...
Tak upłynęło parę ciężkich jak wieczność sekund. Wreszcie rzekł bezdźwięcznym, jakimś obcym głosem:
— Zostawcie mnie samego.
Drewnianym krokiem podszedł do fotela pod oknem i runął weń złamanym, bezwładnym ruchem. Znużona głowa opadła ciężko na poręcz. Wtedy spostrzegli, że Rozmuski był siwy jak gołąb...
Milcząc, trzej mężczyźni opuścili pokój i pospiesznie wdziawszy futra, odjechali. Jakiś czas

dochodziły z oddali srebrzyste potrząsy dzwonków i rżenie wypoczętych koni. Potem zaległa cisza.
W trzy tygodnie potem rozeszła się po okolicy wiadomość, że Stefan Rozmuski zerwał z narzeczoną.

Problemat Czelawy

Onegdaj po południu o zwykłej godzinie ordynacyjnej przyjąłem nową pacjentkę: swą wizytą zaszczyciła mnie, początkującego neurologa, pani Wanda Czelawa, żona powszechnie znanego profesora dr S. W. Czelawy, który od szeregu lat, zajmując katedrę w naszym mieście, zdobył sobie sławę wybitnego badacza z dziedziny psychopatologii.
Zjawienie się tej pięknej, ujmującej słodyczą wyrazu kobiety zdziwiło mnie niezmiernie. Nie mogłem zrazu pojąć, dlaczego nie zwróciła się po radę lekarską do męża, który prawdzie w ostatnich czasach ograniczył się niemal wyłącznie do sfery teoretycznych dociekań, mimo to jednak niewątpliwie w tym wyjątkowym wypadku zrobiłby ustępstwo. Dopiero zwierzenia jej, pozostające w ścisłym związku i domniemaną chorobą nerwów, rzuciły nowe światło na pobudki tego kroku. Objawy towarzyszące rzekomej chorobie nosiły istotnie tak specjalny charakter, że pani Wanda nie tylko nie mogła, owszem, nie powinna była szukać pomocy męża.
Z właściwą kobietom subtelnością uczuć zrozumiała, że jakiekolwiek wynurzenia w tym kierunku niechybnie by go obraziły, dotykając boleśnie pewnych strun duszy. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie podczas pierwszej rozmowy, ona bowiem, wyczytawszy w mych oczach zdumienie wywołane niespodziewaną wizytą, pośpieszyła niezwłocznie wyjaśnieniem. Co do mnie, sądziłem, że ewentualne rewelacje przed profesorem raczej by go zaniepokoiły co do własnej osoby; od razu zbudziło się we mnie podejrzenie, że „chorobliwe symptomy", jakie pacjentka przypisywała sobie, należałoby poddać wprost przeciwnej orientacji i przenieść je na męża. Mimo głębokiego przekonania „chorej" powziąłem krańcowo odmienny pogląd na sprawę. Lecz nie chcąc przed czasem niepokoić biednej kobiety, udałem, że „cierpienia" pojmuję w ten sam sposób, określając je poddanym mi przez nią szablonowym terminem jako „lekki rozstrój nerwów, połączony ze sporadycznymi objawami halucynacji wzrokowej". Naturalnie zaleciłem też odpowiednie zabiegi, nie omieszkując prosić o zdawanie mi sprawy od czasu do czasu z wyników kuracji. Na tę niewinną mistyfikację pozwoliłem sobie bez szczególnych wyrzutów sumienia, gdyż w rzeczy samej chciałem zaradzić jeśli nie urojonej według mnie chorobie, to czemuś innemu, co prawdopodobnie kryło się poza tym.
Dziwnym bowiem zbiegiem wypadków parę dni przed konsultacją zaobserwowałem coś, co zwróciło mą uwagę na profesora Czelawę.
Chociaż osobiście nie znaliśmy się dotąd, niejednokrotnie w czasie mych studiów uniwersyteckich słuchałem jego głębokich a oryginalnych wykładów. Mówił wtedy niemal wyłącznie o anormalnych zjawiskach z dziedziny chorób psychicznych. Gruntowna wiedza tego stosunkowo młodego uczonego połączona z genialną intuicją w wyświetlaniu subtelnych i zawiłych problemów zdumiewała mię zawsze, budząc bezwzględny dlań szacunek i uwielbienie. Nieraz zastanawiałem się nad bogactwem zebranego przezeń materiału, który ujęty w szerokie, wolne od akademickiej pedanterii ramy, tętnił gorącą krwią rzeczy osobiście przeżytych.
Gdzie i kiedy mógł ten człowiek obserwować te ponure objawy duszy ludzkiej, te nad wyraz przykre, czasem odrażające obrazy, z których bił czad obłąkań i zbrodniczości? — Oto pytania, które nasuwały się często podczas lekcji profesora.

Potem, gdy stosunek mój z wszechnicą rozluźnił się, gdy zacząłem pracować samodzielnie jako praktyk, zapomniałem o Czelawie i jego erudycji. Osobiście też nie zbliżyłem się doń ani razu i jestem niewzruszenie pewny, że nie znał mnie nawet z widzenia; wiecznie roztargniony, ciągle zajęty ukochanym przedmiotem, nie zwracał uwagi na słuchaczy i nieraz popełniał zabawne pomyłki co do nazwisk Uczniów. Zresztą słuchałem go z amatorstwa raczej niż z konieczności, gdyż specjalny kierunek jego badań nie pozostawał w bezpośredniej styczności z mymi studiami.
Dopiero tydzień temu przypadkowe spostrzeżenie zmusiło mię do skupienia uwagi na tym ciekawym człowieku. Szczególnym zbiegiem okoliczności przed paru miesiącami sprowadził się Czelawa wraz z żoną do domu, w którym mieszkam już od roku. Zajął mieszkanie wspaniałe, rządzone z wyjątkowym przepychem i zbytkiem. Moje pokoje znajdują się tuż nad nim na pierwszym piętrze tylko dwukrotnie złamana linia schodów przedziela mnie i uczonego.
Dzięki niespodziewanemu sąsiedztwu odżyło zainteresowanie, które niegdyś we mnie budził; mimo woli też zajmowałem się nim więcej niż innymi lokatorami.
Wkrótce spostrzegłem, że tryb życia profesora jest nader regularny; z nieubłaganą ścisłością po godzinie ósmej rano opuszczał mieszkanie i szedł na prelekcje, z których wróciwszy koło południa, znów koło trzeciej spieszył zapewne jak dawniej do laboratorium; wieczory zwykle poświęcał żonie, spędzając czas w jej towarzystwie w sąsiedniej kawiarni lub na przechadzce; przed wieczorem był już Czelawa w domu i nigdy nie udało mi się zauważyć, by wracał 5źniejszą porą; zdaje się, że rozrywek nocnych i przedstawień teatralnych nie uznawał. Sądziłem, że życie w tak surowo przestrzeganych normach było dla młodej i pięknej kobiety, jak żona Czelawy, czasami nader przykre i wymagało dużo zaparcia się i rezygnacji. A jednak pani Wanda zdawała się nie odczuwać zupełnie monotonii; twarz jej była zawsze pogodna, a ciemne fiołkowe oczy błyszczały szczęściem, gdy wsparta na ramieniu męża przechadzała się długich alejach miejskiego parku; i nieraz słyszałem w klatce schodowej jej metaliczny śmiech, gdy koło godziny pół do ósmej wieczorem razem wracali do domu.
Wkrótce potem światło w mieszkaniu Czelawy gasło i cały dom pogrążał się w bezwzględnej ciszy; profesor znać lubił wczesny spoczynek.
Tak jednostajnie upływało zewnętrzne życie uczonego, nie przerywane odwiedzinami znajomych, nie mącone żadną dystrakcją, żadnym choćby najlżejszym odstępstwem od codziennej reguły.
Dopiero tydzień temu, a trzy dni przed wizytą pani Wandy, zauważyłem pewien fakt, który przekonał mię, że albo obserwacja nie była dokładną, lub też zaszła jakaś zmiana w dotychczasowym trybie życia Czelawy.
Było to w ubiegły czwartek.
Znużony całodzienną pracą zabawiłem tego wieczora nieco dłużej w amerykańskim barze i dopiero po dziesiątej udało mi się wymknąć z wesołego grona przyjaciół. Czas był chłodny, deszcz lał strugami, wiatr smagał nielitościwie. Z trudem brnąc po wodzie, dotarłem do domu i już miałem wejść do środka, gdy wtem drzwi wchodowe kamienicy otworzyły się i na progu ukazało się jakieś podejrzane indywiduum.
Spostrzegłszy mię, nieznajomy szybko nacisnął na czoło szeroki, czarny kapelusz i oddalił się, lekko utykając, w kierunku miasta.
Stało się to tak prędko, że nie zdołałem dokładniej przypatrzyć mu się mimo szczerej ku temu chęci; zdawało mi się bowiem, że nie bardzo był rad ze spotkania. Mimo to przez błyskawicznie krótką chwilę mogłem widzieć profil twarzy, który mi dał dużo do myślenia: miałem wrażenie, że wychodził z domu Czelawa. Niebawem jednak uznałem przypuszczenie za zbyt niedorzeczne: było zbyt ciemno, by moc rozeznać rysy, a wszelkie domysły w podobnych warunkach są nader ryzykowne. Zresztą strój nieznajomego, bardzo zaniedbany, niemal nędzny, wykluczał coś podobnego. Dziwiło tylko, że otworzył sobie bramę sam, gdyż słyszałem wyraźnie zgrzyt klucza; widocznie więc musiał to być jeden z mieszkańców, któremu gospodarz pozwolił klucz dorobić; z drugiej strony jednak zdziwił mię jego podupadły wygląd; jak na lokatora naszej kamienicy był stanowczo zanadto obdarty. Lecz koniec domysłom położyła coraz mocniejsza ulewa; przestałem oglądać się za znikającą na zakręcie ulicy postacią i korzystając z tego, że zagadkowy gość czy współmieszkaniec drzwi za sobą w pośpiechu nie zamknął, wszedłem do wnętrza domu i wkrótce

potem znalazłem się u siebie.
Nazajutrz rano serdecznie śmiałem się z wczorajszego spotkania i swoich przypuszczeń. I byłbym niezawodnie zapomniał o nocnej przygodzie, gdyby nie pojawienie się u mnie pani Czelawowej w trzy dni potem.
To, co wtedy od niej usłyszałem, zastanowiło mię nadzwyczajnie, naprowadzając na domysł, że może przecież zupełnie się pomyliłem.
Pożegnawszy pacjentkę, jeszcze tej samej nocy zabrałem do wyświetlenia sprawy. Wiedziony przeczuciem, że „cierpienia" pani Wandy pozostają w pewnym związku z moim rzekomym „przywidzeniem", wyszedłem z mieszkania tuż po dziesiątej na platformę schodową i przechylony przez balustradę czyhałem na korytarzu pierwszego piętra, Oczekiwanie nie zawiodło. Gdy już pogasły światła, usłyszałem pod sobą ciche skrzypnięcie drzwi i ostrożnie skradające się kroki: ktoś schodził po schodach w dół. Korzystając z szelestu, jaki mimo wszystko wywoływał ten oględny chód, i ja zszedłem powoli na dół, by tu zobaczyć rysującą się na tle szyb bramy wchodowej ciemną sylwetkę mężczyzny; nie ulegało wątpliwości — było to to samo wydarte indywiduum sprzed tygodnia. Otworzył sobie kluczem drzwi i zatrzymał się na chwilę wejścia, pilnie coś przeglądając na dłoni. Cichy dźwięk metalu przesuwanego palcami ułatwił orientację: przeliczał pieniądze na wychodnym.
Wtem, jakby nie dowierzając oczom, podniósł monetę światło i odchyliwszy głowę wstecz, badał jej wartość, Skutkiem tego twarz znalazła się w promieniu światła gazowej latarni tuż obok domu i wtedy nabrałem przekonania, że nieznajomym jest Czelawa lub też ktoś łudząco podobny. Na razie mi to wystarczyło i zawróciłem na górę. Tu wyciągnąwszy się wygodnie na sofie, zacząłem analizować ciemną jeszcze dla mnie sprawę.
A zatem — profesor czy jego fizyczny sobowtór wymyka się nocami z domu w sposób tajemniczy, ukradkowy i widocznie wcale nie życzy sobie, by go po drodze spotkać. Może czynił to już i przedtem od szeregu miesięcy, lat dopiero przypadek zdradził mi jego wycieczki?
Lecz w jakim celu i dlaczego w tak lichym stroju? Atoli właśnie to przebranie stanowiło punkt łączny ze mierzeniami jego żony i skłoniło mię do stwierdzenia tożsamości nocnego włóczęgi z Czelawą. Bo oto czego dowiedziałem się podczas pierwszej konsultacji z ust profesorowej.
— Od pewnego czasu — mówiła znękana kobieta — ulegam przykrej nad wyraz halucynacji, którą muszę przypisać moim chorym nerwom. W ubiegłą środę udałam się wcześniej na spoczynek, lecz nie mogłam zasnąć mimo wysiłków. Noc była jasna i księżycowe światło padało do sypialni pełnymi strugami. Już chciałam wstać, by zapuścić roletę, gdy wtem drzwi od pracowni cicho otworzyły się i nade mną pochyliła się jakaś postać. Krzyknęłam, instynktownie szukając ręki śpiącego na sąsiednim łóżku męża. Znalazłam ją trupio zimną, jak zwykle u niego podczas snu — lecz Stach nie obudził się. Tymczasem nieznajomy odwrócił się twarzą ku światłu i wtedy z bezgranicznym przerażeniem spostrzegłam, że człowiekiem stojącym w nogach mego łóżka jest mąż w dziwnie zniszczonym ubraniu. Patrzył na mnie wzrokiem, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam: był w nim ohydny cynizm i lubieżność.
Jak sparaliżowana nie mogłam dźwignąć się z łóżka i odpędzić wizji. Wreszcie z ciągle tym samym zwierzęco-namiętnym uśmiechem na ustach cofnął się w głąb pokoju i znikł z powrotem w gabinecie. Po paru minutach usłyszałam, jak ktoś otwierał drzwi od pracowni i wychodził na korytarz. Potem wszystko ucichło.
Przez cały czas bez przerwy trzymałam kurczowo ściskając rękę męża; spał snem kamiennym. Gdy widmo rozwiało się, zapaliłam lampę, by przekonać się, że Stach spoczywa, rozebrany, tuż obok w głębokim jak zwykle uśpieniu. To właśnie umocniło mnie w przekonaniu, że to, co widziałam i słyszałam, było chorobliwą halucynacją nerwów. Od owej nocy powtórzyło się to samo jeszcze dwa razy i z nieopisanym strachem oczekuję codziennie chwili zbliżania się nocnego spoczynku.
— Czy zwierzyła się pani z tym mężowi? — zapytałem, gdy przestała opowiadać.
— Nie, jakaś szczególna trwoga wstrzymuje mię od tego kroku. Gdyby przedmiotem halucynacji był kto inny, nie on właśnie... pan rozumie?
— Tak, łaskawa pani ma najzupełniejszą rację. Nie trzeba mu o tym mówić; właśnie dlatego. Wyjątkowa sytuacja... W tej sprawie jesteśmy zdani wyłącznie na własną pomoc; nie można go

wtajemniczać.
I tu zaleciłem parę nic nie znaczących środków lekarstw na uspokojenie nerwów, prosząc na wypadek powtórzenia się „wizji" o bezzwłoczną relację.
O ile zrazu żywiłem jeszcze pewne wątpliwości co do stanu nerwów pani Czelawowej, przypisując choć w części rozstrojowi „zmorę" nocną, teraz nabrałem przekonania, że nie ma tu mowy o jakiejś chorobie: halucynacja postępowała stanowczo miejsca zagadkowej rzeczywistości. Wszystko było faktem bez wątpienia dziwnym, niemniej realnym.
Z takiego ujęcia rzeczy wyniknął tajemniczy wniosek: należało przyjąć bezwarunkowo obok osoby profesora Stanisława Władysława Czelawy istnienie drugiego osobnika, zupełnie doń podobnego, który zdradzał wyraźną skłonność płciową ku jego żonie. Właśnie ten objaw natury seksualnej zaobserwowany od razu przez nią nie pozwalał na inną hipotezę. Mimochodem uczyniona wzmianka o niezwykle twardym śnie męża i lodowo zimnych „jak zwykle u niego podczas snu" rękach początkowo zdezorientowała mię i chwilami myślałem, czy przypadkiem nie wchodzi tu grę coś w rodzaju duchowego sobowtóra, czyli tak zwanego dwójnika. Lecz po głębszej rozwadze odrzuciłem to tłumaczenie jako zbyt fantastyczne i niezgodne z poglądami lekarza. Jakoż przyszłość wykazała, że miałem słuszność.
Chodziło tylko o stosunek, jaki łączył profesora z jego sobowtórem fizycznym. Nasuwało się pytanie, czy w ogóle wiedział o jego istnieniu, a jeśli wiedział, dlaczego nie starał się przeszkodzie niebezpiecznemu zbliżeniu. Wszystkie te kwestie jednak mogłem rozwiązać tylko pomocy jego żony, której dłużej nie należało wprowadzać w błąd; owszem, obowiązkiem mym było wyjawić swe podejrzenia i skłonić ją do współpracy nad rozwikłaniem tajemnicy.
Dlatego z niecierpliwością oczekiwałem jej przybycia. Nastąpiło niebawem, bo w dzień po stwierdzeniu wycieczek „sobowtóra".
Profesorowa przyszła jeszcze bardziej niż poprzednio zdenerwowana: „halucynacja" powtórzyła się znowu ubiegłej nocy, przybierając formę tym groźniejszą, że wzrok „męża" stał się natarczywszym. Widząc, że biedna kobieta uważa się za poważnie chorą, bezzwłocznie powiedziałem, co myślę o rzekomej wizji. Sąd mój, oparty na dwukrotnej obserwacji, zrobił ogromne wrażenie.
— Ależ, panie doktorze — mówiła zmienionym z przerażenia głosem — coś podobnego byłoby okropnym. Istnienie sobowtóra z krwi i kości, wkradającego się nie wiadomo jak do domu człowieka, który fatalnym przypadkiem jest doń łudząco podobny, byłoby rzeczą potworną. Zaklinam pana na wszystko — proszę nie taić prawdy; widząc jak zaniepokojona jestem stanem mych nerwów, zapewne chciał pan zasugestionować moje obawy, przesuwając właściwe przyczyny zjawiska na coś innego. Lecz środek zawiódł Wszak widzi pan, że przestrach mój, gdybym nawet wzięła pańską interpretację za dobrą monetę, zmieni tylko pobudki, nie tracąc mimo to nic na swej sile.
— Niestety, łaskawa pani, nic na to nie poradzę. To, co powiedziałem, jest mym najgłębszym przekonaniem. Człowiek taki według mnie istnieje. Mówiłem szczerą prawdę. Jeśli zaś dotąd nie zawiadomiłem odnośnych władz, stało się to tylko przez wzgląd na osobę męża pani.
Słowa moje, wypowiedziane spokojnie, tonem niekłamanego przekonania, zachwiały znać wątpliwości pani Wandy. Oparła zamyślone czoło na ręce, spoglądając na mnie wzrokiem zlęknionego ptaka.
— Doktorze — zapytała po chwili milczenia — wyraża się pan zagadkowo. Co rozumie pan przez owe względy, które wstrzymują go od rewelacji publicznej?
— A któż nam zaręczy, czy profesor istotnie nie wie nic o istnieniu tego człowieka?
— Jak to?! — żachnęła się gwałtownie — przypuszcza pan, że pozwoliłby na to, co się dzieje?
— Nie wiem, nic nie wiem, łaskawa pani. Są tylko domysły, niepewne supozycje. Sądzę jednak, że w życiu męża jest jakaś tajemnica, której nikomu, nawet pani, nie może czy nie chce wyjawić. Nie zapominajmy, że jest uczonym. Lecz jeśli już mam skutecznie zająć się tą ciemną sprawą, muszę zadać parę zasadniczych pytań: będą może zbyt niedyskretne, lecz uważam je za konieczne. Zresztą proszę pamiętać, że jestem lekarzem.
— Słucham pana, doktorze.
— O której państwo udają się na spoczynek?

— Mąż punktualnie o ósmej wieczorem. Ja, o ile nie jestem znużoną, czytam jeszcze przez godzinę. O dziewiątej bywam już w łóżku.
— O której wstaje mąż?
— Punktualnie o ósmej rano. Ja zwykle wstaję wcześniej, koło siódmej, by przygotować śniadanie.
— Czy nie odstąpili państwo kiedy od tej reguły?
— Od czasu dziesięcioletniego małżeństwa ani razu, pod m względem Stach jest nieubłagany.
— Hm... Czy nie zastanawia trochę ta nie ugięta niczym punktualność?! Równo dwanaście godzin snu i znów dwanaście godzin stanu jawy.
— Istotnie, w pierwszych latach naszego pożycia było trochę trudno nagiąć się do tego trybu, lecz z czasem przyzwyczaiłam się.
— Wspomniała pani, że ręce męża podczas snu są zwykle lodowato zimne. Czy nie dostrzegła pani innych jeszcze objawów?
Ostatnie pytanie było widocznie bardzo niemiłe, przypominało coś, o czym by się chciało zapomnieć.
Po chwili wahania odpowiedziała:
— Rzeczywiście, mąż mój w uśpieniu sprawia dziwnie przykre wrażenie. Przez całą noc ani na chwilę się nie budzi i wygląda jak martwy: ciało jest przerażająco zimne, nie słychać oddechu, serce przestaje uderzać. Pamiętam okropną noc, gdy to po raz pierwszy zauważam. Myślałam, że nagle umarł. Moje rozpaczliwe wołanie o pomoc zbudziły sąsiadów; natychmiast wezwany lekarz okazał się bezradnym i stwierdził śmierć. Może pan wyobrazić sobie moją radość, przestrach i zdumienie, gdy równo z godziną ósmą rano mąż podniósł się z posłania zdrów i trzeźwy jak zwykle. Lecz i do tego przyzwyczaiłam się powoli.
Słuchałem jej zwierzeń ze wzrastającym ciągle zajęciem.
— Rewelacje pani — zauważyłem — noszą piętno czegoś tak niezwykłego, że chwilami skłaniałbym się do przyznania racji spirytystom. Lecz ponieważ nie mam przekonania do ich teorii, przeto mimo wyraźnych symptomów kataleptycznych u męża łaskawej pani poszukam innej drogi do zbadania prawdy. Nie wierzę przynajmniej w tym wypadku w istnienie tak zwanego sobowtóra astralnego, dwojnika. Lecz aby ten problem rozwiązać, muszę dokładnie przypatrzyć się owemu indywiduum. Czy widziała pani twarz jego przy wyraźnym świetle? Nie próbowała pani ani razu podczas „halucynacji” zapalić lampy?
— Niestety. Byłam zbyt przerażona, by odważyć się na coś podobnego: nie śmiałam ręki wyciągnąć przed siebie.
— Otóż to właśnie. Obojeśmy widzieli niedokładnie: pani przy niepewnym blasku księżyca, ja przy mdłym świetle latarni i z daleka. Trzeba to naprawić.
— Panie doktorze, ja nie mogę dłużej narażać się na podobne eksperymenty; za dużo by mię kosztowały. Jeśli pański pogląd na rzecz jest słuszny, grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Sama nie wiem, jak postąpić. Może by wszystko powiedzieć mężowi i drogą policyjną uwolnić się od natręta?
— A jeśli profesor wie o tym człowieku, z którym może pozostaje w specjalnym stosunku? Nie, łaskawa pani, tego na razie czynić nie można.
— Więc co robić, co robić?!
— Jedyne wyjście, zdaniem moim, jest następujące: gdy mąż zaśnie, proszę zostawić światło w sypialni, samej zaś spędzić noc w innym pokoju, zamknąwszy się szczelnie na klucz. Nie sądzę, by odważył się na wyłamanie drzwi: to by narobiło dużo hałasu i zbudziło cały dom: mimo zuchwałości względem pani człowiek ten jednak widocznie nie wyzbył się całkiem środków ostrożności i liczy się z niemiłymi ewentualnościami. Ponadto proszę mieć pod ręką broń na wszelki wypadek. Lecz jestem pewny, że na razie będzie niepotrzebna. Naturalnie nad ranem, koło siódmej, powróci pani do sypialni, by nie budzić podejrzeń męża.
— Dziękuję panu, doktorze, czuję, że rada znakomita.
— Tylko tymczasowa — znajdę lepszą w przyszłości. Lecz przejdźmy do dalszych kwestii. Wygląd zewnętrzny profesora znam doskonale; miałem sposobność przypatrzyć mu się doskonale niegdyś podczas wykładów i w ostatnich czasach dzięki bliskiemu sąsiedztwu. Niemniej sądzę, że mąż mnie

nie zna z widzenia.
— Jestem tego pewną. Nie zwraca uwagi na otoczenie, tym mniej na ludzi, z którymi nie utrzymuje stosunków towarzyskich.
— Właśnie. To samo i ja zauważyłem. Bardzo mi z tym na rękę.
— Czy zamierza go pan śledzić?! — zapytała trochę pewniej
— Muszę; to mój jedyny środek. Proszę się nie obawiać, potrafię być dyskretnym. Lecz nie odbiegajmy od tematu. Zdaje mi się, mąż utyka lekko na jedną nogę?
— Tak, na prawą.
— Czy powód znany pani?
— Owszem. Uległ podobno w młodości wypadkowi, po którym pozostały wyraźne ślady: na prawym biodrze ma szeroką bliznę.
— Hm... tak. Czy była pani kiedy w pracowni profesora, z której wychodzi i gdzie znika jego „sobowtór"?
— Nie. Tam nie wolno mi wchodzić.
— To dziwne. Więc przecież mąż ma swe tajemnice. Czyż nie starał się umotywować przed nią zakazu?
— Mówił, że czyni to z obawy o mnie. W gabinecie przechowywać ma rozmaite przyrządy naukowe i preparaty, z którymi należy się obchodzić nadzwyczaj ostrożnie.
— Hm... być może. A teraz na koniec pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Jest trochę kłopotliwe, lecz może ułatwi mi zadanie. Czy stosunki małżeńskie państwa są serdeczne?
— Kocham go i uwielbiam. Jest dla mnie dobry, na niczym mi nie zbywa.
— Przepraszam — o tym nigdy nie wątpiłem. Lecz chodzi tu o stosunki płciowe.
Pani Wanda lekko zarumieniła się, odpowiedziała z zakłopotaniem w głosie:
— Pod tym względem należymy do wyjątków. Można by uważać nas za anormalnych: obcujemy rzadko, przy czym nie odczuwamy szczególnej rozkoszy. W ogóle co do mnie, nie uważam aktu płciowego za integralną część współżycia małżonków.
— No tak, rzecz zapatrywania i organizmu.
I na tym zakończyłem posiedzenie, prosząc nadal o częste porozumiewanie się ze mną, konieczne do zamierzonej współpracy. Przyrzekła z wdzięcznością w oczach.
Jakoż od owego popołudnia widywaliśmy się codziennie. Profesorowa zdawała relacje ze swoich spostrzeżeń, które zestawiałem z własnymi, przy czym uzupełniały się i tłumaczyły nawzajem znakomicie.
Jeszcze tego samego wieczora zabawiłem się w detektywa. Chcąc mieć na wszelki wypadek swobodę ruchów w obecności Czelawy i domniemanego „sobowtóra, ucharakteryzowałem się do niepoznania w stylu á la canaille i w wyniszczonym mocno ubraniu czekałem na platformie schodowej.
Po dziesiątej, jak zwykle, otworzyły się drzwi gabinetu profesora i z wnętrza wysunęło się tajemnicze indywiduum. Przeczekałem, aż wyszedł za bramę, po czym przy pomocy własnego klucza wymknąłem się za nim na ulicę.
Szedł szybko w stronę podmiejskich bulwarów, od czasu do czasu oglądając się ostrożnie; wtedy kryłem się za drzewa lub domy, dopóki nie weszliśmy w strefę ludniejszą. Tu byłem już swobodny. Obdartus kluczył po plugawych uliczkach, zanurzał się w jakieś kręte zaułki, gubił w typowych wielkomiejskich culs de sac bez wyjścia, ciemnych i ponurych.
Widocznie był w tych stronach postacią popularną, bo co parę kroków spotykał znajomych, równie jak on wytartych rzezimieszków, którzy witali go serdeczno-grubiańskimi przydomkami. Parę razy ku niemałemu zdziwieniu obiło mi się o uszy imię Stachur.
Wreszcie włóczęga zawinął do jakiejś wielce podejrzanej oberży z charakterystyczną wywieszką: „Gospoda pod Rudą Bertą". Z wnętrza dochodziły już na znaczną odległość pijackie krzyki i śpiewy podochoconych gości. Obejrzawszy raz jeszcze dokładnie rewolwer, ukryty w kieszeni mego postrzępionego surduta, i ja z kolei wszedłem do tego ziemskiego eldorado.
Pierwsze spojrzenie rzucone dookoła pouczyło o tym, gdzie jestem: byłem w jednej z najohydniejszych nor, w jednej z tych tajemniczych kryjówek, w których wylęga się zbrodnia i jej

towarzyszki. W niskiej, beznadziejnie brudnej izbie poruszało się poprzez gęstą mgłę dymu z cygar, fajek i papierosów kilkanaście osób mieszanej płci. Kilku mężczyzn o twarzach zbójeckich grało pod oknem w karty, inna grupa ćmiła zapamiętale tytoń przy pełnych szklankach absyntu; z kątów odzywały się cyniczne śmiechy baraszkujących dziewek przerywane szerokim rechotem wielbicieli. Jakaś kobieta na wpół obnażona tańczyła na stole w takt przygrywających mandolin. Za bufetem drzemała młoda jeszcze, lecz już wyniszczona dziewczyna.

Usiadłem przy jednym ze stołów i zażądałem wódki. Trzeba było od razu wejść w tempo „Rudej Berty" i wstępnym bojem zdobyć sobie prawo obywatelstwa. Zacząłem wtórować dźwiękom instrumentów głosem chrapliwym, sztucznie wyuzdanym, improwizując piosenki zaprawione wisielczym sentymentem.

Sukces był zupełny. Otoczono mię wśród oznak uznania. Po chwilowej przerwie nastąpiły tłumne pytania i indagacje. Przedstawiłem się jako zbiegły z więzienia włamywacz z bogatą i płodną w epizody przeszłością. Rozpoczęła się serdeczna pogawędka, w której wysilałem się na grube dowcipy i opowiadając setne kawały z tysiąca i jednej zbrodni, swoje przejścia z władzami, awantury z agentami policji i tym podobne. Równocześnie śledziłem niepostrzeżenie „sobowtóra". Ten w chwili mego wstąpienia w progi oberży stał w środku izby okolony gromadą towarzyszy, którym powiadał coś arcyzabawnego, bo od czasu do czasu wybuchali salwami śmiechu: brat Stachur był widocznie bardzo dowcipny.

Mogłem teraz przy świetle bliżej mu się przyglądnąć, oto po troskliwym przeprowadzeniu obserwacji stwierdziłem z zadowoleniem, że tego człowieka stanowczo nie można było nazwać sobowtórem profesora Czelawy. Był wprawdzie zadziwiająco doń podobny, lecz nie identyczny. Staranna analiza rysów usuwała wszelkie wątpliwości. Równocześnie miało się wrażenie, że różnice między twarzą Czelawy i brata Stachura wytworzyły się jakby dopiero czasem; mimo woli nasuwała się myśl, że obaj mieli kiedyś twarze najzupełniej jednakowe, które później wskutek odmiennych kolei życia uległy zróżnicowaniu, zatrzymując w liniach zasadniczych elementy wspólne. Przyczyny tego rozdźwięku mogły leżeć zarówno w przejściach duchowych, jak fizycznych. Oblicze Stachura nosiły ślady rozpusty i nocnych hulanek; spod wspaniale sklepionego czoła Czelawy wyzierały jego głębokie oczy, lecz jakby znieprawione obcym mu wyrazem — inteligencja uczonego weszła tu w dziwaczny sojusz z rozbestwieniem. Były to dwie nader do siebie podobne, lecz przecież różne osobowości.

Zauważyłem nadto jeszcze inne, silniej zaakcentowane różnice. Przez czoło Stachura biegła podłużna rysa, jak od rozcięcia ostrym narzędziem lub szkłem, zapewne ślad jakiejś awantury, w które bez wątpienia obfitowało jego życie. Lecz najbardziej zastanawiał jeden szczegół, który od razu wpadał w oko. Profesor utykał na nogę prawą, gdy ruchy Stachura zdradzały podobne ułomności, lecz po przeciwnej stronie ciała; kulał wyraźnie na lewą. Ta różnica, a równocześnie podobieństwo dawały dużo do myślenia.

Postanowiłem z kolei dokładniej zapoznać się z jego charakterem i psychiką, na razie poprzestając na obserwacji z daleka.

Zachowywał się głośno, czując się tutaj jak u siebie. Mówił głosem ochrypłym, tonem drwiąco żartobliwym. Wkrótce spostrzegłem, że mimo powierzchowności zupełnie dostrojonej do tła przecież go wyróżniają. Wyglądało to z zachowania się gości, z pewnego półświadomego szacunku, z jakim się doń zwracano. Być może dlatego, że cynizmem przewyższał wszystkich, być może z innej przyczyny. Przechodził od grupy do grupy, przypijał, poklepywał po plecach protekcjonalnie i podniecał do żartów.

W ten sposób zbliżył się i do kilku apaszy siedzących opodal mego stołu. Zaraz zrobiono mu miejsce i podsunięto świeżą szklankę. Jeden z towarzystwa zaczął coś opowiadać. Rzecz zdaje się zajęła go, rozsiadł się wygodnie i zapaliwszy fajkę przysłuchiwał się z zajęciem.

Zaciekawiony wytężyłem słuch, by pochwycić choć parę słów.

Apasz ze zwycięskim uśmiechem na grubych wargach opowiadał ohydną historię, w której zwyrodnienie szło o lepsze z bestialstwem.

Stachurowi zwierzenia widocznie bardzo przypadły do gustu, bo ciągle uśmiechał się, dolewał mu wina i przerywał od czasu do czasu pytaniami o szczegóły.

Lecz właśnie te pytania przedstawiały mi go w całkiem nowym świetle. Były dziwnie inteligentne, stawiane, rzekłbym, metodycznie. Gdy tak patrzyłem nań, jak siedział rozparty w krześle z oczyma wlepionymi w narratora, rzucając chwilami jakąś uwagę równie bezwstydną jak trafną — mimo woli zestawiałem go z prof. Czelawą: Stachur zdawał się wprost badać towarzysza, który, nie podejrzewając dla mnie oczywistej intencji, wywnętrzał się z naiwnie bezwstydną otwartością. Gdy skończył, Stachur bryznął na pożegnanie przejaskrawionym żartem i zbliżył się do mego stolika. Widząc to zacząłem zmyślać dłuższą historię, w której odgrywałem rzekomo pierwszą rolę; mówiłem płynnie, okraszając rzecz stereotypowymi wyrażeniami z gwary podmiejskiej.
Słuchacze spostrzegłszy zbliżającego się brata przepuścili go bliżej; usiadł obok, nie spuszczając ze mnie oka. Wzrok jego przeszywający, bystry mieszał mię i czułem się nieswój. Lecz Stachur milczał i nie przeszkadzał mi, uśmiechając się czasem nieznacznie Potem nic nie mówiąc odszedł w głąb sali.
Gdy się trochę koło mnie przerzedziło i gospoda z wolna zaczęła się opróżniać, niespodzianie przysiadł się do mnie ujmując poufale za ramię:
— No, towarzyszu miły, sądzę, że będziemy przyjaciółmi. Zdaje się, żeśmy z jednego gniazda ptaki.
Myśląc, że to tylko zwykła forma przyjęcia do grona „Rudej Berty", trąciłem o jego szklankę na znak braterstwa. Lecz wyraz mej twarzy w tej chwili nie podobał mu się widocznie, bo z filuternym uśmiechem zauważył:
— Tylko bez tych stylizowań. Ze mną nie potrzeba. Co innego tamci — wskazał pogardliwie na izbę — my pokrewne duchy; przejrzałem cię na wylot... No — przyznaj się — przyszedłeś tu na studia, co?
Zaskoczony znienacka, patrzyłem nań w osłupieniu. Powoli zorientowałem się. Nie chcąc grać w zupełnie otwarte karty, zniżonym głosem przedstawiłem się jako jednostka wykolejona, niegdyś literat, obecnie z nędzy i rozpaczy szukający pociechy w napoju i obcowaniu z mętami. Uwierzył.
— Widzisz, bratku, od razu poznałem, że tu się coś święci. No, jakoś pójdzie. Będziemy razem studiowali; może coś z tego wydłubiesz. A warto, bardzo, bardzo. Co za typy, co za ludzie! Panorama obłąkań, pandemonium żądz, wykwit zbrodniczości! Pyszne okazy! Słyszałeś, co ten nożownik spod okna gadał przed chwilą?
Zrobiłem potwierdzający ruch głową.
— A wiesz? — acha — jak się wabisz?
— Kazimierz Dzierzba — zmyśliłem naprędce.
— A wiesz, Dzierzbo, co w tym wszystkim najwspanialszego?
Popatrzyłem pytająco.
— Że żaden z tych dobrych ludzi nie przypuszcza, że ich podpatruję. Niby to się gada, przytakuje, dodaje — a wszystko z premedytacją, według planu, metodycznie. Na pasku ich wodzę.
— Słuchaj no, Stachu — przerwałem — a tobie to na co?
— Z amatorstwa, rozumie się, taki sobie dyletantyzm. Uważasz? — odparł szybko.
— Rozumiem; to cię bawi.
— Tak, tak. Wrodzona skłonność do tropienia ludzkiej podszewki. Zresztą jest mi tu dobrze. Potrzebuję ich, nie mógłbym już żyć inaczej. Poza tym lubię bagienko. To mój żywioł.
— A dawniej?
— Jak to dawniej? Masz na myśli moją przeszłość. Hm... tak mniej więcej było od najwcześniejszej młodości. Zawsze ciągnęło mię coś do tych nor. Ot, taki sobie nocny człowiek.
— I to ci wystarcza do szczęścia? Ta nędza — ten brud?
— Ha, tak się jakoś złożyło. — Posmutniał. — Ale wkrótce to się zmieni. I mnie się też należy mój dział. Postaram się o pieniądze.
Patrzył dziko, mściwie, gniewnie.
— Jeszcze poczekam jakiś czas — dodał ponuro — lecz potem... No, ale to ciebie nie obchodzi. Lepiej pogadajmy o czym innym.
I zaczął ze mną formalną dysputę na tle zagadnień psychozy.
Byłem zdumiony. Ten obdartus mówił jak pierwszorzędny psychiatra. Znał wszystkie najnowsze

teorie, wszystkie badania, eksperymenty, zbijał jedne, prostował drugie. Poglądy jego zabarwione silnym indywidualizmem przypomniały mi zaraz prelekcje Czelawy; były momenty, w których powątpiewałem o istnieniu dwóch odrębnych ludzi: brata Stachura i profesora, stapiając ich w jedno. Lecz iluzja rozpływała się za pierwszym rzutem oka na tę twarz obrzękłą od pijaństwa, porysowaną bliznami, na dźwięk tego głosu ochrypłego od nocnych wybryków. Przede mną siedział Stachur, brat Stachur, tylko z kompletnym zasobem
prof. Czelawy. Dziwne to było, tajemnicze, lecz rzeczywiste.
Koło piątej nad ranem rozstaliśmy się. On opuścił oberżę pierwszy, ja wychyliłem się w parę minut za nim, zachowując przyzwoite oddalenie. Szliśmy oczywiście w jedną stronę: by go dalej śledzić, nie potrzebowałem zbaczać od mego mieszkania.
O godzinie za piętnaście szósta, zanim zaczął się ruch kamienicy, otworzył bramę i zniknął we wnętrzu. Znużony całonocnym czuwaniem i ja wkrótce położyłem się na dwie godziny drzemki. Koło ósmej wstałem, by usunąć zbędną już charakteryzację i przebrać się. Wychyliwszy naprędce filiżankę kawy, pospieszyłem na uniwersytet. Tego dnia kończył Czelawa cykl swych wykładów na temat *Psychoza a życie płciowe.* Dla mnie, który już od szeregu przestałem uczęszczać na prelekcje, miała ta godzina szczególny urok. Odżyły wspomnienia, przypomniały się ambicje i kłopoty akademika. Wzruszony witałem stare sale, długie, chłodne korytarze.
Lekcja zaczęła się o dziesiątej. Profesor mówił jak zwykle świetnie, rozwijał swe poglądy jasno, przejrzyście a głęboko. Czuć było jednak w głosie zmęczenie, w ruchach zdenerwowanie i niepokój. W połowie wykładu zainteresowanie słuchaczy wzmogło się: uczony przytaczał przykłady ilustrujące jego teorię. Były nader plastyczne, podane z sugestywną siłą wyrażeń. Lecz z pewnością na nikim nie sprawiły tak silnego wrażenia jak na mnie. Bo któż opisze me zdumienie, gdy pomiędzy wypadkami zboczeń seksualnych zauważyłem historię słyszaną minionej nocy w gospodzie. Profesor powtórzył ją bez zmiany treści, nadając jej tylko stosowną do audytorium formę. Czelawa wyzyskał sumiennie przeżycia Stachura.
Natychmiast po lekcji około godziny jedenastej rano wróciłem do domu i kazałem się zaanonsować pani Wandzie w jej mieszkaniu. Przyjęła mię bez wahania. Mieliśmy czasu dość na pogadankę, bo uczony wracał na obiad dopiero o pierwszej w południe.
Z łatwą do zrozumienia ciekawością słuchałem jej relacji z ubiegłej nocy i rana.
Stosownie do mej rady zamknęła się wczoraj wieczorem koło dziesiątej w pokoju przylegającym do sypialni, zamierzając przeczekać godzinę „halucynacji”. Jakoż po dziesiątej w nocy usłyszała za ścianą ciche kroki. Z zapartym tchem patrzyła w sypialny pokój przez otwór klucza. W środku oświetlonej jasno lampą elektryczną sypialni stał „sobowtór” patrząc z rozczarowaniem na puste jej łóżko. Jakiś czas krążył, jak dziki zwierz w klatce, wreszcie jakby domyślając się, chwycił za klamkę od drzwi do sąsiedniego pokoju. Gdy usiłowania spełzły na niczym, zwinął pięść gestem pogróżki w stronę śpiącego martwo profesora i wyszedł przez gabinet. Wtedy dopiero z uczuciem ulgi udała się na spoczynek.
Nad ranem wstała wcześniej, koło pół do szóstej, i była świadkiem powrotu Stachura. Wyszedł znów na chwilę z pracowni męża, lecz i tym razem nie zastawszy jej jeszcze w pokoju, cofnął się do środka tajemniczego wnętrza. Przez cały czas Czelawa nie ruszył się z posłania, nie otworzył ust. O ósmej zbudził się, zjadł śniadanie i w kwadrans potem odprowadzony przez żonę na schody wyszedł z mieszkania.
— Czy nie wrócił mąż w chwilę potem, by zaglądnąć do pracowni? — zagadnąłem w ciągu rozmowy.
— Z wszelką pewnością nie. Drzwi wchodowe mieszkania zostawiłam otwarte celem przewietrzenia pokoju i sama aż do paru minut po dziesiątej przebywałam w sypialni, od czasu do czasu wychodząc na klatkę schodową. Absolutnie nie było nikogo. Powrót męża nie byłby uszedł mej uwagi.
— Tak, naturalnie. A ja o godzinie dziesiątej słuchałem już osobiście wykładu profesora. Porozumienie zatem ustne wykluczone. Czy mąż nie zaglądnął ani razu przed odejściem do laboratorium?
— Stanowczo nie. Spieszył się tylko niezwykle i był zdenerwowany, jak zresztą w ogóle w

ostatnich dniach. Zdaje mi się, panie doktorze, że on już wie o mojej przeprowadzce do salonu.
— Przypuszczam, że tak, wnioskując z innych objawów.
— Ale w jaki sposób? Czy sądzi pan, że zdołał się już porozumieć z tym ohydnym człowiekiem? Przecież to stało się dopiero dziś w nocy po raz pierwszy.
— Niekoniecznie — może tego nawet nie potrzebuje.
Profesorowa patrzyła wzrokiem wyczekującym wyjaśnień.
— Na razie wstrzymam się z odpowiedzią. Być może wkrótce dowiemy się całej prawdy. Czy nie ma łaskawa pani mi nic więcej do powiedzenia?
— Owszem. Odchodząc, mąż przystąpił do mnie i z rzadkim u niego zakłopotaniem powiedział: „Wybacz mi, że narażam cię w ostatnich czasach na pewne nieprzyjemności, lecz robię to w imię nauki. Zresztą dobrze zrobiłaś usuwając się. Wkrótce zmieni się wszystko pomyślnie. Na wszelki wypadek miej w nocy przy sobie tę broń". I wręczywszy mi browning szybko oddalił się.
— Hm... to ciekawe. Przecież obawia się. Myślę, że w dzień jest łaskawa pani bezpieczną; od ósmej rano do ósmej wieczór.
— Postanowiłam nie rozstawać się z rewolwerem. Jeśli ten człowiek naprawdę istnieje, to sąsiedztwo jego tak bliskie w pracowni jest nader ryzykowne.
— Proszę być spokojną. On teraz najprawdopodobniej nieszkodliwy. Zresztą musimy zaraz tam wejść.
— Gdzie? Do pracowni? To niemożliwe! Mąż nosi klucz zawsze ze sobą.
— Poślemy po ślusarza, proszę się nie obawiać.
— Nie! Nie mogę na to pozwolić. Zauważy.
— Nie ma obawy. Zamek każemy natychmiast naprawić.
Pani Wanda z rezygnacją ustąpiła.
W godzinę potem wszedłem do zagadkowego sanktuarium, gdy profesorowa z trwogą wyglądała z sypialni. Przypuszczenia moje ziściły się najzupełniej; w rzekomym laboratorium zastałem na sofie pogrążonego w uśpieniu Stachura. Nie rozebrał się nawet, leżąc w swym wytartym, zniszczonym ubraniu. Sen jego zdradzał objawy zupełnie podobne do tych, które zauważyła pani Czelawowa u męża; ciało było jakby skrzepłe, lodowate, serce nie biło: Stachur spał snem kamiennym.
Zachęcona przeze mnie pani Wanda podeszła do sobowtóra, by rozpoznać nocnego intruza, który od tylu dni mącił jej godziny spoczynku. Biedna kobieta stała w bezradnej zadumie wobec niezwykłego fenomenu i dopiero na moją uwagę, że czas wracać, ocknęła się z zamyślenia.
Przywołany powtórnie ślusarz naprawił zamek, po czym zatrzasnąłem drzwi „pracowni" z powrotem.
— A teraz — rzekłem na pożegnanie — mam do łaskawej pani małą prośbę.
— Proszę, panie doktorze, o cóż chodzi?
— Pragnę zapoznać się osobiście z profesorem. W tym celu proszę być z nim dzisiaj po południu po piątej w kawiarni, którą państwo zwykle odwiedzają Sposób zawarcia znajomości znajdę sam. Naturalnie nie zdradzi się pani ani słowem. I my również poznamy się dzisiaj dopiero po raz pierwszy. Rozumie łaskawa pani?
— Przystaję z całą gotowością, lecz pod warunkiem, że go pan nie narazi na nic niemiłego. Chcę oszczędzić mu za wszelką cenę kompromitacji.
Zapewniwszy słowem najściślejszą dyskrecję, pożegnałem się i wróciłem do siebie.
Materiał w sprawie Czelawy zebrany od wczorajszej nocy przedstawiał się teraz bardzo zajmująco. Trzeba było tylko przeprowadzić analizę i wyciągnąć wnioski.
Nie wątpiłem już więcej, że między uczonym a Stachurem istnieje specjalny związek psychofizyczny, dzięki któremu stanowi jawy pierwszego towarzyszyło zbliżone do katalepsji, lubo z nią nieidentyczne, uśpienie drugiego; wspólny obu prąd życiowy zdawał się przepływać kolejno od jednego do drugiego, nie pozwalając na równoczesny proces biologiczny; ci ludzie prawdopodobnie nigdy ze sobą nie zamienili ani słowa, nie spojrzeli sobie w oczy — nie mogli nawet, mimo przypuścić się dającej do tego chęci.
A przecież jeden wiedział z przedziwną dokładnością o przeżyciach drugiego. Lecz należało ten punkt ustalić. A jeśli Stachur, nie mogąc się inaczej porozumieć, po każdej przehulanej nocy

zdawał pisemną relację swemu wspólnikowi? I na odwrót?
Musiałem stanowczo poznać się z Czelawą, mieć z nim wspólne jakieś błahe przeżycie, obojętne dla sprawy interesującej równocześnie jego i brata Stachura; o pewne szczegóły związane z tym drobiazgiem można by potem lekko potrącić w obecności nocnego włóczęgi, a jeśli odpowie stosownym rezonansem, przypuszczenia moje co do tożsamości pamięci u obu i związanych z nią kwestii będą niezbitym pewnikiem.
Dlatego z niecierpliwością czekałem na godzinę piątą wieczorem, o której miało nastąpić poznanie.
Jakoż koło wpół do piątej zjawili się Czelawowie w kawiarni. Profesor zajął miejsce obok żony pod oknem i zatopił się w czytaniu dzienników. Przysiadłem się do sąsiedniego stolika, składając oględny ukłon pani Wandzie.
Skończywszy przegląd pism, Czelawa wszczął obojętną rozmowę z żoną. Byłem w kłopocie, jak zawiązać znajomość; lecz szczęście mi sprzyjało. Uczony, zapalony szachista, zaczął po chwili utyskiwać, że nie ma zwykłego partnera, za którym bezskutecznie rozglądał się po sali. Skorzystałem ze sposobności i zbliżywszy się do jego stolika, przedstawiłem się proponując partię szachów.
Czelawa, lubo nieco zdziwiony, przystał z ochotą i zaczęliśmy grę.
Przyznać muszę, grał świetnie, lecz i ja mam pewną wprawę; toteż szczęście kampanii ważyło się na obie strony: raz ja dostałem mata, to znów on poniósł porażkę. Powoli roznamiętnił się i sam zażądał odwetu.
Przez cały przeciąg gry mówiliśmy mało; raz tylko spojrzenie jego zamyślonych oczu spoczęło na mnie nieco dłużej.
— Wie pan — zagadnął, zatrzymując rękę na poruszonej figurze — zdaje mi się, że my się skądś znamy. Ale gdzie to być mogło? Twarz pańska tak mi kogoś przypomina.
— Bardzo możliwe, panie profesorze; byłem pana długoletnim słuchaczem — pospieszyłem z wyjaśnieniem.
— Ach tak, ma pan rację. Lecz tyle się co roku przesuwa przede mną twarzy, że trudno zapamiętać.
I uspokojony posunął wieżę.
Tymczasem czas upływał szybko i zbliżała się fatalna j godzina ósma. Czwarta z rzędu partia, którą zaczęliśmy po i siódmej, przeciągnęła się zapowiadając się na dalszą metę. Umyślnie zastanawiałem się dłużej nad każdym ruchem i wikłałem sytuację. Czelawa niecierpliwił się i ciągle spoglądał na zegarek. Wreszcie, gdy była już za piętnaście ósma, przerwał grę w bardzo naprężonym momencie i przeprosił za zawód.
— Mam dziś jeszcze posiedzenie o ósmej — skłamał niezręcznie. — Lecz partię tę musimy rozstrzygnąć jutro. Położenie nader zajmujące. Może byśmy zapamiętali sobie obecną sytuację. Wszak mi pan nie odmówi, nieprawdaż?
— Z prawdziwą przyjemnością, panie profesorze.
I uważnie rzuciwszy raz jeszcze okiem na szachownicę, rozstaliśmy się.
Powróciwszy do siebie, przeprowadziłem znów metamorfozę mojej osoby w stylu z wczorajszej nocy i przed jedenastą siedziałem już w oberży. Brat Stachur spóźnił się nieco i przyszedł do mnie w bardzo złym humorze. Zaraz na wstępie zażądał paru szklanek absyntu i wychylił duszkiem jedną po drugiej: niechybnie zamierzał się upić. Jakoż po północy szalał już na dobre.
W stosownej chwili odciągnąłem go na stronę, proponując grę w szachy.
— Wiesz — zagaiłem — jeden z moich znajomych zadał mi wczoraj do rozwiązania łamigłówkę szachową. Wyobraź sobie, grał z jakimś jegomościem, lecz z braku czasu musiał grę przerwać. Końcowy układ figur zapamiętał, obiecując sobie dokończyć partię później. Sytuacja bardzo ciekawa; może byśmy ją rozwiązali we dwójkę; weźmiesz białe, których pozycja korzystniejsza. No, jakże, będziesz grał, Stachur?
— No, dobrze, literacie — odparł trochę rozczulony — ustawiaj, ale prędko, bo mam dziś do załatwienia jeszcze jedną arcyważną sprawę.
Zacząłem ustawiać szachy, odtwarzając sytuację z nie rozstrzygniętej partii z profesorem. Pamięć mam niezłą i wkrótce zrekonstruowałem pozycję czarnych.
Przeszedłszy następnie do reprodukcji strony przeciwnej, umyślnie postawiłem trzy figury na niewłaściwym miejscu, celowo fałszując rzeczywistą sytuację.

Stachur spojrzał uważnie na szachownicę, potem podniósł na mnie badawcze oczy:
— Jak się nazywa ten twój znajomy, który przerwał tę partię? — zapytał zaciekawiony.
Wymieniłem obojętnie swoje właściwe nazwisko.
— Aha! Tak, prawda, wszystko w porządku. Ale, wiesz co, kochany Dzierzbo? Albo tobie, lub też temu młodemu lekarzowi nie dopisała pamięć. Popełniłeś w trzech miejscach pomyłkę.
I spokojnie przesunął figury na właściwe pozycje.
Chociaż czekałem na to, mimo to trudno było oprzeć uczuciu zdumienia. Stachur zauważywszy wyraz mej twarzy, zaśmiał się triumfująco:
— No cóż, nieprawdaż, że tak stały?
Przyznałem bez wahania.
— Ale skąd u licha możesz coś podobnego wiedzieć? Chyba nie na podstawie techniki szachowej? Popełnione przeze mnie istotnie pomyłki nie sprzeciwiają się w niczym logice gry.
— Wiesz co, Dzierzba? — rzekł po chwili. — Zostawmy w spokoju te figurki. Zbyt dziś jestem wzburzony, by grać dobrze. Natomiast zajmijmy się czymś innym. Nie przypuszczasz nawet, o jak ciekawą sprawę potrąciłeś, zadając mi przypadkiem swoją zagadkę. Lecz ja ci zadam jeszcze ciekawszą, o jakiej się jeszcze nie śniło naszym filozofom... Zuziu, serdeńko, podaj no jeszcze szklaneczkę! — krzyknął na młodą kelnerkę przechodzącą obok i objął ją szerokim uściskiem.
Dziewczyna wymknęła się zręcznie, by wkrótce wrócić z żądanym napojem. Stachur posadził ją sobie na kolana i obsypawszy całą gamą gminnych czułości, wypuścił z powrotem ze swych objęć.
— Teraz możesz odlecieć, turkawko.
— Setna dziewka — zwrócił się do mnie wskazując na oddalającą się — co za ciało! Specjały, literacie, frykasy! Radzę ci umizgnąć się. Nie pożałujesz. Ale to są sprawy (drugorzędne w tym momencie. Zacznijmy dyskusję subspecie aeternitatis.
Wyciągnął daleko przed siebie nogi, łyknął haust absyntu i patrząc mi w oczy z zagadkowo tajemniczym wyrazem, zaczął:
— A wiesz, Dzierzbo, z kim grał w szachy twój doktor?
— Skądże mam wiedzieć? O nazwisko partnera nie pytałem.
— Ze mną.
Stachur z widoczną satysfakcją śledził wrażenie wywołane tą enuncjacją.
— Wolne żarty. Kpisz czy o drogę pytasz?
— Mówię całkiem serio. Pan doktor grał wczoraj wieczorem koło siódmej tę partię ze mną vulgo z profesorem Czelawą.
— Kłamiesz, Stachur. Czelawę znam z wykładów uniwersyteckich, lubo nie osobiście; był niegdyś mym profesorem; wykładał psychologię stanów anormalnych.
— Bajecznie! Cudownie! Witam cię, kochany uczniu! Stachur kordialnie ujął mię w ramiona.
— Zwariowałeś?
— Ani trochę. Brat Stachur i prof. S. W. Czelawa to jedna jaźń w dwóch formach, to jest w dwóch ciałach. Rozumiesz, serdeńko?
— Ani trochę.
— Non fa niente, ragazzo mio, non fa niente. Oto nieco z grubsza ciosana parabola; trochę może ordynarna, lecz zastosowana do tutejszego środowiska. — Sięgnął po brudny kufel od piwa, przelał doń część absyntu ze swego kieliszka i postawił przede mną oba szkła.
— Widzisz ten drogocenny płyn?
— No, cóż z tego?
— Przez ściany kufla przegląda mętnie, w kieliszku świeci jak łza. Nieprawdaż? A przecież i tu, i tam ciecz ta sama. Kwestia oprawy, serdeńko, kwestia ram. Ostateczny wygląd i wrażenie są tu wypadkową treści i formy, chociaż w obu identyczna treść się powtarza. Lecz i forma ma głos, kochasiu, i to lube ciało, a jakże, i to biedne, posiniaczone w nocnych bitkach, pokrajane od razów, obrzękłe od trunków i łajdactwa ciało. No, rozumiesz nareszcie?
— Rozumiem.
— Chwała Bogu, pardon, demonowi życia, nie wierzę w Boga. Nie ma to jak literaci. Wszystko rozumieją, na wszystko się zgodzą z wyjątkiem grzechów przeciw sztuce. Lecz by mnie zrozumieć,

trzeba trochę cierpliwości i czasu.
Pociągnął z kieliszka i mówił dalej tonem spokojnego opowiadania.
— W roku 1867, 20 lutego, w miasteczku N. pojawił się na świecie dziwny kaprys natury: pewnej parze małżonków urodziło się dwoje męskich bliźniąt zrosłych biodrami. Po szczęśliwym przeprowadzeniu operacji jedno zapadło w dziwny stan martwoty, by po dwunastu godzinach śmiertelnego snu wrócić do stanu jawy, gdy równocześnie drugie niemowlę uległo symptomom przebytym uprzednio przez pierwsze. Władze duchowne były przy udzielaniu chrztu w niemałym kłopocie. Konsylium uczonych i lekarzy zajęło się żywo fenomenalnym wypadkiem by wreszcie orzec, że najprawdopodobniej ma się tu do czynienia z jedną jaźnią o podwójnej osobowości empirycznej. Energia psychiczna ożywiająca nasze ciała była jedną i tą samą, a stąd i pamięć wspólna; tak, siła duchowa była identyczna, lecz nie była: to były dwa różne ustroje fizyczne. Każdy z nas jakąś osobowość empiryczna przedstawia wypadkową dwóch elementów, z których jeden jest nam wspólny.
Następstwa tego kaprysu życia rzucają się w oczy przy pierwszym zestawieniu: mój organizm, pobudliwszy pod względem płciowym, wpłynął też zasadniczo na ukształtowanie charakteru, który porównany z usposobieniem profesora razi wyuzdaniem. Być może z tego źródła wypływa moje umiłowanie brudu i plugawego życia. Lecz pamięć i inteligencja są naszą wspólną własnością, zarówno co do siły napięcia, i jakości.
Ja byłem już od początku człowiekiem nocy, nie znałem dnia i jego spraw. Noc i jej mrok rozpostarty nade mną od kolebki opiekuńcze swe skrzydła.
Zrozumiesz trudności wychowania. Utraciliśmy rodziców w siedemnastym roku życia. On, to jest ja pod postacią dzisiejszego profesora Czelawy, miał charakter zimny, spokojny, niemal bezpłciowy. To ułatwiło mu studia, pozwoliło na inicjatywę. Wyjechaliśmy za granicę. Słuch o nas zaginął.
On zaopiekował się mną — cha! cha! zaopiekował! Niech mu kat świeci! Wstydził się mnie, ukrywał przed światem, trzymał przed ludźmi w tajemnicy moje istnienie.
Uległem od razu z pokorą bydlęcia; i to jasne: w obu współdziałała przecież ta sama inteligencja, ten sam spiritus movens, ta sama pamięć. Ujarzmił me ciało. Zresztą szedłem mu na rękę po części dzięki mym wcześnie wybujałym popędom. Stałem się wkrótce karczemnym hulaką, gwałcicielem kobiet, zwyrodnialcem; mam parę egzystencji ludzkich na sumieniu, che, che, na sumieniu. Popełniłem parę zbrodni. Udało się jakoś wymknąć, zatuszować.
— Czy nie starał się uwolnić od ciebie?
— Zrazu tak; potem wpadł na piekielny pomysł, dzięki któremu stałem się mu nieodzowny. Został profesorem uniwersytetu, wielkim psychologiem i postanowił z katedry wyzyskiwać bezczelnie moje najserdeczniejsze przeżycia.
Łajdak! Wygodnie się urządził mając do dyspozycji dwa ciała. Od lat śpię jak pies w zamkniętym, nigdy nie opalanym gabinecie, by w nocy żyć z tych paru ochłapów monety, które mi łaskawie odstępuje. Sknera!
Nawet ubrać się nie mam za co. Chodzę w jego znoszonym ubraniu. Kutwa!
— Jak długo zamierza przeciągnąć to współbytowanie w tak bliskim sąsiedztwie? Musicie chyba znać obaj najtajniejsze drgnienia swych myśli?
— Oczywiście. Uważasz, Dzierzba — ten egoista w profesorskim birecie postanowił z siebie i ze mnie, przede wszystkim ze mnie, zrobić naukowy problem, nad którym pracuje już od lat. Dzieło już na ukończeniu; lada dzień zechce mnie się pozbyć, wycisnąwszy przedtem jak cytrynę. Lecz ja go uprzedzę! — dodał z dzikim błyskiem w oczach.
Zadrżałem.
— Przecież on musi wiedzieć o twych względem niego zamiarach?
— Naturalnie, że wie.
— Dlaczego więc nie przedsiębierze środków ostrożności? Czyżby igrał z niebezpieczeństwem?
— Cha, cha! Otóż właśnie! Pan profesor przeliczył się w rachubach. Zbyt silnie ufa w dotychczasową przewagę naszego wspólnego spiritus movens, naszej wspólnej jaźni. I po części ma rację. Zawsze dotąd wstrzymywał mię od samodzielnego czynu jakiś sprzeciw wewnętrzny. Lecz i

organizm ma głos swój i prawa, kochany Dzierzbo, tak jest, i to spodlone, zawsze lekceważone przezeń ciało. Pijany dziś jestem i silny. Przeciągnął strunę. Ostatni eksperyment, ten zwornik jego pracy, korona, która uwieńczyć ma jego dzieło, zawiódł haniebnie, rozpętując we mnie tej nocy niepohamowany już bunt; wywabił z kryjówek ciemne siły, które go zniszczą. Dlatego dziś właśnie stawiam wszystko na jedną kartę i mówię swobodnie. Chyba mnie nie wydasz?
— Bądź spokojny. Mówisz o końcowym eksperymencie, co miałeś na myśli?
— Cha, cha! Ciekawy eksperyment, jedyny w swoim rodzaju! Jego przedmiotem Wanda Czelawowa. Ten człowiek zimny jak ryba, niemal aseksualny, ożenił się z kobietą piękną, bardzo piękną i młodą. Zamęcza ją, poświęcając na ołtarzu swej wielkiej nauki.
Oczywiście wiedziałem o jej istnieniu i jak wygląda.
Podobała mi się diabelnie i zapragnąłem. Ty wiesz, co znaczy dla takiego jak ja osobnika pragnienie fizyczne kobiety, pożądanie jej? Sprzeciwiał mi się zrazu wewnętrznie, nie pozwalając nawet wchodzić do ich sypialni. Lecz żądza moja wzrastała, ta niesyta żądza, która u niego jest niemal w stanie zaniku. Wreszcie uległ i pozwolił ją widywać nocami; chciał, widzisz, i z tego ciągnąć zyski, stworzyć jeszcze jeden konflikt w naszej symbiozie i włączyć ciekawe, stąd płynące przejawy, jako ogniwo ostatnie w łańcuch swych doświadczeń, pragnął wypróbować w tym kierunku władzę, jaką miał nade mną.
Jakoż ograniczałem się długi czas do spojrzeń. Kobieta zrazu nie wiedziała o moich nocnych wizytach, dopiero wczorajszej nocy zauważywszy mię skryła się w sąsiednim salonie. Lecz nie ujdzie mi. Dziś już przypuściłem szturm do zamkniętych drzwi i dopiero gdy zaczęła krzyczeć, z obawy pobudzenia lokatorów uszedłem, by się upić i nabrać odwagi. Zbyt mię rozdrażniła. To skończy się dla nich fatalnie. Seksus, mój kochany, to nieobliczalny element. Dziś jeszcze wrócę, posiądę Wandę, zabiorę pieniądze, a samego uduszę jak psa. Jeśli tego dziś nie zrobię, jutro on ze mną postąpi podobnie.
Domawiając tych słów Stachur porwał się z krzesła i wyzywająco patrzył w dal. Był straszny. Ostre, białe zęby jak kły rozwścieczonego dzika błyskały z wykrzywionych pasją ust, zlepione potem włosy spadły w nieładzie na czoło.
— Masz słuszność — rzekłem, siląc się na chłodny spokój — ja ci w tym dopomogę.
— Ty?! — spojrzał na mnie wzrokiem pełnym wdzięczności. — Dziękuję! Dzielny z ciebie chłopiec. — Uścisnął mi rękę.
— A zatem w drogę zaraz! Już późno: szósta nad ranem. Gotowi nam przeszkodzić.
Wyszliśmy.
Był jasny, słoneczny poranek. Zbudzone już miasto szemrało pogwarem wstających głosów życia. Po zaułkach tułały się wypłowiałe postacie kobiet, z knajp wymykali chyłkiem nocni goście. Jakiś włóczęga ziewnął szeroko, prostując znużone ramiona i powlókł się dalej chodnikiem. Po drodze skrzypiały pod stosem jarzyn wózki przekupniów, rozlegał się ciężki stukot miejskich furgonów.
W przestworzu snuły się zaranne dymy fabryk, przesłaniając od czasu do czasu czerwony krąg słońca nad farnym kościołem. Rzeźwy dreszcz brzasku wstrząsał ciało, rozlewając w powietrzu krzepką woń ozonu.
Stachur szedł spiesznie, nerwowo, co chwila spoglądając na zegarek. Dotrzymywałem mu kroku w milczeniu. Koło siódmej wchodziliśmy do bramy. Szczęściem na schodach nie było nikogo. Stachur otworzył gabinet, przepuścił mię do wnętrza, zamknął za sobą drzwi od korytarza i nie zatrzymując się ani na sekundę w pracowni wprowadził mię do sypialni.
Serce biło mi młotem i fala krwi uderzyła w głowę. W pokoju zastaliśmy w uśpieniu tylko profesora, pani Wandy nie było; widocznie zmęczona przejściami ubiegłej nocy jeszcze się nie obudziła.
Stachur wlepiwszy drapieżny wzrok w śpiącego wskazał mi go ruchem ręki:
— Patrz, to ten! Zdławię go jak psa!
I już ruszył ku łóżku z wyciągniętymi przed się rękoma, gdy nagle wydobyłem z kieszeni browning i równocześnie chwytając go za piersi, krzyknąłem:
— Ani kroku dalej!
Stachur szarpnął się, lecz wymierzona wprost w piersi lufa rewolweru poskromiła go.

— Ha! — syknął przez zęby. — Kto ty jesteś, podły zdrajco?!
Wymieniłem swoje właściwe nazwisko. Na dźwięk imienia Stachur wpił we mnie badawcze spojrzenie i nagle zrozumiał.
— Łotr, podlec, pan doktor! — mruknął pieniąc się z wściekłości. — Także eksperymentator! Tej samej nędznej sorty, co ten w łóżku, jego uczeń! Puść mię, bo narobię hałasu!
— Nadaremnie grozisz: teraz i tak nie obejdzie się bez skandalu.
— Puść mię na wszystko święte! — jęknął, zmieniając ton. — Gdy się zbudzi, zabije mię!
— Bądź spokojny. Nie mogłem tylko dopuścić do zbrodni. Musimy czekać.
Gdy domawiałem tych słów, drzwi od salonu odemknęły się i w progu z bronią w ręku stanęła blada jak ściana pani Wanda.
— Proszę się niczego nie obawiać — uspokoiłem ją. — Jest w moim ręku. Zaczekamy do godziny ósmej.
Profesorowa usiadła w fotelu obok łóżka z niepokojem poglądając to na nas dwóch, to na męża, to na zegarek. Tak w milczeniu przeczekaliśmy trzy kwadranse, długie jak wieki. W miarę jak wskazówki zbliżały się do fatalnej godziny, niepokój Stachura wzmagał się, przechodząc w rozpacz. Błagał, by go puścić. Musiałem uspokajać, upewniając, że w mojej obecności nic mu się nie stanie. Lecz konfrontację wobec osoby trzeciej uważałem za konieczną do statecznego rozwiązania sprawy. Mimo to Stachur usiłował parokrotnie wydrzeć mi broń z ręki. Lecz nie udało mu się.
Na pięć minut przed ósmą przerażenie biedaka doszło do szczytu; wyglądał jak obłąkany. Wbite nieruchomo w tarczę zegara oczy śledziły ruch nieubłaganie posuwającego się indeksu, złączone ręce kurczowo wyginały palce, potem zesztywniał, białka oczu poszły w górę i bezwładem ciężaru, wymykając mi się z rąk, runął na posadzkę.
Zegar wydzwonił ósmą.
Usłyszałem ciche westchnienie ulgi z piersi pani Wanty:
— Zasnął.
Lecz w tejże chwili drgnienie życia wstrząsnęło martwym ciałem profesora i podnosząc się z łóżka zaczął przecierać ręką czoło i oczy. Nagle otrzeźwiawszy z resztek snu, zorientował się. Spojrzał przytomnie na nas, na leżącego jak trup na dywanie włóczęgę i w lot przypomniał sobie wszystko. Postanowienie szybkie jak błyskawica mignęło w sinych, bystrych oczach. Jednym skokiem zbliżył się do żony, podjął opuszczony przez nią na podłogę rewolwer i zanim zdołałem przeszkodzić, wypalił do Stachura. Strzał był celny: zgruchotał mu czaszkę. Śpiący nie drgnął.
Lecz prof. Czelawa chwycił się ręką za czoło, przyciskając je w miejscu, które odpowiadało ranie zabitego. Po czasie odjął rękę i patrząc na drżącą jak trzcina żonę szepnął:
— Działanie reperkusji.
I wskazał ręką na czole okrągłą, czerwoną plamę, jakby od silnego uderzenia. Po chwili zwrócił się znów do żony:
— Odejdź stąd, Wandziu, widok zwłok działa na ciebie. Nie popełniłem zbrodni: miałem prawo rozporządzać wedle woli tym ciałem.
Profesorowa oddaliła się.
Wtedy Czelawa postąpił ku mnie:
— Panie doktorze! Dziękuję za pomoc i ratunek. Problemat mojego życia rozwiązany. Proszę pana na świadka w tej wyjątkowej sprawie. Musimy zaraz donieść władzom i usunąć trupa.
I popatrzył na zwłoki Stachura dziwnym, zagadkowym spojrzeniem.
Patrzyłem i ja przejęty grozą i zdumieniem. Niespodziewanie uczułem jakiś głęboki, przejmujący ból: żal mi się zrobiło tego nędzarza, tego genialnego pouvre diable, człowieka nocnych mroków i zbrodni, tragicznej igraszki życia.
I skłoniwszy się, bez słowa odszedłem.
W dwa tygodnie po zaszłym wypadku zasiadł na ławie oskarżonych przed sądem w P. prof. dr S. W. dwojga imion Czelawa obwiniony o zabójstwo. Po przeprowadzeniu śledztwa i przesłuchaniu świadków uwolniono podsądnego dwudziestoma trzema głosami przeciw trzem od winy i kary.
W dwa lata potem wydało londyńskie towarzystwo naukowe dzieło prof. S. W. Czelawy pod

tytułem: *The soul and the body or the history of a man with two bodies. The problem of my Life*[1]. Do tekstu dołączył autor dwie podobizny: swoją i brata Stachura.

Saturnin Sektor

Ktoś mnie wypatrzył! Ktoś wytropił! Tak żyję odosobniony, tak obcy gwarowi świata — a przecież znalazł się ktoś, co mnie śledzi z daleka. Z powodzi trwania wyłonił się fakt w bliskiej ze mną styczności, ze mną „obłąkanym", jak orzekli ludzie roztropni, osobnikiem. Szczególne, szczególne! W jednym z pierwszorzędnych dzienników ukazał się pod datą dwudziestego lipca tak zwanego bieżącego roku (mówiąc ich trybem) znamienny artykuł pt.: „Ewolucja czasu". Autor podpisał się inicjałami S.S. Rozprawa pisana cięto, mocno i pewnie, jak na tych przystało, co krzepko trzymają się „życia" i w „rzeczywistości" nurzają się po szyję. Wartość jej dla mnie żadna — punkt widzenia oczywiście „realny", z tej strony świata wyrosły. Panegiryk dla ludzkiego intelektu i jego wytworów.

Lecz obchodzi mię z innych względów. Artykuł jest wyraźnie skierowany przeciwko mnie, przeciwko moim przekonaniom o tak zwanym czasie. Nieznany autor pisze jakby obronę czasu, usiłując zbić moje zarzuty, które zdaje się znać doskonale. Ale skąd? W tym moment tajemniczy.

Nigdy ani słowa nie zamieniłem z nikim na temat czasu i jego nieistnienia, nie wygłosiłem ani jednego odczytu, nie wydałem najmniejszej broszury ni książki. Rozprawy mojej O *fałszywym pojmowaniu tak zwanego czasu, i o jego fikcyjności* nie czytał nikt na świecie. O istnieniu podobnej pracy nikt nie wie, nie może wiedzieć. Żaden z nielicznych znajomych, którzy i tak po mym powrocie z domu zdrowia usunęli się ode mnie skwapliwie, nawet nie przypuszcza, że w ogóle tym problemem kiedykolwiek się zajmowałem. Owoc kilkuletnich mych rozmyślań spoczywa cicho w czarnej ceratowej teczce tu w biurku, w tajemnej skrytce na prawo, dokąd nikt się bez mej wiedzy nie dostanie. To wykluczone. A jednak ten człowiek zna na pewno treść manuskryptu, umie go na pamięć, na wylot. I usiłuje zbić mój, jak się wyraża, „pogląd" — głupiec! moją pewność. Nawet porządek myśli ten sam, nawet kontrprzykłady czerpane z tych samych dziedzin. Przeciwnik podchwytuje me zwroty, definicje, przemianowuje świeżo przeze mnie odkryte wartości i pojęcia na swój tryb, przenicowuje bezwstydnie na swą modłę wyniki żmudnych badań mojego całego życia. Dziwne to, dziwne, arcydziwne!

Więc chyba wyczuł mnie jakimś sposobem, wyczytał myśli z oddali i odpowiedział na nie rezonansem wroga. Musi zatem istnieć między nami jakiś tajemny stosunek, jakaś więźba duchowa, która umożliwia coś podobnego.

Lecz ja sobie tego wcale nie życzę. Nie lubię, by mnie kto podpatrywał choćby bezwiednie, choćby na odległość. Istnienie tego człowieka jest mi bardzo nie na rękę i postaram się go usunąć za wszelką cenę.

Na razie nie wiem o nim nic. Byłem już w redakcji dziennika i zapytałem wprost o nazwisko autora. Odpowiedziano mi, że go nie znają. Rękopis przysłał ktoś pocztą, ktoś mieszkający w miejscu, lecz bez podpisu — były tylko inicjały S.S. Artykuł był ciekawy, poruszał temat aktualny, traktowany naukowo, w formie wzorowej, bez zarzutu. Więc wydrukowano.

Może prawda — a może kłamią — tajemnica redakcyjna. Lecz mi nie ujdzie! Odnajdę go prędzej, później — nie w zwykły, to w mój sposób. Mam za sobą ich pomoc: tajemną, niewidzialną dla oka

[1] Dusza i *ciało, czyli historia człowieka o dwóch* ciałach. *Problemat mojego życia.*

„zdrowych”. — Odwiedzają mnie niemal codziennie i wiodą długie, poufne rozmowy. Dostęp do mnie ułatwiło im me „obłąkanie”...
Głupi ludzie „zdrowi”, „normalni”! Jakże mi ich żal serdecznie! Nie znają wielkiej drugiej połowy bytu ci żebracy poznania. Trzymają się tylko oburącz „rzeczywistości”
poza nią świata nie widzą. Ślepcy dozgonni, dopóki im „śmierć” nareszcie nie otworzy bram, co wiodą na tamtą , stronę.
Należę do nielicznych wybrańców, którym wolno bezkarnie przechodzić z jednej w drugą dziedzinę. Dzięki memu „obłąkaniu” stanąłem na rubieży dwóch światów. Może właśnie dlatego wydaję się innym, anormalnym, szalonym. Może właśnie dlatego wyzwolony jestem z przesądów mózgu i ciemnego ich „intelektu”. Twory ich są mi obce i nie zobowiązują do niczego; pojęcie czasu dla mnie nie istnieje. A jednak coś pozostało jeszcze z przywar tej strony: nie mogę zdobyć się na zatratę poczucia przestrzeni, która wciąż jeszcze przemawia do mnie głosem mocnym, rozkazującym, potrąca lekceważąco bryłowatością przedmiotów, męczy tęskniącą nudą długich bez końca gościńców. Dlatego nie jestem czystym duchem tylko „obłąkanym człowiekiem”, co wzbudza u normalnych litość, pogardę lub strach. Lecz się nie skarżę. Lepiej mi z tym niż im ze zdrowymi mózgami.
Przede mną rozwierają się krainy odległe, zamglone, ponure głębie nieznanych światów, przepaście czarowne. Nawiedzają mnie korowody zmarłych, orszaki stworów dziwnych, kapryśne jaźnie żywiołów. Wyłaniają się jedne, odchodzą drugie — lotne, piękne, groźne...
. . . . Któraś z fal trwania wyrzuciła na próg mego domu postać nową — dotąd nie wiem, „rzeczywistą” czy z tamtego brzegu.
Przychodzi wieczorem, nie wiadomo jak i skąd, staje obok mnie i wpatruje się we mnie godzinami bez słowa.
Wygląda trochę antycznie. Twarz rzymska, ogolona, bez śladu zarostu — twarz śniada, niemal szara. Wiek nieokreślony: czasem wygląda na lat pięćdziesiąt, czasem na sto lub więcej; maska mieni się przedziwnie. Jednak czuję, że musi to być człowiek bardzo stary.
W ręce prawej trzyma kosę, w lewej klepsydrę, którą od czasu do czasu podnosi pod światło, badając położenie piasku.
Zrazu milczał uporczywie i na pytania nie dawał odpowiedzi. Dopiero po dziesiątej z rzędu wizycie dał się wciągnąć w pogawędkę. Szła z początku opornie i ciężko, bo gość znać małomówny i nie ma wprawy.
— Odłóż kosę — zachęciłem go na powitanie. — Tyle lat dźwigasz ją niepotrzebnie; dziś już nie sprawia należytego wrażenia — stała się martwym wspomnieniem antycznym.
Twarz gościa skrzywiła się w złośliwy grymas; z ust wyszedł po raz pierwszy głos drewniany, bez dźwięku:
— Tak sądzisz? Ja myślę inaczej. Jestem Tempus.
— Domyśliłem się. Witaj, Saturnie! Czemu zawdzięczać mam twoje przybycie?
Gość odsłonił w uśmiechu parę bezzębnych dziąseł:
— Szukasz mnie od pewnego czasu. Więc jestem.
— Ciebie... nie ma. Jesteś urojeniem.
— Ucieleśniłem się, jak widzisz. Ludzie zbyt długo mówili o mnie — przeto przybrałem ciało. Wywabiono mię z niebytu.
— Możliwe. Lecz ten strój? Trochę za staromodny. Trącisz myszką, mój kochany.
— Nic nie szkodzi. Zwykła sztywność zakrzepłej alegorii. Zresztą może ludzkość przyoblec mię w nowe szaty. Czas nawet po temu najwyższy. Te łachmany już mi się sprzykrzyły. Wyglądają na anachronizm.
Tu szarpnął pogardliwie połę mocno już przetartej togi.
— A widzisz, przyjacielu, że miałem rację.
— Po części tak, o ile chodzi o strój. Lecz ty podobno nie uznajesz mego istnienia w ogóle.
— Oczywiście. Jesteś fikcją mózgu. Jeśli zajmuję się kwestią twego kostiumu, to czynię to tylko z punktu widzenia „zdrowych”. Przebyłeś podobno ewolucję, hę? Tak przynajmniej czytałem.

Maska Saturna rozjaśniła się triumfującym uśmiechem:
— A! Czytałeś więc? Prawda, że pięknie napisane? Tak, tak... rozwinąłem się. Nie pojmują mnie już dzisiaj en bloc jak starożytni. Stałem się wartością zmienną, niezależną, którą wiedza usiłuje wprowadzić we wszystkie swe dziedziny. Ściągnięto mnie do granic minuty, sekundy, zaciążyłem nad każdym momentem. Sprecyzowałem się, wysubtelniałem...
— O tak! Wychudłeś diabelnie! Do wymiarów wskazówki zegara. Zbezcześciłeś świętą tajemnicę trwania, zmąciłeś cudowną płynność fali — ty pałubo życia! — krzyknąłem zrywając się z miejsca.
Gość był już w progu.
— Jestem silniejszy od ciebie — usłyszałem głos jego miarowy, spokojny jak ruch wahadła. — Bo za mną jest rzeczywistość i zdrowa, praktyczna większość. A tej jestem niezbędny. Żegnaj! Odnajdziesz mnie w mieście w nieco zmodernizowanej postaci.
Chciałem go zatrzymać przemocą, lecz wymknął się i znikł za drzwiami.
Od owego wieczora Tempus już się więcej u mnie nie pojawił. Spełniwszy jakąś misję oddalił się bezpowrotnie. Lecz j słowa gościa nie dawały mi spokoju, brzmiąc w uszach natrętnym refrenem:
— Odnajdziesz mię w mieście.
Co to miało znaczyć? Czyżby wyzwanie do walki? Tymczasem w gazetach pojawiały się artykuły o czasie widocznie zwrócone ostrzem wywodów przeciw mnie. Wszystkie podpisane tajemniczymi literami S.S. Rozwodziły się nad głębokością tego pojęcia, podkreślały bez końca jego użyteczność ko czynnika regulującego życie i jego sprawność. Słowem, były to peany na cześć mojego gościa.
Podrażniony tymi wycieczkami zbijałem je w domu u siebie na papierze, wzmacniając nowymi dowodami swą rozprawę i uzupełniając myśli tam zawarte. Gotowałem się do ataku ze swej strony, czekając na wyczerpanie przeciwnika, by wtedy ogłosić światu odpowiedź.
Równocześnie szukałem swego antagonisty. Całymi dniami do późnego wieczora włóczyłem się po mieście, zaglądałem do kawiarń, zawiązywałem znajomości, wyciągając ludzi na rozmowę na temat czasu. Poznałem w ten sposób kilku i profesorów, kilku studiujących filozofów, z jaki tuzin przeróżnego rodzaju dziwaków i oryginałów. Lecz z dysput prowadzonych z tymi panami wychodziłem zawsze niezadowolony. Problem zdawał się wprawdzie zajmować ich w dość wysokim stopniu, lecz mimo to nie wyczuwało się tego żaru, jaki wiał ze szpalt dzienników. To nie byli przeciwnicy; żaden nie ujmował zagadnienia tak osobiście, z tak sekciarskim zapamiętaniem, jak tamten nieznany. Powoli dochodzę do przekonania, że wpadłem na fałszywy tor, że sfera, wśród której należy go szukać, leży trochę „niżej”...

Zdaje mi się, że nareszcie jestem na właściwym tropie. Od wczoraj wieczorem...
Po całodziennej wędrówce wracam do domu. Idę starą dzielnicą miasta rozciągniętą ponad rzeką systemem wyboistych „uliczek, zmierzających ku wodzie. Przecinam je w poprzek, pnąc się w górę linią kolistą. Nade mną przeglądają sponad prostopadłych ścian obdartych kamienic skrawy nieba wieczornego poorane dymami kominów. Z okien wychylają się suchotnicze, blade twarze, rozczochrane głowy starych wiedźm, patrzą zakisłe oczy kaprawych starców...
Potykając się o wyboje bruku skręcam w wąskotorową uliczkę i spoglądam w dół. Tam — daleko, u wylotu parowu, krwawi się w agonii zachodu woda, błyszczy migotem fal smutny pas rzeki. Gdzieś w górze, z jakiejś rozpadającej się rudery, poderwało się stado wron i zatoczywszy ciężkim lotem łuk nad uliczką, zniknęło za dachami domów. Opuszczam wzrok niżej, na poziom pierwszych pięter, i przeglądam znużonymi oczyma beznadziejność okien. Spojrzenie utyka na jakiejś wywieszce: na zielonym, wypłowiałym tle duże, czarne litery czyjegoś nazwiska. Patrzę tępo, nie umiejąc złożyć wyrazów. Nagle ujmuję je: Saturnin Sektor, zegarmistrz. Oczywiście! To on! Znalazłem nareszcie! Spokój ogromny wypełnia mi duszę i powoli wracam do siebie...
Rzecz dziwna! Mieszkam jakoś niedaleko. Zdaje się nawet, że tuż obok — tylko że zaszedłem do domu z innej niż zwykle strony, z tej, którą dotąd nigdy nie chodziłem. Po trzydziestu latach stałego pobytu w mieście! Szczególne! A jednak widocznie zdarza się czasem, że człowiek wraca do siebie przez lata całe jedną stroną, przemierza ciągle, dzień w dzień, tę samą drogę, aż w pewnym momencie, znalazłszy się na innym szlaku, ze zdumieniem stwierdza, że wiedzie też do jego domu — ze zdumieniem człowieka, który śnił długie, długie lata, by pewnego dnia ocknąć się na nieznanej

drodze do własnego wnętrza...
Tak tedy nazywa się mój przeciwnik i jest zegarmistrzem. Naturalnie, że to on, tylko on, nikt inny. Dziwię się tylko, że dotąd na to nie wpadłem. Nazwisko tak mi skądś znane, tak bliskie. Nie mogę sobie wprawdzie przypomnieć, skąd — lecz to nie wpływa w niczym na moje głębokie, niewzruszone przekonanie. Od razu zrozumiałem, że on jest mym prześladowcą, tym tajemniczym nieznajomym, którego szukam jak długo.
Samo nazwisko tak znamienne! Tyle mówi o sobie! Zanalizujmy najpierw imię. Saturnin! Czyż nie uderza wyraźny związek z Saturnem-Czasem? Czyż imię to nie narzuca od razu wizji starca z kosą i klepsydrą? Symbolizm oczywisty. A nazwisko Sektor — czy nie zastanawiające? Dobrane znakomicie! Sektor, właściwie Sector — to niby siekący, rozdrabniający na części, cząsteczki, odcinki. Ile ukrytej autoironii w tym przezwisku! Czyż hołdując bezwzględnie dzisiejszym pojęciom o czasie nie jest istotnie Sektorem? Wszak zniekształcił cudowność trwania na rzecz matematycznej abstrakcji, posiekał płynną, niepodzielną falę życia na bezlik martwych odcinków. Sektor — symbol lat, miesięcy, dni, godzin, minut i sekund. Zamknął w dwóch wyrazach całą swą kłamliwą, przeczącą istocie bytu działalność. Niebezpieczny człowiek — symbol! Dopóki żyje, ludzkość nie strząśnie się z tego przesądu i nie pójdzie aa mną. Dlatego należy wykreślić z pamięci żyjących to imię i zastąpić moim. Moim?!... Co za szczególna myśl! Moje nazwisko!... Moje nazwisko... Jak się właściwie nazywam? Jak się nazywam?... Nie mogę sobie przypomnieć... To śmieszne, to arcyśmieszne! To upokarzające!... Zapomniałem, zupełnie zapomniałem, jak się nazywam.

Po nocy długiej, bezsennej idę do niego. Wiodą mnie chody spróchniałe, miejscami szczerzące się pustką przerw, skrzypliwe. Otwieram drzwi i wchodzę. Zaciszny, stary pokój szemrze pogwarem zegarów. Jest wiele, bez liku: czarne z hebanu, pełzające po ścianach niby wielkie żuki, okrągłe, staroświeckie na kolumienkach kości słoniowej, pod szklanymi dzwonami dziwaczne barokowe z interieur'ów dawnej Francji, figlarne, głośno tykające budziki. W niszy wyścielonej zieloną kitajką szepczą półwieczne pacierze małe, „kieszonkowe" — złote, emaliowane przecudne „cebule" — srebrne, inkrustowane repetiery — kosztowne, w rubin i szmaragd strojne liliputy.
W środku izby stolik z przyrządami zegarmistrza: jakieś dłutka, obcążki, stosy śrubek, cienkich jak włosień sprężyn, kółek, blaszek. Na skrawku zielonego sukna parę nadwerężonych kopert, kilka świeżo wyjętych diamentów...
Na krzesełku pochylony nad jakimś zegarkiem siedzi on — mistrz czasomierzy. Poprzez pył wirujący w snopie promieni słonecznych, które wpadają skośnie przez okno, dostrzegam jego twarz. Znana mi jakoś dobrze. Gdzieś ją widziałem, gdzie — nie pomnę. Może w jakim lustrze. Siwa, starcza głowa, ryże faworyty, ostre, sępie rysy.
Podnosi na mnie oczy jasne, przenikliwe i uśmiecha się. Dziwny, dziwny uśmiech.
— Chciałem oddać zegarek do naprawy.
— Kłamiesz, przyjacielu, zegarków nie używasz od lat dziesięciu. Po co te wykręty?
Głos jego przejmuje mię do głębi; gdzieś go słyszałem i znałem doskonale — głos mi nader bliski.
— Wiem, po co przyszedłeś. Oczekuję cię od dawna.
Teraz ja się uśmiecham.
— Jeśli tak, to sprawa bardzo uproszczona.
— Oczywiście. Zanim spełnisz, coś zamierzył — usiądź. Pogadamy. Wszak czasu mamy dość.
— Naturalnie. Nie spieszno mi.
Siadam i wsłuchuję się w rozmowę zegarów. Chodzą równo na minutę, sekundę.
— Uregulowałeś u siebie czas idealnie — rzucam uwagę na chybił trafił.
Sektor milczy, wpatrzony we mnie uporczywie.
— Więc jesteś przygotowany na wszystko? — podejmuję z trudem wątek rozmowy.
— Tak. Nie będę się bronić.
— Dlaczego? Masz do tego prawo jak każdy człowiek.
— To byłoby bezcelowym. Czuję, że wkrótce i tak nadejdzie twoja era. Ustępuję przed koniecznością jako idealny symbol zamkniętego ostatecznie okresu. Prześcigły owoc późnej jesieni

sam spada z drzewa.
— Więc uznajesz mnie?
— Nie. To rzecz inna. I ty kiedyś ustąpić musisz przed nowym symbolem. Nie zapominajmy o względności pojęć. Wszystko wszak zależy od układu odniesienia.
— Właśnie. Mimo to skąd ta pewność, którą tchną twoje artykuły?
— Wynikła z głębokiego przekonania o użyteczności i tego, co głoszę.
— Ach, prawda. Należysz do pokolenia, którego bożyszczem rzeczywistość praktyczna.
— Tak, tak. Ty zaś sięgasz poza nią; przynajmniej zdaje się tak. Ludziom z krwi i kości to nie wystarcza, potrzebują ciała i jego wytworów.
— Mylisz się. Ja tylko pragnę pogłębienia życia. Życie płynie szeroką, zwartą falą w zjawiskach zwianych z sobą tak spoiście, że ich rozdzielanie na momenty jest śmiesznym i karykaturalnym. Twoje pojęcie czasu jest prostu przeniesieniem *go* w sferę przestrzeni.
— Czyż nie piękny pomysł? Czytałeś słynną *Podróż w* znanego pisarza angielskiego?
— Owszem. Ją właśnie miałem na myśli. Jest najlepszym przykładem, do czego mogą doprowadzić fikcje mózgu ludzkiego. Sam pomysł „maszyny czasowej" czyż nie obraża dziewiczości życia pełnego ciągłych niespodzianek? Oto skutki wiwisekcji, którą na nim uprawiasz. Oto wzór, jak się mechanizuje życie.
— Bajeczna powieść. Wykwit mózgu i jego dumnej potęgi.
— Głupiś, mój kochany. Bądź spokojny — nikt nigdy maszyną ani w przeszłość, ani w przyszłość nie zajedzie.
— Nie zrozumiemy się nigdy. Rzecz szczególna! Mimo że jestestwa nasze tak są ze sobą dziwnie splecione.
W tej chwili niesamowity dreszcz przebiegł me ciało. Słowa zegarmistrza szły do mnie jakby z mojego wnętrza.
— Hm... istotnie. I ja to chwilami odczuwam.
— Gdyby nie to — ciągnął zgaszonym głosem starzec — myśli twoje wyglądają na młody szczep zasadzony na moim pniu, gdyby nie to, że przeczuwam ich rozbłysk w najbliższej przyszłości...
— To co?
— Zabiłbym cię — odpowiedział zimno. — Tym oto narzędziem.
I wydobył z pluszowego puzdra cudnej roboty puginał z rękojeścią z kości słoniowej. Uśmiechnąłem się triumfująco:
— Tymczasem role wypadną odwrotnie. Starzec pochylił z rezygnacją głowę:
— Bo przezwyciężyłeś mnie w sobie... Teraz odejdź. Chcę spisać jeszcze mą ostatnią wolę. Przyjdziesz dziś wieczorem. Weź to na pamiątkę ode mnie.
I wręczył mi puginał.
Machinalnie wziąłem połyskującą chłodno stal i bez słowa pożegnania odszedłem. Na schodach doszedł mię z wnętrza pracowni ostry, chichoczący dźwięk. Starzec śmiał się...

Dzienniki wieczorne miasta W. podały w dziale kroniki następującą wiadomość:

MORDERSTWO CZY SAMOBÓJSTWO?

Dziś rano zaszedł w naszym mieście tajemniczy wypadek przy ul. Wodnej 1.10. Rozalia Witowska, wdowa po urzędniku prywatnym, wszedłszy koło godziny dziesiątej rano do pracowni zegarmistrza, Saturnina Sektora, zastała jego zwłoki na krześle pod oknem zbroczone obficie zaschłą już krwią. W piersi nieszczęśliwego tkwił głęboko misternej roboty antyczny sztylet.
Na krzyk Witowskiej zbiegli się mieszkańcy, wkroczyła policja. Lekarz sądowy, dr Obmiński, stwierdził śmierć, która prawdopodobnie nastąpiła w nocy wskutek upływu krwi. Śladów kradzieży jakiejkolwiek nie wykryto. Natomiast obok zwłok na stole znalazł ajent policyjny Tulejko testament zmarłego i ćwiartkę papieru, na której skreślił rzekomo zegarmistrz następujące słowa:
„Winowajcy nie szukać. Ginę z własnej woli".
Wypadek zdradza wiele rysów tajemniczych i nie wyjaśnionych. Miasto nasze obiegają już

najrozmaitsze pogłoski o zmarłym. Podobno Sektor spędził lat parę w domu obłąkanych, z którego wypuszczono go dopiero niedawno. Dr Tumin, kierownik zakładu, wezwany na świadka w zagadkowej tej sprawie, utrzymuje, że zegarmistrz cierpiał już od dłuższego czasu na periodyczne pomieszanie zmysłów, które za każdym nawrotem przybierało coraz ostrzejsze formy. Orzeczenie to popierają zeznania sąsiadów Sektora i współmieszkańców kamienicy.
Uchodził powszechnie za maniaka. Mimo to, w okresach tzw. lucida intervalla, oddawał się zajęciom zawodowym, spełniając funkcję zegarmistrza doskonale; koledzy uważali go nawet za jednego z najzdolniejszych pracowników.
Ciekawe światło na sprawę rzuca testament nieszczęśliwego. Sektor przeznacza całą swą pokaźną fortunę na fundusz naukowy ze specjalnym zastrzeżeniem, że korzystać zeń mogą wyłącznie badacze problemu czasu i przestrzeni oraz zagadnień z tym związanych.

Równocześnie z tajemniczym wypadkiem przy ul. Wodnej zgłoszono w policji i miejskim urzędzie parę sensacyjnych wiadomości. Oto pojawiły się na murach miasta dziwaczne plakaty i ogłoszenia w formie klepsydr następującej treści:

ZGON CZASU
W nocy z 29 na 30 listopada br. zginął bezpowrotnie
Tempus Saturn, by ustąpić miejsca
wieczystemu Trwaniu.

Drugim, niemniej zagadkowym objawem jest fakt, że wszystkie wieżowe zegary naszego miasta z nieznanych przyczyn stanęły. Wskazówki zatrzymały się onegdaj w nocy na godzinie jedenastej.

Osada dymów

Odbiwszy od lądu w San Francisco, statek nasz pożeglował w kierunku północnym, prując wzdłuż wybrzeża spokojne fale Wielkiego Oceanu. Minęliśmy końcowy cypel Kalifornii i płynąc równolegle do poszczerbionych łańcuchów Gór Nadbrzeżnych, zapuściliśmy się w kręty labirynt Archipelagu Księcia Walii. Ponieważ parowiec zmierzał dalej na północ, my zaś chcieliśmy wylądować w kraju czerwonoskórych Thlinkitów — przeto wysiadłem wraz z towarzyszami w porcie na Wyspie Królowej Karoliny, by tu zaczekać na przygodny statek, kursujący między wyspą a wybrzeżem.
Przerwę w podróży wyzyskaliśmy nader pożytecznie, załatwiając w składach portowych cały szereg zakupów, które wypełniły wybornie luki w wyekwipowaniu niezbędnym dla poszukiwaczy złota.
Ben Heading, mój przyjaciel i jedyny towarzysz awanturniczej wyprawy, okazał teraz swój spryt i praktyczność Jankesa, który w miejscowości widzianej po raz pierwszy w życiu znalazł się od razu jak w najludniejszej dzielnicy rodzinnej Filadelfii, gdzie spędził większą część niespokojnego żywota.
Szczęście nam sprzyjało, bo w niespełna cztery godziny po odjeździe parowca odpływał ku lądowi mały kupiecki bryg, naładowany wyrobami skórzanymi tubylczego szczepu Haidah. Załoga była nieliczna i prócz kilku krajowców w fantastycznych strojach indiańskich nikt nie wsiadał na statek. Dlatego kapitan nie czynił nam trudności i za mierną łatą zabrał z sobą na pokład.

Przed wieczorem wysiedliśmy w małej przystani, jednym tych zacisznych ustroni, w które obfituje wydłużony pas brzeżny zamieszkany przez plemię Thlinkitów.
Odtąd mieliśmy odbywać dalszą drogę pieszo, przedzierając się przez niebotyczne góry i dziewicze puszcze i bory Ameryki.
Celem naszej wyprawy był złoty piasek. Straciwszy niemal doszczętnie całą fortunę w ryzykownym przedsięwzięciu, uległem namowom Bena, by szukać szczęścia w awanturniczej wyprawie po złoto. Chociaż zasadniczo nie pochwalam rodzaju zdobywania majątku, przecież ustąpiłem pod naciskiem okoliczności, zmuszony do powzięcia szybkiej, a stanowczej decyzji.
Przeszedłszy ziemię Thlinkitów, przebyliśmy wąską przełęcz Mentasta, skierowując bieg wycieczki ku złotonośnym rzekom Jukon i Tanana, w pas pograniczny między Kanadą angielską a południowowschodnią połacią Alaski, kraj pierwotny, mało przez podróżników zbadany, a bogaty. Trudności piętrzyły się, w miarę jak zapuszczaliśmy się w głąb dziedziny wojowniczych Atapasków. Plemię to dzikie, łączące charakterze cechy Indian Ameryki Środkowej i swych pobratymców północno-zachodnich, usposobione było dla białych intruzów nieprzychylnie i należało się mieć na baczność, by nie wpaść w jaką pułapkę. Zwłaszcza szczep Czipperesów i tak zwanych Yellowknivesów, czyli Żółtych Chłopów, dawał się niejednokrotnie białym osadnikom dobrze we laki. Osady skwaterów, naokoło skąpo rozrzucone, nie używały dostatecznej obrony; milami ciągnęły się głuche bory jaworowe podszyte leszczyną, splątane dzikim powojem, bez ścieżek, bez przesieczy. Czasem ni stąd, ni zowąd można się było natknąć na indiańską wieś, zapadłą wśród leśnej głuszy, dziką, rozbrzmiewającą tonami bojowej pieśni lub zawodzącą skargami pogrzebowych płaczek.
Parę razy ledwo z życiem uszliśmy przed pogonią zezowatych Kuczimów, kiedy indziej znów cudem tylko udało się wymknąć z niewoli u zajadłych Bobrowców. Dużą pomoc stanowiła osoba Headinga, znanego w tych stronach od lat pod przydomkiem „Szarego Oka”. Ben pozostawał w przyjaznych stosunkach z dowódcami kilku plemion tubylczych, zaskarbiwszy sobie ich życzliwość na wyprawach łowieckich lub w walkach z wrogimi sąsiadami. Mimo to przedzieranie się przez puszcze było trudne i niebezpieczne, gdyż na każdym kroku czyhały nie zawsze miłe niespodzianki.
Wreszcie dotarliśmy w okolicę Tanany, względnie jednego z jej bocznych dopływów. Po zbadaniu koryta rzeczki i sąsiedniego terenu uznał Ben miejsce za nader odpowiednie do poszukiwań złotego piasku. Nie tylko fale wyrzucały go dość obficie, lecz i uwarstwowienie brzegów pozwalało na domysł, że w okolicy znajdują się pokłady cennego kruszcu.
Postanowiliśmy więc zatrzymać się. Rozbiliśmy namiot, rozłożyli potrzebne narzędzia, a przede wszystkim urządziliśmy tuż nad rzeką wygodną płuczkarnię.
Naokoło było dziko i zacisznie. Jak okiem sięgnąć — lasy, olszynki, gaje, wszędzie bory, dąbrowy, leśne zapusty. Opodal naszej samotni rozlewające spokojne wody jezioro odbijało wiernie kontury nadbrzeżnych jesionów i grabów, lśniło w skwarze południa szybą gładką, zielonozłotą. Wśród pni brunatnych, ciemnoszarych lub białosrebrzystych rozkwitał tu i ówdzie czerwony uśmiech jarzębiny, przeorywał przestworza płochliwy lot cyranki, brzęczał mrukliwy chór komarów lub wędrowna drużyna pszczół w drodze do dzikiej barci. Czasem wyglądały spoza leśnych zasieków chytre oczy lisa, zerknął drapieżny żbik — czasem poprzez gąszcz leszczyny zarysował się smukły profil sarny.
Godziny płynęły cicho, spokojnie, dojrzewały upalne południa, chłodzone chwiejbą drzewnych szczytów. Uczucie niezmiernej ulgi szło od głuszy lasów, wionęło z cienistych głębin.
Praca postępowała raźno. Odcięliśmy dwiema poprzecznymi groblami część koryta, by powstały w ten sposób rząp wody poddać parowaniu. Równocześnie przepuszczało się wartki nurt przez płuczkę. Eksploatacja okazała się wkrótce nader wydatna, zwłaszcza gdy idąc za trafną radą Beni przeprawiliśmy się na drugi brzeg i zaczęliśmy kopać w ziemi. Żmudną dość pracę urozmaicały wyprawy myśliwskie konieczne do zaopatrzenia naszej kuchni w zwierzynę. Uzbrojeni w strzelby wybieraliśmy się na dzień lub dwa w głębię puszczy.
Okolica była najzupełniej dzika, nigdzie ani śladu ludzkiej stopy; bywały komysze niedostępne, do których nigdy ani promyk słońca nie zaglądnął, ponure zaułki leśne, gdzie od prawieków człowiek nie zawitał, zasieki zawalone butwiejącymi kłodami, zaryglowane obalinami odwiecznych cedrów

— zamczyste, mchem zasnute na głucho zastrzały. Nurzaliśmy się w puszczy ogromnej, bezludnej, bez krańca.
Pewnego razu, wymijając jeden z takich ostępów, uczuliśmy nagle silny swąd, a wkrótce potem Ben, idąc w kierunku woni, wskazał na kłęby popielatego dymu przewalające się przez ścianę stuletnich dębów. Byliśmy w pobliżu jakiejś osady.
Należało być ostrożnym. Po cichu, skradając się, zagłębiliśmy się w starodrzew, by niebawem przekonać się, że dębina urywała się rozwierając w szeroką, jasną polanę. Stamtąd szły dymy.
Przykucnęliśmy za ostatnimi pniami i zapuściliśmy ciekawe spojrzenie w tamtą stronę.
Po gładkiej, krótką trawą zarosłej równinie, którą zewsząd okalały niebotyczne ściany borów, wałęsały się szare słupy dymu. Były gęste i tak przesłaniały sobą wszystko, że zrazu nie można było dostrzec, gdzie miały źródło.
— Wygląda, jakby się paliło — szepnąłem na ucho Benowi.
— Tak, lecz nigdzie nie widać płomieni. Zresztą czulibyśmy spaleniznę i skwar żaru; tymczasem jest tylko swąd.
— I nie słychać trzasku ognia; dymy snują się cicho i jednostajnie.
W tej chwili silniejszy powiew wiatru skierował je w stronę nam przeciwną. Dymy pochyliły się zgodną falą na wschód i wtedy dopiero ujrzeliśmy parę indiańskich chat, przez których szczytowe otwory przedostawały się miękkie popielate kłęby. Lecz wnet przesłoniły obraz powrotne kolumny; perłowoszare ich cielska spowiły znów zwartym splotem drewniane sadyby; jak przez mgłę tylko zamajaczyło jeszcze parę cedrów, strzelających w różnych odstępach ponad posowami domów.
Zastanowiła nas ogromna, bezwzględna cisza panująca w osiedlu. Ani jeden głos ludzki nie dochodził z tamtej strony.
— Co u licha?! — mruknął Heading pochylając się ku mnie — osada sprawia wrażenie wymarłej.
— Nie widać ani jednej ludzkiej twarzy. Czyżby jaka opuszczona wieś? A może mieszkańcy wyszli na wyprawę wojenną?
— W takim razie pozostaliby przynajmniej starcy, kobiety i dzieci. Tymczasem tam zdaje się być pusto najzupełniej.
— Nie można tego utrzymywać na pewno z daleka. Zważ na to, że obecność ludzi mogą nam zatajać rozwieszone po całej okolicy dymy.
— Hm... może. — Ben przyznał mi po namyśle rację. — Skoro są dymy, muszą być i ludzie. Zbliżmy się trochę do tego oparzeliska. Może dowiemy się czegoś dokładniejszego.
Ostrożnie, bez szelestu zaczęliśmy *pełzać* od krzaka do krzaka, nasłuchując co chwila, czy jakiś podejrzany szmer nie odezwie się stamtąd. Lecz wkoło panowała głuchoniema cisza, spętana przegubami dymów.
Tak przyczołgaliśmy się do najbliższej chaty. Ben wcisnął się cały w rosnącą opodal leszczynę, ja przypadłem tuż za węgłem domu.
Wypatrywaliśmy powoli szczegóły miejsca.
Bez przerwy wysnuwające się z wnętrza chat dymy przesłaniały widok, nie pozwalając na przegląd całości. Trzeba było obraz uzupełniać fantazją, dotwarzać domysłem sprawdzanym w miarę, jak odcięte to tu, to tam dymne runa odkrywały przytajoną dotąd resztę.
Chata, stanowiąca nasz punkt oparcia, była zdaje się jedną z kilkunastu, które wiankiem, w odstępach, wznosiły się na szerokim toku. Cała przestrzeń dookoła była pusta i jałowa; ani jedna trawka nie odcinała się świeżą zielenią na suchym, piaszczystym żwirowisku gruntu. Tylko, prawdopodobnie już za linią chat, na tle głębokiego błękitu wynurzały się od czasu do czasu smukłe cedry, rzeźbiąc się na podniebnym przestworzu.
Na tle bezwzględnej ciszy miejsca dziwnie występowały kotłujące bezustannie skręty dymów. Brak zupełny ludzkiego życia pozostawał w szczególnym rozdźwięku z ruchem ich zwijających, to znów rozprężających się pierścieni...
Skinąłem na Bena i ostrożnie wypełznąłem pod próg chaty. Tu oglądnąłem się za towarzyszem: gęsty tuman oderwany skądś od boku chałupy wlókł się za mną po ziemi i zasłonił mi Headinga. Dopiero po dobrej chwili uczułem jego rękę na ramieniu.
— Dymi się setnie. Mgła jak w porcie lub na szczycie Blacburnu.

— Pst! Zaglądnijmy do wnętrza! Zajrzeliśmy, wychylając głowy ponad próg.
Klepisko chaty zstępowało paru stopniami w czworokątny środek, wyłożony kamieniami i gliną. Było to ognisko. Stamtąd szedł w górę prostopadle gruby na szerokość człowieka słup dymu, wsiąkał w otwór u góry i przedostawał się na zewnątrz. Jedna jedyna izba była całkiem pusta. Na ścianach wisiały tylko skrzyżowane tomahawki, para zniszczonych mokasynów i jakieś wypłowiałe trofea wojenne.
Spojrzeliśmy na siebie zdumieni.
— Gdzie mieszkańcy? Ktoś chyba musiał rozniecić ogień w palenisku?
— Może są w którejś z sąsiednich chat?
Wiedzeni mimowolną ciekawością rozeszliśmy się w przeciwnych kierunkach, by podkraść się, każdy z osobna, pod najbliższą lepiankę. W razie najlżejszej poszlaki niebezpieczeństwa zagrożony miał dać sygnał przeciągłym gwizdem.
Czołgałem się na kolanach, przystając co parę stóp.
Między jedną chatą a drugą prowadził jakby wąski deptak ubity z piasku i żwiru; podobne ścieżynki szły od chat rozmieszczonych na obwodzie koła promienisto ku środkowi, zapewne sadybie naczelnika, która była zarazem domem narad. Lecz przypuszczalnej wietnicy na razie nie widziałem; środek osady pogrążony był na głucho w dymnej pocmie, w prawdziwym morzu mgieł...
Tak dotarłem do drugiej chaty.
I tu, po oględnym rzucie oka zapuszczonym we wnętrze, przekonałem się, że izba jest pustą. Tylko w palenisku pośrodku pełgotał ogień zażegnięty nieznaną ręką; złożone w stos cedrowe bierwiona i wyschłe pręty leszczyny tliły się kopcącym płomieniem; stąd wywiązany dym kłaczasty, kosmaty dźwigał leniwo swój ciężki, ospały odwłok pod powałę i przewalał się dymnikiem przez dach.
Znużony zapaliłem fajeczkę u ogniska i usiadłem na krótki spoczynek u wejścia. Tu było trochę rzeźwiej, chociaż nie widziałem nic już na parę kroków przed sobą. Pociągając z fajki przyglądałem się drewnianemu słupowi wbitemu w ziemię tuż przed otworem chaty. Był to czworogranny pal totemowy z powyrzezanymi znakami kultu, które pokrywały go od dołu do góry. Podobne słupce widuje się nieraz po Wsiach indiańskich i obeznany już byłem dość z dziwacznymi figurami totemów, czyli świętych stworzeń, od których pewne szczepy wywodzą swe pochodzenie. Lecz totem osady, w którą mię zapędził obecnie przypadek, tak dalece odbiegał od przeciętnego typu, że przechodziłem ze wzrastającą wciąż uwagą tajemnicze jego runy. Uderzał brak rodowego zwierzęcia lub rośliny, które stale występują na podobnych stelach. Natomiast powtarzał się często wizerunek kłębiącego się słupa dymu.
Nie mogąc rozwiązać tajemniczego pisma ruszyłem po omacku ku trzeciej z kolei chacie. Lecz i tu nie zastałem nikogo. Tylko ognisko dymiło jak w dwóch poprzednich.
Nieobecność mieszkańców uspokajała, zapewniając bezkarne wałęsanie się po zagrodzie, równocześnie jednak budziła szczególne zaciekawienie, nie pozbawione odcienia lęku.
W izbach nie było żadnych naczyń ani śladu jakiejkolwiek strawy przeznaczonej na warzę. Zresztą ognie rozłożone po paleniskach nie płonęły jasnym, jarkim płomieniem — raczej tliły dusząc się pod stosem liści i mokrych gałązek. Miało się wrażenie, jak gdyby zapalono je tylko po to, by wytwarzały owe tumany dymów przewijające się pomiędzy chatami.
„Dziwna osada” — pomyślałem ruszając na dalsze zwiady.
Teraz powiał mi na twarz silny, ciepły prąd i równocześnie oślepiła mię szara fala mgły. Przetarłem oczy i przedzierałem się dalej przez mleczne złoża żywiołu. Tak wędrując w pomroce z wyciągniętymi jak ślepiec rękoma, przeglądnąłem jeszcze trzy następne domy, by przekonać się, że nigdzie nie ma żywej duszy; wszędzie zastawałem tylko puste izby i zagadkowe ogniska.
W połowie drogi od chaty szóstej do najbliższej z rzędu usłyszałem nagle cichy świst: Ben dawał znać o sobie. Odpowiedziałem natychmiast w podobny sposób i w chwilę potem spotkaliśmy się. Teraz raźniej nam było jakoś razem w tym dziwnym miejscu. Z rozmowy prowadzonej szeptem dowiedziałem się, że i on przejrzał po kolei sześć domów i doszedł do wyników identycznych z moimi. Byliśmy zatem w jakiejś osadzie opuszczonej zdaje się przez mieszkańców, którzy w niewiadomym celu pozapalali na odchodnym ogniska we wszystkich chatach.

Staliśmy otuleni mgłą, ledwo widząc jeden drugiego, niepewni, co począć: porzucić osadę i pójść dalej, czy też zaspokoić ciekawość i czekać na ewentualny powrót dzikich. Heading, jako człowiek praktyczny, nie chciał tracić czasu na bezcelowe być może czekanie i radził pierwsze. Co do mnie — wolałem tu zostać w nadziei, że po wypaleniu się ognisk odczytam i zrozumiem owe znaki totemiczne na słupach wchodowych, które tak mię zastanowiły; odezwały się dawne zamiłowania etnografa i zapamiętałego badacza kultur pierwotnych, dociekania naukowe z lat ubiegłych, których niestety nie mogłem kontynuować z powodu trudnych warunków życiowych.
— Zdaje mi się — szepnąłem wstrzymując Bena, który już zamierzał wymknąć się poza obręb wsi — że nie oglądnęliśmy wszystkich chat.
— Jak to? Przecież widocznie rozmieszczone są na obwodzie koła; ty przejrzałeś jedną jego połówkę, ja drugą; najlepszym dowodem, że zeszliśmy się po półgodzinnych zwiadach z dwóch stron przeciwnych.
— Zapominasz o środku osady, w którym zapewne stoi dom naczelnika. Nie widać go dotąd, bo obwód koła dość duży, a dymy w centrum jak gdyby najgęstsze. Że tam coś być musi, o tym świadczą drożyny biegnące w tym kierunku od chat.
— Ha, może masz słuszność — odparł, na pół przekonany — rzeczywiście, i ja zauważyłem te ścieżki. Jeśliś już tak bardzo ciekaw, możemy zbadać i środek. Tylko żwawo naprzód, bo pora już spóźniona i trzeba wracać do siebie.
— Pst! — ostrzegłem go — mówisz za głośno. Kto wie, czy właśnie tam nie spotkamy zgromadzonych na naradę mieszkańców? Może wieś odbywa dziś jakiś wiec przedwojenny?
Ben umilkł i cicho posuwaliśmy się jednym z chodników, co parę minut badając grunt, by przez pomyłkę nie wrócić znów na linię obwodu.
Tak postępowaliśmy przez dobry kwadrans; głucha cisza szła nam naprzeciw.
— Do diaska! — mruknął pod wąsem zniecierpliwiony Ben — tam nic nie ma! Po jakiego licha było pchać się w tę oćmę? Z pewnością minęliśmy już środek i zbliżamy się znów ku obwodowi.
W odpowiedzi zamajaczyło coś czarnego o parę kroków. Ścisnąłem ramię Headinga wskazując mu ciemny kontur. Rzuciliśmy się na ziemię, by resztę przestrzeni oddzielającej nas od budowli przeczołgać na kolanach. Wkrótce natrafiliśmy na pień potężnego cedru, którego konary pławiły się w mlecznym morzu; byliśmy widocznie za tylną ścianą chaty, gdyż cedry spotykane przez nas w ciągu wędrówki po obwodzie zawsze wznosiły się za, nie przed domami.
Ben przyłożył ucho do drewnianej, z ciężkich kloców zbitej ściany i słuchał parę minut z zapartym tchem. Potem rozłożył ręce na znak, że nic nie słyszy. — Zajdźmy od wejścia — zaproponowałem szeptem.
Ostrożnie obeszliśmy węgieł domu i przytuleni do ściany prawej zbliżaliśmy się ku otworowi. Nagle Ben, który szedł przede mną, zatrzymał się, dając mi do zrozumienia, żebym się przybliżył. Usłuchałem wezwania i przysunąłem się.
— Patrz tam — szepnął wyciągając rękę ku otworowi chaty.
W głębi, nad kwadratowym paleniskiem, z którego unosił się kręty słup dymu, ujrzałem siedzącego w kucki starego Indianina. Był ubrany odświętnie, w strój wojenny swego plemienia. Nad podłużną, szlachetnie zarysowaną głową wojownika powiewał pstry pęk piór, kołysząc się w oddechu ogniska. Skórzane spodnie, obite szlakiem złotych blaszek, miały począwszy od kolan w górę wzorzyste wyszycia. Piersi barwy lśniącego brązu były bogato tatuowane. Na chudej, żylastej szyi siał blaski drogocenny amulet. Szczególny charakter zdradzała twarz pociągła z dużym, orlim nosem; górna jej połowa, od linii nosa ubarwiona czerwoną glinką, pozostawała w dziwnym kontraście do oczu wypłowiałych, zaciągniętych mgłą melancholii i bezsilnej rezygnacji. Oczy te, smutne i stare, patrzyły nieruchomo w dymiące przed sobą ognisko.
— Zapamiętał się — szepnął Ben. — Nic teraz wkoło siebie nie widzi. Jeśli masz ochotę z nim pogadać, musimy wejść do środka i obudzić go z zadumy. Nikt nam nie przeszkodzi — jest to widocznie jedyny mieszkaniec na całą wieś. Jakiś osamotniony przeżytek lub obłąkany stróż opuszczonych sadyb. Wejdźmy!
Chociaż Heading mówił półgłosem, przecież czujne ucho syna borów ostrzegło go o obecności intruzów, bo nagle oczy wodza straciły szklany wyraz i bystro spojrzały w naszą stronę.

— Bądź pozdrowiony w imię wielkiego Manitu! — przywitałem pierwszy, zbliżając się spokojnie ku siedzącemu.
Przypuszczając, że starzec należy do któregoś z licznie rozgałęzionych szczepów Atapasków, zamieszkałych w tej szerokości geograficznej, użyłem narzecza Czippewesów, znanego mi z poprzednich wędrówek.
Indianin zrobił głową przeczący ruch na znak, że niedobrze rozumie, i przemówił jakimś dziwnym językiem, w którym odczułem podźwięki mowy Delewarów zmieszane z jakimiś wyrazami o obcym mi, swoistym brzmieniu: wódz nie należał do żadnego ze znanych mi plemion.
Mimo to, po wsłuchaniu się głębszym, jako znawcy wielu indiańskich narzeczy, rozumieliśmy go dość dobrze. Z mojego powitania zdaje się utkwiło mu w uchu tylko imię wielkiego bóstwa, bo odpowiedział drżącym, smutnym głosem:
— Manitu opuścił dzieci swoje. Puste są wigwamy plemienia Kwapnas, rdzą pokryły się tomahawki jego synów. Zapomniał o dzieciach swoich Kruk Yeszel i nie przynosi więcej w dziobie świętej wody. Nie słychać w puszczy stąpań wojowników — nie straszą wrogów ich gromkie okrzyki. Manitu wytracił pokolenie Kwapnu.
Zwiesił siwą głowę i patrzył tępo w ogień.
— Dlaczego siedzisz w dymnej chacie, stary wojowniku? — przerwał milczenie Heading. — Kto pozapalał ogniska w sadybach? Po co te dymy snujące się po całej wsi?
Oczy starca przybrały tajemniczy wyraz.
— Czarny Puma — odpowiedział wódz swym obrazowym stylem — jest ostatnim z wielkiego plemienia. Duchy jego wojowników odeszły już wszystkie do wielkich borów po tamtej stronie ziemi — a dusze błąkają się jeszcze po ukochanych wigwamach.
— Ciekawe zróżnicowanie — zauważyłem, zwracając się ku Benowi.
— Hm... istotnie — odparł nieprzejednany sceptyk — dziecinne brednie ludów na pierwotnym stopniu kultury.
— Jestem wprost przeciwnego zdania — odpowiedziałem, podejmując z zainteresowaniem rozmowę z Czarnym Pumą.
— Dlaczego Czarny Puma nie pali mokrych mokasynów?
Umyślnie zadałem to pytanie, chcąc upewnić się, że Indianin miał na myśli dusze zmarłych, które krajowcy odpędzają od osad, paląc stare, zmoczone obuwie.
Starzec wzruszył pogardliwie ramionami:
— Puma nie lęka się zmarłych. Puma jest ich przyjacielem i strażnikiem.
— A czego szukają dusze po dawnych sadybach? — zagadnął Ben, którego widocznie bawiły odpowiedzi wodza.
— Przypominają lata ubiegłe, które już nigdy nie wrócą, i czekają na brzemienne niewiasty.
— Co on mówi? Słyszałeś? Cha, cha, cha! — zaśmiał się Heading. — To jakaś skomplikowana historia.
Starzec nie mógł zrozumieć słów Bena, zwróconych do mnie w obcym języku, lecz niewczesny wybuch wesołości widocznie go uraził, bo spojrzał nań surowo i skarcił:
— Biały człowieku, po cóżeś przyszedł spoza wielkiej rzeki? Czy po to wdarłeś się w obręb ludzi zmarłych, by naigrawać się z ich starego sługi? Wstydź się, blada twarzy!
Heading, zbity z tropu powagą głosu, chciał odpowiedzieć czymś gwałtownym, lecz w porę przeszkodziłem mu, dając znak, by się pohamował.
— Szare Oko — tłumaczyłem starcowi, usiłując go ułagodzić — bo tak nazywają mego przyjaciela — nie zrozumiał słów Czarnego Pumy. I dla mnie są one ciemne i zagadkowe. Dlaczego dusze zmarłych z pokolenia wielkich Kwapnasów oczekują ciężarnych niewiast?
— Ażeby w nie wejść i po raz wtóry narodzić się jako ludzkie dzieci.
— Trzeba jednak przyznać — mruknął Ben — że ten półobłąkany samotnik ma fantazję nie lada.
— To nie fantazja, to głęboka, a oryginalna wiara.
— Lecz dotąd — podjął znów starzec — od czasu, jak zginął wielki Tecumseh, najstarszy po Pumie w plemieniu Kwapnu, a za nim cała jego rodzina, ani jedna skwaw nie przeszła mimo wymarłej osady. A Puma już starzec i żony mieć nie będzie.

Tu wódz obrócił się i sięgnąwszy ręką w kąt izby, wygrzebał stamtąd zżółkła piszczel i rzucił w ognisko.
— Oto pali się kość Tecumseha — objaśnił wskazując na ogień — i zapładnia jego duszą dym.
— I znów słowa Czarnej Pumy ciemne są i brzmią dziwnie w uchu moim. Cóż ma wspólnego dusza z kością i jak piszczel może zapłodnić dym z ogniska, w którym się spala?
— Bo należała kiedyś do żyjącego człowieka i przyciąga po śmierci ciała jego duszę — wyjaśnił spokojnie.
— Więc Tecumseh spoczywa w tej chacie? Tutaj go pogrzebano?
— Ciało spłonęło na stosie kilka lat temu; kości wyjął Puma ze zgorzeli i schował tutaj, by podsycać nimi ognisko i dymy Tecumseha.
Odpowiedź rzuciła jasne światło na jego obecną rolę w osadzie.
— Czy to samo czyni Puma z kośćmi innych wojowników swego pokolenia?
Indianin pochylił głowę na znak potwierdzenia.
— Więc — wywnioskowałem — wszystkie te ogniska tlejące po domach są zapalone ręką Pumy?
— Tyś powiedział. Od dnia, w którym Puma został sam na świecie z całego plemienia, zapala własną ręką ogniska w trzynastu chatach jego trzynastu naczelników i syci ogień ich kośćmi. I tak będzie do końca jego dni. A gdy przyjdzie nań dzień ostatni, gdy ostatni raz zajdzie dlań słońce za brzegi borów i duch Pumy odejdzie, by złączyć się w jedno z Wielkim Duchem — wygasną ognie, rozwieją się dymy na zawsze i nie zostanie śladu z pokolenia Kwapnu.
Ostatnie słowa wymówione w spadkach żałobnych, tonem niewysłowionego żalu pokoleń, co zniknąć mają bez powrotu, sprawiły na mnie głębokie wrażenie. Umilkliśmy. Tylko ogień trzaskał cicho trawiąc paliwo, pryskała pożółkła kość Tecumseha.
Powoli Ben pochylił się ku starcowi i przypatrywał się amuletowi na piersi.
— Złoto — szepnął po chwili.
Pełgające języki ognia trysnęły nagle mocniejszym podrzutem i liznęły odblaskiem mroczny kąt izby poza nami: na ścianach zabłysły skrzące migoty, zagrały jasne światła. Heading podszedł w tamtą stronę i chwilę przyglądał się czemuś z natężoną uwagą. Gdy wrócił do ogniska, miał przykry jakiś wyraz w twarzy.
— Złote tomahawki — wytłumaczył mi na ucho. — Tu musi być gdzieś złoto w pobliżu — dodał z chciwym błyskiem w oczach.
— Być może — odparłem obojętnie, zwracając się ku Indianinowi.
— Przed wigwamami stoją pale plemienia Kwapnu. Chociaż widziałem już nieraz święte pismo u innych pokoleń Manitu, przecież znaki wojowników Kwapnu obce mi są i niezrozumiałe. Jakie jest święte zwierzę, roślina lub przedmiot Kwapnasów?
Puma uśmiechnął się pogardliwie:
— Ludzie Kwapnu gardzą praojcami swoich czerwonych współbraci, którzy nieświadomymi będąc, wywodzą się od niższych od siebie stworzeń.
— Więc kto jest praojcem ludu Kwapnu? — zapytałem zaciekawiony.
W odpowiedzi Puma ujął w palce swój złoty amulet i trzymał mi go blisko przed oczyma:
— Niech Blady Lekarz patrzy bystro w te znaki, a odczyta to, o co zapytuje Czarnego Pumę.
Pochyliłem się nad złotym krążkiem i przez chwil parę studiowałem jego wypukłorzeźbę. Któż opisze me zdumienie, gdy po obejrzeniu dokładnym amuletu znalazłem na nim wizerunek dymiącego ogniska identyczny z tym, jaki widzieliśmy już na palach.
Podniosłem niedowierzające spojrzenie na starca:
— Więc z ogniska zrodziło się pokolenie Kwapnasów? Puma pokręcił głową:
— Blady Lekarz źle patrzył; ognia tam mało, prawie go nie dojrzysz.
— Więc dym? — poprawiłem się.
— Tyś powiedział. Od niego pochodzimy; z dymu wyszedł Kwapnu i w dym się obróci.
Teraz zrozumiałem niejasną dla mnie dotąd nazwę pokolenia oraz znaczenie często używanych przez starca słów: Kwap, Kwapa, Kwapnu itp. Wyraz ten oznaczał dym, od którego też cały szczep otrzymał imię rodowe.
— To szczególne! — zauważyłem w stronę Bena. — Wyraz dym posiada w tym dziwnym języku

brzmienie bardzo spokrewnione z odpowiednikiem greckim „Kapnos”.
— Hm... — odparł w zamyśleniu Heading, który widocznie trawiony gorączką złota na widok amuletu snuł już jakieś plany — hm, może. Nie mogę tego ocenić nie znając greczyzny. Zresztą to szczegół tutaj obojętny.
Indianin wciąż trzymał w palcach tajemniczy amulet i śmiał się zagadkowo. Wtem Ben wyciągnął poń rękę, zapewne, by zważyć ciężar. Starzec zauważył ruch i cofnął się skwapliwie.
— Nie wolno dotykać bladym twarzom świętego znaku.
— Dlaczego? — zapytał uśmiechając się ironicznie Heading. — Czy złoto synów Kwapnu parzy ręce białych?
— Nie wolno znieważać świętego znaku Kwapnu, nad którym wielki kapłan Urusa wypowiedział siedmiokrotnie słowo zaklęcia.
— A gdybym mimo to dotknął? — przekomarzał się złośliwie Ben.
— Mogłoby spotkać tak Czarnego Pumę jak i Szare Oko jakieś wielkie nieszczęście; Pumę za to, że dotknąć pozwolił, białą twarz za to, że tknąć się świętości ważyła.
Ben machnął lekceważąco ręką.
— Brednie — zauważył po angielsku, zwracając się ku mnie. — Ten stary jest niewyczerpaną skarbnicą przesądów i dzikich zabobonów.
— Zbyt jesteś kategoryczny w twych sądach, mój kochany — odparłem, przypominając sobie wszystko, co niegdyś słyszałem o amuletach. — Problem amuletów i talizmanów ciekawy i głęboki; widziałem już nieraz te niby niewinne, dziecięco śmieszne blaszki i znaki i poznałem ich siłę. Mogą czasem stać się niebezpieczne.
Heading śmiał się:
— Wiecznie ten sam niepoprawny mistyk i wielbiciel cudowności! Co może kawałek kruszcu lub drzewa wobec woli rozumnego, panującego nad nerwami człowieka?
— Nie chodzi tu o materiał, z którego amulet czy talizman sporządzono, lecz o wiarę w jego cudotwórcze siły, którą całe pokolenia doń przywiązują. Przez szeregi lat, czasem przez wieki całe, osnuwają go ludzkie dusze przędzą wierzeń; z tysiąca piersi wywiązują się prądy psychiczne, płyną ku niemu i wsiąkają weń, przepajając go swą mocną treścią. Tak to niepozorny kamyk, nikła blaszka, sukienny szkaplerz stają się powoli zbiornikiem nagromadzonych w nim w ciągu lat sił i przekształcają się w amulet lub talizman; drzemią w nim tajemne moce wyrzucone z tysiąca wierzących serc i skupione w jego treściowym wnętrzu. Talizman — to kolosalne napięcie zgęszczonej niezmiernie energii potencjonalnej wiary — to jakby akumulator prądów duchowych, który w stosownej chwili może zacząć działać.
Niebezpiecznie jest zbliżać się doń z brudnymi rękoma, z cyniczną intencją. Bo wtedy przeciw świętokradcy powstają utajone dotąd siły i zmiażdżą go, mszcząc się za zniewagę.
Ben kiwał z politowaniem głową:
— Nie będę się spierał o to, co dla mnie jest chimerą mistycznie nastrojonych mózgów. Grunt w tym, ze amulet i tomahawk są ze szczerego złota i że jego pokłady zwietrzyłem w tej okolicy.
— Czy Czarny Puma rozpala ogniska pod wieczór? — zagadnął sędziwego stróża osady.
W odpowiedzi Puma dźwignął się ciężko z kamienia przed paleniskiem i odparł swym śpiewnym, trochę drżącym głosem:
— W chatach Kwapnasów palą się ognie dniem i nocą. Dymy ich wznoszą się nad osadą bez przerwy.
— Przekleństwo! — mruknął przez zęby Ben. — Więc to są dymy wieczyste. Nie będzie można wygodnie zbadać terenu.
— Więc Czarny Puma czuwa przy ogniskach dniem i nocą? — zapytałem zdumiony.
— Dymy nie żądają tego od Czarnego Pumy. Ostatni z pokolenia wojownik syci ognie dwa razy na dzień: gdy słońce wstaje sponad wielkiej rzeki i gdy zachodzi poza czarne bory. Oto już nadszedł jego czas wieczorny. Puma idzie dołożyć świeżych gałęzi cedru, suchych krzów leszczyny i zbielałych kości. Potem pójdzie Puma złożyć strudzoną głowę w wigwamie za osadą, bo we wsi zmarłych żywym spać nie wolno.
Ostatnie słowa wymówił starzec z naciskiem, dając nam do zrozumienia, że na nocleg we wsi

liczyć nie możemy. Potem wyprostował swą zawiędłą postać i ruszył ku wyjściu. Poszliśmy za jego przykładem.
Na dworze tymczasem ściemniło się gwałtownie. Zapaliliśmy ślepe latarnie i poprzedzani przez Indianina wydostaliśmy się na linię obwodu. Tutaj Puma pożegnał nas krótko, powierzając opiece Wielkiego Ducha i życząc nocnego spoczynku, po czym zniknął w drzwiach najbliższej chaty. Odszedłszy parę kroków widzieliśmy jeszcze z oddali, na tle czeluści chaty rozświecanej blaskiem ognia, jego czarną, zgarbioną sylwetę uwijającą się koło paleniska; Indianin przykucnął na ziemi, rozdmuchiwał żar, dorzucał drew. Postać jego rzucona ostro na przekrwawiony ekran wnętrza oglądała dziko jakoś i tajemniczo. I długo jeszcze przypatrywałem mu się w milczeniu, dopóki nie wezwał mnie na wieczerzę Ben, który tymczasem rozbił nasz przenośny namiot i rozniecił ogień. Wkrótce potem zasnęliśmy strudzeni znojami dnia snem mocnym i krzepkim...

Gdy nazajutrz obudziłem się wczesnym rankiem, Bena ż w namiocie nie było. Zjadłem więc śniadanie sam i czekałem na powrót towarzysza.
Przede mną o jakie pięćdziesiąt kroków dymiła osada wszystkimi otworami. Dzisiaj dymy wyglądały odmiennie. O ile wczoraj wieczorem położyły się, przewalając bezładnie jedne przez drugie, splecione kędziorami w wielkie, kotłujące, mlecznobiałe cielsko — teraz wyodrębnione, każdy nad swą chatą, strzelały prosto w górę.
Poranek był pogodny, powietrze czyste, przejrzyste. Szare pióropusze odcinały się dokładnie na ciemnym lazurze nieba. Podszedłem do wsi i zatrzymałem się niedaleko koliska domów. Właśnie w tej chwili wyszedł z jednego z nich Czarny Puma z naręcza chrustu, przebiegł krótką uliczkę i zagłębił się w najbliższej chacie: odbywał swój ront poranny.
Zacząłem studiować dymy. Widziane z bliska, zastanawiały kształtem. Owe pozornie prosto ociosane kłęby zarysowały się teraz szczególnym konturem; była nim wyraźna postać ludzka. Z otworów chat wychylały się dymne postacie indiańskich wojowników. Poszarpane linie popielatego wysięku naszkicowały starannie strzeliste stroje głów w wachlarzu piór, rozwiane skrzydła płaszczy zarzuconych na barki i dzidy potrząsane w męskich prawicach.
Jakaś fantastyczna groza wiała od obrazu. Dwanaście mglistych tworów, dwanaście dymów człekokształtnych z trzynastym, o nadludzkich zarysach, pośrodku, wydostawało się w krętych przegubach z dymników, rosło, rozwijało się w oczach i cieńczało w przestworzu, by znów wywiązać się z niezmordowanie twórczych palenisk.
W pewnej chwili odwinęły się od boków dymnych fantomów potworne włochate ręce i wydłużywszy się w powietrzu, podały sobie dłonie ponad chatami; wściekły podrzut zakołysał mgliste stwory, dziki podryw opanował widmowe postacie i nad osadą rozpoczął się bojowy, opętańczy pląs, trzynaście ludzi-dymów tańczyło w szalonych podskokach.
Zapatrzony w widowisko nie spostrzegłem obecności Headinga, który stanął tuż za mną i potrząsnął mię parę razy za ramię. Oderwałem oczy od jedynego w swoim rodzaju widoku i popatrzyłem na Bena obcym, zdumionym wzrokiem:
— Widziałeś to?
— A widzę, widzę, oczywiście. Ciekawa igraszka dymów i wiatru.
— Wiatru? — żachnąłem się. — Ależ cisza teraz bezwzględna. Popatrz na drzewa: ani jeden listek nie drgnie.
— No, dobrze już, dobrze. Podziwiaj i snuj domysły, jeśli ci się tak podoba. Mam ci coś ważniejszego do zakomunikowania. Odkryłem tuż koło osady żyłę złota. Biegnie prawdopodobnie popod samą wieś.
— Cóż stąd?
— Jak to cóż?! Goddam! Oszalałeś?! Zostajemy tutaj i eksploatujemy teren.
— To niemożliwe. Jeśli złoża przeszywają istotnie wieś...
— To przekopiemy wieś.
— To wykluczone. Przynajmniej z mojej strony. Nie przyłożę ręki do tego.
— Zwariowałeś? Dlaczego?
— Ze względu na Pumę i to miejsce. Obiecuję ci moją pomoc tylko do linii chat. Gdyby żyła

rzeczywiście sięgała poza nią, wycofam się, zrzekając dalszych zysków z podziału.
— Jak chcesz — odparł sucho Ben. — Też fantazja pozbawiać się dla głupiej chimery tak pięknego zarobku.
— Nie mogę inaczej.
I na tym stanęło. Ben zniósł z naszego pierwotnego obozowiska potrzebne przyrządy i zabraliśmy się do pracy. Złotonośna żyła poczynała się w niewielkiej odległości od osady w stronie zachodniej, pod wzgórzem cedrowym, i zmierzała ku chatom. Pas szlachetnego kruszcu był zwarty i wąski; pokładów widocznie szła raczej wzdłuż niż na szerokość. Toteż po dwóch tygodniach oskardy nasze dotarły tuż pod samą wieś.
Przez cały ten czas Puma nie dawał o sobie znaku życia; nie wychodził poza obręb osady, chyba pod noc do swego szałasu po tamtej stronie koliska, i to chyłkiem, jakby w obawie, byśmy go nie zaczepili; widocznie unikał nas. Lecz niezawodnie starzec śledził z daleka postępy pracy, patrząc z niepokojem na zbliżającą się ku chatom wężową linię rywocin.
Wreszcie pewnego dnia zazębiły się kilofy w gliniasty grunt na zatylu jednej z chat po zachodniej stronie osady, i wieczorem oświadczyłem Benowi, że odtąd będzie pracował sam. Heading zaklął, lecz nie zdołał skłonić mnie do dalszej eksploatacji we dwójkę. Nazajutrz rano przypatrywałem się już tylko z namiotu ruchom mego towarzysza.
Ponieważ złoża złota biegły popod chatę, należało zrobić podkop, ewentualnie zdemolować część domu. Heading wybrał pierwsze. Już oskard jego zanurzył się w ziemny nasyp podwalin, gdy wtem spoza węgła wyłoniła się wysoka postać Pumy. Sędziwy wódz skrzyżował ręce na piersiach i przemówił podniesionym od gniewu głosem:
— Dlaczego Szare Oko niepokoi miejsce zmarłych? Dlaczego hukiem żelaznego drąga mąci ciszę zgasłych wojowników? Po cóżeście przyszły blade twarze, spoza wielkiej, słotnej rzeki w krainę czerwonoskórych synów Manitu? Wielki Duch zagniewał się na dzieci swoje i zesłał na ich ziemię blade, chciwe plemię, by niszczyło ich bory, wybijało zwierzynę, kradło ich złoto. Zło i grzech sprowadziły blade twarze między czerwonych współbraci; ognistą wodą rozpijają nam wojowników, by stracili siłę praojców, innych tępią piorunową bronią lub zamieniają w niewolników, a skwawy nasze świecidłami i szkarłatną odzieżą ciągną w łoża pieszczoty. Przekleństwo wam i pomsta wieczna.
Tu starzec podniósł w górę trzęsące się ręce i trzymał wzniesione w stronę wschodu.
Heading odpowiedział paru szorstkimi zwrotami i nie zważając na Indianina kopał dalej. Po chwili Puma opuścił bezwładnie ręce i krokiem niedołężnym zniknął pomiędzy chatami.
Tymczasem Ben jak kret wrył się już pod przyciesie budynku i krótką, migocącą w brzaskach poranka siekierką zaczął rąbać belki podwalin. Zbliżyłem się i usiłowałem raz jeszcze namówić go do zaniechania podkopu, lecz Heading ofuknął mnie gniewnie, prosząc, by mu nie przeszkadzać. Więc odszedłem.
Wśród ciszy letniego rana donośnie grzmiało po borach echo uderzeń siekiery, łomotał trzask szczerbionego drzewa. Nagle, spojrzawszy ku górze ponad chaty, zobaczyłem coś niezwykłego. Pląsające dotąd postacie dymów opuściły ręce i przerwały taneczny korowód. Fantomy, zamiast pędzić w przestworza niebios, nagle pochyliły się twarzami ku środkowi osady i wygięły kłębiastymi łukami ku domowi narad; dwanaście chudych, potwornie wydłużonych szyj wyciągnęło się w kierunku wietnicy, dwanaście mglistych grzbietów zakreśliło w powietrzu potężny kabłąk i skupiło się dookoła naczelnika; w środku wsi powstał mięsisty, mlecznobiały kłąb i zakotłował niespokojnym wirem. Z chaosu cielsk wychylały się zaciśnięte pięście, zwinięte groźnie kułaki wyrzucały skręcone wściekłością ręce i wygrażały nie wiadomo komu. Wtem dreszcz nagłej decyzji wstrząsnął roznamiętnione wężowisko i trzynaście poplątanych kształtów stopiło się w mgnieniu oka w zwartą bułę, która z wolna zaczęła wydłużać się jednolitą, pełzającą w kierunku zachodnim kolumną; było coś okropnego w tym powolnym, a nieubłaganym posuwaniu się potwornej, szarej ssawki, która w drgających pierścieniach zdążała nieprzeparcie ku zagrożonej przez Bena chacie.
Chciałem powstać z miejsca i ostrzec go, lecz dziwne odrętwienie spętało mi nogi, sparaliżowało głos.

Tymczasem trąba dymów już dotarła do chaty i przewalała się przez dach nad Headingiem. Ten zdawał się nie dostrzegać mlecznej nawałnicy i przerąbywał z pasją belki przyciesi. Wtem popielata lawina stoczyła się po tylnej ścianie i zakryła go zupełnie. Ustał stuk siekiery i przez chwilę zapanowało tępe milczenie. Przemagając odrętwienie zerwałem się i zacząłem biec ku chacie. Teraz odezwały się spod szarej masy stłumione przekleństwa i okrzyki, a po paru sekundach wyskoczył z dymiących zwojów Ben, zziajany, z kroplami potu na czole, z ogniem wściekłości w oczach.
Pospieszyłem mu naprzeciw — podając manierkę z wodą. Wychylił duszkiem.
— Przeklęte dymy! — warknął przez zęby.
— Dusiłeś się? — zapytałem odbierając mu siekierkę z ręki.
— Ale gdzież tam! Wiesz, to szczególne! Te dymy nie duszą — możesz wśród nich oddychać jak wśród gęstej igły lub chmury.
— Więc dlaczego jesteś tak czerwony?
— Poparzyłem się — syknął, wskazując wyraźne ślady oparzelin na rękach, piersi i twarzy. — One nie duszą, lecz pieką.
— To dziwne — zauważyłem. — Gdyśmy przed dwoma tygodniami włóczyli się po osadzie, nie czułem ani śladu gorąca.
— Hm... i ja także. Dopiero dzisiaj... Jakiś przeklęty kierunek wiatru czy zmienione składniki paliwa. Do diaska! Masz oliwę?
— Zapas w namiocie nietknięty.
— Muszę wetrzeć porządnie w skórę, bo piecze diabelnie.
Wyliżę się za parę dni, ale potem! — Podniósł pięść ku dymom:
— Zobaczymy, kto ustąpi!
I poszliśmy do namiotu, gdzie Ben opatrzył swe rany. Tego dnia i przez kilka następnych Heading wypoczywał i zalewał oparzone miejsca oliwą. Sądziłem, że wypadek odstraszy go od dalszej eksploatacji w obrębie osady i że wrócimy do starego obozowiska; lecz zawiodłem się. Heading postanowił przeprowadzić swoją wolę za wszelką cenę. Chciwość i upór opanowały go bezwzględnie i po upływie tygodnia, głuchy na moje prośby, ruszył z siekierą i łopatą ku chatom. Lecz zaledwie dotknął ostrzem zrębów domu, wszczął się wśród dymów nerwowy ruch i w paru sekundach włochate kłęby poczęły łączyć się w groźne zrzeszenia z wyraźną orientacją w stronę niszczonego budynku.
Natychmiast ostrzegłem Bena donośnym gwizdem. Heading zrazu wzruszył lekceważąco ramionami; jednak gdy po chwili wąska tulejka palącego dymu liznęła mu rękę, opuścił na ziemię siekierę i cofnął się przed atakiem. Mimo to jeszcze parę razy ponawiał próby przekopania wsi, lecz zawsze z podobnym wynikiem; dymy zajadle broniły nietykalności miejsca.
Wtedy przez jakiś czas zdawało się, że Ben odstąpi od pierwotnego zamiaru; przestał bowiem kopać i w ogóle nie zbliżał się do osady. Lecz z zaciętych ust wyglądało silne postanowienie. Heading należał do rzędu ludzi, którzy niełatwo ustępują. Teraz może szło mu już nie tyle o samo złoto, ile o chęć przełamania przeszkody, która dla mnie miała charakter czegoś tajemniczego, dla niego była tylko krnąbrną przekorą przypadku. Zresztą, może z czasem i u niego nastąpiła zmiana w poglądzie na sprawę, może i on zaczął patrzeć trochę inaczej na swą walkę z dymami; lecz ambicja nie pozwalała przyznać się do tego, a poniesione porażki podżegały tylko zawziętość. Stał się małomówny i ponury, przestał mi się zwierzać z planami na przyszłość.
Przez kilka dni tedy nie drażnił przeciwnika, unikając bezpośredniego zetknięcia z chatami. Natomiast wykopał już koło zagrożonego domu coś w rodzaju zbiornika, do którego doprowadził sztucznym kanałem wodę z pobliskiego potoku. Praca ta ciężka, wykonana w pojedynkę, zabrała mu dwa dni czasu. Lecz z wyniku był znać bardzo zadowolony, bo gdy po jej ukończeniu pod wieczór przyszedł posilić się do namiotu, tryskał humorem i zacierał ręce. Udałem, że tego nie dostrzegam, zniecierpliwiony już jego uporem, postanawiając nazajutrz pozostawić go samego losowi i pracować w innych stronach na własną rękę.
Tegoż wieczora, po kolacji, położyłem się wcześniej na spoczynek, by nabrać sił do zamierzonego nazajutrz wymarszu. Lecz zasnąć nie mogłem. Ben usiadł przy wejściu i palił fajkę patrząc w stronę dymiącej wsi. Noc była miesięczna, jasno jak w dzień. Trzynaście wyraźnie zróżnicowanych dy-

mów wwiercało się spokojnie w głęboki granat przestworza.
Wtem Ben wytrząsnął fajkę w ognisko i zaczął krzątać się po namiocie. Po chwili wyjął z kąta spod stosu rupieci wiadro i zdjąwszy ze sznura skórzany bukłak, oddalił się cicho ku osadzie. Ciekawy, co zamierza, opuściłem me legowisko i wyszedłem przed namiot. Heading doszedłszy do sztucznej sadzawki pochylił się, zaczerpnął wody w oba naczynia i ruszył pomiędzy chaty. Postać jego smukła i krzepka czerniła się długim cieniem na białym toku między domami, wyraźnie chrzęściły na żwirze kroki pewne, męskie. Postawił wiadro i na ziemi i zdjął bukłak z pleców. Przed otworem jednej z chat pochylił się jak do skoku, cofnął wstecz ręce z trzymanym w nich bukłakiem i silnym rozmachem wyrzucił je przed siebie. Srebrny strumień wody błysnął łukiem w poświacie księżyca i zniknął we wnętrzu chaty; za nim poszedł drugi, trzeci i następne. Ben, wypróżniwszy szawłok, chwycił za wiadro i zalał nim drugie ognisko. Potem rzucił próżne naczynie i z błyskawiczną chyżością napełnił w sadzawce skórzany wór po brzegi. W następnej chwili był już z powrotem w trzeciej z rzędu chacie i zalewał skwapliwie tlejący ogień. Olbrzymi cień uwijającego się jak szatan po osadzie prześlizgiwał się po toku, sunął między uliczkami, wczołgiwał się w otwory domów...
Po pierwszym rzucie, kiedy trafił najbliższe ognisko, dotąd cicho płynące w niebo dymy zawahały się; jakby wstrząs ogromny zakołysał pękami strzępiastych piór wojowników, spazm bolesny skurczył ich zwiewne postacie. Gdy Heading wracał od sadzawki ze świeżym zapasem wody, dymy nagle zapadły się; zielonoszare trzony ściągnęły się, zmalały i wsiąkły przez dymniki w głąb chat. Ben spostrzegł to i z okrzykiem triumfu podskoczył ku następnej chacie. Lecz w tymże momencie trzynaście dymnych szyj wysunęło się z otworów wchodowych, trzynaście potwornych łap wypadło z sykiem z czeluści wigwamów i w mgnieniu oka spętało go zwartą, nieprzeniknioną mgłą; osada w jednej chwili zamieniła się w kłębiące wężowisko. Powietrze rozdarł zwierzęcy, rozpaczliwy ryk, jakiś nieludzki, dziki skowyt. To Ben krzyczał, to Ben wzywał na pomoc. Puściłem się pędem pomiędzy chaty, na oślep zdążając w stronę, gdzie mi zniknął wśród kłębów. Już dosięgłem ich tylnych straży, które zamknęły się za nim zbitą masą, już miałem zanurzyć się w ich miękkie mleczne ciało — gdy jakiś prąd potężny jak huragan, jakiś tajfun silny jak olbrzym odepchnął mię wstecz na parę metrów. Padając, usłyszałem raz jeszcze ów okropny krzyk, lecz już cichszy, jakby znużony walką.
Dźwignąłem się i porwałem znów w kierunku, skąd doszedł mię głos Bena. Lecz oto znów niewidzialny cyklon powalił mię ze zdwojoną energią na ziemię: żelazny kordon bronił przystępu. A tymczasem tam, przy czwartej chacie, kotłowały rozczochrane fale, mrowił się dziki zgiełk mgieł, wichrzyła duśba opętańców. Wśród syku dogasających ognisk, wśród szeptu sepleniących zwojów powstałem po raz drugi i ponowiłem próbę przedarcia się przez ćmę.
Teraz nie spotkałem już najlżejszego oporu. Było tylko mglisto od dymów i nie widziałem na krok przed sobą. Szedłem po omacku naprzód, przesiąkły kopciem i swędem. Parę razy zaczepiłem ręką o jakiś pal totemowy, raz omal nie rozbiłem głowy o wystający węgieł chaty. Nie wiem, jak długo trwała wędrówka — może godzinę, dwie lub więcej. Nie orientując się w dymnej pomroce, zapewne obszedłem osadę wkoło parę razy, wciąż wracając na to samo miejsce. W pewnej chwili, mijając ciemny kontur jednej z chat, potrąciłem nogą o coś miękkiego. Schyliłem się i namacałem i ręką ciało człowieka. Dreszcz grozy przeniknął mię do kości. Uniosłem go z wysiłkiem za ramiona i słaniając się pod ciężarem wywlokłem poza obręb domów. Tu spojrzałem mu w twarz. Była okropna. Wyszłe z orbit oczy miały wyraz piekielnego przerażenia, naprężone jak struny ścięgna zdawały się pękać od wysiłku; skóra poparzona w straszliwy sposób odpadała od mięsa — na szyi widniały ciemnosine odciski bezliku palców. Z ust rozwalonych szeroko wystawał język czarny, mięsisty, obrzmiały...
Oglądnąłem się bezradnie wokoło, nie wiedząc, jak przenieść zwłoki do namiotu. Wtem przypomniałem sobie starego Pumę, który zapewne spał w swym szałasie. Zostawiłem trupa na murawie pod grupą drzew, a sam poszedłem obudzić starca i poprosić o pomoc. Zastałem wodza w jego liściastym wigwamie, poza wsią, w głębokim uśpieniu. Zbudzony, zrazu nie rozumiał, o co chodzi, lecz gdy mu opowiedziałem zdarzenie dogorywającej już nocy, gdy przedstawiłem w całej prawdzie świętokradczy czyn Bena, twarz Indianina przybrała wyraz tak bezbrzeżnej rozpaczy, że mimo woli cofnąłem się przed tym bezmiarem cierpienia i bólu. A Puma, wydawszy z swej starczej

piersi głos podobny do skargi kruka, wybiegł z szałasu ku osadzie.
Na pomoc jego liczyć nie było można. Powróciłem do zwłok Headinga i z trudem zawlokłem je pod najbliższe wzgórze. Tu wykopałem grób, by pogrzebać z brzaskiem dnia nieszczęśliwego towarzysza wyprawy. A do świtu było już niedaleko. W borach odzywało się już przebudzone ptactwo, kończyły nocne loty nietoperze. Wśród perłowej szarzyzny brzasku stała osada głucha i martwa; ani jeden dym nie wykwitał ponad dachy. Przed godziną jeszcze zalewające wieś mściwe kłęby zniknęły bez śladu; ani jeden kędzior nie tułał się po znieważonym osiedlu.
Odkryłem głowę i powoli spuściłem zwłoki w świeżą mogiłę. Niechaj spoczywa w spokoju...
Wśród rozgwaru wstającego dnia skierowałem ciężkie kroki ku martwej wsi; chciałem pożegnać Pumę i odejść stąd daleko.
Zbliżyłem się do wietnicy. Spoza pala totemów ego wyzierała czarna czeluść wnętrza; na toku walało się parę nie dopalonych drewien, świeża gałąź leszczyny i tomahawk porzucony... Schyliłem się pod niski okap, postępując kilka kroków w głąb. Nagle wyprostowawszy zgarbione plecy uderzyłem głową o parę zwisających z pułapu nóg. Wtedy podniosłem wzrok w górę, w mroki powały, by tu spotkać się ze spojrzeniem starczych, znużonych już strażowaniem oczu wisielca.

Dziedzina

Od lat przeszło dwunastu Wrześmian przestał pisać zupełnie. Wydawszy w roku 1900 czwarty z rzędu tom swych oryginalnych i dziwnych utworów, zamilkł i bezpowrotnie usunął się z widowni świata. Od tego czasu nie ruszył piotrem, nie odezwał się choćby błahym wierszem. Nie wydrożyły go z milczenia zachęty przyjaciół, nie podniecały głosy krytyków, którzy z przydługiej pauzy wysnuwali domysły jo nowym jakimś, szeroko zakrojonym dziele. Lecz oczekiwania zawiodły i Wrześmian nie przemówił już nigdy.
Z wolna zaczęła się o nim ustalać opinia oczywista, jak słońce jasna i prosta: wyczerpał się przedwcześnie: — Tak, tak — pochylali smutno głowy literaccy smakosze — wypowiedział się za szybko. Nie znał ekonomii tworzenia; zbyt ziele zagadnień na raz poruszał w jednej kreacji. Sam sobie zaszkodził: zabrakło tematu.
Osądy dotarły do Wrześmiana, lecz nie wywołały najmniejszego skutku. Przeto uwierzono w rychłe wyjałowienie i świat przeszedł nad nim do porządku. Zresztą powstały nowe talenty, zarysowały się na horyzoncie nowe sylwety i zostawiono go nareszcie w spokoju.
W rzeczywistości nawet większość zadowoloną była z takiego obrotu sprawy; Wrześmian bowiem nie cieszył się L zbytnią popularnością. Utwory tego dziwnego człowieka, przesiąknięte wybujałą fantazją, przepojone silnym indywidualizmem, sprawiały wrażenie niekorzystne, wywracając na nice utarte poglądy estetyczno-literackie, drażniły uczonych, przedrzeźniając niemiłosiernie ustalone pseudoprawdy. W ogóle twórczość tę uznano z czasem za wytwór wyobraźni chorej, dziwaczny płód maniaka, może nawet obłąkańca Wrześmian był niewygodny z różnych względów i niepokoił niepotrzebnie, mącąc spokojne wody. Dlatego przyjęto przedwczesny zachód z uczuciem potajemnej ulgi: ludzie odetchnęli.
I nikt ani na chwilę nie przypuścił, że sąd mógł być z gruntu fałszywy, że przyczyną usunięcia się z areny świata niekoniecznie musiało być wyczerpanie i uwiąd. Lecz Wrześmianowi było zupełnie obojętnym, jaka legenda o nim urośnie; uważał to za sprawę czysto osobistą, prywatną, i ani myślał wyprowadzać z błędu.
Bo i po cóż? Jeśli to, czego odtąd zapragnął, zrealizuje się. przyszłość wyświetli prawdę i rozsadzi

stężałą skorupę, w jaką go zatopiono; jeśli zaś marzenia nie ziszczą się, to tym mniej przekona, narażając się tylko na szyderstwa i obelgi. Więc lepiej czekać i milczeć.
Bo nie brakło mu tchu i rozmachu, lecz ogarnęły go nowe pragnienia. Wrześmian chciał zdobyć silniejsze środki ekspresji, zaczął dążyć do potężniejszych realizacji twórczych. Słowo mu już nie wystarczało; szukał czegoś bardziej bezpośredniego, rozglądał się za materiałem plastyczniejszym do urzeczywistnienia pomysłów.
Sytuacja była tym zawilszą, marzenia tym mniej ziszczalne, że linia twórczości, po której kroczył, odbiegała daleko od ubitych traktów.
Ostatecznie bowiem większość dzieł sztuki obraca się w dziedzinie mniej lub więcej realnej, odtwarzając lub przekształcając zjawy życia. Zdarzenia, lubo zmyślone, bywają tylko jego analogią, spotęgowaną wprawdzie przez egzaltację lub patos, więc możliwą w jakimś momencie czasu; podobne obrazy mogły już kiedyś zajść w rzeczywistości, mogą się kiedyś pojawić w przyszłości; nic nie przeszkadza wierze w ich możliwość — rozum nie podnosi buntu przeciw przystępnym zmyśleniom. Nawet twory przeważnej liczby fantastów nie wykluczają przypuszczalnej realizacji, o ile w ogóle nie wygląda z nich chęć igraszki lub niedbały uśmiech zręcznego żonglera.
Lecz u Wrześmiana przedstawiała się sprawa trochę inaczej. Cała jego dziwaczna, zagadkowa twórczość była jedną wielką fikcją. Na próżno wysilali się krytycy w dociekaniu tak zwanych „wpływów literackich", „analogii" „prądów z zagranicy", które by choć w przybliżeniu użyczały klucza do niedostępnego zamku poezji Wrześmianowej — na próżno uciekali się sprytni recenzenci do pomocy uczonych znawców psychiatrii, przerzucali stosy przeróżnych dzieł, wertowali encyklopedie; utwory Wrześmiana wychodziły zwycięsko z powodzi interpretacji, bardziej jeszcze tajemnicze niż przedtem. Wiał z nich jakiś ponury urok, nęciła zawrotna, dreszczem ścinająca głębia.
Mimo swej bezwzględnej, absolutnej fikcyjności, nie przecinającej się choćby w jednym punkcie z życiem rzeczywistym, Wrześmian wstrząsał, zastanawiał, zdumiewał: ludzie nie śmieli przejść obok z lekceważącym wzruszeniem ramion. Coś tkwiło w tych utworach krótkich i zwartych jak pocisk, coś przykuwało uwagę, pętało duszę; jakaś potężna sugestia wywiązywała się z tych ciętych skrótów, pisanych stylem pozornie chłodnym, niby sprawozdawczym, niby naukowym, pod którym tętnił żar zapamiętalca.
Bo Wrześmian wierzył w to, co pisze; bo posiadł z biegiem lat niezachwiane przekonanie, że wszelka choćby najzuchwalsza myśl, że wszelka choćby najszaleńsza fikcja ziścić się może, że kiedyś doczeka się spełnień w przestrzeni i czasie.
— Człowiek niczego nie myśli na marne. Żadna myśl, nawet najdziwaczniejsza, nie ginie bezpłodnie — powtarzał niejednokrotnie w gronie przyjaciół i znajomych.
I zdaje się, właśnie ta wiara w ziszczalność fikcji rozlewała utajony żar po arteriach jego utworów, ze mimo pozornej oschłości przejmowały do głębi...
Lecz on nie był z siebie nigdy zadowolony; jak każdy szczery twórca szukał ciągle nowych środków wypowiedzenia się, coraz to dobitniejszych znaków, które by oddały myśl jego możliwie najwierniej. W końcu porzucił słowo, wzgardził mową jako zbyt łomką formą ekspresji i zaczął tęsknić do czegoś bezpośredniejszego, co by plastyką i dotykalnością prześcignęło wszystkie dotychczasowe zakusy. Chciał innej realizacji.
Jaką być mogła — nie wiedział dokładnie — lecz w możliwość jej wierzył niewzruszenie. Parę faktów zaszłych przed laty, gdy jeszcze pisał i ogłaszał — umocniło tę wiarę; przekonał się bowiem już wtedy, że mimo swego urojonego charakteru kreacje jego posiadają szczególną siłę wpływania na świat i ludzi. Szalone pomysły Wrześmiana, wypadłszy z rozżarzonej miazgi twórczej, zdawały się mieć moc zapładniającą, wytwarzając nowe, nie znane dotychczas wiry, jakieś obłąkane monady myślowe, których przejawy rozbłyskiwały niespodzianie w czynach i gestach pewnych osobników, w przebiegu pewnych zdarzeń.
Lecz i to mu nie wystarczało. Pragnął spełnień całkiem niezależnych od praw rzeczywistości, tak swobodnych jak ich źródło: fikcja, jak ich zaczyn: urojenie. Byłoby to ideałem — najwyższą realizacją bez reszty, wypowiedzeniem się pełnym, bez cienia niedoborów...
Lecz Wrześmian rozumiał, że taka realizacja mogła stać się dla niego samego zagładą.

Bezwzględne spełnienie byłoby też absolutnym wyżyciem się, więc śmiercią z wytężenia, nadmiaru...
Bo ideał — wszak wiadomo — jest w śmierci; dzieło przytłacza twórcę swym ciężarem; myśli zrealizowane w pełni mogą stać się groźne i mściwe; zwłaszcza myśli obłąkane. Pozostawione sobie, bez punktu oparcia o rzeczywiste podłoże, mogą być niebezpieczne dla tego, który je stworzył.
Wrześmian przeczuwał podobną ewentualność, lecz się nie wahał, nie uląkł. Pragnienie było mocne nade wszystko...
Tymczasem lata mijały cicho, nie przynosząc wymarzonych ziszczeń. Wrześmian usunął się zupełnie z widoku ludzi i zamieszkał samotnie u wylotu miasta, przy ustronnej, wychodzącej na pola i ugory podmiejskiej ulicy. Tu zamknięty w swych dwóch pokojach, odcięty od towarzystwa, spędzał miesiące i lata na lekturze i kontemplacji. Z wolna ograniczał się do coraz to ciaśniejszych kręgów życia rzeczywistego, któremu nie poświęcał najmniejszej uwagi, płacąc tylko minimalny, nieunikniony haracz. Poza tym cały tkwił w sobie, w swych marzeniach i w tęsknocie za ich spełnieniem. Idee, nie rzutowane jak przedtem na papier, nabierały mocy i soków, pęczniały nie wypowiedzianą treścią. Czasem zdawało mu się, że myśli nie abstrakcjami, lecz czymś materialnym, niemal zgęszczonym, że wystarczało ręką sięgnąć, by ująć, by pochwycić. Lecz złudzenie prędko rozwiewało się, by ustąpić miejsca gorzkiemu rozczarowaniu.
Przecież nie tracił otuchy. By nie rozpraszać się zbytnio widokami świata zewnętrznego, zacieśnił zakres codziennych postrzegań do nielicznej liczby obrazów, które widziane ciągle bez zmiany dzień w dzień, przez lata całe, powoli weszły w zwarte kolisko idei, stały się współmiernym im terenem, zlewając się ze światem marzeń w jedną swoistą dziedzinę. Tak nieznacznie wytworzyło się nieuchwytne jakieś środowisko, jakaś tajemnicza oaza, do której nikt nie miał przystepu oprócz Wrześmiana. Owo milieu nasiąkłe jaźnią marzyciela, przepojone nim po brzegi, przedstawiało się nie wtajemniczonym jako zwykłe miejsce przestrzeni: ludzie
i mogli dostrzegać tylko jego stronę zewnętrzną, jego istnienie fizyczne — drgającego wewnątrz rozczynu myśli, subtelnego związku, jaki łączył je z osobą Wrześmiana, przeczuć nie zdołali.
Dziwnym trafem przestrzenią objętą przez myśl fantasty, owym miejscem, które przetworzył w dziedzinę swych rojeń, nie było jego mieszkanie; oaza fikcji wznosiła się naprzeciw jego okien, po drugiej stronie ulicy, w formie jednopiętrowej willi.
Ponura wytwomość domu przykuła go do siebie od razu po zajęciu nowego mieszkania. U końca czarnego szpaleru cyprysów, obejmujących podwójnym rzędem kamienny chodnik, widniał kilkustopniowy taras, z którego wiodły do wnętrza ciężkie, stylowe podwoje. Poprzez żelazne sztachety, okalające zewsząd pałacyk, bielały po obu stronach cyprysowej alei skrzydła domu. Pociągnięte bladozieloną farbą wyglądały z głębi schorzałe, smutne lica ścian. Utajona spodem w ogrodzie wilgoć wypełzła tu i ówdzie ciemnym wysiękiem. Niegdyś starannie pielęgnowane rabaty kwiatów, chimerycznie zawinięte klomby, z czasem zatraciły wyrazistość linii. Tylko dwie fontanny łzawiły cicho, roniąc wodę z marmurowych mis na pęki róż bogatych, czerwonych. Tylko muskularny tryfon po lewej stronie wciąż wyciągał tym samym gestem rękę na powitanie ku gibkiej dziwożonie, co wychylona z marmurowej cysterny po tamtej stronie, wabiła go od lat; na próżno — bo rozdzieliły ich cyprysy...
Całość sprawiała wrażenie ponurej samotni, opuszczonej od dłuższego czasu przez ludzi, izolowanej od sąsiednich budynków. Willa zamykała ulicę; poza nią nie było już ani jednego domu; kładły się tylko szerokimi pasmami łąki, płożyły pola, ugory, z dala czerniały zimą, rdzewiały jesienią bukowe lasy...
W seledynowej wilii nie mieszkał nikt od szeregu lat. Właściciel, jakiś majętny arystokrata, wyjechał od dawna za granicę pozostawiając dom bez opieki.
Więc stał zaniedbany w pośrodku wybujałego ogrodu, trawiony niszczycielską pracą deszczu, kruszony zjadliwością wiatrów i zimowych zamieci.
Posępny urok, jaki wiał od tego zacisza, dziwnie pociągał duszę Wrześmiana. Willa była dlań plastycznym symbolem nastroju, którym tchnęła jego twórczość — wpatrzony w nią, czuł się jakby u siebie.

Toteż całe godziny spędzał przy oknie i oparty o ramę zapuszczał zamyślone spojrzenie w stronę smutnego domu. Zwłaszcza w noce miesięczne lubił obserwować bajeczne efekty wywoływane w fantastycznej ustroni przez światło księżyca. Już to noc zdała się być właściwym jej żywiołem. Za dnia willa jakby drętwiała w martwym uśpieniu; cały czar ukryty w jej tajemniczym wnętrzu występował w pełni dopiero po zachodzie słońca. Wtedy dom ożywiał się; jakieś nieuchwytne drgnienie przebiegało dreszczem senną pustelnię, wstrząsało stężałe w żałobie cyprysy, marszczyło falistą linią zwietrzałe przyczółki i fryzy...
Wrześmian patrzył i żył życiem domu. Budziły się myśli wyraźne, harmonijnie zestrojone ze scenerią naprzeciw, rodziły patetyczne tragedie, silne jak śmierć, groźne jak przeznaczenie — to znów mżały jakieś pomysły niejasne, przyćmione jakby patyną księżycowego posrebrza.
Każdy zakątek stał się zmysłowym odpowiednikiem fikcji, bryłowatą realizacją myśli, które czepiały się gzymsów, wędrowały po samotnych, pustych salach, łkały na stopniach terasy. Rozchybotane szale śnień, mgławice rojeń tułały się dżdżystą rozchwieją, błąkały wzdłuż ścian, niepewne ostoi. Lecz i te znalazły przystań. Podrażniona kapryśnością ich ruchów wyobraźnia odtrącała je precz z pogardą, jak wylękłe ściekały mętną strugą w dużą, omszałą kadź u węgła domu i sączyły się w jej czarny kadłub senne, nudne jak woda deszczowa w późną, jesienną szarugę. Nikłe, rdzawe niedokwasy myśli.
Wrześmian upajał się ponurą igraszką fantazji, nadając jej tworom bieg dowolny; wedle upodobania zmieniał ich kierunek, spędzał z widowni, za chwilę znów wyczarowywał nowe ich zastępy...
Nie przeszkadzał nikt. Odludną ulicą w odległej dzielnicy miasta nie przechodził żaden niewczesny natręt, nie przerywał nastroju hałaśliwy wóz.
Tak przeżył ostatnich lat kilka nie zamąconych niczym z zewnątrz, pełnych grozy i dziwów od wnętrza.
Aż nagle pewnego dnia zaszły w domu naprzeciw jakieś zmiany i wydrożyły Wrześmiana gwałtownie z zapamiętania, które już zaczęło przybierać ustalone nawykiem i wprawą formy.
Było to w pogodny, lipcowy wieczór. Siedząc jak zwykle przy otwartym oknie ze wspartą na ręce głową, wodził Wrześmian zamyślonym spojrzeniem po willi i ogrodzie. Wtem spojrzawszy w jedno z okien na skrzydle, zadrżał. Przez szybę patrzyła nań uparcie blada twarz mężczyzny. Wzrok nieznajomego utkwiony weń nieporuszenie był groźny. Ogarnął go nieokreślony lęk. Przetarł oczy, przeszedł się parę razy po pokoju i znów spojrzał w okno: surowa twarz nie znikła, wciąż wpatrzona w jego stronę.
— Czyżby już wrócił właściciel willi? — rzucił półgłosem słabe przypuszczenie.
Ponura maska w odpowiedzi skrzywiła się w dziko ironicznym uśmiechu. Wrześmian zapuścił storę i oświetlił mieszkanie: nie mógł dłużej wytrzymać wzroku.
Dla zatarcia wrażenia zatopił się w lekturze aż do północy. Koło dwunastej dźwignął się znużony od książki i wiedziony przemożną pokusą uchylił brzegu zasłony, by wyjrzeć przez okno. I znów dreszcz trwogi przejął go do kości: blady mężczyzna stał wciąż bez ruchu tam, za szybą, na prawym skrzydle, i oświetlony jasno magnezjowym lśnieniem księżyca obezwładniał go wzrokiem. Zaniepokojony, zapuścił Wrześmian z powrotem roletę i usiłował zasnąć.
Lecz na próżno; przejęta lękiem wyobraźnia nie dawała mu spokoju, dręcząc nieznośnie. Dopiero nad ranem zapadł w krótki nerwowy sen pełen zmor i wizji. Gdy nazajutrz koło południa obudził się z zawrotem głowy, pierwszą myślą było spojrzeć w okna willi. Odetchnął: uparta twarz znikła.
Przez cały dzień był spokój. Lecz nad wieczorem ujrzał za szybą na pierwszym piętrze wlepioną w siebie maskę jakiejś kobiety; rozwiane włosy okalały twarz przekwitłą już, ze śladami wielkiej niegdyś piękności, twarz obłąkaną, z parą błędnych, zawziętych oczu. I ona patrzyła nań poprzez szaleństwo źrenic surowym wzrokiem towarzysza ze skrzydła prawego. Oboje zdawali się nic nie wiedzieć o swej współbytności w dziwnym domu. Łączył ich tylko gest groźby zwrócony ku Wrześmianowi...
I znów po bezsennej nocy, przerywanej wypatrywaniem prześladowców, nastał dzień wolny od maszkar. Lecz kiedy już zmrok wchodził w tajne zmowy z nocą, wykwitła w trzecim z rzędu oknie nowa postać, by nie ustąpić aż do rana. Tak w przeciągu paru dni zapełniły się wszystkie okna willi

złowieszczymi twarzami. Spoza każdej szyby wyglądały jakieś rozpaczliwe oczy, czyjeś owale przeorane bólem lub obłędem. Dom patrzał nań oczyma maniaków, grymasem szaleńców, szczerzył się ku niemu śmiechem opętanych. Nikogo z tych ludzi nigdy dotąd w życiu swoim nie widział, a jednak wszyscy byli mu jakby skądś znani. Lecz skąd, nie wiedział. Każdy z nich miał wyraz odmienny, lecz wszystkich jednoczył ruch groźby w jego stronę; widocznie uważano go tam za wspólnego wroga. Przerażała go ta ich nienawiść i przyciągała zarazem w magnetyczny sposób. I rzecz dziwna w najgłębszych pokładach duszy rozumiał ich gniew i przyznawał mu słuszność.
A oni, jakby odgadując go z oddali, nabierali pewności wyrazu i maski ich stawały się z dniem każdym bezwzględniejsze.
Aż nocy jednej sierpniowej, gdy wychylony przez okno wytrzymywał krzyżujące się na nim spojrzenia nienawistnych oczu, nagle nieruchome twarze ożywiły się; we wszystkich błysnęła naraz ta sama wola. Setki chudych jak piszczele rąk podniosły się w górę ruchem rozkazującym i kilkadziesiąt bladych dłoni wykonało zgięciem palców gest znamienny...
Wrześmian zrozumiał: wzywano go do wnętrza. Jak zahipnotyzowany przeskoczył parapet okna, przeszedł wąski pas ulicy i przesadziwszy sztachety począł iść aleją ku willi...
Była czwarta nad ranem. Blaski księżyca pławiły w srebrnej topoli dom, wywabiały z załomów długie cienie. Droga była jasna, oślepiająco biała wśród żałobnych ścian drzew.
Głucho, wyraźnie tętniły kroki na kamiennych płytach; cicho szemrały fontanny. Wstąpił na taras i silnie szarpnął klamkę: drzwi ustąpiły. Szedł długim korytarzem w dwa rzędy kolumn korynckich pod ścianami. Nocny półmrok rozjaśniało światło księżyca, które wlewając się przez witraż u końca krużganka snuło zielone baśnie na porfirze posadzki...
Nagle w przechodzie wysunęła się spoza trzonu kolumny jakaś postać i poszła za nim. Dreszcz go zdjął, lecz milcząc szedł naprzód. O parę kroków dalej oderwał się od wnęki między słupami kształt nowy, za nim trzeci, dziesiąty — wszystkie szły za nim. Chciał zawrócić, lecz zastąpiły mu drogę. Więc przeszedł las kolumn i zboczył w jakąś okrągłą salę na prawo. Tu było jasno od lśnień księżycowych i pełno jakichś ludzi. Przemykał się między nimi szukając wyjścia. Na próżno! Otaczali go coraz zwartszym, natrętniejszym koliskiem. Z bladych, bezkrwistych ust wypłynął groźny szept:
— To on! To on!
Zatrzymał się i spojrzał wyzywająco w tłum:
— Czego chcecie ode mnie?
— Twej krwi! Krwi twojej chcemy! Krwi! Krwi!
— I cóż wam po niej?
— Chcemy żyć! Chcemy żyć! Po cóżeś nas wywołał z chaosu niebytu i skazał na nędzę półcielesnej włóczęgi? Patrz, jacyśmy bezsilni i bladzi!
— Litości! — jęknął, rozpaczliwie rzucając się na kręte schody w bok sali.
— Trzymać go! Otoczyć! Otoczyć!
Pędem szaleńca wdarł się po stopniach na piętro i wpadł w jakąś komnatę. Lecz prześladowcy wtargnęli tuż za nim. Wiotkie ich ramiona, fluidyczne, wilgotne jak mgła ręce zwarły się w korowód bez wyjścia.
— Cóżem wam uczynił?
— Chcemy pełni życia! Przykułeś nas, nędzniku, do tego domu! Chcemy wyjść stąd na świat, wyzwolić się od miejsca i żyć na swobodzie! Krew twoja nas wzmocni, krew twoja sił nam doda! Udusić go! Udusić!
Odruchem rzucił się ku oknu, by wyskoczyć. Legion oślizłych, zimnych rąk chwycił go wpół, wbił zakrzywione haki palców we włosy, owinął szyję... Targnął się raz i drugi. Czyjeś paznokcie wżarły mu się w krtań, czyjeś wargi przyczepiły do skroni...
Zachwiał się, oparł plecami o framugę, przeważył się wstecz... Kurczowo wyciągnięte ramiona rozłożyły się ruchem ofiary, na zbielałe wargi wypełznął znużony uśmiech — już nie żył.
A w chwili, gdy w agonii stygło ciało Wrześmiana. przerwał ciszę przedświtu głuchy pluskot. Szedł z kadzi u węgła domu. Powierzchnia spleśniałej od zielonych kożuchów wody zakotłowała — w głębinach zbutwiałej, w rdzawe obręcze ujętej beczki dźwignęły się jakieś wiry, zafalowały męty,

zabulgotały ustoiny. Wybiegło parę dużych, wzdętych bąbli i wychylił się niekształtny kikut ręki; jakiś niby tułów, niby kadłub — wynurzył się z toni ociekający wodą, okryty pleśnią i trupieszą stęchlizny twór — niby człowiek, niby zwierz, niby roślina. Potworek błysnął ku niebu zdumioną twarzą, roztworzył w nieokreślonym głupowato-zagadkowym uśmiechu gąbczaste wargi, wydobył z kadzi pokręcone jak krzak koralu nogi i otrząsnąwszy się z wody zaczął iść krokiem chwiejnym, rozkołysanym...
A był już świt na dworze.
Dziwotwór uchylił furtkę od ogrodu poza domem, przesunął się kabłąkiem po ścieżynie i oblany strugami brzasku wtoczył się na drzemiące łąki i pola. Z wolna postać jego malała, rozwadniała się, gasła... Aż rozpłynął się, rozwiał w blaskach zarania.

Czerwona Magda

W strażnicy pogotowia pożarniczego panowała cisza północy. Światło latarni — czujki naciągniętej wysoko na haku pod stropem, roztaczało przyćmiony wachlarz promieni na izbę kwadratową, z dwoma tapczanami pod ścianą i szafą na akta i hełmy zapasowe. Pod oknem przy stole siedziało dwóch strażaków nad partią warcabów, puszczając od czasu do czasu kłęby żółtego dymu z długich, wiśniowych lulek. Grali znać bez przejęcia, tak sobie dla zabicia czasu, bo ruchy rąk były leniwe, jakby od niechcenia, gdy z twarzy znużonych czuwaniem wiała nuda i senność. Czasem któryś ziewnął szeroko i rozprostował przygarbione ślęczeniem plecy, czasem bąknął półgębkiem jakąś uwagę. I znów zapadała cisza spowita dymem fajek.
Na tapczanach leżało dwóch dyżurnych: jeden pod lewą ścianą chrapał smacznie, gdy jego partner ze strony przeciwnej ćmił w milczeniu papierosa ze wzrokiem wbitym nieruchomo w pułap. W jakiejś chwili oderwał oczy od sufitu, przy dusił dogasający ogarek i rzucił w kąt izby. Jeden z grających odwrócił się:
— Nie śpicie, panie sierżancie?
— Jakoś mi się nie klei. Grajcie dalej. Wolę dumać. Wyciągnął się z powrotem na łóżku, splótł ręce pod głową
i zapatrzył się w zamyśleniu w duży, wiszący obraz św. Floriana. Niewesoła znać była zaduma, gdyż twarz mu się k chmurzyła raz po raz i co chwila ściągał boleśnie długie, czarne łuki brwi.
Jakoż miał się czym kłopotać sierżant Piotr Szponar. Od trzech tygodni powróciła do miasta na służbę jego jedynaczka, Magda, wraz z nią te same troski i obawy, które przed dwoma laty zmusiły do wydalenia jej w strony odległe, gdzie jeszcze o niej nikt nic nie słyszał.
Bo dziwnym też stworzeniem była córka strażaka. Wysoka, wątła i blada, zwracała uwagę dużymi, czarnymi, wiecznie w przestrzeń zapatrzonymi oczyma i ruchami rąk, których nigdy opanować nie umiała. Ręce te, równie blade jak twarz, przebiegały ustawicznie jakieś nerwowe dreszcze czy skurcze, wywołując niespokojny, spazmatyczny ruch palców — długich, wąskich, wiecznie zimnych. Włosy miała bujne, czarne, które w lśniących kruczo wężach wymykały się spod jedwabnej, ognistopomarańczowej chusty, jedynej ozdoby, na jaką stać było biedną dziewczynę.
Matka Marta, podobno wielkiej piękności Cyganka, odumarła ją wcześnie, pozostawiając w spadku naturę chorą jakąś i tęsknotę do wielkich, bezkresnych stepów. Ojciec kochał Magdę uczuciem tkliwym i serdecznym, lecz jakby z odcieniem lęku przed własnym dzieckiem. Piotr Szponar bał się swej córki. Bał się jej białej jak marmur twarzy, jej wąskich, zaciętych uporczywie ust, jej długich a częstych zamyśleń. Lecz były i inne, głębsze przyczyny ojcowskiego lęku.

Oto żonie jego, jeszcze gdy wiodła pośród swoich życie nomadów, przepowiedzieć miała stara Cyganka, że uwiedzie ją człowiek biały, osiadły, i że spłodzi z nim dziewczynę, córkę płomieni, którą ojciec będzie zwalczał przez całe życie.
Wróżba zdawała się dziwnie spełniać. Marta dożyła tylko pierwszej jej połowy, porzucając dziecko na zawsze już w piątym roku życia. Z trwogą czekał Piotr na ziszczenie się niejasnej dlań zrazu części drugiej. Aż przyszedł czas, w którym tajemnicze słowa zaczęły nabierać właściwego znaczenia. Magda Szponar miała wtedy lat piętnaście i służyła w mieście w fabryce tutek, gdy wybuchł pierwszy pożar: zapaliły się nie wiadomo jakim sposobem skrzynie z bibułkami i pożoga rozszerzyła się na cały zakład w przeciągu kilku minut. Strata była olbrzymia; szła w krocie. Sprawcy nie wykryto nigdy. Natomiast po ugaszeniu pożaru znaleziono robotnicę, Magdę Szponar, w małej salce środkowej cudem ocalałej z morza płomieni, rozpostartą na podłodze w głębokim uśpieniu. Dziewczyna prawdopodobnie przetrwała w tym stanie cały pożar i dopiero po dwugodzinnym cuceniu otworzyła ociężałe ze snu powieki. Jak zdołała wytrzymać przez godzinę bez uduszenia się w zamkniętym pokoju, otoczonym zewsząd falami ognia, i w jaki sposób w ogóle ocalał pokój, położony w samym środku płonącego budynku — pozostało na zawsze nie rozwiązaną zagadką.
Po tym wypadku zmieniała Magda parokrotnie chlebodawców, służąc przeważnie jako pokojówka przy zamożniejszych rodzinach, jako garderobiana w kawiarniach lub panna sklepowa. I zawsze jakimś fatalnym trafem wkrótce po jej wstąpieniu do służby wybuchały pożary w domach i instytucjach, w których była wtedy zajęta. Przyczyna tych klęsk żywiołowych pozostawała za każdym razem nie wyjaśnioną; ludzie stawali już wobec faktu dokonanego.
Zrazu nikomu ani śniło się szukać jakiegoś związku między pożarami w mieście a Magdaleną Szponarówną, której zachowanie się poprawne i bez zarzutu nie zwracało na siebie niczyjej uwagi. W końcu jednak zaczęły wśród miejskiego proletariatu krążyć jakieś dziwne pogłoski na temat częstych wypadków ognia w czasach ostatnich. Doszło bowiem do tego, że nieraz gorzało w mieście po dwa i trzy razy na tydzień i to — rzecz dziwna — ciągle w tym samym miejscu; ogień jakby upodobał sobie pewne dzielnice — co więcej, pewne domy, rodziny, nawiedzając je w sposób szczególnie natrętny. Wreszcie ni stąd, ni zowąd, po okrutnym pożarze na Lewandówce, który spalił niemal doszczętnie świeżo wystawioną kamienicę miejskiego syndyka, gruchnęła nagle pogłoska, że sprawczynią tylu klęsk nie jest nikt inny tylko Magda Szponarówną, służąca w domu Doleżanów. Wzburzony tłum pospólstwa napadł na nią na środku rynku i byłby przeprowadził nad nieszczęśliwą doraźną egzekucją gdyby nie interwencja ojca, powszechnie lubianego i cenionego obrońcy dobra publicznego, oraz policji, która uprowadziła dziewczynę przed zemstą rozwścieczonego motłochu.
Przeprowadzone nader surowo i ściśle śledztwo nie wykazało winy podsądnej; sędzia śledczy stwierdził tylko ku powszechnemu zdumieniu na podstawie zeznań świadków i oskarżonej, że w przeciągu roku niespełna jej służby zaszło w mieście przeszło sto pożarów i to przeważnie tylko w domach jej chlebodawców. Nadto ustalono charakterystyczny fakt, dotyczący zachowania się Szponarowny w czasie podejrzanych pożarów: w pięćdziesięciu wypadkach na sto znachodzono ją po ugaszeniu ognia w stanie nieprzytomnym, prawie kataleptycznym, zwykle wewnątrz domu, który uległ klęsce. Oto wszystko. Dowodów winy bezpośredniej nie zdołali oskarżyciele przytoczyć ani w jednym wypadku; ani razu nikt jej nie przyłapał na gorącym uczynku. Owszem, o podpaleniu jakimkolwiek, zdaje się, nie mogło być mowy, gdyż jak wynikało z zeznań świadków naocznych i poszkodowanych, dziewczyna od chwili wybuchu pożaru aż do ugaszenia pozostawała jakby w transie i nie ruszała się z miejsca; ponadto ogień wybuchał nie w bezpośredniej jej bliskości, lecz zwykle w pewnym oddaleniu, na przykład w drugim lub trzecim pokoju.
Kilku lekarzy ekspertów, którzy okazali żywe zainteresowanie tą sprawą, po dokładnym zbadaniu Magdy uznało ją za istotę anormalną, z przewagą sił podświadomych, skłonną do katalepsji, a nawet somnambulizmu.
Ostatecznie zapadł wyrok uwalniający; lecz po cichu sąd poradził sierżantowi, by córki do służby więcej nie posyłał, a to ze względu na podniecenie opinii publicznej, która była stanowczo przeciw Magdzie. Jakoż mimo wyroku ułaskawiającego, odtąd Szponarówna, przezwana Czerwoną Magdą,

uchodziła za podpalaczkę i czarownicę, której wszyscy schodzili z drogi, bojąc się przypuścić ją na próg swego domu.
Znękany ojciec wysłał ją w strony odległe do krewnych na wieś w nadziei, że po jakimś czasie będzie mogła powrócić, gdy zatrze się pamięć katastrof, a ludność uspokoi się i zapomni o Czerwonej Magdzie.
Jakoż spędziła na wsi dwa lata, nie dając o sobie znaku życia. Wtem przed trzema tygodniami powróciła nagle do miasta bledsza niż zwykle, z zapadłymi policzkami i śladami łez w zaczerwienionych oczach. Na pytania odpowiadała niechętnie, z widocznym przymusem, i tylko rwała się do służby nie chcąc być ojcu ciężarem w domu. W końcu ustąpił na usilne błagania i, choć z ciężkim sercem, wyrobił jej miejsce w domu bogatego kupca Duchnica przy ulicy Młynarskiej. Dziewczyna objęła tam miejsce służącej i od tygodnia spełniała już gorliwie obowiązki.
W mieście zjawienie się Czerwonej Magdy przeszło jakoś bez wrażenia i zdawało się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Lecz Piotr Szponar gryzł się tym powrotem ogromnie i z dnia na dzień oczekiwał złych nowin. Bo mimo wyroku władz, mimo wyraźnych zaprzeczeń z ust samej Magdy, nie wierzył w jej niewinność; gdzieś głęboko, na samym dnie duszy, drzemało przekonanie, że wszystko, co ludzie o niej mówią, jest okropną i smutną prawdą. On, ojciec i sierżant straży pożarnej w jednej osobie, mógł coś o tym powiedzieć — on, który gasił własną ręką wszystkie po kolei pożary, jakie opinia ludzka wiązała w tajemniczy sposób z jego Magdą. Miał czas już poznać dokładnie wszystkie towarzyszące im symptomy i zbadać je do gruntu; odróżniał je jakimś osobnym, swoistym zmysłem od innych „zwykłych”, którym też napatrzył się do woli. Nie na darmo dosłużył się stopnia sierżanta i uchodził za pierwszorzędną siłę pożarniczą. Gdyby go spytano na spowiedzi: — Sierżancie pożarny, Piotrze Szponar — czy córka twoja jest winną? odpowiedziałby, że nie, o ile chodzi o jej własne sumienie i pełną ludzką świadomość. Lecz gdyby go ktoś zapytał, czy wierzy w bezwzględną niewinność Magdy, zaprzeczyłby równie stanowczo.
Najwięcej go jednak bolało, że to właśnie jego córka, jego krew. Tkwiła w tym jakaś bolesna ironia, że jego rodzone dziecko zdawało się stwarzać dookoła siebie ową niszczącą siłę, którą on tępił zajadle od tylu lat. Czasami przychodziła myśl, że może właśnie dlatego, może właśnie za tę zaciętość, z jaką zwalczał ogień, przyszedł nań dopust; może okrutny żywioł mścił się na nim w ten sposób? Nie wiadomo. Szponar błądził i cierpiał ogromnie.
Oto i teraz, w tej śródnocnej godzinie, trwożne myśli nie dawały spokoju, wałęsając się jak upiór pod czaszką.
Dźwignął się ciężko z tapczanu i aby czymś odpędzić męczącą zmorę zaczął przeglądać regulamin pogotowia wycięty na ścianie. Lecz i to znać mu się wkrótce uprzykrzyło, bo odwrócił się znudzony do tablicy na rozkazy i kredą jął kreślić jakąś karykaturę.
Wtem targnął ciszą głos dzwonka: trzy ostre, dojmujące ukłucia. Automaty pożarowe grały.
W strażnicy wszczął się nagły ruch, przemykały pod oknami w nerwowym pośpiechu jakieś postacie. Szponar z bijącym sercem studiował wskazówki automatu. Każda chwila przynosiła mu nowe szczegóły, sprecyzowane na minutę, sekundę. Strażak wlepił oczy w lśniącą, platynową tarczę, ale je wnet zamknął z powrotem. Jak gracz, niepewny karty, trzyma ją długo pod ręką, zanim odwróci, i chwilę zgaduje — tak pożarnik nakrył trwożnie powiekami oczy i bał się spojrzeć w twarz prawdzie. Wreszcie podniósł je wpijając głodne spojrzenie w aparat. Tu już była odpowiedź gotowa; zwięzła, wyraźna, nieubłagana.
— Gore! Dzielnica IX. Garbarze. Młynarska. Szponar zachwiał się i zbladł. Przeczucie nie omyliło go. Tak — to było tam — na pewno! Gdzieżby indziej? Niewątpliwie paliło się u Duchniców! Ogniowa kalwaria rozpoczynała się od nowa. Już w trzecim tygodniu służby! Zawierucha bólu i buntu przegięła go na chwilę ku ziemi. Lecz się przemógł. Nie było czasu do namysłu; należało działać, wydać rozkazy, objąć dowództwo.
Już grała na alarm trąbka zwołując pogotowie, już drzemiący jeszcze przed chwilą pompierzy przypasywali pośpiesznie gurty, nakładali szłomy, przerzucali przez plecy zwoje sznurów i linewek ratunkowych.
Sierżant wybiegł ze strażnicy na dziedziniec. Tu pod wspinalnią i w magazynie wrzały już gorączkowe przygotowania do wymarszu. Przez szeroko rozwarte wierzeje wyprowadzano ze

składu parę sikawek, wyjechał samochód rekwizytowy i dwie kominiarki do wyłącznej dyspozycji załogi. W blasku reflektorów połyskiwały na głowach metalowe kaski, zapalały się zimne światła w obuszkach toporów.
Szponar, spokojny już i zrównoważony, wydawał zlecenia. Donośnie brzmiał na dziedzińcu głos jego równy, pewny, męski.
— Wentyle w porządku? — rzucił w pewnej chwili pytanie.
Parę posłusznych ramion pochyliło się w lot ku tłokom sikawek i przeprowadziło próbę.
— Panie sierżancie, melduję, że wentyle grają — zgłosił rezultat jeden z pompierów.
— Dobrze. Hej, chłopcy! — krzyknął, zajmując stanowisko na jednym z wozów — komu w drogę, temu czas! Z Bogiem ruszajmy!
Zadrgała w powietrzu rześka pobudka trąbki As, rozskoczyły na obie strony skrzydła bramy wyjazdowej i wśród zgiełku hubek, w krwawym świetle zapalonych pochodni runęły w ciszę ulic wozy: na czele pędził w szalonym tempie samochód z rekwizytami, za nim drugi zjeżony żebrami drabin, widłami, dżaganami i tłumnicami, z potężnym zbiornikiem wody pośrodku, za nim dwie sikawki typu „Matador”, na końcu auto osobowe z załogą pod dowództwem sierżanta...
Była trzecia nad ranem, głucha, listopadowa noc. Gwałtowny wiatr wypadał z parowów ulic i zaułków i miotał w oczy całe przygarście prochu, pyłu i brukowego kurzu. Skądś, z ogrodów, leciały zżółkłe jesienne liście i z suchym szelestem toczyły się po płytach chodników...
Minęli Aleje, skręcili na Świętojańską. Z dala, ponad wieżami farnego kościoła, gorzała łuna pożaru. W oknach ukazywały się wylęknione głowy, w bramach zaspani dozorcy; na placach zaczęły skupiać się gromadki ludzi.
A w puste, wydłużone szeregami latarń ulice wpadały zwoje dźwięków ostrych, krzykliwych, odzewy pożarniczych hubek, metaliczny głos trąbki As.
— Gore! Gore!
Docierali do placu Św. Ducha. Sponad zrębów kamienic strzeliły w nieba krwawe siklawy ognia, wił się dym w czarnych, żałobnych przegubach. W powietrzu czuć było już swąd spalenizny, słychać wzrastający wciąż zgiełk ludzi...
Minęli plac, lotem strzały okrążyli budynek poczty i z wściekłą furią runęli w ujście Młynarskiej. Tu w głębi po lewej uderzyła w oczy groźna krasa pożaru. Palił się trzypiętrowy dom kupca Duchnica. Ogień, wybuchły na wysokości pierwszego piętra, podsycany bez przerwy podmuchami jesiennego wiatru, ogarnął w przeciągu kwadransa wyższe piętra i sięgał już purpurową wstęgą po parter. Mimo nocnej pory wkoło jasno było jak w dzień. Wśród krzyku ludzi i trzasku płomieni wpadło pogotowie na duży, w tej chwili tysiącem iskier zasypany skwer przed kamienicą. Przyjął ich piekielny zgiełk i jęki. Na ulicy, wkoło domu, leżały stosy wyrzuconych z pomieszkań sprzętów, cale hałdy kufrów, szaf, kobierców w dzikim chaosie nieładu.
Pożar wybuchł tak nagle i rozszerzył się tak szybko, że wiele osób zdołało zaledwie umknąć w samej bieliźnie. Innym drogę odcięły buchające z dolnych pięter płomienie, ci pozostali w płonącym domu czekając pomocy strażaków. Co chwila ukazywały się w oknach wybladłe twarze nieszczęśliwych, daremnie żebrząc o ratunek, który nie nadchodził. Jakaś kobieta, przywiedziona czekaniem do rozpaczy, rzuciła się z drugiego piętra na bruk i skonała na miejscu. Na ten krytyczny moment nadjechali pożarnicy. W mgnieniu oka usunięto z ulicy gawiedź i ułożono linię wężową od domu do brzegu sąsiedniej rzeki. Zanim gumowe ssawki nabrały dostateczną ilość wody do zbiornika, rozpoczęły swą działalność potężne ekstynktory. Dzielny .”Rese” i „Matador”, zasilane gorliwie przez podręczne hydrofory, natarły strumieniami wody na ognisko pożaru: pierwsze piętro i parter. Równocześnie przystawiono do muru pięć drabin wysuwalnych i dwa gęsiorki. Unosząc prawą ręką wysoko w górę prądnicę węża, wspiął się pierwszy na szczeble sierżant Szponar.
— Za mną, chłopcy! — zachęcił gromkim głosem towarzyszy.
Sześciu pożarników, zagrzanych jego przykładem, zaczęło wstępować po drabinach ku zagrożonym piętrom; za nimi w ślad pełzały ku górze węże wylotowe przymocowywane po drodze podwiązkami do łat i szczebli. Dosięgłszy poziomu pierwszego piętra puścił Szponar mocny, ześrodkowany prąd wody do mieszkania naprzeciw, w którym kłębiły się gęste runa ognia i dymu. Czerwona topiel na chwilę wklęsła gdzieś w głąb, odsłaniając wnętrze pokoju na pół ogołoconego

ze sprzętów.
— Stąd chyba już uciekli — wyciągnął szybki wniosek. I pozostawił opiekę nad pierwszym piętrem dwom towarzyszom, którzy dogonili go tymczasem.
Ponieważ drabina nie wysuwała się wyżej, przeto zaczepił się karabińczykiem o przedostatni jej szczebel na poziomie pasa, chwycił podaną mu z dołu przez kolegę drabinkę hakową w obie ręce i podniósłszy wysoko w górę ponad głową, zahaczył ja w mig krukami o okno drugiego piętra. Po dokonaniu manewru, z bajeczną wprawą i chyżością zaczął wspinać się po szczeblach z dobytym toporkiem w prawej.
Już płomień, przeżarłszy opustoszałe dwa dolne poziomy, sięgnął krwawą grzywą po trzeci; już długie, gorące języki podlizywały balkony i ganki drugiego piętra, już wciskały się czerwone żądła przez drzwi i okna. Rozległ się brzęk pękających szyb zmieszany z krzykiem ludzkim.
Na jednym z balkonów zbiło się w gromadkę kilkunastu mieszkańców, zasłaniając się rękoma przed dojmującym już z bliska żarem.
W tej chwili sierżant dotarł do platformy drugiego piętra. Ruchem szybkim jak myśl wyciągnął ramię po najbliżej stojącą kobietę z rozwianym od wiatru włosem, uniósł ją lekko ponad balustradę balkonu i podał stojącemu niżej towarzyszowi, który omdlewającą mu na rękach sprowadził na dół.
— Płachta ratunkowa! — zakomenderował Szponar widząc, że gromadka na balkonie powiększa się i pożar wtargnął już do wnętrza.
Uratowawszy w ten sposób jeszcze parę osób, poruczył resztę kolegom, sobie pozostawiając najtrudniejsze zadanie w głębi płonącego domu. Poprawił na głowie kaptur dymowy, odpiął karabińczyk i okraczywszy ostatni szczebel drabiny, wskoczył przez okno do środka. Za nim wśliznął się zdradziecki płomień.
Rozpoczęło się bohaterskie dzieło pożarnika. Jak nurek na dnie morza rzucał się Szponar na wsze strony w gorączkowym szukaniu, przebiegał pokoje, przepatrywał zaciszne, z przepychem urządzone buduary, przemierzał nerwowym biegiem opuszczone świeżo sypialnie. W pewnej chwili natknął się na jakieś ciało leżące na posadzce. Schylił się, dźwignął i wśród kłębów duszącego dymu zawrócił ku oknu. Tu na szczęście trafił na jednego z pompierów i oddał mu swój ciężar: śliczną dziesięcioletnią może dziewczynkę.
— Przyczepić do dwóch ostatnich pięter wory ratunkowe! — krzyknął na pożegnanie rozkaz, zawracając sam na boczne skrzydło w głąb.
W tej chwili zwycięski pożar opanował lewą połać drugiego piętra i wciskał się palącą lawą w sam środek. Sierżant obrócił się na moment, by ujrzeć wysuwającą się z jakiejś alkowy wąską, purpurową szyję płomienia. Wciągnął w nozdrza powietrze i wtedy uczuł znany sobie tak dobrze zapach jej włosów.
Nie po raz pierwszy spotykał się z tą wonią w czasie pożarów: płomienie pachniały macierzanką i liśćmi orzecha — wonią tych samych odwarów, którymi Magda tak chętnie zmywała swe długie, czarne włosy.
Nie ulegało wątpliwości: to był jej pożar! Jak pędzony przez furię rzucił się w wąski korytarz na prawo, skąd dochodziły go jęki. Lecz tu u wylotu zastąpiło mu drogę czerwone widmo dziewki. Była wysoka nad miarę ludzką, wyolbrzymiała jakaś, potworna i potrząsała w ręce trzymanym ognistym strąkiem.
Zasłonił się przed nią wyciągniętym ramieniem i dygocąc na całym ciele zapytał chrapliwie:
— Czego chcesz ode mnie?
W odpowiedzi zagrał jej na ustach okrutny uśmiech i spłynął strugą ognia po płomiennych jagodach. Podniosła ognisty swój strąk i zagrodziła nim przejście.
— Z drogi! — krzyknął obłąkany ze strachu i gniewu. — Z drogi, Magda!
I przeszedł przez nią jak przez purpurową mgłę. Zapiekło go coś tylko okropnie na rękach i szyi, że syknął z bólu. Lecz przedarł się.
W następnej chwili już wynosił na rękach jakąś staruszkę i siadłszy okrakiem na oknie, podawał ocaloną jednemu ze strażaków na drabinie.
Tymczasem inni spuszczali mieszkańców w dół na płachtach lub co silniejszych, zwłaszcza mężczyzn, w krzesłach ratunkowych, związanych naprędce ze sznurów i linewek; kilku odważniej

szych skoczyło wprost na rozpostarte w dole koce. Pozostało jeszcze ostatnie piętro. Mimo wysiłków strażaków pożar podniecany piekielnym wichrem opanował już cały dom i sięgał tryumfalnie ponad dach.
Szponar dwoił się i troił. Był wszędzie. Jak demon zbawienia miotał się w największy ogień, z bezgraniczną pogardą życia zawisał nad przepaścią, jak linoskok wahał się co chwila między niebem a ziemią. Własnoręcznie wyniósł z płomieni dwadzieścia osób, ocalił z niebezpieczeństwa życie dwóch kolegów, zabezpieczył odwrót kilku innym. Lecz ciągle, bez przerwy prześladowało go widmo czerwonej dziewki, drażniła woń ognistych jej włosów. Tu wynurzała się jej twarz z mgławicy dymów, tam przesuwała się jej krwawa postać na tle walącego się w dół ganku, ówdzie powiewały mietlicą iskier jej piekielne warkocze.
Nie zważał na nic i opancerzony w stal żelaznej woli spełniał po bohatersku swój obowiązek. Aż nadeszła chwila najstraszniejszej próby.
O ocaleniu domu nie mogło już być mowy; poprzepalane belki wyższych pięter waliły się z łoskotem w dół, podziurawione jak rzeszota sufity zapadały się z głuchym rumorem. Mała garstka mieszkańców z trzeciego piętra skupiła się w jednym z okien na prawym skrzydle na poły objętym przez pożogę: dwóch starców, jakiś chory kaleka i młoda matka z niemowlęciem przy piersi.
Strażacy pod przewodnictwem sierżanta przypinali pośpiesznie wór ratunkowy, którym miano spuszczać tych najniedołężniejszych na ziemię.
Wtem rozległ się spazmatyczny krzyk kobiety z okna. Nieszczęśliwa przytrzymując lewym ramieniem płączące dziecko wskazywała drugą ręką poza siebie na zbliżające się z przerażającą chyżością kotłowisko płomieni z głębi pokoju. Gryzący dym w żółtych, skędzierzawionych kłakach przykrył na moment tragiczną grupę.
Gdy w chwilę potem wiatr odgarnął tę duszną zasłonę, ujrzał Szponar ścinający krew w żyłach obraz.
Przez okno przegięła się wężowym przegubem Czerwona Magda i ognistym swym żegadłem usiłowała podpalić rozpięty już wór ratunkowy. Szatański uśmiech igrał na wargach dziewki, piekielna radość rozświecała twarz w okolu żarem zionących włosów. Zjadliwe żądło już, już dosięgało płótna...
— Jezusie, Mario! — jęknął Szponar — Giń, maro!
I zakreśliwszy w powietrzu znak krzyża, rzucił w nią toporkiem.
Cios trafił w czoło. Rozległ się okropny skowyt i długie, przeciągłe wycie.
Czerwone widmo cofnęło się skwapliwie w głąb domu i wsiąkło bez śladu.
Sierżant powiódł ręką po czole i spojrzał wkoło błędnymi oczyma. Coś się w nim nagle załamało; nie miał juz sił. Wyręczyli go towarzysze.
Pożar nagle jakby przygasł, skurczył się, ustępował; sikawki wzięły nareszcie górę. Wśród deszczu rozpylanej ich paszczami wody spokojnie już spuszczono na dół ostatnich mieszkańców.
Szarzało na niebie, gdy umęczeni śmiertelnie, czarni od dymu i kopciu pożarnicy zeszli po drabinach na ulice Chwiejnym krokiem zamykał ich pochód sierżant Piotr Szponar...
Nagle doszły go jakieś okrzyki. Z tłumu zgromadzonego pod spalonym domem padło niespodzianie okropne przezwisko :
— Czerwona Magda! Czerwona Magda!
Machinalnie rzucił się pomiędzy ludzi.
— Rozstąpić się! Rozstąpić się! To jej ojciec!
I utworzył się długi, męczący szpaler aż do zwęglonej bramy wchodowej kamienicy.
Strażak przeszedł jak pijany ten szpaler, siepany biczami spojrzeń, i skręcił bezwiednie na lewo, do jakiejś małej stancyjki cudem ocalałej z pożaru. Tu w kącie na lichym barłogu ujrzał w kałuży krwi zwłoki swej córki; z okrutnie rozwalonej czaszki sączyła się czarna, na pół już zakrzepła posoka.

Józefowi Jedliczowi poświęcam

Biały Wyrak
Gawęda kominiarska

Byłem wtedy jeszcze młodym czeladnikiem, jak wy, kochane chłopaki, i robota paliła mi się w rękach. Majster Kalina — świeć Panie nad jego zacną duszą — nieraz mawiał, że pierwszy po nim obejmę mistrzostwo i przed innymi nazywał mię chlubą cechu. Jako że nogi miałem silne i zapierałem się łokciami w kominie jak mało kto.
W trzecim roku służby dostałem do pomocy dwóch kominiarczyków i zostałem instruktorem młodszych kolegów. A było nas razem z majstrem siedmiu; prócz mnie trzymał Kalina dwóch innych czeladników i trzech chłopców do podręcznej posługi.
Dobrze nam było z sobą. Bywało, w święta i niedziele zeszła się brać u majstra na pogawędkę przy piwie lub zimą przy ciepłej herbacie pod kominem, naśpiewała, naplotła nowin do syta, że wieczór zlatywał niby ta kula spuszczona ze szczotką w gardziel spadów piecowych.
Kalina — człek był piśmienny, rozumny, dużo świata zwiedził, nie z jednego, jak to mówią, komina wygartywał. Filozof był trochę, książki lubił okrutnie, nawet gazetkę podobno kominiarską chciał wydawać. Lecz w rzeczach wiary nie mędrkował — owszem, szczególne miał nabożeństwo do św. Floriana, naszego patrona.
Po majstrze najwięcej przylgnąłem do młodszego czeladnika, Józka Biedronia, chłopaka szczerego jak złoto, którego polubiłem za serce dobre i proste, jak u dziecka. Niedługo miałem się cieszyć jego przyjaźnią!
Drugi z kolei towarzysz, Osmółka, trochę melancholik, trzymał się zwykle na uboczu i unikał zabawy; lecz pracownik był z niego zawołany, w robocie sumienny i dziwnie zaciekły. Kalina cenił go sobie wielce i ciągnął do ludzi, lubo bez widocznego skutku.
Za to chętnie przesiadywał Osmółka na wieczorach *u* majstra i z ciemnego kąta z zajęciem przysłuchiwał się opowieściom majstra, którym dawał wiarę zupełną.
A nikt tak nie umiał opowiadać jak nasz „stary”. Jak z worka sypał gawędami. A w każdej dopatrzeć się można było jakiejś myśli głęboko pod spodem przytajonej, z wierzchu dla niepoznaki gęstwą słów przykrytej. Lecz człek był wtedy jeszcze młody i głupi i brał z opowieści owych tylko to, co bawiło. Jeden może Osmółka patrzył bystrzej i wnikał w sedno „bajek” majstrowych. Bo „bajdami” nazywaliśmy między sobą po cichu opowiadania Kaliny. Zajmujące były, czasem straszne, aż mrowie przechodziło i włosy dębem stawały na głowie, lecz mimo wszystko baśnie tylko i bajdy. Alić życie pouczyło nas wkrótce o nich trochę inaczej...
Pewnego razu, gdzieś w środku lata, zabrakło nam podczas wieczornej pogawędy jednego towarzysza: Osmółka nie zjawił się w swym ciemnym kącie za kredensem.
— Pewnie gdzieś się zawieruszył między dziewczętami — żartował Biedroń, choć wiedział, że kolega do niewiast niespory i mało przedsiębiorczy.
— Et, pleciesz — odpowiedział mu Kalina. — Powiedz raczej, że go melancholia dławi i w domu siedzi.
Wieczór przeszedł smutno jakoś i ospale, bo bez najgorliwszego ze słuchaczy.
Nazajutrz rano zaniepokoiliśmy się nie na żarty, gdy Osmółka nie zgłosił się do służby koło godziny dziesiątej. W przekonaniu, że czeladnik zachorował, poszedł majster odwiedzić *go. Lecz* w domu zastał tylko jego matkę, staruszkę stroskaną bardzo nieobecnością syna; Osmółka, jak wyszedł na miasto dnia poprzedniego nad ranem — tak dotąd do domu nie wrócił.
Kalina postanowił przedsięwziąć poszukiwania na własną rękę.
— Osmółka — ponura pałka — Bóg raczy wiedzieć, co nabroił. Może teraz gdzie się ukrywa?
Lecz szukał nadaremno do południa. Wreszcie przypomniawszy sobie, że czeladnik miał dnia

poprzedniego oczyścić komin w starym browarze za miastem, zwrócił się tam po objaśnienia.
Jakoż odpowiedziano mu, że istotnie wczoraj rano był jakiś czeladnik w browarze i czyścił komin, lecz po zapłatę nie zgłosił się.
— O której godzinie skończył robotę? — zapytał Kalina jakiegoś siwego jak gołąb starca, którego spotkał na [progu jednej z browarowych przybudówek.
— Nie wiem, panie majstrze. Odszedł tak niepostrzeżenie, żeśmy nawet nie widzieli, kiedy wracał, musiało mu się znać bardzo spieszyć, bo nawet nie zaglądnął do nas po wynagrodzenie. Jak to mówią, sczezł jak kamfora.
— Hm... — mruknął w zamyśleniu Kalina. — Dziwak jak zwykle. A czy aby dobrze wyczyścił? Jak tam teraz z kominem? Czy dobrze ciągnie?
— Podobno nie bardzo. Synowa skarżyła się znowu dziś rano, że okropnie dymi. Jeśli do jutra nie zmieni się na lepsze, poprosimy o wyczyszczenie powtórne.
— Zrobi się — odciął krótko majster, zły, że tu niezadowoleni z jego czeladnika, i zmartwiony okrutnie brakiem dokładniejszych o nim wiadomości.
Tegoż wieczora zasiedliśmy smutni do wspólnej wieczerzy i rozeszliśmy się wcześnie do domów. Nazajutrz to samo: o Osmółce ani słychu, ani dychu — przepadł jak kamień w wodzie.
Po południu przysłali jakiegoś chłopca z browaru z prośbą, by komin wyczyścić, bo „glancuje" jak diabeł.
Poszedł Biedroń koło czwartej i więcej nie wrócił. Nie było mnie przy tym, jak go Kalina wysyłał, i o niczym nie wiedziałem. Toteż zląkłem się ujrzawszy pod wieczór poważne miny kominiarczyków i majstra podobnego chmurze gradowej. Tknęło mię złe przeczucie.
— Gdzie Józek? — zapytałem, na próżno szukając go po izbie.
— Nie wrócił z browaru — odpowiedział ponuro majster.
Zerwałem się z miejsca. Lecz Kalina siłą wstrzymał mię przy sobie:
— Samego nie puszczę. Dość mi już tego. Jutro rano pójdziemy obaj. Jakieś licho — nie browar! Wyczyszczę ja im komin!
Tej nocy nie zmrużyłem oka na chwilę. Równo ze świtem wdziałem skórzany kabat, spiąłem się wpół mocno pasem na sprzączkę, wdziałem na głowę kominiarkę z przystułkami i przerzuciwszy przez ramię szczotki z kulami, zapukałem do izby majstra.
Kalina był już gotów.
— Weź ten obuszek — rzekł mi na powitanie, podając ręczną, świeżo znać obciągniętą na brusie siekierę. — Może ci się przydać prędzej niż miotła lub drapaczki.
Wziąłem narzędzie w milczeniu i poszliśmy szybkim krokiem w stronę browaru.
Poranek był piękny, sierpniowy i cisza ogromna w powietrzu. Miasto jeszcze spało. Milcząc przeszliśmy rynek, most na rzece i skręciliśmy w lewo przez bulwary na gościniec, wijący się w dal pomiędzy topolami.
Do browaru był kawałek drogi. Po kwadransie wytężonego chodu zeszliśmy z traktu w bok pod przedmiejskie przylaski, rzucając się na przełaj przez sianożęcia. W oddali ponad olszynką zarysowały się miedzianymi płatami dachy budynków browarowych.
Kalina ściągnął kapę z głowy, przeżegnał się i zaczął bezgłośnie poruszać wargami. Szedłem obok w milczeniu nie przerywając modlitwy. Po chwili majster nakrył z powrotem głowę, ścisnął mocniej siekierę i zagadał cicho:
— Licho — nie browar. Piwa tam i tak już od lat jakich dziesięciu nie warzą. Stara rudera, i tyle. Ostatni piwowar, niejaki Rozbań, podobno zbankrutował i powiesił się z rozpaczy. Rodzina sprzedawszy za bezcen miastu budynki i cały inwentarz gdzieś wyniosła się w inne strony. Następca dotąd żaden nie zgłosił się. Kotły i maszyny mają być liche i starego systemu, a na nowe nie każdego stać; nikt nie chce ryzykować.
— Więc kto właściwie kazał oczyścić komin? — zapytałem, rad z tego, że zawiązana rozmowa przerwała przykre milczenie.
— Jakiś podmiejski ogrodnik, który przed miesiącem za pół darmo sprowadził się do pustego browaru z żoną i starym ojcem. Ubikacyj mają sporo i miejsca dość, choćby dla kilku rodzin. Sprowadzili się pewnie do izb środkowych, zachowanych w najlepszym stanie, i żyją sobie za tanie

pieniądze. Teraz im kominy glancują, bo stare już i tęgo sadzą zapchane. Nie czyszczone od dawna. Nie lubię tych starych kominów — dodał po małej przerwie w zamyśleniu.
— Dlaczego? Więcej z nimi roboty?
— Głupiś, mój kochany. Boję się ich — rozumiesz — boję się tych starych, od lat nie tykanych szczotką, nie skrobanych żelazem wlotów. Lepiej zwalić taki komin i nowy postawić niż dawać go czyścić ludziom.
Popatrzyłem na twarz Kaliny w tej chwili. Była dziwnie zmieniona lękiem i jakąś wewnętrzną odrazą.
— Co to wam, panie majstrze?!
A on, jakby nie słysząc, mówił dalej zapatrzony gdzieś w przestrzeń przed siebie:
— Niebezpieczne są wielkie zwały sadz nagromadzonych w wąskich, ciemnych szyjach, do których słońce nie ma przystępu. I nie tylko dlatego, że się łatwo zapalają. Nie tylko dlatego. My, kominiarze — uważasz — przez całe życie walczymy z sadzami, przeszkadzamy ich nadmiernemu skupianiu się, zapobiegając wybuchowi ognia. Lecz sadze są zdradliwe, mój kochany, sadze drzemią w poćmie kominowych gardzieli, w dusznocie piecowych spadów i czyhają... na sposobność. Coś mściwego w nich tkwi, coś złego się czai. Nigdy nie wiesz, kiedy i co się z nich wylęże.
Umilkł i spojrzał na mnie. Chociaż nie rozumiałem tego, co mówił, słowa jego wypowiedziane z mocą przekonania podziałały na mnie. Uśmiechnął się swym dobrym, poczciwym uśmiechem i dodał uspokajająco:
— Może to, co miałem na myśli, nie stało się; może tutaj zaszło zupełnie co innego. Głowa do góry! Zaraz dowiemy się wszystkiego. Jesteśmy na miejscu.
Jakoż dotarliśmy do celu. Przez szeroko rozwartą bramę wjazdową wszedłem za majstrem na obszerny dziedziniec, z którego prowadziło mnóstwo drzwi do zabudowań browarnianych. Na progu jednego siedziała ogrodniczka z dzieckiem przy piersi, w głębi oparty o skrzydło drzwi stał jej mąż. Zoczywszy nas mężczyzna zmieszał się i z widocznym zakłopotaniem wyszedł na spotkanie:
— Panowie zapewne do nas wedle tego komina?
— Juści — odpowiedział chłodno majster — że do was, tylko nie wedle komina, lecz wedle dwóch ludzi, których tu posiałem do jego czyszczenia.
Zakłopotanie ogrodnika widocznie wzrosło; nie wiedział, gdzie oczy podziać.
— Czeladnicy moi dotąd nie wrócili z browaru! — krzyknął z pasją Kalina wpatrując się weń groźnie. — Co się tu z nimi stało? Wy mi za nich odpowiadacie!
— Ależ, panie majstrze — wybełkotał ogrodnik — doprawdy nie wiemy, co się właściwie z nimi stało. Myśleliśmy, że pierwszy do tej pory już się odnalazł, a o drugim też nie potrafię panom dać żadnych wyjaśnień. Wczoraj po południu w mojej obecności wszedł do komina przez drzwi w ścianie kuchennej; przez jakiś czas słyszałem wyraźnie, jak zeskrobywał sadze i byłbym przeczekał do końca operacji, gdyby nie wezwano mnie w tej chwili do dworu. Wyszedłem z domu na parę godzin, a po powrocie już się o kominie i pańskim czeladniku nic nie mówiło. Sądząc, że oczyściwszy komin wrócił do miasta, zamknęliśmy drzwi *wentylowe* na noc. Dopiero teraz na widok panów wchodzących na nasze podwórze zrobiło mi się nieswojo; nagle przyszło mi na myśl, czy aby, broń Boże, nie chciało powtórzyć się to samo, co przed dwoma dniami. Na moje nieszczęście domyśliłem się trafnie. Lecz co to może być, panie Kalina? Co robić? Co poradzić?... Ja tu nic nie winien — dodał, bezradnie rozkładając ręce.
— Nie trzeba było przynajmniej zamykać drzwi od komina, ciemięgo! — huknął wściekle Kalina.
— Za mną, Piotruś! — krzyknął pociągając mnie za ramię. — Nie mamy ani chwili do stracenia. Prowadźcie nas do otworu kominowego!
Przerażony gospodarz przepuścił nas do wnętrza mieszkania. Wkrótce znaleźliśmy się w kuchni.
— Tutaj w rogu — wskazał ogrodnik na rysujący się prostokąt drzwi od komina.
Kalina posunął się w tę stronę, lecz ja, uprzedzając go. szarpnąłem niecierpliwie wystający guzik i otworzyłem.
Powiało na nas dymnym swędem i posypało się na podłogę trochę sadzy.

Zanim majster zdołał mi przeszkodzić, już klęczałem
w wylocie i wyciągając ramię w górę zabierałem się do wspinania.
— Puść mnie, wariacie! — odezwał się poza mną gniewny głos Kaliny. — To moja rzecz, ty przystaw tymczasem drabinę do dachu i wleź na górę pilnować wlotu.
Po raz pierwszy wtedy nie usłuchałem go. Jakaś wściekła zaciętość i chęć wyświetlenia prawdy opanowały mnie zupełnie.
— To niech majster sam zajmie tamtą pozycję! — krzyknąłem mu w odpowiedzi. — Obiecuję tymczasem poczekać tu na dole na sygnał.
Kalina zaklął brzydko i rad nierad poddał się pod moją komendę. Niebawem usłyszałem jego oddalające się kroki.
Wtedy zawiązałem sobie silniej pod brodę chustę ustową z kawałkiem jedwabiu, poprawiłem gurt w pasie i mocniej ująłem obuszek. Nie minęły i dwa pacierze, gdy tuż za załomem szyi kominowej, wstępującej już wprost do góry, odezwało się stuknięcie spuszczonej na sznurze kuli: Kalina był już na dachu i dawał mi umówiony sygnał.
Na czworakach przyczołgałem się natychmiast do zakrętu i po omacku odnalazłszy kulę, pociągnąłem ją trzykrotnie na znak, że sygnał odebrany i rozpoczynam jazdę do góry.
Jakoż po przebyciu załomu wyprostowałem się, zasłaniając instynktownie głowę podniesioną siekierą.
Komin był szeroki, przełazowy i grubo sadzą oblepiony. Tu w dole, przy samej nasadzie, utworzyły się całe warstwy łatwo zapalnego „szkliwa" i świeciły zimnym metalicznym połyskiem w mdłej poświacie, która szła ze szczytu.
Zapuściłem spojrzenie w górę, tam gdzie prostopadłe ściany zbiegały się w bielejący światłem dnia wykrój wlotu i... zadrżałem.
Nade mną, może parę stóp powyżej ostrza mojej siekiery, ujrzałem w półświetle dymnika jakąś białą, śnieżnobiałą istotę wpatrzoną we mnie parą ogromnych, żółtych, sowich trzeszczy.
Stwór podobny na pół do małpy, na pół do olbrzymiej żaby przytrzymywał w szponach przednich, spiętych błoną odnóży, coś ciemnego, coś niby rękę ludzką odstającą bezwładnie od korpusu, który rysował się niewyraźną jakąś, skręconą linią tuż obok na ścianie sąsiedniej.
Zlany zimnym potem wsparłem się nogami o zbocza komina i lekko uniosłem w górę. Wtedy z szerokiej, rozciętej od ucha do ucha gęby dziwadła wyszedł szczególny, drapieżny dźwięk; straszydło zgrzytało zębami jak małpa. Mój ruch musiał je spłoszyć; i ono widocznie zmieniło pozycję, gdyż w tej chwili szerszy pas światła wdarł się w głąb ciemnicy i oświetlił mi wyraźniej okropny obraz.
Przyczepiony cudem jakimś, jakby przylepiony do ściany przylgami palców, dziwotwór trzymał mocno w swych objęciach Biedronia; pokryte białym, puszystym futerkiem odnóża tylne zamknęły się w krzyżowym uścisku dookoła nóg ofiary, podczas gdy wydłużony jak u mrówkojada ryjek przywarł chciwym smoczkiem do skroni nieszczęśliwego.
Wściekłość zalała mi krwią oczy i przemógłszy strach wspiąłem się znów o parę stóp wyżej. Biały stwór, znać zaniepokojony, począł strzyc łyżkowatymi uszyma i zgrzytać coraz głośniej; lecz się z miejsca nie ruszył.
Widziałem jego daremne wysiłki, widziałem, jak usiłował to jakby zeskoczyć na mnie, to znów jakby umknąć w górę komina. Lecz rzuty te były jakieś niezgrabne, jakieś ogromnie ociężałe; zdawało się, że zdrętwiał jak wąż dusiciel po połknięciu ofiary lub stumaniał jak pijawka od nadmiaru wyssanej krwi; tylko ślepia wyłupiaste, okrągłe jak talerze, wpijał we mnie coraz uporczywiej i groził...
Lecz szał gniewu wziął u mnie już górę nad strachem. Odwinąłem nagle ramię z siekierą i z całej siły spuściłem ją na ohydny, biały czerep.
Cios był silny i celny. W jednej chwili zgasła gdzieś para ogromnych trzeszczy, coś otarło się o mnie w pędzie spadania i usłyszałem pod sobą głuchy stek; dziwna istota runęła na spód komina pociągając za sobą swoją ofiarę.
Dreszcz obrzydzenia przejął mię do szpiku; nie miałem już odwagi zejść na dół i przekonać się o skutkach ciosu.

Pozostawała droga w górę przez dach. Zresztą byłem już w połowie wysokości komina, z którego wlotu dochodziło mię wołanie Kaliny.
Zacząłem więc szybko wdzierać się na szczyt, zapierając się łokciami i nogami ze wszystkich sił. Lecz któż opisze mój przestrach, gdy parę stóp wyżej spostrzegłem zawieszone na wystającym ze ściany haku zwłoki Osmółki?
Ciało biedaka było straszliwie, nieprawdopodobnie chude i wyschłe na szczapę — sama skóra prawie i kości — na pół u wędzone w dymie, wyciągnięte jak struna, suche i twarde jak kawał drewna.
Trzęsącymi się rękoma odpiąłem zwłoki z haka i okręciwszy parę razy wpół sznurem od kuli dałem znak Kalinie szarpnięciem dwukrotnym.
W parę minut potem znalazłem się na dachu, gdzie mnie oczekiwał majster z wyciągniętym już ciałem Osmółki. Przyjął mię ponury, z namarszczoną brwią.
— Gdzie drugi? — zapytał krótko.
W kilku słowach opowiedziałem mu wszystko. Gdyśmy ostrożnie znieśli na dół po drabinie ciało Osmółki, rzekł spokojnie:
— Biały Wyrak. To on — przeczuwałem, że to on.
W milczeniu przeszliśmy sień, dwie izby i wróciliśmy do kuchni. Nie było tu ani żywego ducha; rodzina ogrodnika wyniosła się cichaczem gdzieś na skrzydło budynku.
Złożywszy zwłoki pod ścianą, podeszliśmy do otworu komina. Wystawała z niego para bosych, zesztywniałych nóg.
Wyciągnęliśmy nieszczęśliwego towarzysza i złożyli na podłodze obok Osmółki.
— Widzisz te dwie małe ranki na skroniach u obu? — zapytał Kalina stłumionym głosem. — To jego znak. Stąd napoczyna swe ofiary.
— Biały Wyrak! Biały Wyrak! — powtórzył parę razy.
— Muszę go dokończyć — odpowiedziałem z zaciętością. — Może jeszcze nie zdechł.
— Wątpię. Ma za swoje; nie znosi światła. Zresztą popatrzmy.
I zajrzeliśmy w czeluść otworu.
W głębi majaczyło niewyraźnie coś białego. Kalina rozglądnął się po kuchni i zoczywszy długi drąg z żelaznym krukiem u końca, wsunął go w otwór kominowy. Po chwili zaczął wyciągać...
Widziałem, jak jakiś biały kłąb z wolna wyłaniał się z czeluści wlotu, jakieś śnieżne, puszyste runo zbliżało się ku krawędzi wentyla.
Lecz po drodze zewłok Wyraka jakby topniał, kurczył się i gasł. Gdy wreszcie Kalina wyciągnął cały drąg, z wyssał z jego żeleźca tylko nieduży, mlecznobiały kłąb jakiejś dziwnej substancji; była płatkowata i roztrzepana, niby miękki, ustępliwy kożuszek, niby puch, niby miał — zupełnie jak sadza — tylko biała, oślepiająco śnieżnobiała...
Wtem materia zesunęła się z haka i spadła na podłogę. I wtedy zaszła w niej dziwna przemiana: w mgnieniu oka biała kula sczerniała na węgiel i u stóp naszych pozostała duża, metalicznie połyskująca kupa czarnej jak smoła sadzy.
— Oto, co z niego pozostało — szepnął w zamyśleniu Kalina.
A po chwili dodał jakby do siebie:
— Z sadzyś powstał i w sadzę się obrócisz.
I złożywszy na nosze nieszczęśliwych towarzyszy odnieśliśmy ich ciała do miasta.
Wkrótce potem obaj z majstrem dostaliśmy szczególnej wysypki. Na całym ciele pojawiły się nam duże, białe krosty, niby perłowe krupy, i trwały parę dni. Potem znikły równie prędko i niespodzianie i sczezły bez śladu.

Zemsta żywiołaków

Legenda strażacka

Antoni Czarnocki, naczelnik straży pożarnej miasta Rakszawy, skończył przed chwilą studium statystyki pożarów i zapaliwszy ulubione kuba, rozciągnął się znużony na otomanie.

Była trzecia po południu, czas skwarny, lipcowy. Przez zapuszczone żaluzje wcedzało się do wnętrza pokoju ciemnożółte światło dnia, wsiąkał niewidzialnymi falami duszny żar upału. Z oddali dolatywał ospały od spiekoty ruch ulic, bzykały na szybach nikłym, urywanym pobrzękiem rozleniwione muchy. Pan Antoni przemyśliwał świeżo przejrzane daty, porządkował w głowie zbierane przez lata notatki, wyciągał wnioski.

Nikt by nie przypuszczał nawet, do jak ciekawych rezultatów może doprowadzić umiejętnie, z dużym, co prawda, nakładem uwagi i metodycznie przeprowadzone studium statystyki pożarniczej. Nikt by nie uwierzył, ile interesującego materiału można wydobyć z tych suchych, pozornie nic nie mówiących dat, ile dziwnych, czasem śmiesznie dziwnych objawów zauważyć w tym chaosie faktów tak niby do siebie podobnych, tak się monotonnie powtarzających!

Lecz by coś takiego podpatrzyć, coś w tym rodzaju podchwycić — na to potrzeba specjalnego zmysłu, na który nie każdy umie się zdobyć, potrzeba właściwego „węchu", może nawet organizacji fizycznej. Czarnocki niewątpliwie należał do tych jednostek wyjątkowych i zdawał sobie z tego sprawę.

Od lat już wielu zajmował się tym problemem, studiując pożary w Rakszawie i gdzie indziej, robił nader dokładne notatki na podstawie sprawozdań w gazetach, rozczytywał się w specjalnych dziełach, przeglądał ogromną ilość odnośnych statystyk.

Niemałą pomoc w tych oryginalnych badaniach stanowiły bardzo dokładne, z niezmierną precyzją sporządzone mapy niemal wszystkich miejscowości kraju, a nawet zagranicy, które stosami zalegały wnętrza jego szaf bibliotecznych. Były tam plany stolic, miast i miasteczek z całym labiryntem ulic, uliczek, placów, zaułków, ogrodów, parków, skwerów, gmachów, kościołów i kamienic, plany tak pedantycznie sumienne, że człowiek zwiedzający daną miejscowość po raz pierwszy w życiu mógł przy pomocy tych drogowskazów obracać się swobodnie i z łatwością, jak u siebie w domu. Wszystko ponumerowane jak najsumienniej, ułożone według powiatów i okręgów czekało na gest właściciela; wystarczyło mu tylko ręką sięgnąć — a rozkładały się przed nim posłusznie prostokątne i kwadratowe płótna, ceraty lub papiery, wtajemniczając usłużnie w szczegóły swe i osobliwości.

Czarnocki nieraz godziny całe trawił nad mapami, studiując rozkład domów i ulic, porównywając planimetrię miast. Była to praca nader żmudna i wymagała dużo cierpliwości; nie zawsze bowiem wyniki przychodziły na zawołanie i nieraz należało długo czekać na pozytywny jakiś rezultat. Lecz Czarnocki niełatwo zrażał się. Zauważywszy parę razy jakiś szczegół podejrzany, chwytał go oburącz jak w kleszcze i nie wpierw spoczął, aż odnalazł doń ogniwa wsteczne lub następne.

Owocem tych długoletnich badań były specjalne, przez niego sporządzone „mapy pożarów" oraz tak zwane „modyfikacje pożarne". Na pierwszych uwydatnione były miejsca, budynki i domy, które kiedykolwiek uległy katastrofie, bez względu na to, czy ślady pożaru zatarto i szkody naprawiono, czy też pozostawiono pogorzelisko własnemu losowi. Natomiast plany określone nazwą „modyfikacji pożarnych" podkreślały zmiany, zaszłe w rozmieszczeniu domów i budowli pod wpływem ogniowej klęski; wszelkie przesunięcia i najlżejsze odchylenia od stanu rzeczy poprzedzającego pożar były tam zaznaczone ze zdumiewającą pedanterią.

Po zestawieniu map obu typów doszedł pan Antoni z biegiem lat do nader ciekawych wyników. Oto połączywszy liniami pogorzeliska różnych miejscowości przekonał się, że w osiemdziesięciu wypadkach na sto odnośne punkty pożarne utworzyły zarysy dziwacznych postaci; były to przeważnie kształty małych, śmiesznych stworzeń, które czasem przypominały wyglądem swym dziecipotworki, kiedy indziej zbliżały się raczej do typu zwierzaków: jakieś małpiatki o długich, figlarnie

zakręconych ogonkach, jakieś zwinne, w kabłąk wygięte wiewiórki, poczwarne do rozpuku koczkodanki.
Czarnocki „wydobył" ze swych planów całą ich galerię i ubarwiwszy cynobrowoognistą farbą, zaludnił nimi swój oryginalny, jedyny w swoim rodzaju album z napisem na okładce:
„Album żywiołaków ognia i pożaru". Drugą część tego zbioru stanowiły „Fragmenty i projekty" — bezlik groteskowych figur, niedokształconych form, ledwie świtających pomysłów. Były tu zarysy jakichś głów, ułamki korpusów, kikuty rąk i nóg, wycinki jakichś kosmatych, rozcapierzonych łap; miejscami pojawiały się też figury geometryczne, półskręcone, poszarpane płachty lub mackowate, polipie rozrosła.
Album Czarnockiego sprawiał wrażenie dzieła czyjejś kapryśnej fantazji, która — lubując się w żywiole groteskowo-diabolicznym — zapełniała go rzeszą stworów złośliwych, chimerycznych i nieobliczalnych. Zbiór naczelnika straży pożarnej wyglądał na żart, na czerwony żart genialnego artysty, któremu przyśnił się jakiś sen dziwaczny. (Drugi wniosek, do jakiego doszedł oryginalny badacz, przedstawił się po latach obserwacji w formie spostrzeżenia, że pożary wybuchały najczęściej w czwartki. Statystyka pożarna wykazywała, że w przeważnej ilości wypadków okropny żywioł budził się z uśpienia w ten właśnie dzień tygodnia.
Czarnockiemu nie wydawało się to czymś przypadkowym. Przeciwnie, znalazł dla tego zjawiska poniekąd wytłumaczenie. Wypływało ono, zdaniem jego, już z samej istoty charakteru tego dnia, którego symbolem jego nazwa Wszak czwartek, wiadomo, od wieków dniem piorunowładnego Jowisza; stąd imię jego w językach narodów. Nie bez kozery nazwała go rasa germańska dniem pioruna: Donnerstag i Thursday. A pełne lapidarnej melodyjności latyńskiej: giovedi, jueves i jeudi — czyż nie wskazują na to samo ujęcie jego istoty?
Dotarłszy do tych dwóch ważnych dla siebie wyników poszedł dalej drogą wniosków. Wykształcony filozoficznie, z wyraźną skłonnością do uogólnień metafizycznych, rozczytywał się Czarnocki w chwilach wolnych w dziełach mistyków wczesnego chrześcijaństwa i przemyślał sumiennie parę traktatów średniowiecza.
Wieloletnie studium pożarów i zjawisk im pokrewnych doprowadziło go wreszcie do przekonania, że możliwą jest egzystencja istot dotąd bliżej nam nie znanych, które zajmując jakiś pośredni poziom między ludźmi a zwierzętami objawiają się przy każdym silniejszym wybuchu żywiołów.
Potwierdzenie swej teorii *znalazł* Czarnocki w wierze ludu wiejskiego i prastarych klechdach o diable, rusałkach, gnomach, salamandrach i sylfach. Dziś już nie ulegało dlań wątpliwości, że żywiołaki istnieją. Czuł ich obecność przy każdym pożarze i tropił z niesłychaną wprawą ich złośliwość. Powoli świat ten ukryty i niewidzialny dla drugich stał się dlań równie rzeczywistym, jak środowisko ludzkie, do którego należał. Z czasem zaznajomił się dokładnie z psychologią tych dziwnych stworzeń, poznał ich naturę chytrą i przebiegłą, nauczył się paraliżować wrogie dla ludzkości zakusy. Rozpoczęła się walka zacięta, nieubłagana, teraz już w pełni świadoma. O ile dawniej Czarnocki zwalczał ogień jako żywioł ślepy i bezmyślny — powoli, w miarę zapoznawania się z jego właściwą naturą, zaczął inaczej patrzeć na przeciwnika. Zamiast trawiącej, irracjonalnej siły, dostrzegł po latach tkwiącą w nim jakąś złośliwą, żądną rozkładu i niszczenia istotę, z którą należało się liczyć. Wkrótce też spostrzegł, że po tamtej stronie zauważono zmianę jego taktyki. Wtedy walka przybrała charakter bardziej indywidualny.
A nikt może na świecie nie był do niej w tym stopniu powołany, co Antoni Czarnocki, naczelnik straży pożarnej w Rakszawie.
Sama natura, wyposażając go w wyjątkowe własności, przeznaczała niejako z góry na pogromcę żywiołu. Ciało pożarnika obdarzone było zupełną niewrażliwością na ogień; wśród największej pożogi, wśród orgii płomieni mógł przechadzać się bezkarnie bez najlżejszego choćby poparzenia.
Chociaż jego stanowisko, jako naczelnika, nie wymagało osobistej akcji w pożarze, mimo to nie oszczędzał siebie i pierwszy rzucał się w najgorętszy ogień. Zdawało się czasami, że szedł na pewną zgubę — tam, gdzie już żaden strażak zapuścić się nie miał odwagi i — o dziwo! — wracał cały i zdrowy z swym dobrym, zagadkowym trochę uśmiechem na męskim, rozświeconym żagwią pożaru licu; i znów, zaczerpnąwszy oddechu w uznojone piersi, wracał w płomienną dziedzinę. Bladły twarze towarzyszy, gdy z bezprzykładną odwagą wspinał się na zalane ognistą powodzią

piętra, wdzierał na pół przepalone ganki, miotał wśród żrących do kości skrętów i żądeł.
— Charakternik, charakternik! — szeptali między sobą strażacy, patrząc na dowódcę ze strachem i czcią zarazem. Wkrótce zyskał w mieście przydomek „Ogniotrwałego” i stał się bożyszczem pożarników i ludności. Zaczęły osnuwać go legendy i powieści, zaprawione cudem, z których wyrastał w jakiejś dwulicowej postaci Archanioła Michała i czarta. Krążyły o nim po mieście tysiączne gawędy, pełne splecionych ze sobą dziwacznie lęku i uwielbienia. Dziś już uchodził Czarnocki powszechnie za dobrego czarodzieja ze światem tajemnic w zmowie. Zastanawiał każdy ruch „Ogniotrwałego”, każdy gest jego nabierał szczególnego znaczenia.
Zwłaszcza zdumiewała ludzi okoliczność, że azbestowe właściwości naczelnika zdawały się udzielać jego ubraniu, które również w pożarach się nie zajmowało.
Zrazu przypuszczano, że Czarnocki przywdziewa do pracy strój ze specjalnego, ogniotrwałego materiału, lecz wkrótce przekonano się, że przypuszczenie było mylne. Zdarzały się bowiem często wypadki, że niesamowity naczelnik, zaskoczony nocnym alarmem w porze zimowej, naciągał w pośpiechu opończę pierwszego z brzegu strażaka i wychodził w niej z ognia nietknięty jak zwykle.
Kto inny na jego miejscu wyzyskiwałby swe niezwykłe zdolności w celach zarobkowych, jako wędrowny cudotwórca lub szarlatan — panu Antoniemu wystarczały hołd i uwielbienie ludzi. Co najwyżej czasem w gronie towarzyszy zawodu lub dobrych znajomych pozwalał sobie na bez-interesowne „eksperymenty” wprawiające w podziw widzów. Oto trzymał przez kwadrans i dłużej w gołej dłoni duże kawały żarzącego się węgla bez oznak jakiegokolwiek bólu; gdy po czasie odrzucił żar z powrotem w ognisko, ręka jego nie zdradzała śladów poparzenia.
Nie mniejsze zdumienie wywoływał sztuką przenoszenia ogniotrwałości na innych. Wystarczyło mu tylko przez chwilę potrzymać w dłoniach czyjąś rękę, by uczynić przez jakiś czas jej właściciela nieczułym na ogień. Kilku miejscowych lekarzy zajęło się nim nader gorliwie, proponując parę „seansów” za wysokim wynagrodzeniem. Wtedy Czarnocki odrzucił ofertę z oburzeniem i przez dłuższy czas zaprzestał swych poufnych „doświadczeń”.
Opowiadano też o nim ł inne, bardziej zdumiewające rzeczy. Paru strażaków, którzy służyli pod nim od szeregu lat, przysięgało na wszystkie świętości, że Ogniotrwały umie w czasie pożaru dwoić się i troić; wśród szalejącego morza płomieni dostrzegali go równocześnie w kilku najsilniej za-grożonych miejscach. Krzysztof Słucz, chorąży straży, zapewniał uroczyście, że pod koniec jednego z pożarów widział, jak w głębi ocalonego wykuszu willi trzy postacie pana Antoniego, podobne do siebie jak bliźnięta, zlały się w jedną, która zeszła spokojnie po drabinie na dół.
Ile w tych gawędach było prawdy, a ile fantastycznej przesady — nie wiadomo. To pewna, że Czarnocki był człowiekiem niezwykłym i jakby stworzonym do walki ze zgubnym żywiołem.
Toteż naczelnik, świadomy swej siły, zmagał się z nim coraz zajadlej, doskonaląc z rokiem każdym środki obrony, wzmacniając odporność.
Walka ta stała się w końcu treścią jego życia; nie było dnia, by nie przemyśliwał nad coraz to skuteczniejszymi sposobami pożarnej profilaktyki. I dziś, w to skwarne popołudnie lipcowe, przeglądał ostatnie notatki i porządkował materiał zebrany do zamierzonego dzieła o pożarach i środkach ochronnych. Miała to być praca obszerna w dwóch grubych tomach, które streszczały wyniki jego długoletnich badań.
I teraz kształtował w myśli zarysy książki i układał następstwo rozdziałów...
Skończył cygaro, przytłumił niedogarek w popielnicy i uśmiechnięty powstał z otomany.
— No, nieźle! — szepnął zadowolony z rezultatu rozmyślań. — Wszystko w porządku.
I przebrawszy się poszedł do ulubionej kawiarni na partię szachów...
Upłynęło lat parę. Działalność Antoniego Czarnockiego nabrała szerokości i mocy. Mówiono o nim nie tylko w Rakszawie. Sława Ogniotrwałego zataczała coraz szersze kręgi. Ludzie przyjeżdżali z odległych stron, by go zobaczyć i podziwiać. Książka jego o pożarach była jedną z najpoczytniejszych i to nie tylko wśród pożarników, gdyż w krótkim czasie doczekała się paru wydań.
Lecz zarysowały się i cienie. Naczelnik straży, biorąc niezmordowanie osobisty udział w akcji pożarnej, uległ w tym czasie kilkakrotnie wypadkowi.
Podczas ogromnego pożaru składów drzewnych na Witelówce obsunęła się niespodzianie płonąca

belka, raniąc go dość ciężko w prawą łopatkę; w dwóch innych ogniowych „potrzebach" poniósł obrażenia w nogę i ramię wskutek zawalenia się sufitu, ostatnio, w ubiegły adwent, omal nie stracił prawej ręki; ciężki, żelazny trawers spadając ze stropu otarł się oń jednym końcem; parę milimetrów bliżej — a byłby zgruchotał mu kość doszczętnie.
Dzielny człowiek zachowywał się wobec tych wypadków z podziwu godnym spokojem.
— Ogniem nic wskórać nie mogą, więc strącają belki — mówił uśmiechając się lekceważąco.
Lecz strażacy odtąd bacznie pilnowali jego ruchów, nie pozwalając mu zapuszczać się zbyt daleko w ogień, zwłaszcza w miejsca grożące ruiną. Mimo to wypadki zaczęły się powtarzać z dziwną uporczywością, i to w sytuacjach, kiedy się najmniej można ich było spodziewać. Obecność naczelnika zdawała się znęcać ducha destrukcji: najniespodziewaniej spadały w jego pobliżu zaledwie napoczęte przez ogień tramy, waliły się nie objęte jeszcze pożogą powały, sypał się gruz o rozmiarach pocisków armatnich; niekiedy padały nie wiadomo skąd w miejsce, gdzie stał Czarnocki, jakieś wielkie, ciężkie kamienie.
Pan Antoni uśmiechał się tylko lekko pod wąsem i dalej palił spokojnie cygara. Lecz pompierzy, patrząc spode łba, usuwali się ostrożnie w inną stronę. Zaczynało być niebezpiecznie w jego sąsiedztwie.
Były i inne objawy, o których nikt nie wiedział, gdyż terenem ich było własne mieszkanie naczelnika.
Zaczęło się od tego, że w całym domu od pewnego czasu dawał się odczuwać silny swąd i woń spalenizny; miało się wrażenie, że gdzieś po kątach zatliły się stare gałgany. Okropny smród wałęsał się niewidzialnymi falami po korytarzach. Przeszły nim wreszcie wszystkie sprzęty, przesiąkły ubrania, bielizna i pościel. Nie pomogły nic wentylacje i przewietrzanie; chociaż drzwi i okna stały niemal cały dzień otworem przy osiemnastostopniowym mrozie na dworze, obrzydliwy zaduch nie ustępował. Mimo szalonych przeciągów i zimna w całym domu cuchnęło nieznośnie. Wszelkie poszukiwania zmierzające do odkrycia przyczyny smrodu spełzły na niczym: było się po prostu bezradnym.
Gdy w końcu po upływie miesiąca atmosfera mieszkania zaczęła być znośna, przyszła kolej na inny, niebezpieczniejszy jeszcze fenomen: w całym domu rozpanoszył się czad. Przez parę pierwszych dni można było jeszcze zwalić winę na opieszałość służby, która może przez zapomnienie zatkała piece przedwcześnie — potem jednak, gdy mimo zachowania wszelkich środków ostrożności czuło się w powietrzu duszną woń bezwodnika węgla, należało szukać przyczyny gdzie indziej. Nie na wiele przydała się zmiana materiału palnego; chociaż Czarnocki kazał odtąd palić w piecach drzewem i zabronił zasuwać wentyl w ogóle, paru domowników zagorzało silnie w ciągu nocy, a on sam wstał nad ranem z okropnym bólem głowy i nudnościami. Doszło do tego, że musiał nocować u znajomych, nie mogąc we własnym domu.
Po kilku tygodniach czad ustał; pan Antoni odetchnął swobodniej i wrócił do siebie.
O ile zrazu nie zorientował się w naturze zjawisk, które nawiedzały tak natrętnie jego dom — z czasem zaczął przeglądać ich genezę i zrozumiał intencję: chciano go nastraszyć i zmusić do zaniechania walki.
To go tylko podnieciło budząc ducha przekory i żądzą zwycięstwa.
A właśnie w tym czasie pracował nad nowym systemem sikawek pożarowych, które sprawnością miały przewyższyć wszystkie dotychczas znane. Środkiem gaszącym miała tu być nie woda, lecz pewien specjalny rodzaj gazu, który rozprzestrzeniając się gęstymi kłębami nad płonącym domem., wchłaniał skwapliwie tlen i w ten sposób podcinał ogień u korzenia.
— Będzie to istny bicz boży na pożary — powiedział z niewinną przechwałką do jednego ze znajomych inżynierów podczas partii szachowej. — Mam nadzieję, że gdy mój wynalazek uzyska patent, zgubne następstwa ognia zmaleją niemal do zera. — I podkręcił z zadowoleniem wąsa.
Było to gdzieś w połowie stycznia; za jakie dwa, trzy miesiące, na wiosnę spodziewał się wykończyć dzieło w szczegółach i posłać projekt ministerstwu. Tymczasem pracował pilnie, zwłaszcza wieczorami, i nieraz północ jeszcze zastawała go pochylonego nad planami...
Pewnego razu, gdy Marcin, stary sługa domu, wygarniał z pieca nie dopalone węgle, Czarnocki, rzuciwszy okiem na niedogarki, zauważył coś, co go zastanowiło.

— Poczekaj no, mój stary — wstrzymał zabierającego się już do wyjścia sługę. — Wysyp no mi te węgle tu na biurko na gazetę.
Marcin, trochę zdumiony, spełnił rozkaz.
— Tak. Dobrze. Teraz zostaw mnie, mój kochany, samego.
Po wyjściu sługi uważnie przeglądnął raz jeszcze żużle. Od razu, na pierwszy rzut oka uderzył go ich kształt. Niedogarki dzięki szczególnemu kaprysowi ognia przybrały formę liter; ze zdumieniem studiował precyzję ich zarysów, wykończenie szczegółów: były to idealnie wyrzeźbione z węgla czcionki wielkich liter.
„Oryginalna łamigłówka — myślał bawiąc się ich układaniem w rozmaite kombinacje. — Może się coś z tego złoży?”
Jakoż po kwadransie otrzymał wyrazy: Żarnik — Pełgot — Czerwienieć — Wodopłoch — Dymostwór.
— Ładna kompania — mruknął zapisując sobie dziwaczne imiona. — Cała ogniowa hołota; nareszcie znam was po nazwisku. Oryginalne, co prawda, odwiedziny — oryginalniejsze jeszcze bilety wizytowe.
I śmiejąc się pochował notatki w szafie.
Odtąd codziennie kazał przynosić sobie z pieca niedogarki, by za każdym razem znaleźć dla siebie „pocztę”.
A korespondencja zaczęła rozwijać się nader zajmująco. Po „wstępnej wizycie” nastąpiły „komunikaty z tamtego wymiaru”, fragmenty jakichś listów — ostrzeżenia, wreszcie groźby!
„Idź precz! Zostaw nas w spokoju! Nie igraj z nami” — lub: „Biada ci, biada!” — oto słowa, którymi zwyczajnie kończyły się te „ogniowe postylle”.
Na Czarnockim przestrogi sprawiały raczej humorystyczne niż poważne wrażenie. Owszem, zacierał ręce z zadowolenia i przygotowywał cios rozstrzygający. Czuł się silny i pewny zwycięstwa. Wypadki przy pożarach w pobliżu jego osoby ustały, nie powtórzyły się też jakoś niemiłe objawy w domu.
— Za to korespondujemy sobie co dnia jak na dobrych znajomych przystało — szydził, przeglądając każdego rana „pocztę piecową”. — Zdaje się, że te stworzonka potrafią wysilać całą swą złośliwą energię tylko w jednym kierunku. Teraz skupiły wszystkie swe zdolności na „firemessage” i dlatego nie zagrażają mi już z innej strony. Wielkie to szczęście — niechaj tylko pisują jak najdłużej; znajdą we mnie zawsze gorliwego odbiorcę.
Lecz z początkiem lutego „korespondencja” nagle urwała się. Jakiś czas przybierały jeszcze niedogarki kształt liter, lecz mimo wysiłków Czarnooki nie zdołał z nich złożyć ani jednego wyrazu; wypadały same bezmyślne zrzeszenia spółgłosek lub długie, kilkuczłonowe szeregi samogłoskowe.
„Poczta” psuła się wyraźnie, aż w końcu żużle straciły w ogóle wygląd czcionek.
— Firemessage skończony — wywnioskował pan Antoni zamykając czerwonym floresem *Diariusz komunikatów ogniowych.*
Przez parę tygodni był spokój. Czarnocki wykończył tymczasem plan i konstrukcję gazowej sikawki i rozpoczął starania o uzyskanie na nią patentu. Lecz praca nad wynalazkiem znać wyczerpała go, bo w marcu uczuł znaczny ubytek sił; wystąpiły też sporadyczne objawy katalepsji, której ulegał już dawniej w okresach zaburzeń na tle nerwowym. Ataki przychodziły, niedostrzegalne dla otoczenia, zwyczajnie w nocy podczas snu; budząc się nad ranem czuł się nadzwyczaj znużony, jakby po odbyciu dalekiej drogi. Lecz sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze swego anormalnego stanu, gdyż przejście z jednego w drugi odbywało się lekko, bez najlżejszych wstrząśnień: tylko sen się pogłębiał, względnie z naturalnego przechodził w kataleptyczny. Równolegle ze znużeniem po przebudzeniu szły nader żywe i barwne wspomnienia z wędrówek odbytych rzekomo w czasie snu; Czarnocki przez całą noc wspinał się po górach, zwiedzał obce miasta, włóczył się po jakichś egzotycznych krainach. Wyczerpanie nerwowe, które odczuwał w tym czasie nad ranem, zdawało się pozostawać w wyraźnym związku z sennymi podróżami w nocy. I — rzecz dziwna — tak je sobie nawet tłumaczył. Bo dla niego owe nocne włóczęgi były czymś zupełnie realnym.

Lecz się nikomu z tym nie zwierzał; ludzie i tak za wiele o nim wiedzieli. Po co wtajemniczać zbytnio przechodniów w dziedzinę życia własnej duszy?
Lecz gdyby był zwrócił baczniejszą uwagę na otoczenie i podał ucha temu, co wtedy o nim szeptano, może by się trochę o siebie zaniepokoił.
Zwłaszcza Marcin spoglądał w tym czasie na pana jakoś, dziwnie podejrzliwie i z pewną nieufnością.
Bo też miał do tego niejedną przyczynę. Gdzieś w pierwszej połowie marca przechodząc późno w noc ze świecą w ręce z kuchni do swej izdebki obok sypialni naczelnika, spostrzegł nagle w głębi korytarza szybko oddalającą się postać swego pana. Trochę zdziwiony, pośpieszył za nim, niepewny, czy mu się nie przywidziało. Lecz zanim doszedł do końca sieni, pan zniknął mu z oczu.
Zaniepokojony przygodą, na palcach zakradł się do sypialni, gdzie zastał naczelnika w głębokim uśpieniu.
W parę dni potem również nocą powtórzyło się to samo na klatce schodowej, na której stopniach zauważył Marcin pana swego, jak przechylony przez poręcz patrzył uważnie w dół. Zdjęty mrowiem sługa pobiegł ku niemu z okrzykiem:
— Co pan robi? Na miłość boską, toż to grzech!
Lecz zanim dobiegł do miejsca, gdzie stał Czarnocki, postać skurczyła się, zwinęła jakoś dziwacznie i bez słowa odpowiedzi wsiąkła w ścianę. Marcin, przeżegnawszy się, szybko zszedł do sypialni, by przekonać się, że i tym razem pan śpi snem kamiennym.
— Tfy! — mruknął starowina. — Czary czy diasek? Przecieżem nie pijany.
I już miał zawrócić do siebie, gdy wtem spostrzegł w głębi pokoju nowe zjawisko: o parę stóp nad głową śpiącego unosił się w powietrzu krwawo pełgający płomień. Miał kształt gorejącego krzaka, z którego co chwila wysuwały się w stronę pana Antoniego długie, ogniste macki, jakby próbując go dosięgnąć.
— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknął Marcin, rzucając się z gołymi rękoma na płonący zwid.
W jednej chwili ognisty krzew cofnął skwapliwie wyciągnięte w stronę śpiącego odnóża, skręcił się w zwarty, jednolity słup ognia i z cichym sykiem konającego żywiołu zgasł w kilku sekundach.
W pokoju zapanowała ciemność słabo rozświecana płomykiem świecy, opuszczonej przez sługę na podłogę. Czarnocki spał wyciągnięty sztywnie na łóżku...
Nazajutrz Marcin ostrożnie napomykał mu coś o złym wyglądzie i doradzał zawezwać lekarza; lecz pan Antoni zbył go żartem ani nie przeczuwając, co się święci.
W dwa tygodnie potem przyszło do katastrofy...
Było to w pamiętną dla miasta noc z 28 na 29 marca. Czarnocki wrócił dnia tego późno wieczorem, śmiertelnie znużony akcją ratunkową przy wielkim pożarze w magazynach kolejowych. Pracował w ogniu jak bohater i z kilkakrotnym narażeniem życia ocalił z płomieni kilku funkcjonariuszy, którzy zamknąwszy się gdzieś w głębi składów spali snem sprawiedliwych. Powróciwszy koło dziesiątej do domu, naczelnik jak nieżywy rzucił się w ubraniu na poprzek łóżka i zaraz zapadł w głęboki sen.
Marcin, niespokojny o niego od paru już dni, czuwał wiernie przy lampce w sąsiedniej bokówce, zaglądając od czasu do czasu do sypialni. Koło dwunastej w nocy zmorzył go sen; siwa głowa starca pochyliła się ciężko na ramię i bezwiednie spoczęła na stole.
Wtem zbudziło go trzykrotne pukanie. Ocknął się i przecierając oczy zaczął nasłuchiwać. Lecz odgłos nie powtórzył się więcej. Wtedy z lampą w ręce wpadł do przyległego pokoju.
Lecz było już za późno. W chwili gdy otwierał drzwi sypialni, ujrzał pana jakby w otoku płomieni, które tysiącem ognistych ssawek zdawały się wnikać w jego ciało.
Zanim zdołał podbiec do łóżka, płomienna zjawa wsiąkła już zupełnie w śpiącego i zgasła.
Trzęsąc się cały jak liść osiki patrzył Marcin w osłupieniu na leżącego.
Nagle rysy Czarnockiego uległy dziwnej zmianie: po twarzy dotąd nieruchomej przebiegł skurcz jakiś czy spazm nerwowy i wykrzywiwszy mu do niepoznania rysy zastygł grymasem na ustach. Naczelnik pchnięty tajemniczą siłą, która podstępnie opanowała mu ciało, nagle zerwał się z posłania i z dzikim okrzykiem wypadł z domu.
Była czwarta rano. Na wschodniej rubieży nieba zaczęły majaczyć fioletowe brzaski. Sinoszare

jutrznie szły, w miasto falami ocknień, przebudzeń..? Roje śródmiejskich kawek, wydrożone z sennej drętwoty, okrążyły kilkakrotnie czarnym pierścieniem wieżę ratuszową i gaworząc radośnie rozsiadły się po nagich, przedwiosennych drzewach. Parę psów bezpańskich, skończywszy ponocną wędrówkę po zaułkach, teraz węsząc żerowało na rynku...
Nagle w kilku punktach miasta wytrysły fontanny ognia; czerwone, pełgocące kędzierze wykwitły purpurowymi kwiatami ponad dachy i poszły w niebo. Zajękły dzwony kościołów, szarpnęły ciszę zarania krzyki, zgiełk, głosy trwogi:
— Gore! Gore!
Siedem krwawych żagwi przekreślało poranny widnokrąg — siedem płomiennych proporców rozwinęło bandery ognia nad miastem. Palił się klasztor ojców reformatów, gmach sądu, starostwo, kościół Św. Floriana, koszary straży pożarnej i dwa domy prywatne.
— Gore! Gore!
Przez rynek przewalały się rzesze ludzi. Jakiś człowiek w stroju strażackim, z rozwianym włosem i płonącą pochodnią w ręce, przeciskał się gorączkowo przez tłum.
— Kto to?! Kto to?!...
— Zatrzymać go! Zatrzymać!
Dziesięciu pożarników idzie za nim w tropy.
— Trzymać go! Trzymać! To podpalacz! Tysiące rąk wyciąga się chciwie za zbiegiem.
— Podpalacz! Zbrodniarz! — ryczy szalona od gniewu tłuszcza.
Ktoś wytrącił mu z rąk pochodnię, ktoś inny chwycił wpół. Szarpnął się i z pianą na ustach zaczął borykać się z przemocą... Wreszcie zmogli go. Skrępowanego sznurami, w podartym na strzępy ubraniu prowadzą przez rynek. Przy bladym świetle brzasku zaglądają mu w twarz:
— Kto to?!
Ręce strażaków mimo woli cofają się.
— Kto to?
Dreszcz grozy ścina słowa, dławi ochrypłe od krzyku gardła.
— Czyja to twarz?!
Z ramion szaleńca zwisją zdarte podczas walki epolety naczelnika straży pożarnej, na poszarpanej bluzie lśnią medale zdobyte w „ogniowej potrzebie”, błyszczy złoty krzyż zasługi. I ta twarz, ta twarz wykrzywiona zwierzęcym grymasem, z parą krwawych, zezujących oczu!...
Przez cały miesiąc po wielkim pożarze, który spalił doszczętnie siedem najpiękniejszych budowli miasta, noc w noc widywał Marcin, stary sługa domu Czarnookich, widmo pana zakradające się do sypialni. Cień opętańca stawał nad pustym łóżkiem i szukał ciała, jakby pragnąc wejść w nie z powrotem. Lecz szukał na próżno...
Dopiero gdy z końcem kwietnia naczelnik straży rzucił się w przystępie szału z okna zakładu dra Żegoty i zginął na miejscu, cień jego przestał nawiedzać dawne mieszkanie...
Lecz do dziś dnia jeszcze krążą wśród ludzi legendy o duszy Ogniotrwałego, co porzuciwszy we śnie swe ciało wrócić już doń nie mogła, bo weszły w nie żywiołaki.

Pożarowisko

Rajecki sięgnął po leżącą na tacy sporą paczkę listów; otworzył jeden, przebiegł oczyma parę linii i odrzucił znudzony.
— Stara bajeczka — ziewnął przechodząc do następnego.

— Nieciekawy — mruknął po chwili odkładając i ten z widocznym zniechęceniem.
Trochę ożywił się przy czytaniu trzeciego.

Przyjacielu! — pisał jakiś anonim. — *Precz z przesądami! Pozostawmy je starym babom i schyłkowym zdechlakom. Od zamiaru raz powziętego nie odstępuj. Dość tych wahań!... Życzliwy.*

— Hm, hm — mruknął w zamyśleniu, wpatrując się w czerwony podpis „życzliwego” — Hm, hm... Znać się ludzie bardzo tą sprawą interesują.
Opuścił krzesło i wydobył z szufladki biurka dużą, w żółty papier owiniętą paczkę listów dawniejszej daty. Wybrał kilka i rozłożył je przed sobą na pulpicie.
„Charakterystyczne — myślał porównując je ze świeżo otrzymanym. — Pisma niewątpliwie różne, a jednak treść wszędzie niemal identyczna. I te podpisy anonimowe, i to czerwonym atramentem lub tejże barwy kredką! Ciekawe! ciekawe! Co to ma znaczyć? Historia arcykomiczna i arcytajemnicza. Jakiś klub czerwonych czy co? Wariackie cyrografy!”
Trochę go to już zaczęło irytować. Od czasu gdy powziął zamiar wystawienia willi w jednej z odległych dzielnic Kobrynia, poczęły zewsząd napływać doń listy w wyraźnym związku z tą sprawą. Charakterystyczną była okoliczność, że nieproszeni doradcy należeli do dwóch wyraźnie sobie przeciwnych obozów; jedni, nazwani przez Rojeckiego „czerwonymi”, zachęcali go energicznie i gorąco do budowy, drudzy, znani mu osobiście lub ze słyszenia i podpisujący swe listy pełnym nazwiskiem, odradzali równie gorliwie, usiłując za wszelką cenę odwieść go od „szalonego” zamiaru.
Na ogół więcej zaufania wzbudzali przeciwnicy przedsięwzięcia, ponieważ występowali z otwartą przyłbicą, nie kryjąc się pod kryptonimy i tajemnicze inicjały. Z drugiej strony jednak zachęty „czerwonych” miały dlań urok sensacji, budząc żyłkę awanturniczej przekory, głęboko ukrytą w charakterze pracowitego archiwariusza. Ponadto racje ich ostrzegawcze opierały się na argumentach nie wytrzymujących krytyki umysłu jasnego i trzeźwego, jakim był niewątpliwie Andrzej Rojecki.
Wszystko, cokolwiek mogli przytoczyć znajomi na obronę swego stanowiska, nosiło cechy zabobonu i przesądu, zrodzonych z wyjątkowego zbiegu przypadków. Swoją drogą to, co pisali w tej sprawie, było widocznie wyrazem powszechnej opinii miasta od góry do dołu. Panu Andrzejowi wraziła się mocno w pamięć rozmowa, którą prowadził w miesiąc po przyjeździe do Kobrynia z jakimś rzemieślnikiem opodal „tego miejsca”.
Było to pod wieczór, koło godziny ósmej. Rojecki znużony całodzienną pracą szedł krokiem wolnym jakąś wąską, w górę wstępującą uliczką. Szukał miejsca pod budowę willi, gdyż interesy zawodowe zmusiły go do osiedlenia się na czas nieograniczony w tym mieście brudnym, niesympatycznym i brzydkim. Czując się obco w hotelach i swym obecnym pomieszczeniu przy ulicy Długiej, postanowił wybudować sobie własny dom gdzieś daleko od niechlujnego środka miasta i sprowadzić tam rodzinę. Nie mógł się tylko zdecydować gdzie.
Już od tygodnia włóczył się po peryferii miasta, lecz nigdzie nie natrafił na miejsce stosowne. Wreszcie zapuścił się w stronę zachodnią ulicą Czarną, wybiegającą w dal na podmiejski wygon.
Minął ostatnie parterowe domki, minął hutę szklaną i skręcał już na prawo na jakąś łąkę, gdy wtem zwróciła jego uwagę grupa jodeł rozrzucona kolisto na niewielkim wzniesieniu nad rzeczką.
Miejsce od razu przypadło mu bardzo do gustu. Położenie miało piękne, z dala od zgiełku i zaduchu miasta — za tło zielone łąki i sianożęcia, w perspektywie sinawą ścianę lasów.
Rojecki przeszedł kładkę rzuconą przez rzeczkę, która okalała półskrętem jodłowe wzgórze, i zaczął podchodzić pod górę. Dostęp był nader wygodny: parę kamiennych schodków prowadziło na szczyt wzniesienia. Kolisko jodeł i świerków było tak zwarte, że Rojecki nie mógł na razie nic przezeń wypatrzeć. Dopiero obszedłszy wkoło pagórek, natrafił od strony północnej na szeroki rozstęp między drzewami, przez który wszedł do wnętrza. Tu rozpostarł się przed nim smutny obraz. Przestrzeń zamknięta jodłami była pogorzeliskiem.
Z kamiennych podwalin sterczały tu i ówdzie zwęglone belki; z dwóch stron pozostałych ścian, grożących za lada wiatru powiewem ruiną i zawaleniem, poodstawały tapety niby zdarta skóra od

ciała; dachu ani śladu — tylko jakaś sztaba żelazna, prawdopodobnie zwornik szczytowy, przerzucała się czarną przekątnią nad rumowiem wnętrza.
Parę szczegółów wskazywało na to, że dom urządzony był z pewnym komfortem i mógł rościć sobie prawa do wytwórności i dobrego smaku. Z otoczenia pozostała nietknięta altana w oplotach dzikiego winogradu, dwie greckie statuetki na klombach i cysterna z czerwonego pirytu. Rozpięta między dwiema sosnami sznurowa huśtawka wahała się lekko w podmuchach wieczornego wiatru. Dziwnym trafem pożar nie ogarnął zdaje się ani jednego ze świerków, które okalały dom w pewnej odległości.
„Cudowne miejsce" — pomyślał Rojecki, zbliżając się do resztek kamiennego tarasu.
W tej chwili doszedł go spoza jednej z pozostałych ścian dźwięk uderzonego żelaza.
— Ktoś tu jest — szepnął zmierzając w stronę odgłosu.
Zanim przekroczył osmolone ramy wejścia, wychylił się spoza stosu belek jakiś człeczyna pozdrawiając go uchyleniem czapki:
— Dobry wieczór panu!
— Dobry wieczór! Nie wiadomo wam przypadkiem, czyj to dom uległ takiemu nieszczęściu?
— A juści, że wiem. Popalił się tu przed pięcioma laty niejaki pan Dołżycki, inżynier, i wyjechał potem do Ameryki. Od pięciu lat stoi ta pogorzel nietknięta tak jak w dzień po pożarze. Wypatrzyłem tu sobie wśród gruzów parę żelaznych kun do ujmowania węgłów domowych i dziś zabieram ze sobą; nikomu i tak to się na nic nie przyda, a ja, proszę pana, z zawodu cieśla i budowniczy.
— Ach, tak, rozumiem, panie cieślo. Tylko to trochę dziwne, że dotąd nikt się tu nie pobudował. Szkoda miejsca — położenie takie piękne, taki malowniczy zakątek. Czy pan Dołżycki odjeżdżając wydał jakie co do tego gruntu dyspozycje?
— O ile wiem — objaśniał rzemieślnik — odstąpił go za darmo gminie miasta.
— Za darmo? Takie śliczne miejsce i to po takiej stracie? Cieśla uśmiechnął się tajemniczo.
— I tak by nie był znalazł kupca. Jakoż, jak już panu mówiłem, od pięciu lat nikt się na to nie złakomił. Nic w *tym* dziwnego; po co narażać się na pewną stratę? Wiadomo wszystkim, że Dołżycki nie był pierwszym, co się popiekł na tym interesie. Ot, co tu dużo gadać — pożarowisko, i basta.
— Pożarowisko? Nie rozumiem. Chyba tyle co pogorzelisko?
— Nie, panie. Pożarowisko; wiem, co mówię. Pogorzelisko — to co innego. Pożarowiskiem nazwali tutejsi ludzie to miejsce od tego, że się tu jeszcze ani jeden dom przed pożarem nie uchował. Jak pamięć ludzka daleko wstecz sięga, każdy budynek, choćby nie wiem jak lichy, postawiony na tym pagórze, stawał w ogniu prędzej lub później. Powiadają ludzie, że żaden nie przetrwał i czterech miesięcy. Tfy! — dodał spluwając na ziemię — nieczyste miejsce, i tyle!
Archiwariusz uśmiechał się niedowierzająco:
— Istotnie, ciekawy zbieg przypadków. To niby wygląda tak, jakby ogień po prostu zawziął się na ten pagórek.
Cieśla obruszył się:
— Nie „niby", proszę pana, i nie „wygląda" — lecz naprawdę zawziął się. I to nie na całe wzgórze, bo tych jodeł, jak pan widzi, nie tyka — tylko na sam środek, to jest właściwie na tę jego część, gdzie stawiano domy.
— No, no — ciągnął dalej z zajęciem Rojecki — a pan, panie cieślo, ileż pożarów na tym miejscu pamięta?
Rzemieślnik zamyślił się, znać szukając w pamięci.
— Dziesięć — odpowiedział po chwili. — Za mojej pamięci dziesięć razy paliło się tutaj. A mam dzisiaj lat trzydzieści.
— Pi, pi! — dziwił się szczerze pan Andrzej. — To niby co trzeci rok.
— A tak jakoś wypada. Podobno dawniej paliło się częściej, kiedy to ludziska jeszcze się nie połapali w tym, co się święci. Najstarsi mieszczanie z Kobrynia pamiętają dobrze te czasy: niejednego by się pan od nich dowiedział: dziwy opowiadają o tym przeklętym pagórku. Toteż w ostatnich latach nikt z okolicy tam się ze stawianiem budynków nie kwapił. Za moich czasów

właścicielami domów na tym miejscu byli sami obcy państwo, którzy albo nic o tym lichu nie wiedzieli lub też, jak na przykład Dołżycki, nic wiedzieć nie chcieli.
— A przyczyny pożarów czy zawsze były znane i wyraźne?
— Niby tak, a niby nie. Najczęściej zapalały się w kominie sadze, lecz bywały i inne „powody": raz rzucił ktoś nieopatrznie zapałkę, która gdzie indziej dopaliłaby się spokojnie do końca, nie wywołując ognia, to znów jakimś „przypadkiem" niedogarek papierosa dostał się na wiązkę słomy pod łóżkiem, kiedy indziej przewróciła się płonąca lampa na poduszkę. Ostatni pożar wybuchł niby przez nieostrożność samej pani inżynierowej Dołżyckiej, która zbyt blisko palącej się świecy czyściła benzyną rękawiczki. Zawsze jakieś głupstwo, jakaś drobnostka, która na innym miejscu przeszłaby bez skutków; a tu, panie, zaraz ogień tak okrutny, że ludzie ledwo z życiem uchodzą; ratować nawet nie można. Powiadają strażacy, że za każdym razem coś jakby przeszkadza im w robocie i piecze jak diabeł: nasi pompierzy niechętnie też idą na to miejsce, bo prawie żaden z nich nie wychodzi stąd cało, bez poparzeń, a nawet ran poważniejszych.
— Był pan choć przy jednym z tych pożarów? — przerwał mu Rojecki.
— Owszem, przy kilku; mieszkam stąd niedaleko. Nawet mam tu po ostatnim niezgorszą pamiątkę.
Odwinął rękaw koszuli pokazując dużą, głęboką bliznę na ramieniu.
— Pomagałem ratować i zostałem za to ukarany: jakaś szelmowska belka omal nie zdruzgotała mi ręki. Niedobrze, panie, ratować, gdy tu się pali. To się potem lubi mścić na człowieku. Staszek Luśnia, stelmach zza rzeki, i Wałek Wron, krawczyk, którzy także zabawili się w strażaków przy dwóch pożarach na tym miejscu, mieli w parę dni potem ogień u siebie; ledwo udało go się ugasić. Toteż wreszcie prócz straży pożarnej nikt z miasta nie idzie tutaj na ratunek, by czego nie oberwać. Lepiej złego nie zaczepiać. Zresztą myślę, że teraz chyba już o tym wiedzą na sto mil wokoło i nie znajdzie się nikt, kto by chciał tutaj się osiedlić.
— A jednak — rzekł w zamyśleniu Rojecki — a jednak, kto wie? Może taki się przecież jeszcze znajdzie. Ludzie czasem bywają uparci.
Rzemieślnik popatrzył zdumiony.
— Chyba wariat jaki lub półgłówek. Wyrzucony to pieniądz i pewne niebezpieczeństwo życia.
— Hm — uśmiechnął się znacząco archiwariusz — niekoniecznie, panie majstrze, niekoniecznie. Trzeba tylko być ostrożnym, i nic więcej.
I nie przeciągając już dłużej rozmowy pożegnał go i wrócił do miasta. W parę dni potem podpisał w urzędzie miejskim kontrakt, który za niesłychanie niską cenę oddawał mu na własność „pożarowisko". Podczas załatwiania formalności zauważył archiwariusz zdumione miny urzędników i znaczące ich uśmiechy. Jakiś poczciwy, siwiuteńki jak gołąb urzędnik, odciągnąwszy go na stronę, po cichu odradzał kupno:
— Niefortunne miejsce — tłumaczył mu jąkając się starowina. — Parcela pod złą gwiazdą. Nic szanowny pan o tym nie słyszał?
— Może i słyszałem — odparł niewzruszony Rojecki — ale w takie brednie nie wierzę. W każdym razie dziękuję łaskawemu panu za dobre intencje.
I uścisnąwszy mu rękę opuścił biuro.
Nazajutrz przyszły pierwsze dwa listy: od znajomego sędziego, odradzający stawianie domu, i drugi, „czerwony", pełen entuzjazmu dla tego przedsięwzięcia. Potem posypały się dalsze jak z rogu obfitości. W całym mieście zdaje się o niczym innym nie mówiono, jak tylko o tym, że przybyły przed miesiącem archiwariusz Andrzej Rojecki zamierza stawiać dom na „pożarowisku".
Jakoż i postawił. Znudzony natrętną korespondencją doradców postanowił przez ruchy szybkie i stanowcze od razu „urwać łeb tej hydrze" i uwolnić się od wścibstwa kochanych bliźnich. Pewną rolę odegrała też chęć pokazania „małemu światkowi", jak się to obala przesądy i ściera w proch zabobony.
W parę dni po podpisaniu aktu kupna uwiadomił o wszystkim dokładnie żonę pozostałą na razie w Warszawie wraz z dziesięcioletnim synkiem Józiem. Pani Rojecka odpisała mężowi odwrotną pocztą, że oczywiście plan jego aprobuje i że zaraz po wykończeniu domu zjedzie do Kobrynia. I ona również nie przywiązywała najmniejszej wagi do przesądnych pogłosek na temat miejsca, piętnując je w liście parokrotnie mianem „dubów smalonych" i „małomiasteczkowych

zabobonów”.
Zadowolony z odpowiedzi sprowadził Rojecki w tydzień potem do Kobrynia znakomitego architekta z Warszawy, pod którego osobistym kierownictwem rozpoczęła się budowa. Szła żwawo, bo archiwariusz pieniędzy nie żałował i w ciągu dwóch miesięcy stanęła na szczycie jodłowego wzgórza śliczna, w stylu secesyjnym willa.
Rojecki ochrzcił ją wyzywającym mianem „Pożarowa”. Budowę wykończono pod schyłek wiosny, a z początkiem lipca sprowadzili się państwo Rojeccy.
Pani Maria była zachwycona prowincjonalnym gniazdkiem i od razu znalazła się tutaj u siebie. Józio, błękitnooki wisus, wybrał się zaraz na wyprawę podróżniczą w głąb dziewiczych lasów brazylijskich, jak mu się podobało nazwać gaik jodłowy okalający willę, i niebawem stwierdził z ogromną radością, że żyją w nich rude wiewiórki, a może nawet i sarny.
Ciche od lat wzgórze napełniło się śmiechem i gwarem wesołych głosów. Nawet Nero, duży łańcuchowy pies z białą łatą na uchu, widocznie bardzo był zadowolony z nowej budy pod laskiem, bo poszczekiwał radośnie i wywijał zamaszyście ogonem.
Rojeccy postanowili nie prowadzić kuchni w domu; Marianna, dotychczasowa kucharka, objęła funkcję służącej. Obiady i kolacje jadali w jednej z pierwszorzędnych restauracji w mieście lub też kazali przynosić do domu. Zarządzenie to trochę niewygodne uznał pan Andrzej za konieczne ze względu na ostrożność; w ten sposób unikało się palenia w kuchni, a co za tym idzie jednej z najczęstszych przyczyn pożaru.
Mimo bowiem całej swej trzeźwości poglądów na tę „banialukę” dał sobie Rojecki uroczyste słowo, że będzie ostrożnym. Odrzuciwszy z pogardą wszelkie tłumaczenie zakrawające na „niesamowitość miejsca”, znalazł przyczynę naturalną, przeciw której nie buntował się jego zdrowy rozum; oto po prostu anormalna częstość pożarów wynikała, zdaniem jego, ze specjalnych warunków atmosferycznych miejsca; prawdopodobnie przestrzeń zamknięta koliskiem świerków i jodeł była wyjątkowo silnie nasycona tlenem. Ludzie zrazu nie zorientowali się i byli nieostrożni, a potem... potem... Tu nastąpiła w rozumowaniu pana Andrzeja chwilowa niemiła przerwa, którą jednak wnet wypełnił mniej więcej w ten sposób: A potem te głupie opowieści o „fatalnym miejscu”, ten śmieszny, zabobonny strach wytworzyły rodzaj sugestii pchającej do kroków nieostrożnych: coś w rodzaju automatyzmu psychicznego, jakieś bezwiedne ruchy rąk, jakaś zgubna niezgrabność, no i... jest ogień.
Dlatego postanowił Rojecki być ostrożnym, nawet bardzo ostrożnym. Zawziął się i chciał stanowczo przełamać łańcuch przesądu, który opasał miejsce jego obecnej siedziby, rozerwać kolisko ognia raz na zawsze i zalać je strumieniem zimnej, zdrowej wody.
Lampy naftowe, świece, maszynki spirytusowe, wszelkie środki oświetlające i ogrzewające, zostały stanowczo z „Pożarowa” wykluczone. Natomiast zaprowadzono instalacje elektryczne z centrali tramwajowej; ten sam prąd rozgałęziając się w wielokrotne odnogi oświetlał i ogrzewał willę.
Śniadania i podwieczorki grzano na kuchence elektrycznej z całym systemem silnych opornic.
Tylko do zapalania papierosów i cygar używał Rojecki benzynowej zapalniczki, i to z zachowaniem wszelkich środków ostrożności: stawał zwykle w środku pokoju w przyzwoitej odległości od sprzętów.
W pierwszych tygodniach przychodziło Rojeckim z pewną trudnością naginanie się do tych wszystkich urządzeń i nowego trybu gospodarskiego, lecz z czasem przyzwyczaili się. Życie w „Pożarowie” popłynęło spokojną, pogodną falą dnia powszedniego.
Pan Andrzej pracował w archiwum miejskim od ósmej rano do południa, potem wracał do domu, gdzie spędzał resztę dnia „na łonie rodziny”. Bliskość lasu o dwa kilometry za rzeczką umożliwiała częste wycieczki przedwieczorną porą, z których Rojeccy wracali rześwi i w różowych humorach. W dnie pochmurne przechadzali się po kolistych, białym żwirem wysypanych ścieżkach i alejach swego jodłowego gaiku. Gdzieś na zboczu odkrył Józio parę granitowych bloków, z których sączyło się źródełko; pomysłowy chłopiec ułożył kamienie w rodzaj cembrowiny i tak powstała studzienka — cel częstych wypraw i źródło ochłody w skwarne dni lata...
Tymczasem w mieście najpopularniejszym tematem rozmów byli Rojeccy i ich „Pożarowo”. Nie było wenty ani towarzyskiego soiree, na których by o nich nie mówiono. Oni sami mało udzielali

się, choćby z tego powodu, że kobryńska socjeta omijała z daleka „Pożarowo". Ludzie bali się spędzić choćby dwie godziny w niebezpiecznej willi. Ku niezmiernej swej uciesze zauważył Rojecki codziennie zaciekawione miny kolegów, którzy go witali rano w pracowni; z oczu i twarzy tych poczciwców wyzierało oczywiste zdumienie:
— Jakżeż tam u kochanego pana? Jeszcze się nie paliło?
Co parę dni znajomi spotkawszy go na ulicy, ze współczuciem patrzyli mu w oczy i ściskając gorąco za ręce, dopytywali się troskliwie:
— Jakżeż się panu mieszka, panie Andrzeju? Nie przytrafiło się panu nic szczególnego?
Archiwariusz boki zrywał od śmiechu opowiadając żonie o tych spotkaniach. Lecz było i paru odważniejszych, którzy od czasu do czasu odwiedzali „Pożarowo": przeważnie starzy kawalerowie „nie mający nic do stracenia". Ale i ci siedzieli w czasie wizyty jak na szpilkach, rzucając wkoło dzikie spojrzenia zaszczutej w kąt zwierzyny. Goście ci wprawiali zawsze Rojeckich w złoty humor. W końcu jednemu z nich poradził pan Andrzej, by nie wybierał się do „Pożarowa" bez eskorty straży ochotniczej. Wtedy gość obraził się i więcej nie przyszedł...
Tak minął spokojnie upalny lipiec i sierpień, minął plenny w owoce wrzesień i chylił się ku końcowi zasnuty pajęczą przędzą październik. W „Pożarowie" nie stało się nic. W opinii publicznej nastąpił wyraźny zwrot. Ludzie zaczęli spoglądać na mieszkańców samotnej willi z widocznym podziwem i uznaniem. Jak Kobryń Kobryniem — jeszcze żaden dom na pożarowisku nie przetrwał czterech miesięcy. a tu już czwarty dobiegał do końca, a tam — cicho... Minął październik, zaczął się melancholijny listopad. Rojecki zacierał ręce z zadowolenia, przyjmując z uśmiechem pobłażania gratulacje znajomych z powodu „szczęśliwego przebycia krytycznego okresu". Goście coraz częściej i dłużej zaczęli przesiadywać w jego domu; znikały powoli niepokój i nerwowość ruchów. Dobrze i wesoło było w „Pożarowie", bo gospodarze okazali się ludźmi nader gościnnymi. Nastrój dotąd wesoły i pogodny zmienił się niemal w przesadnie hałaśliwy, krotochwilny i szampańsko szumiący. Rojecki drwił nielitościwie z przesądów i uśmiechał się tryumfująco, pani Maria przekomarzała się z panią sędziną na temat dni i miejsc „feralnych". Józef szalał po lasku i okolicy; nawet Marianna, obecnie „pokojówka", zwykle solidna i poważna niewiasta, stroiła żarty w kuchni i śmiała się z byle czego.
Powoli, nieznacznie wyłoniły się w domu nowe upodobania i zwyczaje.
— Cest dróle! — zauważyła pewnego dnia po powrocie z wizyty w „Pożarowie" piękna pani Sulimirska — Rojecka nosi od jakiegoś czasu stale ognistoczerwone peniuary; już piąty raz z rzędu przyjmuje nas w tym kolorze.
Spostrzeżenie było trafne. Istotnie Rojeccy ulegli specjalnej sympatii do barwy czerwonej i czerwonopomarańczowej; pani Maria od miesiąca przeszło nosiła suknie wyłącznie w tych dwóch kolorach, którym nadawała tylko rozmaite odcienie i niuanse. Mąż jej stwierdził z zadowoleniem, że jest jej z tym bardzo do twarzy i chcąc się utrzymać niejako w tym samym stylu, zaczął nosić ogniste, wyzywające krawaty.
— A kolor jego jest czerwony — zanucił mu nazajutrz jeden z kolegów.
— Nic nie szkodzi — odpowiedział spokojnie. — Lubię tę barwę i jak utrzymuje moja żona, jest mi w niej do twarzy. To wystarczy.
I w parę dni potem zmienił krawat na inny, w tonie ceglastoorange.
Lecz i Józiowi znać przypadły do gustu barwy rodziców, bo zaczął dopraszać się nowego ubrania w tym kolorze! Jakoż z okazji urodzin wkrótce potem sprawiono mu czerwony garnitur.
Jakby dla dociągnięcia linii stylu do końca kazał pan Andrzej w ostatnich dniach listopada obić wszystkie pokoje czerwoną tapetą w ciemnożółte irysy.
— Jaki tu teraz ciepły, miły ton — mówiła pani Maria do męża po przeprowadzeniu metamorfozy wnętrza.
— Nieprawdaż, kochanie? — odpowiedział, całując jej śliczne aksamitne oczy. — Ciepło zda się spływać ze ścian — błogie, rozgrzewające duszę ciepło.
Lecz w mieście uznano te zmiany za dziwactwo, a lekarz powiatowy, doktor Lutowski, określił je nawet jako tak zwaną erythromanię. Definicja nie wiadomo jakimi drogami dotarła do Rojeckiego, dając mu pochop do nowych drwin:

— Ci poczciwcy — zwierzał się przed żoną — pomawiają nas o rodzaj bzika na punkcie barwy czerwonej, a nie wiedzą biedni, że od lat sami padli ofiarą stokroć gorszej pożaromanii.
— To prawda — przyznała pani Maria wpatrując się w żelazne zwoje elektrycznego radiatora pod ścianą. — W ogóle mam wrażenie, że wszystkie te środki ostrożności, jakich tu przestrzegamy, są właściwie całkiem zbyteczne, a nawet wprost śmieszne. Oto na przykład teraz, patrząc na te martwe rury radiatora, rozsyłające ciemne fale ciepła, żałuję naszych dawnych poczciwych pieców. Tak się to słodko gawędziło przy trzasku ognia, w świetle czerwonych refleksów igrających po ścianie.
— Masz słuszność, Maniu. I mnie to samo przyszło w tej chwili na myśl. Lecz sprawa jeszcze nie przesądzona. Jutro każę stawiać piece; będziemy mieli ogień, zapach żywicznych smolaków i rakiety iskier.
— Wiwat! — krzyknął rozpromieniony Józio. — Będą piece! Będzie ogień! Złoty, czerwony, żółty, kochany ogień! O, jak to pięknie i dobrze, tatusiu!
W pierwszych dniach grudnia opalano już willę po staremu za pomocą kaflowych pieców, a w saloniku buzował wesoły ogień w dużym staropolskim kominku.
Po dokonaniu tego zasadniczego wyłomu w dotychczasowej taktyce nastąpiły dalsze. Rojecki, ośmielony bezkarnością, rozzuchwalił się. W ciągu grudnia przestano stołować się w jadłodajni przywracając ancien regime kuchni domowej; Marianna ku ogromnej swej radości objęła z powrotem funkcje gastronomiczne.
— Bo i słusznie, proszę wielmożnych państwa — zaopiniowała, wnosząc po raz pierwszy do jadalni obiad „własnego chowu". — Słyszane rzeczy brać obiady i kolacje z traktierni. W domu kuchnia jak złoto, naczynia błyszczą na ścianach jak diamenty — a my wciąż znosimy z restauracji te obrzydlistwa, jakby nie było komu u nas gotować. Obraza boska.
Buntownicza reakcja czyniła szybkie postępy. Obok światła elektrycznego zaczęto używać wieczorami starych, „poczciwych" lamp naftowych; pani Maria nawet stanowczo dawała im pierwszeństwo przy czytaniu nut i szyciu, gdyż „elektryka" działała jej szkodliwie na wzrok. Pojawiły się też nie widziane już od dawna świece. Słowem, oświetlenie i ogrzewanie staroświeckie odnosiło w „Pożarowie" stanowcze zwycięstwo nad wymysłami postępu w tej dziedzinie.
W długie zimowe wieczory skupiała się cała rodzina w saloniku przy kominku, który stał się ośrodkiem *domowego* życia. Czerwone, jarzące się żarem polan i szczap palenisko wywierało na nich nieprzeparty wpływ, pociągało ku sobie tajemniczą ponętą żywiołu. Godzinami siedzieli w milczeniu wpatrzeni w krwawą czeluść, zasłuchani w pryskanie iskier i szept trawionego drzewa. Czar ognia działał zwłaszcza silnie na pana Andrzeja i Józia; prześcigali się nawzajem w podsycaniu ogniska, dorzucając często bez potrzeby świeżego paliwa.
— Tatusiu — przyznał się pewnego wieczora malec — chciałbym mieć w pokoju takie duże, duże ognisko, jakie rozkładają pasterze po polach jesienią. Mamo — zwrócił się po chwili do pani Marii grającej z wlepionymi w żar oczyma jakąś burzliwą rapsodię. — Prawda, że ogień — to piękna, bardzo piękna rzecz?
— Prawda, synku — odpowiedziała wsłuchana w ognistą melodię. I jakby interpretując podziw dziecka dla groźnego żywiołu, zaczęła grać arię z „Trubadura".
— Con fuoco! — zachęcał Rojecki wtórując pięknym barytonem. — Con fuoco! Piu di fuoco.
— Stride la vampa...
Fanatyczny kult ognia przybrał u Józia dziecinne, właściwe wiekowi formy. Parę razy zauważyli rodzice, jak w biały dzień, oczywiście bez celu, zapalał świecę i bawił się godzinami jej płomieniem. Innym razem wchodząc do sypialni spostrzegał pan Andrzej na stole płonący stos najrozmaitszych papierów i gazet, a bok Józia śledzącego proces spalania z zachwytem w oczach.
W parę dni potem, podczas sprzątania pokoju, ze zgrozą wydobyła Marianna spod łóżka jakiś przedmiot na pół zwęglony, zawinięty w kilimek. Śledztwo przeprowadzone przez panią Marię wykazało, że owym tajemniczym niedogarkiem była stara szachownica pana Andrzeja, którą Józio ukradkiem skazał na całopalenie.
Chłopak dygotał ze strachu przed gniewem ojcowskim i skrył się gdzieś w mysią dziurę — lecz ku powszechnemu zdumieniu Rojecki przyjął wiadomość o zbrodniczym czynie z jakąś dziwną wyrozumiałością, nie robiąc mu najlżejszej wymówki.

W ogóle na punkcie sympatii dla ognia nastąpiło między ojcem a synem jakieś szczególne zrównanie: archiwariusz stanął pod tym względem na jednym poziomie z dzieckiem; rozumiał namiętność Józia, a nawet — rzecz dziwna — zazdrościł mu tak łatwej formy zaspokojenia jej. Wkrótce miał go prześcignąć.
Gdzieś w połowie stycznia wpadł na pomysł urządzenia „zabawy w ogień". Podczas gdy żona odrabiała z Józiem lekcję fortepianu w saloniku, postanowił Rojecki zrobić im „niespodziankę". Cicho, bez zwracania na siebie uwagi przekradł się z flaszką spirytusu do sypialni i tu wylał całą jej zawartość na jedną z poduszek; potem podpalił.
Buchnął silny ogień, obejmując w mgnieniu oka pościel, a pan Andrzej rad z efektu przywołał z sąsiedniego pokoju grających. Pani Maria wydała okrzyk podziwu i trzymając kurczowo rączkę syna zaczęła wpatrywać się uporczywie w ogniste języki sięgające już zjadliwie po firanki.
Pierwszy ocknął się z drętwoty pan domu, który dotąd ze skrzyżowanymi rękoma śledził rozwój żywiołu. Z jakimś okropnym śmiechem rzucił się do poskromienia ognia; porwał z sąsiedniego łóżka ciężki turecki koc i materac i z furią cisnął je na kłębowisko płomieni. Atak powiódł się: zduszone momentalnie jasnolazurowe węże sczezły gdzieś, wśliznęły się pod pościel. Lecz Rojecki nie dał się zwieść pozorom. Z zapamiętałością pożarnika przypuścił powtórne natarcie, tłumiąc kosmyki bladobłękitnego ognia, które pełzały zdradliwie pod spodem. Zanim upokorzony żywioł zdołał wzmóc się na siłach, nastąpiła trzecia i ostatnia szarża: tym razem wodą z wiader, które w samą porę podała Marianna. Ogień ugaszono. Pan Andrzej z zaciśniętymi nerwowo pięściami stał jakiś czas bez słowa, obserwując spaloną pościel i nadwęglone do połowy łóżko. Nagle roześmiał się jakoś dziwnie i nieswojo:
— Cha, cha! Mieliśmy „pożar" w „Pożarowie"! Nieprawdaż, Maniu? I zdusiliśmy go własnoręcznie, bez niczyjej pomocy — tymi gołymi rękami. Zdławiliśmy tę czerwoną hydrę — dodał ciszej po chwili. — Cha, cha, cha. Cóż, Józiu? Podobał ci się, he?
I jakby nigdy nic zasiedli wszyscy troje do kolacji. Późno wieczorem idąc na spoczynek w uszkodzonej silnie sypialni, szepnęła pani Maria mężowi do ucha:
— A jednak, Jędrusiu, ogień — to piękny żywioł... Odtąd „niespodzianki" zdarzały się w „Pożarowie" coraz częściej. Z zapamiętałością łobuza urządzał Rojecki rodzinie „ogniste kawały" nie licząc się z ogromnymi stratami, jakie za sobą pociągały. Bawiło go niezmiernie to rozpętywanie żywiołu, któremu w krytycznej chwili umiał nałożyć wędzidło, napawało szczególną rozkoszą każdorazowe zwycięstwo odniesione nad zdradliwym przeciwnikiem.
Ogień zniszczył pół sypialni, spalił na węgiel parę kosztownych sprzętów, strawił znaczną część bielizny i ubrań. Rojeccy patrzyli na to obojętnie, żądni tylko pożarniczych emocji, spragnieni „czerwonych wrażeń".
Lecz przed światem ukrywał archiwariusz starannie swoje „zabawy". Mariannie pod groźą natychmiastowego wydalenia ze służby nie wolno było przed nikim w mieście ani słowem wspomnieć o tym, co się od czasu do czasu zdarzało w willi. Rzecz dziwna — pan Andrzej, tak swobodny pod tym względem wobec żony i dziecka, jakby wstydził się swoich upodobań.
Szkody wyrządzone w domu przez sztuczne pożary naprawiano po cichu i z niezwykłą troskliwością. W razie niespodziewanej wizyty usuwało się momentalnie nadwerężone sprzęty, zacierano skwapliwie zdradzieckie ślady lub też sprytna Marianna wprowadzała od razu gościa do pokoju wolnego od kompromitujących przejść.
Lecz to ciągłe ukrywanie się, ta konieczna ostrożność wobec bliźnich drażniły ambicję Rojeckiego. W końcu miał tego dość i postanowił gościom wypłatać figla, który byłby zarazem aktem zemsty.
W którąś niedzielę, gdy sproszone licznie towarzystwo zabawiało się w salonie „Pożarowa", nagle zajęła się od świecznika portiera wisząca nad drzwiami bawialni. Ktoś krzyknął: — Pożar! — i wszczęła się okropna panika. Parę pań zemdlało, parę wyskoczyło przez okno w wizytowych toaletach, bez okryć na dwudziestostopniowy mróz na dworze. W kilku sekundach Rojecki ugasił „pożar" i z sardonicznym uśmiechem zaczął zapraszać spłoszonych gości z powrotem do wnętrza. Lecz ludzie nie mieli ochoty do dalszej zabawy i odprowadzani ironicznym spojrzeniem pana domu pośpiesznie rozchodzili się do siebie.
— A widzicie, kochani państwo — żegnał ich nieubłagany Rojecki. — Cóż? Czy ogień tak straszny

na pożarowisku?
— Tak, tak, ma pan rację, kochany panie Andrzeju: podziwiałem energię, z jaką pan opanował przeklęty żywioł — przyznawał ten i ów. — Lecz lepiej, kochany panie, nie igrać z ogniem: ostrożność nie zawadzi.
I chyłkiem wynosili się z willi.
Tak minął luty i zaczęły się powiewy marcowe. Rojecki wciąż bawił się w pożar. Lecz powoli motywy zabawy uległy zmianie. O ile zrazu chodziło przede wszystkim o rozkosz dławienia i pokonywania rozpętanego żywiołu, o tyle teraz satysfakcja z odniesionego zwycięstwa ustąpiła miejsca nieprzezwyciężonej potrzebie ognia dla ognia. Dlatego odkładał moment gaszenia na coraz to dalszą metę pozwalając płomieniom rozwijać się coraz to swobodniej. Musiał wpierw napaść oczy do woli widokiem rozhukanego ognia, zanim zdecydował się na ratunek. Stąd bywały chwile nieraz nader krytyczne i gra zaczynała być naprawdę hazardowa. Mimo to, nie zważając na niebezpieczeństwo grożące rodzinie, pan Andrzej nigdy nie był zadowolony — zawsze zdawało mu się, że zaczął gasić za wcześnie, że można było jeszcze napiąć strunę o ton wyżej. Nie wiadomo dlaczego przeczuwał, że wszystkie te próby są przygrywką do czegoś większego, tylko nikłą zapowiedzią „zabawy w wielkim stylu”.
I nie omylił się. Wkrótce miała nadejść upragniona chwila. Stało się to 19 marca, w sam dzień św. Józefa.
Po hucznej zabawie u państwa Wareckich powrócili Rojeccy późno w noc do domu. Pani Maria znużona niezliczonymi turami walca zapadła niebawem w głęboki sen. Rojecki nie mógł usnąć. Zapalił papierosa i leżąc na wznak oddał się jakimś nieokreślonym marzeniom.
Powoli obrazy zaczęły zwierać się i gęstnieć, aż zarysował się jednolity, wyraźny kontur płonącego domu.
Rojecki znał ten dom. Był to pałac dożów w Wenecji, widziany przed laty w czasie wędrówki za granicą. Teraz stał w purpurze na tle czarnej, dusznej, śródletniej nocy.
Dlaczego właśnie ten pałac? Nie wiedział. Czuł tylko skwar ognia i woń spalenizny wyraźną, całkiem bliską, tuż o parę kroków...
Dźwignął się z łóżka i jak automat zapalił świecę. Ogarniając światło ręką zaczął szukać czegoś w kufrze. *Znalazł* bal związany sznurem, przygotowany tam od dawna. Rozwiązał. Posypały się zwoje pakuł...
Podłożył pod szafę okrągłą bułę kłaków i podpalił. Nie oglądając się poza siebie przeszedł do salonu, podrzucił pod fotele parę zgrzebnych pakietów i przytknąwszy na chwilę świecę jak przez sen przekradł się do jadalni. Po chwili podpalał już stół w kuchni i krztusząc się od dymu rozkładał ogniste zarzewie w pokoju bawialnym. Gdy przechodził do łazienki, już zagrodził mu drogę potężny płomień buchający z alkowy. Zaśmiał się doń nerwowym, krótkim śmiechem i zniknął w głębi korytarza z pękiem płonących pakuł w ręce...
Nad ranem odezwały się w Kobryniu dzwony na trwogę.
— Gore! Pali się! — wołały jakieś przerażone głosy. W oknach ukazywały się wylęknione twarze, na ulice wylegli ludzie. Dzwony grały wciąż przeciągłym, pogrzebowym jękiem.
— Jezus Maria! — krzyknął jakiś głos kobiecy. — Ogień na pożarowisku! Rojecki się pali!
— I ten się nie uchował!
— I na niego przyszła wreszcie chwila!
Ludzie żegnali się zabobonnie, patrząc w osłupieniu na olbrzymią, czerwoną kolumnę ponad jodłowym wzgórzem za miastem...
Lecz nikt nie śpieszył się na ratunek: strach przykuł nogi do ziemi, spętał ruchy, zmroził wolę...
Z dala nadpłynęła pobudka strażaków: grała trąbka pożarnicza. Po chwili przemknęło w pędzie parę sikawek i wóz z personelem ratunkowym. Za kwadrans zajechali na miejsce... Za późno! Willa była jednym morzem płomieni. Ogniste języry wyzierały z okien, wypadały wśród kłębów dymu z drzwi, strzelały krwawymi żądłami ponad kominy. A wkoło z siekierą w ręce biegał w bieliźnie jak opętany Andrzej Rojecki, ścinał jodły i świerki i z jakąś demoniczną radością, z pianą na ustach rzucał je ogniowi na żer...
Kilku śmielszych strażaków wtargnęło w głąb domu, by po paru minutach wynieść stamtąd trzy

spalone na węgiel ciała: dwóch kobiet i dziecka. Rojeckiego, broniącego się wściekle, spętano wreszcie postronkami i odstawiono do zakładu dla umysłowo chorych.

Idźcie, przeklęci, w ogień wieczny, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego. (Mateusz R. 25). E vidi spirti par la fiamma andando[1]
(Dante „Czyściec" P. XXV w. 124)

Muzeum dusz czyśćcowych

Zatrzymali się przed nową kasetą. Pod szklanym wiekiem na poduszeczce z czerwonego aksamitu leżała stara, w safian oprawna książka. Proboszcz Łączewski odchyliwszy wieko wydobył ją i podał grzecznie do oglądania doktorowi Proniowi.
— Mszał z kościoła parafialnego w Winnicy — objaśniał swym cichym, drżącym już od starości głosem. — A tu jest odcisk. Bardzo wyraźny — dodał po chwili.
— Rzeczywiście — odparł Proń rozkładając na stole książkę. — Ciekawy znak. A jaki głęboki! Jakby od żelaznej, rozpalonej do białego żaru ręki.
Ksiądz z dumą patrzył na swój zabytek:
— I to w dodatku autentyk, panie doktorze. Oryginał. Nieprawdaż, Helu? — zwrócił się po aprobatę do jasnowłosej, chorobliwie pięknej bratanicy, śledzącej uważnie fizjonomię uczonego.
— Tak — odpowiedziała nieśmiało.
Proń spojrzał bystro na pannę, uśmiechnął się trochę niedowierzająco i obserwował dalej książkę.
A znak był istotnie godny podziwu. Począwszy od stronicy dziesiątej mszału widniał wypalony odcisk ludzkiej ręki. Stygmat był silny i szedł na kilkanaście kartek w głąb; kontury wyraźne, zdecydowane, rysunek palców ostry; po brzegach odcisku papier nosił widoczne ślady nadpalenia: ciemnobrunatną obwódkę.
— Zna pani historię znaku? — zapytał młody uczony.
— Objaśnienia są na karteczce zawieszonej tu z boku na ścianie puzdra — wyręczył ją w odpowiedzi stryj. — Proszę, może pan przeczyta?
Proń przebiegł szybko oczyma karnecik, zapisany drobnym, lecz wyraźnym „maczkiem":
W kościele parafialnym w Winnicy roku Pańskiego 1720 podczas mszy świętej w drugi dzień Zielonych Świąt zjawiła się dusza pana Bonawentury Łaszczą, dziedzica winnickiego klucza, znanego z życia hulaszczego, z prośbą o modlitwę i wspominanie nabożne. Na dowód prawdy wypalił potępieniec ślad swojej ręki na mszale.
— Książkę tę — kończył historię proboszcz — podarował mi na pamiątkę ksiądz Dargan, świętej pamięci proboszcz w Winnicy, dowiedziawszy się, że zakładam muzeum dusz czyśćcowych.
— Piękna pamiątka — mruknął półgłosem Proń i przeszedł do następnego curiosum.
Był nim kwadratowy kawałek płótna z wypalonym śladem pięciu palców; odcisk był delikatny i nie przeżarł materii na wylot: jakby dotknięto się jej z lekka tylko.
— Ślad ręki autentyczny — tłumaczył proboszcz — znaleziony przed pięciu laty na postawie płótna przez Andrzeja Świerka, gospodarza z naszej parafii, w opustoszałej chacie Ostrwiążów. W domu

[1] I ujrzałem duchy idące poprzez płomień (przyp. autora).

tym, nie zamieszkanym od śmierci ostatniego z rodu Józefa, który zginął, zamordowany w sposób tajemniczy, podobno przez wiele lat straszyło.
— Czy to też należy do muzeum? — zapytał uczony, wskazując na staroświecki, dębowy stół w rogu pokoju.
— Oczywiście, to jeden z mych najpiękniejszych okazów. Dar hrabiów Łosiów z kościoła parafialnego w Przemyślanach. Niech mu się pan doktor tylko bliżej przypatrzy.
Proń pochylił się nad stołem i spostrzegł na samym środku dębowej płyty głęboko wyciśnięty stygmat kobiecej ręki.
— Ciekawe! — szepnął podnosząc pytające spojrzenie na pannę.
— Ręka Heleny z Cetnerów hrabiny Łosiowej — odpowiedziała, mieniąc się dziwnie na twarzy pod jego wzrokiem, bratanica księdza. — Widmo zmarłej miało ukazać się w Brzuchowicach koło Przemyślan, w biały dzień, dnia 19 lipca 1750 roku, prosząc o ratunek, i na dowód tożsamości zostawiło po sobie tę pamiątkę na stole.
— Syn jej — dorzucił ksiądz — hrabia Józef, dał stół ten, wraz z opisem zdarzenia na marmurowej tablicy, do kościoła w Czremyślanach, skąd dostał się ten nieoceniony zabytek do naszego muzeum.
— Rzecz charakterystyczna — zauważył doktor — że zjawiska stygmatoplastii zdradzają pewien ulubiony typ. Rozczytując się dużo w odnośnej literaturze ze zdumieniem doszedłem do przekonania, że dusze pokutujące chętnie objawiają się w ten sam sposób. Widać u nich, że się tak wyrażę, pewną manierę. Tak na przykład bardzo często czyta się o odciskach rąk na stołach lub drzwiach. Znać drzewo uważają za bardzo podatny materiał.
— To prawda — przyznał spokojnie ksiądz, jakby nie odczuwając lekkiego odcienia ironii w słowach gościa. — Mamy więcej takich sprzętów wśród naszych zbiorów. Lecz tylko ten jeden jest oryginalny. Reszta w tym rodzaju — to same kopie. Tu na przykład zaraz obok ten mały z czarnego hebanu model jest wiernym odtworzeniem stołu klasztornego z opactwa dominikanów w Zamora w Hiszpanii z wypalonym śladem ręki jednego ze zmarłych zakonników.
— A tu — wmieszała się do rozmowy panna Helena — jest album z barwnymi kopiami innych znaków.
Proń otworzył podaną sobie księgę i z zajęciem przeglądał zawarte w niej wizerunki i zdjęcia. Po chwili zatrzymał się dłużej nad jedną z kopii przedstawiającą duże, żelazem okute drzwi z wypalonym w pośrodku jednego ze skrzydeł profilem kobiecej głowy.
Roku 1859 — czytał półgłosem objaśnienie u dołu karty — w klasztorze Panien Franciszkanek we Foligno koło Asyżu, ukazała się dusza zmarłej zakonnicy Teresy Giotti, następczyni w urzędzie, Annie Felicji, cała w ogniu i wypaliła na dowód prawdy na drzwiach ślad swojej twarzy.
— Oto jeden z typowych przykładów, o których mówiłem — wywnioskował, składając z powrotem album na wyznaczone miejsce.
Przeszli do dalszych zbiorów. Gościnny gospodarz otworzył szafkę w stylu barokowym i zdjął z jej półek parę starannie owiniętych w jedwab paczek, związanych wstążkami barwy szafranowej.
— Chusty dusz czyśćcowych — objaśniała panna Helena rozwiązując jedną z tych „saszetek”.
Posypały się na stół czworogranne i trójkątne chusteczki, chusty, płatki i ręczniki z prostego płótna, delikatnego batystu, powiewnego zefiru, nawet z koronki lub tiulu z ciemnobrązowymi stygmatami palców, dłoni, rąk, z fragmentami naszkicowanych tylko z grubsza twarzy, profilów, zarysami nosów, warg lub uszu.
— Oto owoc mych trzydziestoletnich przeszło poszukiwań i trudów — chełpił się proboszcz z naiwnie poczciwym uśmiechem dziecka pokazującego starszym swe skarby. — Helu! Schowaj to z powrotem!
— A ta szklana gablotka co mieści? — zapytał Proń wskazując na podłużne, w srebrne ramy ujęte puzdro.
— Tam są fotografie i podobizny ludzi, którym dusze cierpiące w czyśćcu na dowód swego istnienia wypaliły znaki na ciele.
Panna Helena widząc, że uczony chce przejść do dalszych osobliwości w głębi pokoju, wstrzymała go uwagą:
— W tamtej partii nie znajdzie pan nic dla siebie zajmującego.

— Dlaczego? — zapytał przekornie. — Kto wie, może właśnie coś mi wpadnie w oko.
— Same niemal okazy wątpliwej autentyczności lub zgoła falsyfikaty i twory mistyfikacji — objaśnił gospodarz.
— A dlaczego ksiądz proboszcz, wiedząc o tym, toleruje je w swoim muzeum?
Ksiądz, trochę stropiony, spuścił oczy ku ziemi. Po chwili wyjąkał nieśmiało:
— Takie sobie zamiłowanie, pedanteria zbieracza. Może słyszał pan doktor kiedy, że zapaleni filateliści zbierają z pełną świadomością także fałszywe i podrabiane marki. Zresztą trudno mi się z nimi rozstać, bo o ich nieautentyczności dowiedziałem się dopiero parę lat temu.
Tu rzucił ukradkowe spojrzenie na bratanicę.
— Przyzwyczaił się ksiądz dobrodziej do nich — dopomógł mu Proń — i teraz żal mu się ich pozbywać. Ale kto też księdzu proboszczowi otworzył oczy na ten prawdziwy lubo niemiły stan rzeczy?
Pytanie znać wprawiło księdza w niemały kłopot.
— Ja — przerwała przykre milczenie panna.
— Pani?
Proń popatrzył na nią uważniej. Była bledsza **niż** zwykle i dziwnie poważna.
Nagle przyszła mu pewna myśl. Chwycił ją za rękę powyżej przegubu i patrząc mocno w oczy przycisnął tętno silnie wielkim palcem.
W jednej chwili dziewczyna zesztywniała jakby w nerwowym paroksyzmie; białka jej oczu podeszły w górę, twarz przybrała wyraz sennej maski.
— Hm... — mruknął zadowolony z odkrycia. — Teraz rozumiem.
— Co pan zrobił z nią, doktorze? — zapytał przerażony proboszcz.
— Nic, nic, to tylko niewinne całkiem doświadczenie. — I łagodnie potarł jej ręką czoło u nasady nosa pomiędzy brwiami.
Panna przebudziła się i zdumiona patrzyła na obecnych.
— Co to było? Co się ze mną stało?
— Ależ nic, nic — uspokajał Proń uśmiechając się życzliwie — pani tylko na chwilkę zasnęła.
— Ja spałam?
— Tylko przez chwilkę, przez bardzo małą chwilkę. Zresztą przypuszczam, stan ten nie jest pani zupełnie obcy i musiała go już pani nieraz przechodzić. Nieprawdaż?
Panna pochyliła głowę.
— Może — brzmiała po chwili cicha odpowiedź.
— A zatem — podjął gość — rewia muzeum skończona. Czy mają państwo jeszcze coś do oglądnięcia?
— W drugim pokoju mieszczą się też zbiory. Tam też przechowuję parę ciekawych odlewów w gipsie i brązie. Lecz sądzę, że na dzisiaj wystarczy panu przegląd pierwszej salki. Mamy zresztą czasu dość, gdyż nie puszczę pana doktora stąd tak prędko. Hora już canonica; trzeba czymś pokrzepić grzeszne ciało. Helu, czy wszystko przygotowane?
— Obiad na stole; proszę państwa do stołu — przerwała plebanowi miłej powierzchowności staruszka, wchodząc do pokoju.
Doktor Proń podał z galanterią ramię Helenie.
Przebieg obiadu był miły i wesoły. Niewymyślne, lecz smakowite potrawy zakropione staropolskim miodem wzmocniły ciała, podniosły humory.
Po ostatnim daniu wniesiono czarną kawę, z którą mężczyźni przenieśli się do saloniku. Proboszcz, zamknąwszy drzwi od przyległego pokoju, rozsiadł się wygodnie w staroświeckim fotelu i pykając z długiej piankowej lulki podsunął gościowi skrzynkę z papierosami. Proń, wypuściwszy parę dymnych skrętów pod strop salonu, rozpoczął poobiednią pogadankę :
— Kiedy założył ksiądz proboszcz swoje muzeum?
— W roku 1870, czterdzieści dwa lata temu. Miałem wtedy lat trzydzieści i objąłem tutejszą parafię.
— Przypuszczam, że coś musiało wpłynąć na zamiar utworzenia muzeum; jakiś fakt, jakieś zdarzenie? Taki oryginalny pomysł nie powstaje ni stąd, ni zowąd. Ksiądz uśmiechnął się

zagadkowo.
— I nie pomyliłeś się pan, panie doktorze. Istotnie pomysł założenia muzeum dusz czyśćcowych zrodził się pod wpływem dziwnego zdarzenia, które zaciążyło wspomnieniem na całym moim życiu. Ponieważ historia ta wiąże się ściśle z jednym z okazów, zawartych w drugiej salce, którą mamy oglądać jutro, dlatego opowiem ją panu podczas zwiedzania reszty zbiorów.
— Proszę o to bardzo. Nie ma ksiądz proboszcz pojęcia, jak wielce mię zaciekawił. Więc temu zdarzeniu wyłącznie zawdzięcza muzeum swe powstanie?
— No, nie wyłącznie, tego nie mogę powiedzieć. Były i inne pobudki już przedtem, tylko za słabe, by wpłynąć tak stanowczo. Dopiero ten fakt zadecydował. Przyznać się panu muszę, że już jako młody kleryk odczuwałem szczególniejszą sympatię dla dusz czyśćcowych, obiecując sobie po wyświęceniu otaczać ich pamięć duszpasterską opieką i życzliwością. Jakoż zostawszy księdzem zacząłem odprawiać często nabożeństwa na ich intencję; zdarzało mi się nieraz w ciągu tygodnia odmówić za nie parę mszy.
— Ciekawe! — dziwił się Proń. — Ksiądz proboszcz zapewne musi mieć w świecie zmarłych wiele dusz bliskich i kochanych?
Ksiądz zamyślił się na chwilę.
— Byłem sierotą od lat dziecinnych — odparł po namyśle — rodziców nie pamiętam; krewnych prawie nie miałem, rodzina nieliczna wcześnie wymarła. Nie, panie doktorze, moja niezwykła sympatia dla dusz czyśćcowych ma źródła głębsze, może mniej osobiste. Zakładając zaś muzeum chciałem przede wszystkim zebrać materiał, który by udowodnił niezbicie światu i ludziom, że jest czyściec i kara piekła, że istnieje w ogóle życie pośmiertne duszy.
— Na to i ja się zgadzam z księdzem proboszczem w zupełności. I ja wierzę w *życie* po tamtej stronie i ekspiację po śmierci. Chodzi tylko o formę bytowania poza grobem i rodzaj „kary".
— Istnienie czyśćca i piekła jest dogmatem Kościoła — rzekł ksiądz Łączewski ze szczególnym akcentem w głosie.
— Tak, wiem o tym, lecz nie jest nim istnienie ognia rzeczywistego i prawdziwego.
— A jednak ogień ten jest prawdą, o której zapewnia nas powaga ojców Kościoła i objawienia świętych pańskich. Święty Augustyn nazywa go ogniem rozsądnym i mądrym, który umie wywierać na grzeszniku całą swą niepojętą dzielność i pali w sposób dziwny, *lecz* prawdziwy. A święty Jozafat mówi o piekle w sposób następujący: „Oto jest miejsce nagotowane dla grzeszników; w płomieniach tych wiecznych cierpieć będą na wieki ci, którzy ulegli nieporządnym chuciom serca swego; tu wymierza się za rozkosz, co w chwili minęła, kara, która trwać będzie wiecznie".
— Straszne, nielitościwe słowa, księże plebanie.
— A jednak prawdziwe. „Któż z was ostać się może przed ogniem pożerającym, kto z was ostać się może przed płomieniem wiecznym?" — oto groźne pytanie, jakie nam stawia Izajasz w rozdziale XXXIII swej księgi.
— Sądzę, że sprawa natury tego ognia jest kwestią otwartą. Dla mnie jest on plastycznym symbolem mąk i katuszy moralnych duszy, która cierpi przechodząc pamięcią całe swe zmarnowane życie.
— Zwykły wybieg tych, co mając obciążone sumienie pragną pocieszyć się w ten sposób. Ale to jest tylko strusia polityka, panie doktorze. Czyż nie mówi genialny mistrz włoski w pieśni dwudziestej piątej swego *Czyśćca.*
Quivl la ripa fiamma in fuor balestra E la cWnice spira fiato in suso, Che la liflette e via de lei sequestra: On de ir convenia dal lato schiuso Ad uno ad uno; ed io temea ii fuoco Quinci, e quindi temea cadere in ginso.[1]
Ksiądz przymknął na chwilę oczy.
Proń, lekko uśmiechnięty, nie przerywał milczenia, jakie potem zapadło. Nagle, strzepnąwszy popiół z papierosa, pochylił się ku rozmarzonemu dantejską tercyną starcowi i zauważył :

[1] Tutaj ze stoków żywy ogień tryska, a wiatr go w górą niesie i odtrąca od ściany skalnej aż ponad urwiska. Więc iść trzeba było od dalszego końca jeden za drugim: tu się ognia boję, tam znowu przepaść trwoży mię ziejąca (w. 112—117), w tłum. Aliny Swiderskiej).

— A właśnie zacytowany przez księdza dobrodzieja poeta zdaje się być sam w niepewności co do istoty kar pośmiertnych.
— Jak to? — żachnął się niecierpliwie gospodarz.
— Rzecz oczywista. Kary, z jakimi spotykamy się w *Boskiej Komedii,* stoją często na przeciwnym biegunie do tej, o jakiej mówimy. Tak na przykład zdrajcom każe Dante przebywać nie w ogniu, lecz pod lodem, żarłokom w wieczystym dżdżów kole, pysznym pod głazami i tak dalej.
— Et, to tylko fantazja poetycka — bronił się podrażniony proboszcz. — Ja przecież nie uważam *Boskiej Komedii* za kanon wiary ani ewangelię.
— A jednak — odparł nielitościwy gość — a jednak ksiądz proboszcz chciał przed chwilą użyć jej jako argumentu w kwestii spornej, która nas zajmuje.
— Et — przerwał mu impetycznie pleban — przecież oglądał pan moje zbiory. Czy ślady, wypalone przez widma zmarłych w obecności wiarygodnych świadków, nie są dla pana dostatecznym dowodem prawdziwości ognia? Chyba, że uważa pan całe moje muzeum za automistyfikację i wątpi o autentyczności okazów.
— Nie, księże proboszczu, o autentyczności znaków, przynajmniej w pewnej ilości wypadków, nie wątpię. Owszem, wierzę w możliwość podobnych fenomenów. Jestem szczerym wobec księdza i nie chcę przedstawiać się w fałszywym świetle: jestem okultystą-psychologiem. Lecz to, że znaki pozostawione na pamiątkę przez fantomy sprawiają wrażenie stygmatów wypalonych, nie jest jeszcze dla mnie dowodem materialności ognia pozagrobowego.
— Proszę! A to dlaczego? W jaki inny sposób potrafi pan coś podobnego wytłumaczyć?
Proń uśmiechnął się zadowolony. Natarczywość, z jaką postawiono mu pytanie, widocznie podobała mu się; psycholog lubił namiętną dyskusję.
— Ślady wyciśnięte przez dusze zmarłych — wykładał powoli, dobitnie — dlatego wyglądają jak wypalone — co więcej powiem, dlatego są wypalone, ponieważ pochodzą od tych, którzy wierzyli za życia w ogień jako środek karzący po śmierci.
— To szalona interpretacja — zaprotestował gorąco starzec — nigdy mnie pan nie przekona.
— Nie chcę też nikomu narzucać swych poglądów, lecz ponieważ już o tym mówimy, wypowiadam szczerze i otwarcie, co o tym myślę.
— Sądzi pan zatem, że ludzie i po śmierci...
— Wierzą w to, w co wierzyli za życia, i że stan swój po śmierci niektórzy uświadamiają sobie jako mękę ognistą.
— Innymi słowy, przypuszcza pan...
— Że nie zawsze i nie pod każdym względem umarli wiedzą więcej od żywych. Owszem, jestem głęboko przekonany, że zawlekają za sobą na tamtą stronę wszystkie niemal przesądy, namiętności i uprzedzenia, jakim hołdowali za życia.
— Jak więc wyobraża pan sobie stronę techniczną, że się tak wyrażę, owych znaków? Jak mogą wyciskać podobne ślady?
— Strona techniczna odcisków, owo ich specjalne zabarwienie i charakter kauteryzacyjny nie przedstawiają większych trudności od tych, jakie pokonują fantomy rozwiązując problem materializacji, działań telekinetycznych lub ideoplastii.
— Apage satanas! — szepnął zniechęcony obrotem rozmowy gospodarz. — Nie zrozumiemy się nigdy.
— Ksiądz proboszcz wybaczy pewność tonu, z jakim prowadziłem dyskusję, lecz taki to już mój zwyczaj; zresztą postawiłem tylko hipotezę; nie mam pretensji do wszechwiedzy.
— Dobrze już, dobrze — zostawmy tę dysputę; widzę, że nie doprowadzi do celu.
Tu spojrzał na zegarek.
— Już piąta. Czas mi na nieszpór. Czy pójdzie pan ze mną? Jest coś i w kościele naszym ciekawego dla pana.
— Z całą gotowością, księże proboszczu.
— Stań pan przy wielkim ołtarzu po prawej i patrz uważnie na jego górne skrzydło.
— Nie omieszkam.
I wyszli z plebanii ścieżką wijącą się przez sad ku kościołowi.

Pobyt doktora Pronia u proboszcza przeciągnął się na parę tygodni. Wybierając się przed miesiącem z Warszawy do Doliny celem zwiedzenia muzeum księdza Łączewskiego nie przypuszczał nawet, że ta wycieczka może zamienić się w płodną w wyniki ekspedycję. Spodziewał się, że co najwyżej oglądać będzie curiosa ekscentrycznego plebana-zbieracza, o którym krążyły po kraju najcudniejsze opowieści; w rzeczywistości znalazł zbiór wcale poważny i teren nader podatny do naukowej eksploatacji.
Toteż zachęcony uprzejmością gospodarza zabrał się gorliwie do pracy; skatalogował zbiory muzealne, poczynił wyciągi z odnośnych objaśnień, podzielił zabytki na kategorie.
Po dokładnym zbadaniu całego muzeum doszedł do wniosku, że jest ono przepięknym i jedynym w swoim rodzaju pomnikiem mediumizmu. Zwłaszcza zbiory, zawarte w drugiej salce, utwierdziły go w tym przekonaniu. Były to przeważnie odlewy gipsowe rąk, nóg i twarzy, wklęsłe lub wypukłe. Sporadycznie pojawiały się też podobne odciski w glinie, wosku lub w parafinie.
Zbadawszy bliżej płasko- i wypukłorzeźby zauważył, że tylko niektóre sprawiały wrażenie wypalonych stygmatów; część okazów zdradzała tylko lekkie zabarwienie brązawo-brunatne, większość nie wykazywała najmniejszego śladu kauteryzacji.
Gdy zwrócił na to uwagę proboszczowi, starzec stropił się.
— Przypuszczam — tłumaczył się niezręcznie — że te znaki nie pochodzą od dusz czyśćcowych; może w nich pozostawiły nam po sobie pamiątkę duchy jasne już i oczyszczone przez ogień.
Proń pokręcił głową niedowierzająco:
— To są typowe okazy ideoplastii — zawyrokował po chwili. — Skąd nabył ksiądz proboszcz te odlewy?
Zapanowało na chwilę przykre milczenie. Starzec znać nie chciał odpowiedzieć. Wymowne spojrzenia, jakie rzucał na obecną przy tym bratanicę, przekonały Pronia, że natknął się na jakąś tajemnicę.
— Sądzę, stryjku — rzekła z decyzją w głosie panna Łączewska — że nie mamy powodu kryć się z tym przed panem.
— Jak uważasz, Helu — odezwał się z uczuciem ulgi ksiądz. — Zresztą właściwie to twoja sprawa.
— Tak, panie doktorze — przyznała otwarcie panna — to są nasze odlewy.
— Państwa? Nie rozumiem.
— Tak, to znaczy u nas, tutaj powstałe i wytworzone. Proń zmarszczył brwi i przez chwilę bystro wpatrywał się w bladą dziewczynę.
— Tak — szepnął po chwili — powinienem był sam się tego wcześniej domyślić. To są zatem znaki fluidycznych członków, wyciśnięte podczas anormalnych stanów, w jakie pani zapada.
— Tak — potwierdził ksiądz. — Hela istotnie ulega od czasu do czasu dziwnemu stanowi, zbliżonemu do snu, niby do śpiączki, po której przejściu znajdujemy niekiedy owe stygmaty. Zauważyliśmy to po raz pierwszy przed paru laty na glinie, którą przypadkowo wtedy pozostawiła w pokoju dziewka w misie. Odtąd ilekroć Hela zapadnie w swoją dziwną senność, umieszczam obok jej krzesła za zasłoną miednicę z woskiem, gliną lub parafiną.
— Hm... — mruknął uczony — typowy proceder mediumistyczny. — A głośno dodał:
— Pani musi być znakomitym medium. Nawet nie przypuszczała pani dotąd, w jak wyjątkowe właściwości wyposażyła ją natura.
— Hela jest tylko ulubienicą duchów — tłumaczył ksiądz, niezadowolony znać z koncepcji Pronia.
— Być może, księże proboszczu, sprawa to jeszcze nie rozstrzygnięta. Po cóż spierać się przedwcześnie o nazwę zjawiska. Lepiej je wprzód dokładnie zbadać.
Od tej rozmowy rozpoczęły się eksperymenty mediumiczne doktora Pronia z panną Heleną Łączewską.
Po kilku seansach doszedł uczony do wniosku, że bratanica proboszcza jest wybitnym medium dla zjawisk materializacji. W ciągu posiedzeń, odbywanych niemal codziennie, występowały fenomeny tak udatne, że Proń nie miał słów do wyrażenia swego uznania.
Zachęcony niezwykłym powodzeniem sprowadził specjalny aparat do zdjęć błyskawicznych przy świetle magnezjowym i zaczął utrwalać na płytach galerie fantomów i mar, wysnutych w obecności panny Heleny. Wyrazistość swą zawdzięczały widma silnemu wydzielaniu się materii astralnej z

ciała medium, które wskutek tego traciło w czasie doświadczeń niezmiernie dużo na wadze. Bywały nawet momenty, kiedy postać panny, pogrążonej w transie, zacierała się przed oczyma magnetyzera, jakby blednąc i rozwiewając się w przestrzeni. Wtedy zaniepokojony wstrzymywał dalszy rozwój zjawiska i przy pomocy pociągnięć przeciwnych przywoływał śpiącą do stanu jawy.
— Ksiądz w posiedzeniach nie brał udziału, unikając widocznie bliższego kontaktu ze sprawą. Byłby nawet wprost sprzeciwił się eksperymentowaniu, gdyby nie wyraźne życzenie Heleny, której kaprysom ulegał bez szemrania. Toteż śledził z dala tylko przebieg doświadczeń zadowalając się relacjami Pronia.
Wkrótce obok materializacji ujawniły się u medium zdolności psychometryczne. Panna Helena nie tylko odczytywała pismo zamknięte w kopercie i odgadywała przedmioty, ukryte w drewnianej lub metalowej szkatułce, lecz umiała [też sięgnąć intuicją wstecz do przeszłości i opowiedzieć ich historię; wystarczyło tylko podczas transu przyłożyć je w tym celu do czoła lub serca medium.
O jego rzetelności przekonał się młody uczony w sposób niezbity przy badaniu tą metodą dziejów starej przeszłowiecznej książki, którą woził z sobą w bibliotece podręcznej. Helena wymieniła nie tylko nazwiska wszystkich jej poprzednich właścicieli, lecz opowiedziała też przy tej sposobności nader zajmującą historię, związaną z życiem świętej pamięci pani Z., od której Proń nabył książkę. Wiadomości, zasięgnięte w tej mierze przez uczonego u krewnych zmarłej, potwierdziły w najdrobniejszych szczegółach dziwną opowieść.
Odtąd muzeum dusz czyśćcowych nabrało w oczach młodego okultysty tym głębszego znaczenia; znaki, uznane przez Helenę za autentyczne, stały się dokumentami pierwszorzędnymi, z którymi należało się liczyć poważnie.
W ciągu trzech tygodni poddał „rewizji psychometrycznej” wszystkie niemal zbiory proboszcza, by przekonać się, że opinia medium, wypowiedziana o nich przed laty, nie zmieniła się w niczym; stygmaty podejrzanej wartości lub wprost fałszywe pozostały i teraz.
Szczególniejszą uwagę zwrócił Proń na „najpiękniejszy” okaz muzeum, znajdujący się w drugiej salce. Istotnie zasługiwał na to i ze względu na swoją formę zewnętrzną, jako też genezę. Zabytek ten pozostawał w najbliższym stosunku do twórcy muzeum, związany z nim najserdeczniejszą spójnią narodzin. Jemu też zawdzięczało muzeum swój początek.
Był to ten sam dziwny obraz, którego kopię oglądał Proń w kościele na prawym skrzydle ołtarza.
Na wąskim, przeszło metrowej długości kawale białego jedwabiu widniał szkic ludzkiej postaci, wykonany jakby węglem lub wisiorem maczanym w sadzy. Rysunek, trochę rozwiewny w konturach, wyglądał na podobiznę jakiegoś wyższego dostojnika Kościoła. Tak przynajmniej pozwalała wnosić długa, powłóczysta szata, rodzaj peleryny zarzuconej na ramiona, i strój głowy przypominający infułę. Charakterystyczny był profil: rysy ostre, wyraziste, nos orli, oko drapieżne o sępim wejrzeniu. W ręce prawej zdawał się trzymać pastorał, lewą miał wyciągniętą przed siebie, jakby bronił się przed czymś grożącym.
Było w tej postaci coś diabolicznego, coś, co zionęło złością szatana, a równocześnie budziło litość nad jego męką.
Tak wyglądał pierwszy zabytek muzealny księdza Łączewskiego, nazwany przez niego „biskupem”.
Genezę niesamowitego portretu opowiedział proboszcz Proniowi w kościele po ukończeniu nieszporów, gdy już ostatni wierni wysunęli się cicho ze świątyni. Usiadłszy z gościem w jednej z ławek bocznej nawy, starzec tak mówił: — Było to w roku 1870, więc czterdzieści dwa lata temu, w marcu, w środę mięsopustu, podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa, które na sposób rzymski zarządziłem u siebie. Byłem niemal sam w pustym kościele o późnej godzinie północy. Przede mną lśnił w glorii świateł wystawiony Przenajświętszy Sakrament, jarzył się pełgotami świec ustrojony w jedwabne szarfy i wstęgi wielki ołtarz; poza mną w środku świątyni rzucała czerwone blaski lampa wieczysta. Ciszę przerywał chyba tylko szept moich warg lub skwierczenie dopalających się kaganków... Pochylony nisko na klęczkach, z głową opartą o stopnie wielkiego ołtarza, modliłem się żarliwie za dusze tych, co odeszli...
I wtedy: czy znużony wielogodzinnym czuwaniem, czy nawiedzony łaską szczególną popadłem w stan niezwykły, w rodzaj snu czy ekstazy, nie pomnę; straciłem na jakiś czas przytomność. Jak

długo to trwało, nie wiem; lecz gdy znów ocknąłem się na jawie, niebieskie jutrznie przeglądały już przez szyby witraży…
Podniosłem czoło i spojrzawszy na ołtarz zauważyłem, jak jedna ze świec, przechyliwszy się ku prawemu skrzydłu, silnie kopciła. Zląkłszy się, by nie powstał pożar, gdy zajmie się opona jedwabiu, zwisająca z tej strony, poskoczyłem ku skrzydłu, by świecę poprawić.
I wtedy ujrzałem, jak płomień jej, podlizując w odległości paru cali brzeg dolny jedwabiu, zarysował już wisiorem kopciu tę dziwną postać.
Wrażenie, jakim mnie przejął ten wizerunek, było potężne i tajemnicze zarazem. Do dziś dnia nie rozumiem, dlaczego zdarzenie, pozornie tak błahe, tak niby przypadkowe, wstrząsnęło do głębi całą moją duchową istotą. Lecz że powody jakieś być muszą, o tym nie wątpię...
W miesiąc potem kazałem sporządzić sobie kopię, „biskupa” na tym samym materiale i zawiesiłem ją w kościele, zabierając oryginał do siebie, jako zawiązek muzeum.
— Szczególne zdarzenie — przerwał po chwili zaległe milczenie Proń i zamyślony opuścił z księdzem progi kościoła.
Odtąd historia proboszcza nie dawała mu spokoju i postanowił za wszelką cenę zbadać ją dokładnie przy pomocy swego medium. Lecz tu spotkał się po raz pierwszy z silną opozycją; Helena nie chciała pod żadnym warunkiem zgodzić się na psychometryczne zbadanie wizerunku „biskupa”. — Nie mogę — broniła się uporczywie jego naleganiom i prośbom — nie mogę na to się zgodzić, panie doktorze. Niech mnie pan do tego nie namawia, bardzo pana o to proszę. Coś mnie odtrąca od eksperymentowania z tym szkicem, jakiś nieokreślony lęk odpycha od tego wizerunku i nie pozwala wejść w bliższą z nim styczność.
Proń, widząc nieprzezwyciężony upór panny, pozornie ustąpił i przez parę dni nic o „biskupie” nie wspomniał.
Tymczasem zauważył coś, co naprowadziło go na daleko idące domysły w tej sprawie i ukazało jakby potajemny trop, na którym spodziewał się znaleźć prawdę.
Stało się to w parę dni potem, podczas oglądania „pamiątek rzymskich” proboszcza. Ksiądz Łączewski bowiem był namiętnym wielbicielem Rzymu i jego zabytków. Znał święte miasto znakomicie i czuł się w nim jak u siebie w domu. Nie było zakątka, którego by nie zwiedził, zabytku, którego by na własne oczy nie oglądał.
— Rzecz dziwna — powiedział raz w chwili zwierzeń do gościa — gdy po raz pierwszy w dwudziestym roku życia zwiedzałem Rzym, miałem wrażene, że byłem tu już kiedyś dawniej; miasto wydało mi się dziwnie znajome, orientowałem się od razu w ulicach bez pomocy planu, witając ze szczególnym wzruszeniem pałace i domy, niby dobrych i starych znajomych. Zwłaszcza niezwykle jakoś bliskie i zażyłe wydały mi się zatybrzańskie, do Watykanu przytulone dzielnice: Borgo, Zamku Anioła i Prati, w których monumentalne, hadrianowskie mury, wąskie i ciemne uliczki, szare portyki i tajemnicze ponad dachami przejścia - corridori — dziwnie kłóciły się z szumnym rozgwarem prostolinijnie wytkniętych nowych ulic, słonecznych placów i granitem obrzuconych wybrzeży Tybru. W niezrozumiały dla mnie samego sposób odgadywałem zmiany, jakie zaszły w rozmieszczeniu budynków i planie tej części miasta w ciągu wieków; mój cicerone zdumiony był niektórymi szczegółami, które nie były znane nawet jemu, urodzonemu rzymianino-wi; a jednak moje późniejsze poszukiwania i studium historii miasta Rzymu przekonały mię, że miałem słuszność. Cóż więc dziwnego, że ciągnie mnie do Rzymu coś z nieprzepartą siłą i ze niemal co roku odwiedzam ukochane miasto?
Jakoż istotnie odbywał proboszcz z Doliny częste pielgrzymki do stolicy Piotrowej i za każdym razem przywoził z sobą jakąś cenną pamiątkę.
Jedną z nich było album portretowe kardynałów Renesansu, duża, oprawna w żółty pergamin księga z przeszło pięćdziesięcioma podobiznami dostojników Kościoła.
Przeglądając tę cenną pamiątkę zatrzymał się Proń dłużej przy wizerunku jednego z kardynałów wieku XVI, którego rysy wydawały mu się szczególnie znajome.
Ksiądz spostrzegł to, spojrzał na portret, który przykuł tak uwagę gościa, i patrząc nań z dziwnym uśmiechem odczytał objaśnienie poniżej:
— Lorenzo Rufredo, kardynał z czasów Aleksandra VI i jeden z jego zauszników. Umarł w

pięćdziesiątym czwartym roku życia śmiercią zagadkową, podobno pod ciężarem klątwy, rzuconej nań przez następnego papieża.
— Typowy przedstawiciel grandseigneurów kościelnych Odrodzenia — rzucił oględną uwagę Proń.
— Niestety — przyznał cicho ksiądz — podobno był to człowiek bujny, lecz i pełen wyuzdania. Toteż spotkała go zasłużona kara. Dziwna głowa, nieprawdaż, doktorze?
— Rzeczywiście — potwierdził w zamyśleniu Proń i patrząc uważnie w twarz księdza dodał:
— Rzecz dla mnie niepojęta i ze wszech miar ciekawa: kardynał Rufredo zupełnie podobny do „biskupa", którego wizerunek w tak niezwykły sposób powstał na oponie ołtarzowej w tutejszym kościele i stał się zaczątkiem muzeum księdza proboszcza.
Na twarzy księdza odbiło się zakłopotanie. Spuścił oczy i odparł zmieszanym głosem:
— Ma pan słuszność; i ja spostrzegłem od dawna to podobieństwo.
„Lecz istnieje jeszcze i drugie, niemniej tajemnicze i zagadkowe" — pomyślał uczony, lecz nie wypowiedział głośno swego spostrzeżenia ze względu na osobę plebana.
Bo oto patrząc w twarz księdza Łączewskiego zauważył, że w sposób dziwny łączy w sobie zasadnicze cechy obu wizerunków: proboszcz z Doliny był uderzająco podobny do kardynała Rufredo i „biskupa" wypalonego na jedwabiu.
Lecz milczał nie chcąc sprawić przykrości starcowi i już bez dalszych uwag przeszedł do następnych portretów.
Lecz tego wieczora, koło godziny dziewiątej skrycie wtargnął do drugiej salki muzeum i zabrawszy z sobą podobiznę „biskupa" ukrył ją w swoim pokoju, by przy najbliższym seansie użyć jej bez wiedzy Heleny.
Nazajutrz panna, nie przeczuwając podstępu, pozwoliła się uśpić. Wkrótce pod skupionym spojrzeniem Pronia zapadła w głęboki trans; głowa bezwładnie odchyliła się wstecz i oparła o grzbiet fotela, jasnobłękitne jej oczy podeszły w górę. Proń zgasił lampę i zapaliwszy świecę przyćmił blask abażurem: po pokoju rozlała się mgława, zielona poświata.
Wtedy uczony wyjął szybko jedwabną materię i zakrył nią od strony szkicu twarz śpiącej, po czym przy pomocy passów magnetycznych pogłębił stan transu. Po kilku minutach zaczęły z ust medium wydobywać się przytłumione westchnienia i jęki, a ciało, dotąd sztywnie wyciągnięte, prężyć się jakby w konwulsjach. Nagle zerwała z twarzy jedwabną oponę. Wtedy spostrzegł z zadowoleniem eksperymentator, że proces materializacji rozpoczęty...
Z głowy Heleny, spod pach i z okolicy łona wysnuwały się wiotkie, fluidyczne woale, łączyły się w skrętach, zgęszczały w spirale. Po upływie krótkiego czasu wyłonił się zarys ludzkiego kształtu.
Doktor zbliżył się ku oknu i szybko ściągnął storę na dół. Gdy w następnej chwili odwrócił się ku medium, wydał mimowolny okrzyk zdumienia. Przy fotelu śpiącej po jej prawej ręce stał w pełni zmaterializowany fantom „biskupa". Diaboliczną twarz dostojnika, zwróconą en face w stronę uczonego, skrzywił okropny grymas; sępie oczy wbił w przestrzeń i z wyrazem piekielnego przerażenia coś tam wypatrywał.
Wtem z ust medium wypłynęły chrapliwe, zdławione męką słowa:
— Jam jest kardynał Rufredo!
Widmo zakrywając twarz jakby przed czymś straszliwym, wahnęło się wstecz.
— Vexilla regis prodeunt inferni[1] — zabrzmiał okrutny wyrok z ust śpiącej.
Odpowiedział mu jęk przeciągły.
— Cremaberis igne aeterno![2] — padły ostatnie słowa i zgasły.
Wyczerpane medium rzuciło się z powrotem na fotel. Wtedy zaszło w fantomie zagadkowe przeobrażenie: znikła strzelista infuła, odpadł w przestrzeń pastorał, rozwiały się insygnia kardynalskiej godności: po chwili ujrzał magnetyzer przed sobą zamiast drapieżnej maski kardynała łagodną, słabo uśmiechniętą postać księdza Łączewskiego...
Nie dowierzając wzrokowi Proń przystąpił ku księdzu i wyciągnął rękę, by go dotknąć. Lecz widmo, uprzedzając zamiar, uchyliło się trwożliwie w głąb pokoju.
— Noli me tangere! — wypłynęło z ust Heleny znamienne ostrzeżenie.

---

[1] Oto postępują naprzód proporce króla piekieł (przyp. autora).
[2] Ogniem wieczystym trawiony będziesz (przyp. autora).

Uczony cofnął się na poprzednie stanowisko, śledząc ze zdumieniem szczególne przeobrażenie.
Twarz księdza krasił niepojęty, niebiański uśmiech szczęścia i ukojenia; oparł rękę na głowie śpiącej bratanicy i wzniósłszy oczy do góry, zdawał się skupiać w bezgłośnej modlitwie. Powoli, nieznacznie postać jego uniosła się w górę na klęczkach i ze złożonymi na piersiach rękoma rozwiała, rozpłynęła się w przestrzeni...
Zanim Proń zdołał zorientować się w znaczeniu fenomenu, Helena, wydawszy bolesny okrzyk, samorzutnie przebudziła się. Wysiłkiem woli otrząsnąwszy się ze stanu odrętwienia, porwała się gwałtownie z miejsca.
— Mój stryj? — zapytała drżącym, pełnym śmiertelnego lęku głosem. — Co się stało ze stryjem?
— Zapewne u siebie — usiłował uspokoić ją Proń.
— Mam jakieś złe przeczucie. Chodźmy do niego zaraz! I pociągnęła go za sobą do pokoju księdza.
Weszli szybko, nie pytając, czy wolno. Wewnątrz w blasku lampy ujrzeli proboszcza siedzącego przy biurku. Jedną ręką podparł nisko zwieszoną głowę, drugą przyciskał do ust krucyfiks.
— Stryjku! — zawołała z niepokojem w głosie Helena. — Stryjku!
Starzec milczał. Panna podbiegła ku niemu zarzucając mu ramiona na szyję. Wtedy siedzący obsunął się ciężko z fotela na posadzkę.
— Jezus, Maria! — krzyknęła pochylając się nad nim. Proń przyklęknął obok i uważnie zbadawszy puls i serce
rzekł półgłosem:
— Nie żyje.

Kochanka Szamoty

(Kartki ze znalezionego pamiętnika)

Od sześciu dni chodzę pijany szczęściem i nie śmiem w nie uwierzyć. Od sześciu dni wstąpiłem w nowy okres życia, odcinający się od tego, co poprzedziło, tak silną linią, że zdaje mi się, iż przeżywam jakiś olbrzymi kataklizm.
Otrzymałem list od niej...
Od czasu jej wyjazdu za granicę przed rokiem, gdzieś w stronę nieznaną — ten pierwszy, cudowny znak od niej.. Nie mogę, naprawdę nie mogę dać wiary! Omdleję ze szczęścia!
List od niej do mnie! Do mnie, nie znanego jej zupełnie, skromnego wielbiciela z oddali, z którym jej nigdy przedtem nie łączyły towarzyskie stosunki, choćby przelotna znajomość! A jednak tak jest istotnie. Noszę go wciąż przy sobie, nie rozstaję się z nim na chwilę. Adres wyraźny, nie podlegający wątpliwości: Jerzy Szamota. To przecież ja. Dawałem kopertę do odczytania kilku znajomym, nie dowierzając własnym oczom; każdy patrzył na mnie nieco zdumiony, uśmiechał się i zapewniał, że adres czytelny i podaje moje nazwisko...
Więc wraca do kraju, wraca już za dni parę, a pierwszym, który ją powita na progu jej domu, będę ja — ja, który ledwo śmiałem podnieść na nią oczy podczas przypadkowych spotkań w miejscach publicznych, w jakiejś alei parkowej, w teatrze, na koncercie...
Gdybym przynajmniej mógł się poszczycić dawniej jednym spojrzeniem, jakimś przelotnym uśmiechem — lecz nie! Zdawała się mnie zupełnie nie dostrzegać. Aż do tej chwili byłem pewny, że nic nie wie w ogóle o moim istnieniu. Chyba nie zauważyła, jak wlokłem się za nią od lat, niby cień daleki, nieśmiały? Byłem tak dyskretny, tak mało natrętny! Tęsknota moja okrążała ją przecież

tak odległym, tak delikatnym promieniem. Więc chyba wyczuła mnie — wyczuła miłość moją i uwielbienie instynktem wrażliwej kobiety. Niewidzialne nerwy sympatii, rozpięte między nami od lat, spotężniały znać na odległość i teraz ją niewolą w moją stronę.
Dzisiaj już czwartek. Pojutrze o tej samej zachodu godzinie mam ją ujrzeć. Nie wcześniej. Taka jej wyraźna wola. Biorę do ręki jej list, tę bezcenną, koloru lila ćwiartkę papieru, z której ulatnia się subtelna woń heliotropu, i odczytuję po raz nie wiem który:

Drogi! Zajdź w sobotę, 26, koło 6 wieczorem do domu przy ul. Zielonej 8. Furtę od ogrodu znajdziesz otwartą. Oczekuję cię. Niech się spełni tęsknota lat wielu.
Twoja Jadwiga Kalergis.

Dom przy ulicy Zielonej 8! Jej willa! Willa „Pod lipami"! Wspaniały pałacyk pośród pysznego parku, odcięty od ulicy gęstą, drucianą siatką i lasem drzew, cel mych codziennych niemal przechadzek! Ileż to razy zakradałem się wieczorną porą w okolicę tego zacisza, z bijącym sercem wypatrując cień jej postaci na szybach okien!...
Zniecierpliwiony wyczekiwałem upragnionej soboty byłem tam już parę razy i próbowałem wejść, lecz zawsze zastawałem furtkę parkową zamkniętą: klamka ustępowała wprawdzie pod naciskiem ręki, lecz zamek nie odskakiwał. Widocznie dotąd nie wróciła. Należy być cierpliwym i zaczekać tych dni półtora. Jestem zdenerwowany do ostatnich granic, nie jem, nie śpię, tylko liczę godziny, minuty... Tyle ich jeszcze zostaje! Czterdzieści osiem godzin!... Jutro dzień cały spędzę na rzece pod jej parkiem; wynajmę łódkę i bez przerwy krążyć będę koło willi. W sobotę spędzę cały ranek i część popołudnia na dworcu; muszę ją powitać choćby z daleka. Że dotąd nie wróciła, wiem na pewno od sąsiadów, którzy jej od roku już nie widzieli. Zapewne odkłada przyjazd aż na 26 września, to jest na dzień naznaczonej mi wizyty. Doprawdy, boję się, czy nie przyjdę nie w porę; po takiej podróży będzie bardzo znużona...
W sobotę rano, czyli wczoraj, nie spotkałem jej na dworcu; tłum był ogromny i nie zdołałem jej dostrzec wśród tysiąca podróżnych. Zaczekałem do czwartej po południu na drugi pociąg z podobnym wynikiem. Czyżby nie przyjechała? A może przybyła pociągiem porannym i jest już u siebie? W każdym razie należało tam pójść i przekonać się.
Te dwie godziny (dzielące mię od niej) stały się nieznośnym pasmem udręczeń, których końca nie mogłem się doczekać. Wstąpiwszy do kawiarni wypiłem ogromną ilość czarnej kawy, wypaliłem mnóstwo papierosów i nie mogąc usiedzieć na miejscu wybiegłem z powrotem na ulicę. Przechodząc koło wystawy ogrodniczej, przypomniałem sobie zamówione na dzisiaj kwiaty.
— Co za roztargnienie! Byłbym zupełnie zapomniał!
Wszedłem do sklepu i odebrałem bukiet pąsowych róż i azalii. Świeżo ścięte kwiaty wychylały wonne pąki z kołnierza paproci i chwiały się lekko w podmuchach wieczornych. Zegary miejskie wskazywały za piętnaście szóstą.
Owinąłem bukiet w bibułkę i szybko odszedłem w stronę rzeki. Za parę minut byłem już po tamtej stronie mostu i nerwowym krokiem zbliżałem się do willi. Serce biło mi gwałtownie, nogi uginały się pode mną. Nareszcie dotarłem do furty i nacisnąłem klamkę: ustąpiła. Olśniony szczęściem, oparłem się na chwilę o siatkę parkową, nie mogąc opanować wzruszenia. Więc wróciła!
Minęło parę długich minut. Wzrok mój przesunął się po rzędach lip, które, rozmieszczone po obu stronach chodnika, szły wyciągniętym szpalerem pod portal wchodowy. Gdzieś z boku, spoza krzewów morwy i dereniu przeglądał szkielet jesiennej altany w oplączach wina; czerwone liście spływały po kratkach w bezładnych przeplotach ze zwiędłym już bluszczem...
Na klombach kwiaty jesieni: pierzaste astry i chryzantemy. Na ścieżki zapuszczone trawą i zielskiem spadały cicho zżółkłe liście kasztanów, dżdżyły smutno ceglaste liście klonów. Pod wyschłą cysterną z marmuru krwawiły georginie, mieniły się barwami tęczy duże, szklane banie...
Tam w otoczu ligustru na ławce kamiennej, przykrytej kobiercem igliwia, siedziały dwa czyże nucąc piosenkę odlotu. W dalekiej perspektywie alei snuło się pod zorzę zachodu srebrne przędziwo pajęczyn...
Pchnąłem oburącz przymknięte tylko wierzeje wchodowe i po kręconych schodach wszedłem na

pierwsze piętro. Zastanowił brak życia. Pałac wyglądał jak wymarły; nikt nie wyszedł naprzeciw, nigdzie śladu służby lub domowników. Olbrzymie lampy elektryczne oświetlały jasnym, oślepiająco jasnym światłem puste sale i krużganki...
W przedpokoju, otwartym gościnnie na spotkanie, przykro uderzył mnie widok nie zajętych wieszadeł; gładkie metalowe ich gałki lśniły zimnym refleksem wygładzonej miedzi. Zdjąłem palto. Przez otwarte wielkie okno wpłynął w tej chwili dźwięk miejskich zegarów: biła szósta...
Zapukałem do drzwi pokoju naprzeciw. Z wnętrza nie odpowiedziano. Ogarnęło mnie zakłopotanie. Co robić? Wejść bez pozwolenia? Może śpi, znużona podróżą?
Wtem drzwi otworzyły się i w progu ukazała się ona. Cofnąwszy się w głąb, przepuściła mię gestem ręki do wnętrza komnaty. Była to wspaniała, z wyrafinowaną stylizacją a l'antique urządzona sypialnia.
Milcząc usiadła w głębokiej niszy na łożu rzeźbionym w giallo antico. Ukląkłem na kobiercu u jej nóg i położyłem głowę na jej kolanach. Objęła ją ruchem ciepłym, macierzyńskim i zanurzywszy mi palce we włosy, zaczęła przegarniać je pieszczotliwie. Patrzyliśmy sobie w oczy bez przerwy, nie mogąc nasycić się wzajemnym widokiem. Milczeliśmy. Dotąd nie padło między nami ani jedno słowo.
Wtem pochyliła się nade mną i pocałowała w usta. Krew uderzyła mi do głowy tysiącem młotów, świat zakotłował pijanym wirem — straciłem panowanie nad sobą. Porwałem ją gwałtownie na ręce i nie czując oporu rzuciłem w łoże w miłosnym zapamiętaniu.
Gdy koło szóstej nad ranem otworzyłem wreszcie powieki i spojrzałem wkoło siebie przytomnie, Jadwigi już przy mnie nie było.
Ubrałem się szybko i przeczekawszy na próżno całą godzinę powróciłem do siebie. Czuję zawrót w głowie, żar w żyłach. Muszę mieć gorączkę, bo wargi mam spękane i dziwną gorycz w ustach. Idąc potykam się o sprzęty i zataczam jak nieprzytomny.
Nazajutrz po powrocie z redakcji znalazłem na biurku list od Jadwigi, w którym naznaczała mi najbliższą schadzkę u siebie za tydzień, to jest znów w sobotę wieczorem Termin wydał mi się za daleki: wybrałem się do willi „Pod lipami" już we wtorek po południu. Lecz furtka była zamknięta. Rozgniewany obszedłem pałacyk parę razy w nadziei, że może zobaczę ją gdzieś w parku na jednej z alei, Lecz ścieżki były puste — tylko wiatr jesienny podrywa! garście zwiędłych liści i pędził bezlitośnie w długich, smutnych szeregach. Chociaż ściemniło się już zupełnie, w oknach nie ujrzałem świateł — dom głuchy był i ślepy, jakby w nim nikt nie mieszkał. Widocznie spędzała wieczory w jednym z pokoi wychodzących na północ, czyli od strony najmniej dostępnej dla oka przechodniów. Zniechęcony odszedłem...
Ponawiane przez dnie następne próby wydały ten sam wynik. Musiałem z rezygnacją poddać się jej życzeniu i zaczekać do soboty. Dziwiło mnie tylko niezmiernie, że przez cały tydzień ani razu nie spotkałem jej gdzieś w mieście, w teatrze lub w tramwaju. Znać dawny tryb jej życia uległ zasadniczej zmianie. Jadwiga Kalergis, niegdyś przedmiot codziennego podziwu wielkomiejskich dandysów i donżuanów, królowa balów, koncertów i towarzyskich rozrywek, żyła teraz jak mniszka.
W gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony i dumny. Nie posiadam próżnej ambicji tych, którzy lubią drażnić drugich widokiem własnego szczęścia; nie pragnę pysznić się nią przed ludźmi. Przeciwnie — ta tajemniczość, ta ukradkowość naszego stosunku ma urok niewysłowiony. Odi profanum vulgus...
Nareszcie nadszedł dzień upragniony. Przez cały ranek chodziłem jak błędny. Koledzy z redakcji śmiali się ze mnie, utrzymując, że na pewno jestem zakochany.
— Istny wariat z tego Szamoty — wyraził się półgłosem referent teatralny — od jakiegoś czasu sfiksował do reszty. Gadać z nim nie można.
— Podwika! Cherchez la femme' — objaśniał stary jak świat reporter. — Nic innego. Jak Boga mego kocham.
Punktualnie o szóstej wieczorem wszedłem przez uchylone drzwi do jej sypialni. Jadwigi jeszcze nie było. Na stole dymiła filiżanka czekolady, obok na talerzu piętrzyła się piramida z ciastek, iskrzył się zielony likier.

Usiadłem twarzą do sąsiedniego pokoju i sięgnąłem po cygaro z chryzolitowego pudełka. Wtem wzrok mój padł na ćwiartkę papieru między trzonami trabucco. Poznałem jej pismo; było przeznaczone dla mnie.
Drogi! Wybacz opóźnienie. Wrócę z miasta za pół godziny. Do miłego widzenia!
Ucałowałem liścik i ukryłem go na piersi. Po pierwszym kieliszku likieru uczułem niby senność. Zapaliłem świeże cygaro, wlepiając machinalnie oczy w błyszczącą naprzeciw na ścianie grecką paważ z wizerunkiem Meduzy pośrodku. Lśniąca pierś tarczy miała w sobie coś dziwnie przyciągającego, przykuwała wzrok, więziła wolę.
Wkrótce cały skupiłem się w jednym świetlanym punkcie, w miotającym pioruny blasków oku wężowatej Gorgony. Nie mogłem oderwać się od hipnotyzującego środka. Powoli zapadałem w jakiś szczególny stan. Otoczenie jakby usunęło się na plan dalszy, w nieskończenie odległą perspektywę, a na jego miejsce wstąpił pyszny bogactwem barw, egzotyczny świat baśni, podzwrotnikowa fatamorgana...
Nagle uczułem na szyi parę ciepłych, miękkich ramion, a na ustach słodki, przeciągły pocałunek. Otrząsnąłem się z zapamiętania i spojrzałem przytomnie. Przy mnie stała Jadwiga i uśmiechała się kusząco. Objąłem ją wpół i przycisnąłem do piersi.
— Wybacz — tłumaczyłem się — nie zauważyłem, kiedy weszłaś. Ta tarcza tak dziwnie pęta uwagę.
Odpowiedziała milczącym uśmiechem pobłażania.
Była dziś jeszcze piękniejsza. Posągowa jej uroda, ujęta w ramę greckich szat, tchnęła niepojętym czarem. Spod brwi patrzyły czarne, dumne oczy, z tlejącym w głębi żarem pragnienia. O, co za rozkosz rozkołysać te piersi falą namiętności, wytrącić z chłodnego spokoju tę twarz Junony!
Przechyliwszy ją sobie przez ramię, wpiłem w nią spojrzenie, sycąc długą, długą chwilę spragnione oczy bezmiarem jej piękna.
— O, jakżeś piękna, przyjaciółko moja, o, jakżeś piękna! Gdzie warkocze twoje? — pytałem namiętnie, usiłując odgarnąć z jej czoła miękką, przeczyście białą zasłonę, okrywającą dziś szczelnie jej głowę.
— Chcę je popieścić, jak za pierwszym razem — pamiętasz? Rozrzucić płaszczem na twych ramionach i całować, całować bez końca. Wszakżeś mi nie broniła pierwszego wieczora? Usuń tę chustę.
Wstrzymała mą rękę łagodnie, lecz stanowczo. Na ustach jej wykwitł tajemniczy uśmiech i przecząco poruszyła głową.
— Nie można dziś? Dlaczego?
Znów milczenie i ten sam wzbraniający ruch głowy.
— Dlaczego milczysz? Czy wiesz, że dotąd nie zamieniłaś ze mną ani słowa? Przemów do mnie choć słów parę! Chcę głos twój usłyszeć — musi być słodki i metaliczny jak dźwięk szlachetnego kruszcu.
Jadwiga milczała. Jakiś smutek rozlał się nagle po całej jej twarzy. Czyżby oniemiała?
Więc przestałem nalegać. Była dziś namiętniejsza niż podczas ostatniej schadzki. Co pewien czas chwytał ją spazm, oczy zachodziły mgłą omdlenia i bladła śmiertelnie; delikatną, jedwabistą skórę przebiegały krótkie dreszcze, zęby o połysku pereł ścinały się bolesnym kurczem. Wtedy przerażony wypuszczałem ją z objęć i chciałem cucić. Lecz była to tylko chwila: paroksyzm mijał szybko.
Rozstaliśmy się późno w noc koło godziny pierwszej. ; Na pożegnanie przypięła mi do piersi bukiecik fiołków. Podniosłem do ust jej rękę:
— Więc znowu aż za tydzień? Skinęła w milczeniu głową.
— Niech i tak będzie. Żegnaj mi, carissima! Wyszedłem.
W przedpokoju podczas wkładania palta nagle przypomniałem sobie papierośnicę pozostawioną na konsoli. Nie zdejmując tedy okrycia wróciłem do pokoju po zapomniany przedmiot.
— Przepraszam cię — zacząłem zwracając się W tę stronę, gdzie pozostawiłem przed chwilą Jadwigę. Lecz rozpoczęty frazes zamarł mi na ustach. Jadwigi w sypialni już nie było. Czyżby już odeszła do przyległego pokoju? Nie słyszałem przecież odgłosu otwieranych wewnątrz drzwi...

— Hm, szczególne — mruknąłem chowając papierośnicę — szczególne...
I powoli w zamyśleniu, zszedłem po schodach na ulicę.
Stosunek mój z Jadwigą Kalergis trwa już od paru miesięcy, wciąż okryty zupełną tajemnicą przed światem. Nikt nie przypuszcza, że jestem kochankiem najpiękniejszej kobiety stolicy. Dotąd nikt nas nie spotkał razem w miejscu publicznym. Przypuszczam nawet, że ludzie nic nie wiedzą o jej powrocie do kraju. Takie przynajmniej odbieram wrażenie z przygodnych rozmów w kołach znajomych. Jest to trochę dziwne i wygląda tak, jakby Jadwiga wróciła ukradkiem, nie życząc sobie wcale, by o tym wiedziano. Widocznie ma w tym jakiś cel ukryty, którego mi jednak nie chce wyjawić. Ja też nie nalegam i umiem zachować dyskrecję.
W ogóle kochanka moja jest kobietą dziwną i lubi otaczać się tajemniczością. Muszę się dopiero przyzwyczaić do jej kaprysów i naginać do ekscentrycznych zwyczajów; niemal co krok natrafiam w jej zachowaniu na coś niewytłumaczonego. Chociaż żyjemy z sobą prawie od pół roku, dotąd nie słyszałem jej głosu. W pierwszych tygodniach pytałem nawet dość natarczywie o powód. W odpowiedzi przychodziły nazajutrz po schadzce listy z prośbą, aby o to nie pytać, aby jej niepotrzebnie nie nękać itp. Ostatecznie dałem za wygraną i przestałem nalegać. Może uległa jakiemu wypadkowi i rzeczywiście straciła zdolność mówienia? Teraz ją to żenuje i zamiast przyznać się do kalectwa może woli pozostawić mnie w wątpliwości co do przyczyny?
Widujemy się wciąż tylko raz na tydzień i to zawsze w sobotę — w inne dni mnie nie przyjmuje. I tu muszę nadmienić jeden charakterystyczny szczegół w związku z uwerturą do każdej takiej wizyty.
Nie zawsze zastaję ją po wejściu do pokoju. Czasem muszę czekać przez dłuższy czas, zanim wyjdzie na powitanie.
A czyni to za każdym razem tak niepostrzeżenie, tak cicho, że nigdy nie wiem, kiedy i skąd nadeszła. Zwyczajnie staje nagle poza mną i znienacka całuje mnie w szyję. Jest to rozkoszne, słodkie — ale i straszne zarazem. Mam przy tym wrażenie, że nigdy nie jestem wtedy w stanie zupełnie normalnym. Co to takiego, nie umiem określić — może rodzaj lekkiej zadumy czy zachwycenia?
W każdym razie, ilekroć Jadwiga każe czekać na siebie dłużej, odczuwam nieprzepartą chęć wpatrywania się w grecką tarczę vis-a-vis wejścia. Nie wiem, skąd przychodzi mi czasem myśl, że umieszczono ją tam naumyślnie, by zwracała na siebie uwagę wchodzącego i chwytała mu oczy w swe błyszczące kręgi. Kto wie, czy nie ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w który czasem popadam?...
Potem, po owej uwerturze, wszystko toczy się normalnym biegiem — jesteśmy spragnieni siebie, pieścimy się wzajemnie, płatamy nawet sobie dziecięce figle i żarty — lecz początek jest zwykle taki, jak go opisałem — trochę dziwny...
Jeszcze jeden szczegół, z którego niezupełnie jestem zadowolony; właściwie drobnostka, a jednak niepożądana. Jadwiga lubi aż do przesady zakrywać głowę rodzajem greckiego woalu z oślepiająco białej, gęstej tkaniny. Nie cierpię tej zasłony! Gdyby przynajmniej owijała nią tylko włosy i tył głowy — lecz ona kryje nieraz poza nią swe czoło, chowa zazdrośnie przede mną część twarzy, zataja usta, oczy...
Gdy chcę usunąć ten mleczny kwef, widocznie gniewa się i ucieka w głąb pokoju. Co za upór! Lecz podobno piękne kobiety są jak chimery. Trzeba je umieć uszanować. Tymczasem ja nie zawsze mogę się na to zdobyć. Zirytowany ostatnim razem tą trochę wschodnie zwyczaje przypominającą maskaradą, zatrzymałem umykającą mi silnie za ramię. Ruch mój był szorstki i niezgrabny: rozdarłem jej kosztowny, śnieżnobiały peplos, którego duży kawał pozostał mi w ręku. Schowałem go na pamiątkę i noszę ciągle przy sobie.
Onegdaj w sobotę zrobiłem dziwaczne spostrzeżenie. Jak zwykle pod wieczór, wszedłszy do willi, nie zastałem jeszcze Jadwigi w pokoju. Unikając spojrzenia Meduzy na tarczy, poszedłem w kierunku niszy, oddzielonej od reszty sypialni długą, białą kotarą, zwisającą do posadzki z mosiężnych wałków. Wtem spostrzegłem, że brzeg jej nosi ślady rozdarcia; mniej więcej w połowie wysokości zasłony szczerzyła się półkolista wyrwa. Machinalnie wziąłem do ręki materię i zacząłem przesuwać ją w palcach. Miękkość i jedwabistość tkaniny nasunęły mi pewne skojarzenia.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem schowany na pamiątkę fragment peplosu. Nagle porównałem kształt jego z rysunkiem wyrwy na kotarze. Jakaś myśl dziwna przyszła mi do głowy. Wydały mi się identyczne. Przyłożyłem kawałek trzymany w ręce do rozdartego brzegu kotary. Szczególne! Odcinek greckiej szaty wypełnił lukę jak najdokładniej! Jak gdyby to był kawałek oddarty nie z jej sukni, lecz z kotary, lub jak gdyby peplos i zasłona były jednym i tym samym...
W pół godziny potem, witając się z Jadwigą, bacznie przypatrywałem się jej sukni. Lecz ślady rozdarcia zniknęły; szata spadała ku stopom w przeczystych fałdach, nie skażonych najlżejszą skazą.
Ona znać zauważyła, że ją obserwuję, bo uśmiechnęła się na pół figlarnie, na pół zagadkowo. Wtedy, unosząc w górę oddarty kawałek peplosu, poprowadziłem ją do niszy, by tu pokazać jej to, co zaobserwowałem. Lecz rzecz dziwna! Kotary już nie było! Śmieszna myśl nasunęła się niespodziewanie:
„Czyżby »pożyczała« jej sobie do peplosu?...”
Tymczasem w miejsce zasłony otwierała przed nami gościnne ramiona zaciszna wnęka z miękkim, zapraszającym łożem w pośrodku. Spojrzałem na Jadwigę. Odpowiedziała uśmiechem czarującej zachęty...
Zrobiłem niedawno ciekawe „odkrycie”. Ona ma na ciele znaki przyrodzone zupełnie podobne do tych, które i ja posiadam. Znamiona nasze są właściwie całkiem identyczne. Zabawny zbieg przypadku! Tym zabawniejszy, że znaki występują nawet na tych samych miejscach. Jeden ciemnoczerwony, w kształcie winnego grona, na prawej łopatce, i drugi, w postaci tzw. „myszki”, wysoko w lewej pachwinie. Przypadkowe podobieństwo tych szczegółów fizycznych zastanawia tym bardziej, że kształty znaków nie mają wcale cech typowych i często spotykanych — przeciwnie, posiadają charakter wyjątkowy i silnie zindywidualizowany. Śmieszna historia — nieprawdaż?...
Lecz zauważyłem i coś innego jeszcze. Skóra jej, zwłaszcza na piersiach i plecach, ma zabarwienie smagławe, jakby od opalenia — zupełnie tak samo jak u mnie. Nabyłem tę właściwość naskórka wskutek wieloletnich kąpieli w słońcu. Czy i u niej należy sobie to tłumaczyć w podobny sposób, bardzo wątpię. O ile wiem, unika słońca i skwapliwie zapuszcza przed nim roletę. Ja, przeciwnie, lubię je niezmiernie i u mnie w pokoju pozwalam mu wpadać przez okno pełnymi strugami...
Dziwactwa Jadwigi stanowczo przebierają miarę. Od paru tygodni przyjmuje mnie tylko w półoświetlonym, czasami niemal mrocznym pokoju i każe mi czekać na siebie całymi godzinami. Gdy wreszcie wysunie się skądś z ciemnego kąta sypialni, jest cała spowita w te obmierzłe kwefy, że chwilami czyni wrażenie widziadła. Ubiegłego tygodnia patrzyła na mnie spoza tych obsłon jak przez wąską szparę.
Za to namiętność jej w tych czasach widocznie wzrosła. Ta kobieta szaleje! Są chwile, że nie mogę nadążyć jej w tym rozmachu i zostaję poza nią odurzony, wyczerpany, bez tchu. Do czarta! Nie znałem jeszcze Jadwigi Kalergis!
Z drugiej strony jednak od pewnego czasu obserwuję w jej postaci jakieś oryginalne zjawisko, które w przybliżeniu określiłbym jako „nieuchwytność”. Czy to dzięki tym białym zasłonom, w które się teraz tak starannie otula, czy to wskutek skąpego oświetlenia — postać jej wymyka mi się chwilami spod kontroli wzroku. Powstają stąd niekiedy ciekawe złudzenia i optyczne niespodzianki. Czasem widzę ją podwójnie, kiedy indziej znów jakby w jakimś śmiesznym skrócie, to znów niby w dalekiej perspektywie. Zupełnie jak w „tańcu siedmiu zasłon” lub na obrazach kubistów. Nieraz wygląda na posąg nie wyrzeźbiony do końca, w jakimś zagadkowym stadium powstania, niby projekt na pół wykończony.
Lecz owa „nieuchwytność” przechodzi też w sferę dotyku. Zwłaszcza o ile chodzi o górną połowę ciała. Parę już razy stwierdziłem z niemiłym zdumieniem, że ramiona jej i piersi, niedawno jeszcze tak jędrne i gibkie, teraz jakby zwiotczały. Suknia pod naciskiem ręki ustępowała gdzieś w głąb i nie czułem sprężystego niegdyś oporu jej ciała.
Raz podrażniony tym do najwyższego stopnia nagle pod wpływem nieprzepartej chęci postanowiłem ukłuć ją. Powoli wyciągnąłem z krawatki opałową szpilkę i zanurzyłem w jej obnażoną nogę. Trysła krew i odezwał się krzyk — lecz z mojej piersi: w tej chwili uczułem w

nodze gwałtowny ból. Jadwiga patrzyła z dziwnym uśmiechem na krew sączącą się z jej rany w dużych, rubinowych kroplach. Z ust jej nie wypłynęło ani jedno słowo skargi...
Wróciwszy tej nocy późno do siebie musiałem zmienić bieliznę, gdyż była zbroczona krwią. Na nodze do dziś dnia jeszcze mam ślady ukłucia szpilką...
Nie pójdę tam więcej! Po tym, co zaszło w willi „Pod lipami" w ostatnią sobotę sierpnia, miesiąc temu, życie straciło dla mnie swój urok. Posiwiałem przez jedną noc. Znajomi nie poznają mnie na ulicy. Podobno leżałem przez tydzień bez pamięci i bredziłem w malignie. Dziś dopiero wyszedłem po raz pierwszy z domu. Chwieję się jak starzec i wspieram na lasce. Okropny koniec!...
A oto, co przeżyłem w willi w pamiętny dzień 28 sierpnia, w rok niespełna od chwili zawiązania fatalnego stosunku.
Tego wieczora spóźniłem się. Jakaś recenzja czy artykuł literacki, który należało co prędzej puścić w świat, zabrał mi dwie godziny czasu: przyszedłem dopiero o ósmej.
W sypialni było zupełnie ciemno. Potknąwszy się parę razy o meble, trochę tym zirytowany, odezwałem się głośno:
— Dobry wieczór, Jadwigo! Dlaczego nie zapaliłaś światła? W tej ciemnicy można głowę rozbić!
Nie otrzymałem odpowiedzi. Najlżejszy ruch nie zdradzał jej obecności w pokoju. Zacząłem nerwowo szukać zapałek. Widocznie mój zamiar nie podobał się i postanowiła mu przeszkodzić, gdyż nagle uczułem na policzku chłodne muśnięcie jakby ręki i usłyszałem cichy, ledwo dosłyszalny szept:
— Nie pal światła. Chodź do mnie, Jerzy! Jestem w niszy.
Zadrżałem, przejęty dziwnym uczuciem. Po raz pierwszy od czasu naszej znajomości posłyszałem jej głos — właściwie jej szept. Po omacku zbliżyłem się do łóżka. Szept zamarł i nie powtórzył się już więcej. Nie widziałem jej twarzy, gdyż ciemność była absolutna; bielało tylko coś niewyraźnego. Zapewne była już w bieliźnie. Wyciągnąłem przed siebie rękę chcąc ją objąć i natrafiłem na obnażone biodra. Dreszcz przebiegł me ciało. Była szalona... Lecz nadaremnie szukałem jej ust, na próżno chciałem ją zamknąć w ramiona. Drgającymi rękoma zacząłem wodzić wkoło po poduszce, ślizgać je wzdłuż jej ciała. Natrafiłem tylko na jakieś chusty, zasłony... Cała jakby zamknęła się w ognisku swej płci, usuwając przede mną wszystko inne poza nim... Wreszcie zniecierpliwiłem się. Uczucie jakby obrażonej dumy zawrzało we mnie namiętnym sprzeciwem. Zapragnąłem ust jej koniecznie, nieodwołalnie. Dlaczego mi ich broniła? Czyż nie miałem i do nich prawa?
Nagle przyszło mi na myśl, że obok na ścianie jest kontakt elektryczny. Ukląkłszy na łóżku, namacałem gałkę i przekręciłem. Bluznęło światło, rozświeciło pokój. Spojrzałem i pchnięty trwogą bez granic wyskoczyłem z łóżka...
Przede mną w zgiełku koronek i atłasów leżał rozrzucony bezwstydnie, obnażony po linię brzucha kadłub kobiecy — kadłub bez piersi, bez ramion, bez głowy...
Z okrzykiem grozy wypadłem z sypialni, skokiem szaleńca przebyłem schody i znalazłem się na ulicy. Wśród ciszy nocy pędziłem przez most...
Nad ranem znaleziono mię gdzieś w ogrodzie na ławce bez pamięci...
W dwa miesiące potem, przechodząc przypadkiem koło willi „Pod lipami", spostrzegłem w parku krzątających się robotników. Otulano róże na zimę w słomiane chochoły. Jakiś mężczyzna wytwornie odziany nadchodził z głębi alei i coś mówił.
Tknięty nieprzemożną chęcią, zbliżyłem się doń, uchylając kapelusza:
— Przepraszam. Czy to jest dom pani Jadwigi Kalergis?
— Niegdyś był jej własnością — brzmiała odpowiedź. — Od tygodnia rodzina objęła go w spadku.
Uczułem dziwne ściskanie w gardle.
— W spadku? — zapytałem siląc się na ton obojętny.
— No tak, Jadwiga Kalergis nie żyje już od dwu łat. Zginęła wkrótce po wyjeździe za granicę podczas jednej z wycieczek w Alpy. Pan pobladł? Co to panu?...
— Nic... ależ nic. Przepraszam pana. Dziękuję za informację.
I zataczając się na nogach, odszedłem wybrzeżem ku miastu...

Zez

Przyplątał się do mnie, nie wiem jak i kiedy.
Nazywał się Brzechwa, Józef Brzechwa. Co za imię! Coś w nim zaczepia, zahacza, drażni nerwy chropawym dźwiękiem. Był zezowaty. Szczególnie przykro spoglądał prawym okiem, które wyzierało skalistym spojrzeniem spod rudych rzęs. Mała, szpetna twarz, pokryta ceglastym rumieńcem, krzywiła się wiecznie w uśmieszkach złośliwej półironii, jakby mszcząc się w ten nędzny sposób za własną brzydotę i plugawość. Drobne, rdzawe wąsiki podkręcone zawadiacko do góry ruszały się ustawicznie niby macadełka jadowitego żuka, ostre, kłujące, złe.
Ohydny człowiek.
Zwinny był, elastyczny jak piłka, postaci nikłej, wzrostu średniego, chodził krokiem lekkim, nieuchwytnym, umiał wślizgiwać się nagle jak kot.
Nie cierpiałem go od pierwszego wejrzenia. Jego odrażający wygląd przejmował mnie nieopisanym wstrętem, każąc domyślać się odpowiadającego mu charakteru.
Człowiek ten krańcowo różnił się ode mnie usposobieniem, upodobaniem, rodzajem reagowania na podniety. Dlatego stanowił dla mnie uosobienie antypatii, był moją żyjącą antytezą, z którą by mnie nic na świecie pojednać nie mogło. Może właśnie dlatego przypił się do mnie z wściekłą zapamiętałością, jakby odczuwając moją ku niemu żywiołową niechęć.
Prawdopodobnie doznawał szczególnej rozkoszy widząc, jak bezskutecznie usiłuję wydobyć się z sieci, którymi mnie oplątywał. Był mym nieodstępnym towarzyszem kawiarni, na przechadzkach, w klubie, umiał wkręcić się w koła mych najbliższych znajomych, co więcej, zdobyć przychylność kobiet, z którymi mnie łączyły żywsze stosunki, wiedział o każdym mym najdrobniejszym projekcie, najlżejszym ruchu.
Niejednokrotnie, by choć dzień jeden nie widzieć jego obmierzłej fizjonomii, wymykałem się niepostrzeżenie dorożką lub automobilem za miasto lub też, słowem nie zdradziwszy przedtem zamiaru, wyjeżdżałem na jakiś czas do innej miejscowości. Któż opisze w tych wypadkach me zdumienie, gdy po jakimś czasie jak spod ziemi wyrastał nagle przede mną Brzechwa i z uśmiechem słodkawo-drwiącym cieszył się z niespodziewanie dla się miłego spotkania.
Doszło wreszcie do tego, że począłem przed nim odczuwać pewien rodzaj zabobonnego strachu i uważać go za swego złego ducha czy demona. Jego ruchy kocie, drażniące, filuterne przymykanie oczu, zwłaszcza zaś ów zimno połyskujący białkami zez ścinały mi krew niepojętą grozą, budząc równocześnie wściekłość bez granic.
A wiedział wybornie, jak najłatwiej przyprowadzić mię do pasji. Umiał zawsze dotknąć mej najczulszej struny. Raz podpatrzywszy me upodobania, wybadawszy poglądy i zasady, przy każdej sposobności wygłaszał z brutalną ironią wprost im przeciwne w sposób tak bezwzględnie arbitralny, że zdawał się wykluczać wszelką opozycję.
Jednym takim punktem spornym, zasadniczo nas różniącym, była kwestia indywidualizmu, której zawsze broniłem z namiętnym zapamiętaniem. W ogóle mam wrażenie, że dokoła tej właśnie osi obracał się cały nasz antagonizm.
Byłem zagorzałym wielbicielem wszystkiego, co osobiste, oryginalne, jedyne, w sobie zamknięte — Brzechwa, przeciwnie, szydził z wszelkiego indywidualizmu, uważając go za chimerę zarozumiałych półgłówków; stąd nie wierzył w żadną inwencję, pomysłowość, sprowadzając je do wykładników wpływów środowiska, rasy, tak zwanego ducha czasu itp.
— Przypuszczam nawet — cedził niejednokrotnie, zezując w mą stronę — że w każdym z nas

siedzi kilka indywiduów i drze się o marny ochłap tak zwanej duszy.
Było to oczywiście już wyraźne przekomarzanie się ze mną i chęć wywołania namiętnej reakcji za wszelką cenę. Spostrzegłszy to udawałem, że nie słyszę, i obojętnie pomijałem milczeniem. Wtedy czyhał na inną sposobność, by zaznaczyć swe „społeczne", jak się wyrażał, stanowisko.
Ilekroć okazywałem podziw i zachwyt z powodu jakiegoś nowego dzieła sztuki lub naukowego odkrycia, Brzechwa z cynicznym spokojem usiłował wykazać bezpodstawność uwielbienia lub też milcząc siadał wprost naprzeciw i przez cały czas przeszywał mnie mrożącym do szpiku zezem, gdy uśmiech zjadliwej ironii nie schodził z nie domkniętych warg.
Już to w ogóle nie odczuwał żadnych wstrząsów estetycznych: piękno nie działało nań w całym tego słowa znaczeniu. Był za to typowym snobem sportu. Nie było rekordu automobilowego, zawodów kolarskich lub meczu futbolowego, do których by nie stawał w pierwszym szeregu. Bił się na szpady jak fechtmistrz, strzelał bajecznie, uchodził za pływaka pierwszej wody. Naukę i uczonych ignorował, trzymając się zasady .„nihil novi sub sole". Mimo to nie można mu było odmówić wcale wysokiej inteligencji, która szczególnie przejawiała się w dowcipnych, zaprawionych zjadliwością powiedzeniach. Natury gwałtownej, nie znoszącej opozycji, miewał wieczne awantury i niezliczone mnóstwo honorowych spraw, z których zawsze wychodził obronną ręką.
Rzecz jednak dziwna — na mnie nigdy się nie „obrażał", pozwalając mówić sobie słowa nie już niegrzeczne, lecz wprost obelżywe, do czego niejednokrotnie zmuszało mnie jego zachowanie. Ja jeden miałem przywilej bezkarnego znieważania go. Widocznie upatrywał w tym należną mi rekompensatę za ciągłe drwiny i prześladowanie bez końca mojej osoby. Zresztą może był powód inny, głębszy — nie wiem.
Czasami umyślnie przesadzałem w obelgach, by zmusić go do rozprawienia się ze mną na serio, a w następstwie do zerwania zupełnego stosunków. Nadaremnie. Przeczuwając, o co idzie, zbywał moralne policzki słodziutkim uśmiechem i obracał wszystko w żart...
W końcu pozbyłem się go. Zaszedł wypadek, który zdawał się mię raz na zawsze uwalniać z jego szponów. Zginął nagle, śmiercią gwałtowną, i to pośrednio przeze mnie.
Raz przywiedziony do ostateczności uderzyłem go w twarz. Brzechwa w pierwszej chwili żachnął się; zbladł jak ściana i wtedy raz jedyny w życiu ujrzałem szczególny, stalowy błysk w jego oczach. Lecz był to tylko moment, bo zaraz maskując wzburzenie położył mi drżącą jeszcze rękę na ramieniu i rzekł z dziwną wibracją w głosie:
— Niepotrzebnie się pan uniósł. To na nic się nie zda. W ogóle ani ja pana, ani pan mnie nie może obrazić. Widzi drogi pan, to całkiem tak, jak gdyby ktoś chciał spoliczkować samego siebie. My obaj stanowimy jeden układ.
— Podlec! — mruknąłem przez zęby.
— Jak pan uważa. To sprawy w niczym nie zmieni. I począł okropnie zezować.
Awantura miała jednak poważne, tragiczne dlań następstwa. Ponieważ wszystko zaszło w obecności kilku świadków, nikt odtąd ze znajomych nie chciał mu podać dłoni. Brzechwa wściekał się, urządzał skandaliczne „kawały", a wreszcie zmusił jednego z najtęższych przeciwników do rozprawy na rewolwery. Mimo że ja właśnie wywołałem zajście, prosił mnie Brzechwa na świadka. Odmówiłem, ofiarując z własnej inicjatywy swe usługi stronie przeciwnej, chociaż partner Brzechwy był mi skądinąd antypatyczny. Lecz zrobiłem to z umysłu, zadowolony, że choć pośrednio zetrę się z mym prześladowcą. Propozycję moją przyjęto i pojedynek przy bardzo ostrych warunkach odbył się w podmiejskim lasku. Padł Brzechwa, ugodzony śmiertelnie w czoło.
Pamiętam jego ostatnie spojrzenie; było zwrócone na mnie; skośne, przeszywające na wylot, paraliżujące wolę. Zaraz potem wyzionął ducha. Odszedłem, nie śmiąc patrzeć dłużej w tę demonicznie wykrzywioną twarz. Lecz maska ta nigdy już nie usunie się z mej pamięci, wytrawiona tam, w głębi, niezatartymi rysami.
Śmierć Brzechwy, zwłaszcza scena agonii, wstrząsnęła mną tak silnie, że wkrótce potem zapadłem ciężko na zapalenie mózgu. Choroba przeciągnęła się na miesiące, a gdy dzięki niestrudzonej pomocy lekarzy, wśród ustawicznej obawy przed recydywą, wreszcie wyzdrowiałem, zmieniłem się nie do poznania. Charakter mój wypaczył się najzupełniej i wszedł na obce sobie dotąd, nawet wrogie tory. Dawniejsze upodobania, szlachetna namiętność ku wszystkiemu, co piękne i głębokie,

subtelna zdolność wyczuwania drgnień oryginalności, znikły bezpowrotnie. Pozostała tylko — szczegół zagadkowy — pamięć, że je niegdyś posiadałem i cierpienie z powodu zaszłej zmiany.
Stałem się człowiekiem praktycznym, „zdrowym”, normalnym do obrzydliwości, wrogiem ekscentryków wszelkiego rodzaju — i rzecz dla mnie najboleśniejsza — począłem szydzić z mych dawnych ideałów. Ironia, śmiech złośliwy, uszczypliwość przeglądały odtąd w każdym mym ruchu, słowie.
Najciekawszym jednak było, że mimo to zdawałem sobie najzupełniej sprawę z tych niespodzianych przekształceń, którym bezskutecznie usiłowałem przeciwstawić dobrą wolę. Stąd wszczęła się we mnie zajadła walka dwóch zasadniczych motywów, dwóch naczelnych nastrojów, o których współistności byłem najgłębiej przekonany. Lecz zawsze brał górę ten nowy, przybylczy, co się wczołgał we mnie nie wiadomo jakim sposobem, i z wewnętrznym wstrętem słuchałem zawsze jego podszeptów.
Były to jakby teoria i praktyka. W teorii pozostałem tym samym co dawniej i z oburzeniem śledziłem postępki tamtego drugiego, który jak złodziej wkradł się w najgłębsze me tajnie i wyrzucał nagromadzony w nich dobytek, zastępując go mierzwą.
I nie mógłbym tego nazwać znanym powszechnie rozdwojeniem osobowości, gdyż zachodziła tu sprawa całkiem inna, którą trudno było przewidzieć, wydedukować na podstawie pierwszej połowy mego życia. Czułem, że tu nie można mówić o jakimś rozdwajaniu się — tu raczej zaszło zdwojenie, jakaś przeklęta przymieszka, tu wnęcił się jakiś intruz. Nosiłem go w sobie, ustawicznie kalecząc się tą ohydną współbytnością, bezsilny, zrozpaczony świadomością zmiany, której usunąć nie mogłem. Każdy mój czyn wzbudzał we mnie wewnętrzną opozycję, przedstawiał mi się jako narzucony z zewnątrz obcą wolą, każde me słowo było kłamstwem nie popartym przez przekonanie, pozbawionym siły uczuciowej, jakąś pasożytniczą naroślą. Co gorsza, intruz wkraczał w zakres mych myśli, przekonań, starając się przerobić mnie na swój rytm do przyciesi.
Ilekroć chciałem postąpić w sposób zgodny z najgłębszą mą jaźnią i przybrać dawną postawę wobec świata i ludzi, coś mocnego jak rozkaz zawracało mnie na nową, nieznośną drogę, jakiś chichot wewnętrzny rozsadzał mi piersi, a w oddali błyskał skośną rysą piekielny zez...
Znienawidziłem siebie fizycznie i moralnie, nie mogłem znieść własnej osoby, bo wydawała się wstrętną, karykaturalną.
By sprowadzić wybryki mego nowego „ja” do możliwego minimum, zamykałem się całymi dniami w domu i stroniłem od ludzi, w których oczach widziałem zdumienie i odrazę.
Tutaj w mym cichym domu, w ustronnej dzielnicy miasta, przeżywałem długie godziny duchowej męczarni, pasując się z ukrytym mym wrogiem. Tutaj w czterech głuchych ścianach przemyśliwałem długie chwile wewnętrznej katuszy.
W miarę borykania się z obcym natrętem doszedłem do pewnej wprawy w wyłączaniu go przynajmniej na jakiś czas poza obręb konstrukcji myślowych. Osamotnienie bezwzględne, swoboda od gwaru ludzi, pozwalały mi choć na parę chwil ześrodkować mą właściwą, dawną jaźń i wyzwolić ją spod brutalnej pięści intruza.
Były to wysiłki prawdziwie olbrzymie; miałem wrażenie człowieka, który tytanicznym napięciem mięśni rozdziela dwa nieprzeparcie ku sobie ciążące półkręgi kuli i tak przez jakiś moment trwa, trzymając je w odosobnieniu.
Wtedy korzystając z chwili rzucałem się do pisania i zapełniałem całe rękopisy myślami, które wrzały we mnie od dawna, lecz nie mogły uzewnętrznić się, zduszone gwałtem przez tamtego. Pisałem jak szalony, z zapartym tchem, wodząc ręką po papierze, by wypowiedzieć, co myślę i czuję, by zaznaczyć przed idealną widownią świata, że jestem innym, niż się za godzinę, za minutę wydam.
Lecz wściekły wysiłek nie trwał długo. Wystarczył krzyk życia z ulicy, wejście sługi do pokoju lub twarz przechodnia, a napięte nerwy rwały się jak postronki, wyprężone muskuły pękały z głuchym trzaskiem i uparte półkule zwierały się w całość krągłą, jednolitą, zamkniętą bez wyjścia. Na ustach wykwitał śmiech, ohydny, cyniczny śmiech, i rwałem w kawały rękopisy, deptałem zapisane kartki, niszczyłem całe arkusze...
I znów wracałem w świat pomiędzy ludzi haniebnie zmienionym szydercą, człowiekiem niskich

pragnień. I od nowa trzeba było długich wysiłków myśli, odsuwania się od środowiska ludzkiego, bezwzględnej samotności, by choć na chwil parę izolować się od nalotów znienawidzonej istoty i wykluczyć ją poza nawias mej duszy.

Lecz w miarę ponawiania owych doświadczeń dochodziłem do coraz bardziej pocieszających wyników. Coraz dłużej udawało mi się utrzymywać siebie w rozłączeniu z obcym przybyszem, coraz wyraźniej w przeciągu tych krótkich chwil czułem swą odrębność i oczyszczałem się z pasożytniczych napływów.

Potem wracało wprawdzie wszystko do dawnego stanu, lecz pamięć osiągniętych na jakiś czas wyzwolin zachęcała do nowych prób. W końcu byłem dawnym sobą już przez parę godzin, które wyzyskiwałem możliwie najpożyteczniej, spiesząc się, zanim mój wróg powróci.

Ciągła uwaga i pilnowanie się na każdym kroku, konieczne przy tej psychicznej elektrolizie zdwojonego „ja”, nużyły mnie tylko niepomiernie, pozostawiając po sobie ślady w formie zdenerwowania i gwałtownych bólów głowy.

Mimo to zdobywszy słabą nadzieję odzyskania siebie, nie szczędziłem trudu i marzyłem już o tym, by móc bezkarnie we własnej osobie zjawić się w towarzystwie ludzi...

Pewnego razu, po dłuższym pobycie na świecie, zamknąłem się znów w wiadomym celu i podjąłem żmudne dzieło wyosobniania się.

Ponieważ wskutek wprawy tym razem szło łatwiej i niebawem znalazłem się w swoistej atmosferze własnego indywiduum, zacząłem zwracać uwagę na bezpośrednie, fizyczne otoczenie, by przez tę pierwszą próbę przyzwyczaić się do utrzymania na wodzy swej osobowości i wobec stokroć silniejszej dystrakcji zewnętrznej, jaką stanowili dla mnie ludzie.

Gdy tak z wolna odbiegałem uwagą od siebie i w półroztargnieniu błądziłem oczyma po pokoju, nagle zdało mi się, że za ścianą po lewej stronie słyszę jakiś szmer. Zaciekawiony zacząłem nadsłuchiwać, lecz to skierowało mnie zbyt silnie na zewnątrz, powodując fatalne zlanie się dopiero co wyodrębnionych elementów, i znów przestałem być sobą.

Zrozpaczony kląłem podejrzany szmer, który zresztą mógł być tylko złudzeniem mych rozigranych przez napięcie nerwowe zmysłów. Tak tedy pierwsza próba odzyskania siebie wobec zmienionych warunków spełzła na niczym.

Przecież nie straciłem otuchy i w parę dni potem podjąłem eksperyment.

Dopóki byłem zajęty sobą, nie słyszałem nic podejrzanego za ścianą — gdy tylko jednak zacząłem poświęcać więcej uwagi środowisku, doszedł mnie znów od lewej strony ten sam zagadkowy szmer.

Chociaż wiedziałem doskonale, że przez to utracę siebie, wracając do obmierzłej podwójności — mimo to wychyliłem się natychmiast przez okno i spojrzałem w lewo, w nadziei, że wykryję przyczynę szczególnego odgłosu.

Dom, w którym mieszkałem, był parterowy i składał się z trzech partii. Zajmowałem samo skrzydło, tak że poza mną z lewej strony nie było już żadnych pokoi, a ściana wychodziła na mały ogródek otoczony parkanem. W tej chwili nie było w nim nikogo, jak zresztą zwykle; w ogóle na moją stronę nikt nigdy nie zachodził, szanując cudze granice i dyskretnie unikając linii mych okien.

Zaniepokojony cofnąłem głowę do wnętrza.

Przyszło mi na myśl, czy przypadkiem zagadkowe szemranie nie towarzyszyło już dawniej procesowi oczyszczania jaźni; prawdopodobnie jednak, zajęty intensywną pracą wewnętrzną i zrzutowywaniem jej na papier, nie zauważyłem przez czas jakiś tego, co się wkoło mnie działo. Dopiero odsunięcie się na pewien dystans od świeżo skrystalizowanej osobowości i zwrot ku otoczeniu pozwoliły na percepcję tajemniczych dźwięków. Niezupełnie przekonany o przyczynowej zależności tego fenomenu od usiłowań duchowej emancypacji, wreszcie musiałem przystać na to, że jakiś związek zachodzi, bo szmer odzywał się tylko wtedy, ilekroć zdołałem zrzucić z siebie nienawistne pęta.

Niejednokrotnie będąc w zwykłym zdwojonym stanie nadsłuchiwałem, czy z tamtej strony głos mnie jaki nie dojdzie — lecz bezskutecznie: ściana nie przepuszczała wtedy najlżejszego drgnienia.

Czasami myślałem, że ulegam złudzeniu akustycznemu i że szmer w istocie rzeczy dochodzi od ściany prawej, poza którą mieszkał zresztą jakiś cichy i wiecznie milczący kawaler. Lecz i ten

domysł upadł po sumiennym zestawieniu dźwięków...
Więc szemrało coś tylko za ścianą po lewej, za ścianą, która zamykała dom i sąsiadowała z pustką. To przecież dziwne!
Po pewnym czasie, gdy odgłosy nie ustawały, począłem dokładniej badać ścianę z lewej strony.
Niebawem doszedłem do przekonania, że musi być wewnątrz wydrążona, bo pod wpływem moich uderzeń dudniła głucho.
Przypuszczenie to wzmocnił szczegół zaobserwowany w dalszym ciągu na zewnątrz domu. Przypatrzywszy się baczniej lewemu skrzydłu zauważyłem po raz pierwszy ku niemałemu zdziwieniu, że odległość węgła ujmującego ściany graniczne od ostatniego okna wynosi az cztery metry; ponieważ ściana mego pokoju wysunięta na lewo i zamykająca rzekomo dom oddaloną była od wspomnianego okna co najwyżej na metr, więc ewentualna grubość jej musiałaby dochodzić aż do trzech metrów, rozmiarów jak na zwykły, mieszkalny dom trochę nienaturalnych. Poza mną tedy był jeszcze jakiś pokój ślepy, zamurowany, bez drzwi i okien, bez wyjścia. I stamtąd szedł ów szczególny szmer. To było oczywiste.
Zdumiony odkryciem, przez dłuższy czas niemal nie opuszczałem mieszkania, poświęcając całe godziny samoześrodkowywaniu się. Teraz jednak przychodziło mi to z większą trudnością, bo zbyt prędko odrywałem się od własnej osoby, wychwytując głosy pustki. Zrozumiawszy, że tą drogą nie dopnę celu, całą mocą skupiłem myśl na sobie i dopiero czując silne napięcie odzyskanej osobowości, nadsłuchiwałem szmerów, które płynęły ze ślepego pokoju.
Po czasie zauważyłem, że istnieją w nich pewne, wcale wyraźne odcienie, jakby stopniowania. Gdy głębiej zabrnąłem w procesie mych duchowych wyzwolin, ilekroć czułem się bardziej sobą, w wyższej mierze oczyszczonym z obcych nalotów — szmer odzywał się wyraźniej; coś niespokojnego tłukło się wśród zamkniętej przestrzeni, wałęsało po kątach, tułało wzdłuż ścian jakby we wściekłej bezsilności.
Gdy bardziej tkwiłem w stanie nieszczęśliwego zdwojenia, silniej skrępowany współbytnością pierwiastka obcego — głos zza ściany ścichał, zamierał jakby ukojony.
Było w tym coś zagadkowego, coś, co podniecało ciekawość do najwyższego stopnia, a zarazem budziło zimny, ścinający zęby strach.
Miało się uczucie, że podczas gdy ja tutaj pasuję się z nienawistnym wrogiem, usiłując go wyrugować z mej nieszczęsnej jaźni, tam za ścianą rodzi się jakiś byt, coś się stwarza, powstaje...
Wreszcie postanowiłem wywalić ścianę i wtargnąć do ślepej przestrzeni.
Lecz należało postępować systematycznie i powoli, by nie spłoszyć dziwnej istoty. Ilekroć bowiem przez dłuższą chwilę przysłuchiwałem się szczególnym jej ruchom, wszystko milkło, a ja — rzecz dla mnie niepojęta — wybuchałem piekielnym śmiechem i wracałem do podwójności.
— To jakaś szczwana bestia — mruczałem, uspokoiwszy się po tych niespodzianych dla mnie samego wybuchach.
— Lecz znajdziemy i na to środek, znajdziemy, i to niezawodny. Trzeba zaskoczyć cię znienacka.
Wkrótce przystąpiłem do wykonania planu. Zakreśliwszy kredą na ścianie czworokąt o Wymiarach odpowiadających mniej więcej mej osobie, odłupałem w granicach zaznaczonych tynk, po czym ostrożnie ciosałem ostrym narzędziem wewnętrzną część muru, tak że została tylko płytka warstwa, która według mych obliczeń musiała ustąpić pod jednorazowym uderzeniem.
Po ukończeniu przygotowań w ciągu dnia, postanowiłem jeszcze tegoż wieczora wedrzeć się do pustego pokoju i pochwycić owo coś, niepokojące mnie od wielu tygodni.
Na dworze było dżdżysto, jesienna, zmokła szaruga. Wczesny zmrok snuł po wąskich, podmiejskich uliczkach szare sznury zsiadłej mgły i wsiąkał w łzawe przetaki drzew. Od rzadko porozrzucanych latarń szły żółte, gromniczne smugi i marły w napęczniałej wodą przestrzeni.
Zapuściłem storę i zapaliłem lampę.
Było mi dziwnie i nieswojo. Opuściłem znużoną głowę na ręce i pogrążyłem się w pracy wyzwolin. Jak zwykle przypomniałem sobie swój dawny charakter, swe postąpienia, zamiłowania, wnurzałem się w wychwytywanie swych przeżyć przed chorobą, wmyślałem się w typowe dla mnie sytuacje, na których tle osobowość moja ujawniała się najdobitniej !
Byłem szczęśliwy, byłem tym dawnym sobą, pełnym wiary i ufności w przyszłość, z piersią

tchnącą miłością dobra i piękna, zachwytem dla życia i jego tajnych cudów. Byłem u szczytu wyzwolin, bez odrobiny obcej przymieszki, najczystszą jaźnią...
Nagle — obejrzałem się wkoło, obejmując krótkim rzutem oka pokój. W tejże chwili od lewej strony przeniknął w moją samotnię hałas; coś rzucało się za ścianą jakby od posadzki po powałę, drapało w rozpaczy po murach, tarzało w konwulsjach boleści bez wyjścia...
Słuchałem z zapartym tchem, ściskając w ręce żelazny drąg.
Po kilku minutach szmery uspokoiły się i przeszły z kolei w niespokojne, nerwowe kroki. Ktoś najwyraźniej w świecie chodził tam za przepierzeniem z kąta w kąt...
Podniosłem oskard i z całej siły uderzyłem nim w wyszczerbiony czworobok...
Posypało się rumowie, odsłaniając czarne, wąskie wejście.
Wpadłem do wnętrza i w tymże momencie zaległa grobowa cisza.
Uderzyła mię duszna woń zgnilizny zamkniętej przestrzeni.
Zrazu nie widziałem nic, rażony ślepotą ciemności. Lecz za mną wkradł się do pustki długi pas świetlny mej lampy i liznąwszy klinem podłogę przypełzał do kąta...
Spojrzałem tam i zdjęty dreszczem przestrachu bez granic wypuściłem z rąk oskard.
Tam w rogu pustego pokoju wciśnięta między dwie ściany przykucnęła jakaś ludzka postać i wlepiła we mnie kosę, zielonkawe spojrzenie. Pociągnięty magnetyczną siłą wzroku podszedłem...
Postać wyprostowała się, urosła... Krzyknąłem: był to Brzechwa...
Stał niemy, bez słowa, poruszając lekko wąsem. Nagle pochylił się w mą stronę, oparł się mi na piersi i... wszedł, rozpłynął się we mnie bez śladu ..
Odurzony, jak automat porwałem lampę ze stołu i wpadłem z powrotem przez wyłom. Na próżno. Pokój był pusty. Pod sufitem wahały się pajęczyny, ze ścian ściekały zimne łzy wilgoci...
Nagle zabrzmiał głos ochrypły, świszczący, chropawy...
— Co to?! Co to?!
Wtem zorientowałem się: był to mój śmiech.

W domu Sary

Już na ostatnim posiedzeniu w klubie zachowanie się i postawa Stosławskiego bardzo mi się nie podobały. Ten zwykle wesoły i otwarty człowiek zmienił się do niepoznania. W dyskusji nie brał udziału lub też wygłaszał zdania bez związku z poruszonym tematem, budząc zdumienie obecnych; u kilku złośliwych zauważyłem nawet ironiczne spojrzenia zwrócone w stronę mego niefortunnego druha. Usiłowałem bronić go, wiążąc gwałtem rzucone przezeń słowa z tokiem prowadzonej rozmowy — wtedy uśmiechnął się blado, jakby dziękując mi za ratunek, i do końca już milczał uparcie.
W ogóle sprawiał już wtedy nader przykre wrażenie. Nie tylko bowiem raziła dziwna małomówność, tak sprzeczna z dawnym usposobieniem, lecz niepokoił też zagadkowy wygląd zewnętrzny. Zwykle wyświeżony, nawet przesadnie elegancki, przyszedł Stosławski tego wieczora w stroju zaniedbanym, niemal opuszczony. Twarz niegdyś zdrową, tryskającą młodym, bujnym życiem, oblekła chorobliwa bladość, oczy przesłoniła mgła, której beztreściwość tworzyła bolesny kontrast ze szlachetną linią rysów.
Tknięty złym przeczuciem zaprosiłem go po sesji do siebie i poddałem troskliwym oględzinom lekarskim. Nie opierał się, chociaż już była pora spóźniona, i pozwolił się zbadać cierpliwie. Oprócz znacznego wyczerpania nerwów i ogólnego osłabienia nie znalazłem nic podejrzanego.

Zastanawiała tylko przyczyna.
— Ej, Kaziu — zażartowałem grożąc mu palcem — za dużo się bawisz! Kobietki, co? Za wiele, mój kochany, za wiele! Musisz uważać więcej na siebie. Tak dalej iść nie może. Wyczerpiesz się wkrótce. A potem co?
Potrąciłem właściwą strunę.
— Kobiety — zauważył w zamyśleniu — kobiety... Dlaczego mówisz o wielu, nie o jednej?
— O ile cię znam, mój kochany — odparłem uśmiechnięty — żadnej dotąd nie udało się usidlić zepsutego ulubieńca płci pięknej. Czyżbyś się naprawdę tak gwałtownie zmienił? Trudno przypuścić, żebyś był zakochany.
— Użyłeś tylko niewłaściwego wyrażenia. Czy nie widzisz poea miłością i chwilową żądzą innej możliwości?
— O czym myślisz?
— O opętaniu płciowym. Rozumiesz mnie?
— Nie bardzo.
— Ależ to nader proste. Pewnego pięknego dnia spotykasz wyjątkową kobietę, uosobienie płci, i odtąd, od pierwszego z nią stosunku, nie możesz się z nią rozstać. Nienawidzisz jej, rad byś zrzucić kajdany, lecz wysiłki są nadaremne. Jesteś opętany; cały widnokrąg myślowy zamyka się w wyłącznym kole jej ciała, jej kształtów, spojrzeń, dotknięć, obcowanie fizyczne z nią staje się formą bytu. Kobieta przeradza się w bożyszcze złe i nienawistne, lecz niemniej ponętne, któremu musisz ulegać bezwzględnie...
— To tylko wzmożony popęd płciowy samca, który znalazł swój typ.
— Mylisz się, to rodzaj trwałej sugestii hipnotycznej na jawie. Ja po prostu nie mogę myśleć o czym innym, tylko o niej. Czuję, że to mi jest narzucone wbrew mej woli i nawet popędowi; posiadałem kobiety piękniejsze i bardziej pociągające od niej, a przecież odchodziłem z lekkim sercem, zrywając bez wahania. Tutaj nie mam siły.
— Widocznie tamte nie odpowiadały wszystkim warunkom, jakie spełniać powinien twój ideał kobiecy.
— I to mylne. Zdaje mi się, a raczej wiem na pewno, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi. Czy uwierzysz, że zaszedł tu z jej strony rodzaj uwiedzenia?
— Cha, cha! Tego już za wiele! Kazio Stosławski czystym Józefem! To mi rafinada seksualna co się zowie!
— Hej Władku! Nie chcesz mnie zrozumieć. Nie chciałem się do niej zbliżać zanadto pod wpływem nieokreślonej jakiejś obawy. Miałem dziwne przeczucie.
— Lecz w końcu uległeś?
— Niestety. Nie mogłem odmówić. Zresztą kobieta piękna i wtedy wydała mi się w całym tego słowa znaczeniu „une femme charmante”.
— No i... po pierwszym akcie oczarowała cię? Doznałeś zapewne nie znanych ci dotąd sensacji?
— I to nie. Wszystkie znam na pamięć. Nie jestem nowicjuszem i wyrafinowanie jest dla mnie rzeczą powszednią. Zachowywała się nawet spokojniej niż inne.
— Czymże więc opętała cię ta kobieta?
— Nie wiem, nie domyślam się nawet. Lecz zaraz po fatalnym zbliżeniu zrozumiałem, że opanowała mnie bezwzględnie, że stałem się igraszką w rękach demonicznej samicy. Wiedziała, że po pierwszym stosunku zostanę już jej ofiarą, której jej nikt nie wydrze. Wytworzył się między nami szczególny związek, nieuchwytne, a mocne pęta oplątujące mnie coraz ciaśniej, coraz zwarciej…
— Nadużywa cię fizycznie? Jesteś bardzo wyczerpany...
— I na to się uskarżać zbytnio nie mogę. Osłabia mię, czuję to doskonale, wysysa powoli, systematycznie, nieubłaganie, lecz nie przez częste stosunki...
— Nie rozumiem...
— I ja też nie mogę pojąć, w jaki sposób. Lecz że ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w jakim mnie widzisz, nie ulega wątpliwości. Ta kobieta kradnie mi z zapamiętałością upiora

wszystkie siły życiowe. Czy pojmujesz, Władku? Wchłania w siebie moje życie, moje młode życie...
— Przestań u niej bywać. Czy nie możesz zdobyć się na męską wolę?
— Nie mogę, nie mogę. Jestem bezsilny. Czy wiesz? Przeprowadziłem się do niej; mieszkamy wspólnie od dwóch lat w jej willi za miastem na Polance.
— Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotykano cię od pewnego czasu na ulicy, w kawiarniach, w teatrze. Czy ona zabrania ci wychodzić?
— Bynajmniej — sam me mam na to ochoty. Zrazu nie unikałem towarzystwa ludzi, z czasem zacząłem się ograniczać do sfery wyłącznego obcowania z nią. Nie odczuwam już teraz potrzeby wymiany myśli z ludźmi, z którymi nie mam nic wspólnego. Dziś przypadkiem tylko znalazłem się w klubie. Nic mnie teraz nie zajmuje, wszystko zobojętniało mi doszczętnie... Mój stosunek do świata staje się coraz luźniejszy; idę w jakimś kierunku odśrodkowym, zawisłem jakby między niebem a ziemią. Dziś jeszcze zdaję sobie z tego sprawę, lecz kto wie, jak będzie dalej...
Patrzyłem nań badawczo, z głębokim współczuciem.
— Źle z tobą, Kaziu — przerwałem po chwili zaległe milczenie — trzeba się leczyć. Masz rozstrojone nerwy. Może zupełnie niesłusznie posądzasz ją o ujemny wpływ; może zarody choroby tkwiły w tobie przed tą znajomością?
Potrząsnął przecząco głową:
— Nie, mam pełne przekonanie pod tym względem. Zauważyłem symptomy w rok po wspólnym pożyciu. Zresztą to nie jest rozstrój nerwowy. W tym tkwi coś zupełnie innego, coś, o czym się nie śniło psychiatrom naszym.
— Być może. Lecz kto jest tym demonem, tym wampirem w kobiecej postaci? Czy możesz mi wymienić jej nazwisko?
— Nazywa się Sara Braga...
— Sara Braga... dziwne nazwisko! Czy to Żydówka? Imię przypomina Stary Testament.
— Nie. Podobno jest protestantką. Rodzina wymarła. Na podstawie jej skąpych informacji doszedłem do wniosku, że płynie w jej żyłach krew dawnych kortezanów Kastylii zmieszana później z pierwiastkiem germańskim; przedstawia typ szczególnego skrzyżowania szczepów. W ogóle trudno mi było dowiedzieć się czegoś więcej, bo o sobie i swej przeszłości mówić nie lubi. Przed laty miała owdowieć. Kto był jej mężem, nie wiem; nosi nazwisko swojej rodziny.
— Czy wiek jej ci znany?
— Utrzymuje, że ma lat trzydzieści, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na młodszą. Orientacja w tym wypadku trudna i łatwo się pomylić. Nie używa żadnych sztucznych środków do podniesienia zewnętrznego wyglądu, owszem, ma żywiołowy wstręt do wszelkich kosmetyków i barwiczki. Żyjąc z nią tak blisko, wiem o tym wybornie... Czy uwierzysz, że krążą o niej i jej wieku dziwne pogłoski? Z kilku przypadkiem pochwyconych aluzji i półsłówek służby wywnioskowałem, że Sara jest znacznie starszą, niż się wydaje. Jest to pod każdym względem zagadkowa kobieta. Tajemnica rozsiadła się w jej domu, tajemnica ciemna i zła jak jego mieszkanka.
Przesunął znużonym gestem rękę po czole:
— Zmęczyłeś mnie, Władku, zmuszając do skupienia uwagi. Mam szalony ból głowy. Żegnaj.
— Wybacz, lecz zrobiłem to z przyjaźni. Zatrwożył mnie twój wygląd. Ból usunę z łatwością; zatrzymaj się tylko jeszcze przez chwilkę: uśpię cię na pięć minut i sugestią usunę cierpienie. Czy zgadzasz się?
— No, dobrze. Tylko nie zatrzymuj mnie już długo. Przystąpiłem bezzwłocznie do operacji. Mając wprawę w hipnotyzowaniu, za dwie minuty wprawiłem go w stan głębokiego uśpienia... Nagle przy poddawaniu sugestii przeciw bólowi głowy wpadłem na pewną myśl. Wiedząc, że trudno mi będzie w stanie normalnym namówić go do powtórnej wizyty u mnie lub w klubie, kazałem mu we śnie odwiedzić mnie za miesiąc o tej samej porze. Prędzej widzieć się z nim nie mogłem, gdyż w tym czasie byłem zajęty intensywną pracą i wyjeżdżałem często. Wydawszy oba rozkazy, wykonałem szybko kilka passes contraires i Stosławski obudził się.
— No, jakże się czujesz? — zapytałem.
— Ból ustał zupełnie. Dziękuję ci. A teraz odchodzę. Żegnaj!

— Raczej: do widzenia! Kiedyż do mnie zaglądniesz?
— Nie wiem; może już nigdy. Nie mogę nic obiecywać. Uścisnął mi mocno rękę i odszedł.
Gdy umilkły już kroki gościa na korytarzu, wróciłem do salonu, w którym unosiły się jeszcze kłęby dymu z wypalonych przez nas papierosów, usiadłem przy kominku i machinalnie gładząc lśniącą sierść mego wiernego Astora zapadłem w zamyślenie.
„Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... Tak! Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, profesora Franciszka Żmudy, lat temu kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem: rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę chorób i środki terapeutyczne.
Trzeba to odszukać i przeglądnąć. Może się dowiem bliższych szczegółów".
Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierzając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych r. 1875 odczytałem:
Sara Braga, zamieszkała w willi „Tofana" na Polance, ur. w r. 1830, lat 45 — organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku — skłonności psychopatyczne na tle seksualnym — objawy psychicznego sadyzmu.
Następowały skróty dotyczące terapii i wskazanych zabiegów.
„A zatem dziś miałaby lat mniej więcej osiemdziesiąt! Fenomenalne! Nie do uwierzenia!... Stosławski utrzymuje, że młoda i piękna! Chyba to kto inny? Lecz adres mieszkania zgadza się przedziwnie. Willa »Tofana« na Polance, to jest w podmiejskiej dzielnicy, rodzaju stołecznego letniska — to brzmi dziwnie! Lecz w jakim związku pozostaje to wszystko z chorobą Kazia? To, co mówił, zbyt było niejasne i podmiotowe, by móc wyciągnąć jakiekolwiek wnioski. Pozostawmy sprawę czasowi".
Jakoż obowiązki zawodowe zmusiły mię nazajutrz do natychmiastowego wyjazdu. Natłok zajęć i wytężona praca tak mię pochłonęły, że niemal zapomniałem o historii Stosławskiego. Dopiero po całomiesięcznej nieobecności, wróciwszy do miasta, przypomniałem sobie, że nazajutrz przypada termin pohipnotycznego spełnienia mego rozkazu. I rzeczywiście, koło godziny czwartej po południu, wszedł do mego salonu automatycznym krokiem Stosławski.
Kazałem mu usiąść, uśpiłem ponownie i pochwaliwszy za sumienne wywiązanie się z zadania, obudziłem go.
Oprzytomniawszy, ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, nie mogąc pojąć, skąd się wziął u mnie. Gdy mu wyjaśniłem sytuację, trochę uspokoił się, lecz z twarzy biła niechęć i niezadowolenie.
Przez ten jeden miesiąc przemiany, zauważone przeze mnie ostatnim razem, poczyniły zatrważające postępy: widocznie posuwał się z fatalną szybkością w tajemniczym kierunku.
Zagaiłem naprędce rozmowę umyślnie o rzeczach błahych, dalekich od jego wyjątkowego stanu, ani słowem nie zaczepiając o stosunek z Sarą. Odpowiadał apatycznie, z wysiłkiem, często rwąc wątek rozmowy wtrętami bez sensu, bez zewnętrznych spoiw.
Niebawem spostrzegłem, że nie orientuje się w rzeczywistości i zatracił niemal zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Perspektywa, bryłowatość chwil i rzeczy przestała istnieć: wszystko leżało na jednej idealnej płaszczyźnie. Zdarzenia ubiegłe przybrały dramatyczną formę chwili bieżącej, zagadkowe jutro wtargnęło jasnym, oczywistym szlakiem w bezpośrednią obecność jako coś zupełnie równorzędnego. Zginęła bezpowrotnie plastyka rzeczy, ustępując miejsca jakiejś paradoksalnej jednoplanowości.
Blade jak płótno, bez kropli krwi oblicze wyzierało na świat jak maska obojętna na jego sprawy, których złożoność jakby znikła pod naporem tajemniczych uproszczeń. Podniesiona w górę, alabastrowej białości, prawie przejrzysta ręka czyniła gest wiecznego trwania.
Stał się bezwładny, poruszał się powoli, leniwo, jak we śnie. Obojętnie pozwalał mi się badać. Wystawiłem go pod działanie promieni Roentgena: światło przeszło szybko, natrafiając na anormalnie zmniejszony opór. Wyniki przekraczały rozmiarami dotychczas znane doświadczenia: organizm uległ przerażającej redukcji; w układzie kostnym widoczne były objawy atrofii, poznikały całe rzesze tkanek, zmarniały całe gniazda komórek. Był lekki jak dziecko; żelazne palce wagi wskazywały na podziałce śmiesznie małą liczbę. Ten człowiek niknął w oczach!

Chciałem go zatrzymać u siebie i o ile by to w ogóle było jeszcze możliwe, przeszkodzić zupełnemu zniszczeniu. Zdawało się, że jego bierność ułatwi mi zadanie i że nie stawi mi oporu. Lecz pomyliłem się. Po dwugodzinnej rozmowie nagle jak automat powstał, zabierając się do wyjścia. Pędziło go do domu, do willi „Tofana". Zdaje się, że po zniknięciu wszelkich interesów życiowych pozostał tylko ten żywiołowy, niczym nie wstrzymany pęd ku niej, ku Sarze, ku której ciążył całą swą marniejącą osobowością. Trudno się było sprzeciwiać. Czułem, że jeśli go nie wypuszczę, stanie się coś złego: w oczach jego zapalały się już i gasły ognie niebezpiecznej, nerwowej siły.
Postanowiłem więc odwieźć go dorożką na miejsce. Polanka leżała w dość znacznej odległości od środka miasta i dopiero po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u celu. Pomogłem mu wysiąść i odprowadziłem na marmurowe schody wiodące do willi. U drzwi wchodowych oszklonej werandy przez chwilę zatrzymałem się niepewny, czy wejść z nim do środka, czy zawrócić. Ogarnęła mnie nagle nieprzemożna chęć poznania tej kobiety. Lecz nie śmiałem iść dalej. Stosławskim oczywiście nie krępowałem się zupełnie — zdawał się nie uważać zresztą na moją obecność — lecz zachowanie się lokaja, który wybiegł na spotkanie, działało hamująco. Starannie wygolony, we wzorowym fraku fagas powitał wprawdzie mego towarzysza głębokim ukłonem, lecz na twarzy jego igrał uśmiech lekceważącej ironii; na mnie patrzył jak na intruza, którego należy bezzwłocznie wyprosić. Już chciałem wracać do oczekującego mnie fiakra, gdy wtem aksamitna kotara, oddzielająca werandę od wnętrza domu, rozsunęła się i na jej oranżowym tle wynurzyła się z głębi postać kobiety.
Nazwać ją piękną znaczyło uchwycić jej powierzchowność z zasadniczo fałszywego punktu patrzenia. Była raczej szatańsko ponętna. Te rysy nieregularne, mięsiste, szerokie wargi i nos silnie rozwinięty nie dawały wrażenia piękna — a jednak twarz o oślepiająco białej, matowej cerze, tym mocniej kontrastująca z płomiennym spojrzeniem czarnych oczu, przykuwała z nieopisaną siłą. Miała w sobie coś z prostoty żywiołu, który pewny swej władzy gardzi akcesoriami. Nad czystym pięknie sklepionym czołem rozchylały się łagodnymi falami metalicznie lśniące, krucze włosy spięte u szczytu głowy srebrnym naczółkiem. Ciemnozielona, lekko wycięta suknia z adamaszku spływała gładko wzdłuż wyniosłej postaci, uwydatniając wyborną linię torsu i gibkich bioder.
Wżarłem się wzrokiem w jej oczy, skupiając w spojrzeniu całą siłę woli. Odpowiedziała parując atak. Tak zmagaliśmy się przez chwilę. Wtem spostrzegłem na jej twarzy jakby wahanie, niepewność, obawę; drgnęła niespokojnie. Wtedy, składając głęboki ukłon, rzekłem, ująwszy rękę Stosławskiego:
— Odprowadzam zbiega, polecając go troskliwej opiece łaskawej pani.
I wymieniłem swoje nazwisko.
Sara oddała ukłon skinieniem głowy i odsuwając kotarę poprosiła do wnętrza; przy tym zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na Stosławskiego, który, jak zahipnotyzowany, nie spuszczał z niej wzroku. Przykro było nań patrzyć. Jakaś bezwzględna, psia pokora wyglądała mu z oczu, utkwionych w nią bez przerwy, jakieś wiernopoddańcze posłuszeństwo. Na dźwięk jej głosu rzucił się cały ku niej, jakby szukając oparcia, opieki; kobieta uśmiechnęła się pół pogardliwie, pół łaskawie i wstrzymując go niedbałym ruchem ręki, wydała polecenie słudze, obojętnemu świadkowi tej sceny:
— Odprowadzisz pana do sypialni; jest znużony, musi odpocząć.
Sługa w milczeniu ujął go pod ramię i niemal wlokąc za sobą znikł w bocznych drzwiach.
Wszedłem za Sarą do salonu.
Był stylowy. Wysoko sklepiony, o dumnie rozpiętych posowach, cały obity był miękką, jedwabną materią koloru terakota. Okien nie było; salon rozświetlał masywny pająk zwisający ze środka stropu.
W przedniej części, niemal pustej, stały pod ścianami dwa rzędy krzeseł z perłową inkrustacją na grzbietach i poręczach. Z nisz pomiędzy nimi wychylały się egzotyczne krzewy w dużych, srebrnych urnach.
Na dalszym planie, w głębi, wznosiło się kilku stopniami podium zasłane suknem o soczystej barwie cynobru. Stół na środku estrady z wazą kwiatów okrywała ciężka, przetykana wisiorami

berylu kapa. Parę taboretów, wschodnia otomana i smukłe palisandrowe pianino wypełniały resztę przestrzeni.
Tylną ścianę tworzyła zasłona podobna do kotary u wejścia, zamykając falistym murem ślepe wnętrze.
Stąpałem cicho, wnurzając się w puszyste futra kobierców rozesłanych na posadzce. Pani wprowadziła mnie na podium i wskazawszy jedno z krzeseł, sama opuściła się niedbale na otomanę.
Usiadłem w milczeniu. Po chwili Sara wyciągnęła rękę w kierunku małego stolika po puzdro z papierosami. Spostrzegłszy, że sprzęt stoi trochę za daleko, przystawiłem go do sofy, po czym podałem płonącą zapałkę.
— Dziękuję. Zaciągnęła się dymem.
— Pan nie pali?
— Owszem.
Wyjąłem z sąsiedniej przegródki cygaro i wypuszczając w górę fioletowy kłąb zauważyłem z uznaniem:
— Bajeczne!
— Nudny pan jesteś. Czy w podobny sposób zabawiasz zawsze kobiety?
— To zależy od ich pokroju. Z panią na przykład trudno mi rozmawiać; łatwo można wpaść w fałszywy ton. Muszę się oswoić.
Sara popatrzyła mi w oczy, usiłując nadać spojrzeniu wyraz jedwabistej miękkości. W tym momencie spostrzegłem w jej rysach uderzające podobieństwo do Stosławskiego. Kobieta zauważyła zdumienie:
— Cóż to pan? Wyglądasz na odkrywcę w chwili genialnego wynalazku.
— Istotnie, odkryłem rzecz szczególną. Podniosła się drwiąco:
— Proszę, cóż takiego?... Czy wolno wiedzieć?
— Pani jest dziwnie podobna do Kazia. Twarz Sary zadrgała:
— Przywidzenie.
— Nie, proszę pani. Jestem dość dobrym fizjonomistą. Zresztą można to wytłumaczyć: żyjecie państwo ze sobą od dłuższego czasu... Współżycie tak bliskie upodabnia.
— Hm... czy to pańska teoria?
— Nie, łaskawa pani — teorię tę, zresztą nienową, dokładniej roztrząsał przed paru laty doktor Franciszek Żmuda.
Przypisując rzekomą teorię Żmudzie kłamałem, chcąc tylko wprowadzić to nazwisko do rozmowy.
— Żmuda? — zapytała ciekawie. — Pan może jest jego uczniem ?
— Bynajmniej — wyparłem się energicznie. — Nie znam go nawet. Czytałem tylko jego rozprawkę w miesięczniku medycznym.
— Ach, tak...
— Czy to pani znajomy?
— Tak. Przed rokiem cierpiąc na lekki rozstrój nerwowy byłam czas jakiś jego pacjentką. Bardzo miły człowiek.
„Więc to ta sama — pomyślałem — tylko że kurację odbyła znacznie dawniej, bo jeszcze przed trzydziestu pięciu laty, to jest w roku 1875. A zatem ta kwitnąca urokiem młodości kobieta miałaby dziś lat osiemdziesiąt! Paradoksalne! Niebywałe! A jednak tak być musi; notatki Żmudy i moja pamięć usuwają wątpliwości”.
Patrzyłem na Sarę z nieokreślonym lękiem.
— Czemuż pan tak nagle spoważniał? Myślałby kto, że się czegoś obawiasz?
— Tym razem przywidziało się pani, i to naprawdę. Czegóż bym się miał obawiać. Przejęty tylko jestem wyjątkową jej pięknością. Podobne kobiety spotyka się rzadko.
Uśmiechnęła się zadowolona.
— Szkaradny pochlebca!
Uderzyła mnie lekko ręką po ramieniu. Chociaż umiem nad sobą panować, mimowolnie zadrżałem pod tym dotknięciem, odchylając przy tym nieco głowę do góry. Wtedy wzrok mój padł na szereg

portretów zawieszonych na lewej ścianie pokoju. Odłożyłem cygaro i podszedłem do obrazów.
Było ich dziesięć w dwóch szeregach równoległych; rząd górny obejmował pięć wizerunków Sary pod nim umieszczono podobizny pięciu nie znanych mi mężczyzn. Od razu rzucały się w oczy dwa znamienne szczegóły. Na wszystkich portretach Sara była w jednym wieku, jak gdyby obrazy malowano w bliskich od siebie odstępach czasu. Mimo to na każdym wyraz twarzy był inny, i to — zadziwiająco podobny do rysów jednego z mężczyzn w szeregu dolnym; słowem, każda z pięciu podobizn Sary miała pod względem podobieństwa swój odpowiednik w wizerunkach mężczyzn.
Zajęty studiowaniem obrazów nie spostrzegłem jej niezadowolenia. Dopiero głos Sary, cierpki i zniecierpliwiony, przerwał mi obserwację:
— Skończże pan już raz tę rewię! Nic tam ciekawego — bohomazy.
— Przeciwnie — doskonałe. Co za wyrazistość rysów! Łaskawa pani posiada twarz iście sfinksową: niby ciągle się zmienia, a zawsze ta sama. Lecz i głowy męskie przepyszne — same rasowe typy! Czy to kuzyni? Chyba nie? Zupełnie do siebie niepodobni — każda twarz inna.
— Znajomi — odpowiedziała oschle. — Proszę wrócić tu, bliżej do mnie — dodała cieplej i wskazała mi miejsce obok siebie na sofie.
Usiadłem zajęty wciąż tajemnicą męskich twarzy, z których każda przypominała żywo Sarę, chociaż między sobą nie miały punktów stycznych.
Widząc me zamyślenie starała się usilnie rozproszyć zadumę konwersacją. Wkrótce wpadliśmy na ulubiony u kobiet temat i zaczęliśmy rozmawiać o miłości. Sara od razu wzięła ton namiętny, z predylekcją poruszając wypadki krańcowe graniczące ze zwyrodnieniem. A wszystko umiała podać w formie wytwornej, przedziwnie stylizowanej i ponętnej; chciała widocznie oczarować mnie nie tylko fizyczną urodą, lecz i bogactwem ewentualności erotycznych, jakie w niej tkwiły.
Zrozumiawszy wyraźny zamiar miałem się na baczności. Jakiś niepojęty strach odpychał mnie od tej kobiety i nakazywał ostrożność. Mimo to, by jej nie zrazić chłodem, udawałem podrażnienie odpowiadając palącym wzrokiem na spojrzenia jej piekielnych oczu.
Koło dziesiątej wieczorem pożegnałem się przyrzekając rychłą wizytę.
Nie nastąpiła jednak tak prędko, jak myślałem.
Zawezwany telegraficznie do F., odległego o dwa dni drogi, pojechałem nazajutrz na czas dłuższy, by dopiero w trzy tygodnie potem zjawić się ponownie w willi „Tofana”. Na spotkanie wybiegła Sara wśród oznak żywej radości. Gdy spytałem o Stosławskiego, zachmurzyła się i wzruszając lekceważąco ramionami, odparła:
— Nieciekawy.
Pokrywając oburzenie, jakim przejął mnie bezmierny jej egoizm, wyraziłem życzenie zobaczenia się z nim. Przystała niechętnie dopiero na usilne nalegania:
— Nie mogę panu odmówić; lecz musi pan wejść do sypialni, bo stamtąd już się nie rusza.
I wprowadziła mnie przez salon do zacisznej, z wyrafinowaną miękkością urządzonej komnaty.
Widok Stosławskiego zrobił na mnie przerażające wrażenie. Stał przy oknie wpatrzony bezmyślnie w szybę, prawą ręką przebierając we frędzlach portiery. Nie poznał mnie, może nawet nie spostrzegł.
Na twarzy błąkał się nijaki uśmiech, zwiotczałe, białe jak papier usta poruszały się słabo, składając jakieś wyrazy: coś szeptał. Zbliżyłem się nasłuchując. Szept był cichy, ledwo dosłyszalny. Lecz ucho mam bystre i pochwyciłem słowa. Było ich parę tylko i powtarzały się bez przerwy jak w automacie: same bezwstydne, cynicznie pieszczotliwe słowa...
Było w tym coś tak ohydnego i potwornego zarazem, że zadrżawszy cofnąłem się do pierwszej sali.
Tutaj już nie było ratunku. Człowiek ten był stracony.
Zdenerwowany okropnym obrazem, mimo próśb Sary wróciłem zaraz do siebie.
Przyszło silne postanowienie. W możność ocalenia Stosławskiego zwątpiłem zupełnie; stan, w jaki popadł, przybrał formy zbyt wybujałe, by marzyć o drodze powrotnej. Pozostawała tylko zemsta — spokojna, rozważna, planowa — bo w walce z nie byle jakim przeciwnikiem.
Należało uzbroić się w bezwzględny chłód i odporność na szatańskie wdzięki tej kobiety, której destrukcyjna władza prawdopodobnie rozpoczynała się dopiero z chwilą dopełnienia aktu płciowego. W uszach dźwięczały mi wciąż lekceważone zrazu słowa nieszczęśliwego:

— Zdaje mi się, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższe stosunki, nie uległbym obecnemu stanowi.
Jakąkolwiek rolę odegrał w tej sprawie wpływ Sary, należało strzec się. W każdym razie spostrzegłem, że odczuwa ku mnie niedwuznaczny pociąg i kto wie, czy już w myśli nie wybrała sobie mnie na następcę. Postanowiłem z tego skorzystać, pozornie przystając na ewentualne propozycje. Lecz należało czekać; było jeszcze za wcześnie.
Tymczasem bywałem u niej często, odwiedzając w każdej wolnej chwili. Lecz od ostatniej sceny w sypialni ani razu nie pozwoliła mi widzieć chorego, snadź obawiając się podejrzeń, które by mogły mnie zniechęcić. Ustępowałem, poprzestając na zabawie w salonie i wspólnej lekturze. Tak upływały dnie i tygodnie, w ciągu których obserwowałem coraz silniej skłaniającą się ku mnie namiętność Sary. Lecz ani razu nie pozwoliłem przekroczyć granicy zakreślonej towarzyską formą. Moja powściągliwość irytowała ją, podżegając ogień. Z wolna stawałem się panem sytuacji...
Pewnego wieczoru przyjechałem nieco później, bo już koło dziewiątej, by spędzić chwil parę przy wspólnej kolacji. Czas był pogodny, czerwcowy. Przez otwarte okno jadalni wnęcał się łagodny wietrzyk wieczorny, lekko wydymając koronki firanek. Z parku wsączały się do wnętrza aromaty kwiatów, płynął zapach przekwitających jaśminów. Z alei klonów szły skargi słowików, czasem zabłąkał się cichy poświerk zasypiających świerszczy.
Siedziałem wyciągnięty w fotelu, popijając kawę. Sara grała na pianinie zawrotny taniec derwiszów. Patrzyłem na gwałtowne ruchy jej rąk. Była piękna w tej chwili. Bladą jej twarz powlókł ciemny rumieniec, oczy miotały błyskawice, krągła, cudnie sklepiona pierś poruszała pośpiesznym oddechem zwoje białego peniuaru niby falę pian.
Nagle przyszedł mi na myśl Stosławski. Gdzie on teraz, co robi? Może wciśnięty w kąt przyległego pokoju uśmiecha się jak wtedy? A może gra Sary zgalwanizowała na chwilę i ten łachman człowieczy? A wtedy? Jakaż bezdeń rozpaczy skowyczeć musi w tych resztkach człowieczych!
Jak podrzucony zerwałem się z miejsca i kładąc rękę na klawiaturze krzyknąłem:
— Dosyć! Chcę widzieć Stosławskiego! Natychmiast! Sara, zaskoczona znienacka, wyprostowała się dumnie, mierząc mnie spokojnie oczyma:
— Nie zobaczy go pan.
— Muszę! Rozumie pani — muszę! Dzisiaj, zaraz! W przeciwnym razie...
Lecz nie dokończyłem groźby, bo w tymże momencie szatę Sary zalał szkarłatny odblask, że stanęła przede mną jakby w płomieniach.
— Co to? — zawołaliśmy równocześnie, zapominając o wszystkim.
Oczy nasze skierowane bezwiednie w okno dojrzały spoza szczytów drzew parkowych krwawą łunę pożaru.
Z dali dolatywał już stłumiony przed chwilą przez muzykę gwar zmieszanych głosów i krzyków.
Do jadalni wpadła wybladła służba:
— Jasna pani, Polanka pali się! Dom gajowego koło pałacu cały w ogniu!
Sara pytająco zwróciła się ku mnie.
— Proszę wsiąść do mego powozu, który czeka przed bramą — zadecydowałem szybko.
— A pan?
— Zaraz przyjdę — proszę zaczekać w karetce — pojedziemy razem — muszę ocalić portret pani z salonu, ten ostatni, najlepszy...
Wyprowadziłem ją i poleciwszy służącemu, by pomógł wsiąść do pojazdu, sam zawróciłem do willi. Chodziło mi nie o portret, lecz o Stosławskiego. Nie mogłem go zostawić na pastwę płomieni.
Wyważyłem gwałtownie drzwi do sypialni i wpadłem do środka wołając:
— Kaziu! Kazik! To ja! Gore! Ruszaj stąd! Uciekajmy! Odpowiedziało milczenie. W sypialni było ciemno, nie widziałem nic. Może zasnął?
Namacałem ręką guzik elektryczny i przekręciłem. Błysk światła spłynął się z okrzykiem grozy wydanym z mej piersi.
Na krześle wysuniętym na środek pokoju ujrzałem galaretowatą postać ludzką kształtem i konturami twarzy przypominającą Stosławskiego. Był przejrzysty; widziałem poprzez niego rysujące się wyraźnie sprzęty pokoju...

Nie dowierzając wzrokowi dotknąłem go: ręka natrafiła na coś ustępliwego jak gęsta ciecz. Cofnąłem szybko dłoń; z palców moichześliznęła się jakaś lepka, kleista treść jak żelatyna i uciekła leniwo na podłogę.
Nagle postać zawahała się, śluzowaty kształt zachybotał w dziwnej rozchwiei i rozpadł się na części. Z przezroczystej masy poczęły wysnuwać się pojedyncze pasma niby mgławicowe pierścienie, które uniósłszy się w górę bujały czas pewien i znikały nie wiadomo jak w przestrzeni. Po paru minutach nie zostało nic — krzesło było puste: Stosławski rozwiał się bez śladu...
Ze zjeżonym włosem wybiegłem z willi i dopadłszy powozu kazałem ruszać co tchu. Jechaliśmy w milczeniu oświeceni łuną szalejącego pożaru. Sara o nic nie pytała, ja też nie miałem ochoty do zwierzeń.
Po przybyciu do miasta umieściłem ją w jednym z hoteli, a sam spędziłem noc u siebie.
Nazajutrz z dzienników dowiedziałem się, że pożar szczęśliwie ugaszono i willa ocalała. Pospieszyłem z wiadomością do Sary, która natychmiast postanowiła wracać. Odwiozłem ją do pałacyku, by odtąd zamieszkać z nią wspólnie; było to jej gorącym życzeniem. Przystałem bez wahania. O Stosławskim nie mówiliśmy, jak gdyby nigdy nie istniał. Rozpoczęła się druga faza mej znajomości z tą dziwną kobietą...
Od taktyki dotychczasowej nie odstąpiłem ani na krok. Chociaż żyliśmy obok siebie w codziennej styczności, stosunek nie przybrał form małżeńskich. Instynkt ostrzegał mnie przed zbytnią zażyłością. Grałem tedy rolę przyjaciela, idealnego opiekuna i doradcy.
Sarę widocznie upór mój rozdrażniał wzmagając chęć przełamania go. Używała tysiąca środków i półśrodków, na jakie tylko może zdobyć się kobieta ponętna, by przezwyciężyć moją odporność.
I przyznać muszę, że przeżywałem nieraz chwile szalonej pokusy — lecz obraz Stosławskiego, okropna wizja jego ostatniej, szczątkowej formy ziemskiego bytowania tam, w tej przepysznej sypialni, mroziła mnie za najlżejszym wspomnieniem, ścinając w lód zapędy krwi.
Moja dziwna powściągliwość zrazu gniewała ją: pierwsze miesiące nienaturalnego współżycia były pasmem gwałtownych scen. Pytany o powód zwalałem wszystko na karb platonicznego uczucia, jakie rzekomo we mnie obudziła.
— Zbyt wysoko cię cenię, Saro — odpowiadałem zwykle na jej namiętne wybuchy. — Umieściłem cię na zbyt górnym piedestale, by móc sięgnąć ręką po ciebie. Nie chcę brukać swego ideału.
Wtedy wyszydzała mnie nazywając zwyrodniałym idealistą lub jeszcze mniej pochlebnymi epitetami. Znosiłem obelgi z zimną krwią, czekając, jak sprawa rozwinie się później.
Tak minął rok. O ile *zraza* Sara żywiła nadzieję zwycięstwa, powoli pewność opuszczała ją. Bezskuteczność coraz silniejszych ataków snadź zbijała ją z tropu — zaczęła patrzeć na mnie ze zdumieniem i — rzecz zastanawiająca — z rodzajem przerażenia. Po czasie nabrałem przekonania, że chęć pożycia małżeńskiego ze mną nie wypłynęła wyłącznie z popędu, lecz miała znacznie głębsze źródła — była dla niej prawdopodobnie kwestią bytu. Fatalnym stało się dla niej, że uległa momentowi pociągu fizycznego ku mojej osobie — fatalnym dla kobiety, która przywykła do zwycięstw, której dotąd nie oparł się żaden mężczyzna. Z chwilą zadzierzgnięcia sieci na osobniku płci przeciwnej wytwarzał się dla niej zapewne specjalny stosunek, który nosił w sobie zarody niebezpieczeństwa dla stron obu: zależało to tylko od zachowania się mężczyzny. Jeśli uległ, Sara miała go w ręku na zawsze. Lecz jeśliby zachował rezerwę, sprawa mogła przybrać obrót groźny dla tej wyjątkowej kobiety. Zdaje się, że w tym wypadku nie mogła przejść spokojnie w ramiona drugiego, nie mogła swobodnie rozpiąć ponownych wnyków na kogo innego — dopóki nie rzuciła pod swoje stopy opornego wybrańca. Dotąd życie jej było zwycięskim pochodem, bezwzględnym triumfem poskromicielki. Lecz nadeszła chwila odwetu, a ja byłem jego narzędziem. Sara Braga nie mogła zerwać ze mną, nie mogła oddalić mnie mimo daremnych wysiłków.
A siły moje rosły z dniem każdym i wzmagałem się w mocy przez nieugiętą wolę. Po roku znikły niemal zupełnie pogróżki i szyderstwa, by przejść w pokorę i prośbę. Sara Braga, dumna, królewska Sara, zaczęła błagać i łasić się u nóg moich.
Bo chodziło o jej piękność, urodę, bo chodziło o jej demoniczną młodość, może i o coś więcej jeszcze: może szło o życie.
Po roku naszego wspólnego pożycia Sara zaczęła widocznie starzeć się. Pewnego dnia zauważyłem

w jej kruczych włosach zdradzieckie srebrne linie, a w kątach ust krzyżową sieć zmarszczek. Wyniosła postać traciła powoli dawną elastyczność, pierś przestała prężyć się gibką falą. Sara więdła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem.
Wiedziała o zaszłej zmianie — każde lustro pouczało o tym wiernie — a luster było tyle w willi!
I wtedy ku niewymownej radości rozpacz ujrzałem — piekielną rozpacz dużych, czarnych, ognistych oczu.
Siły moje zwielokrotniły się, jakby potężnym spięciem. Czułem tajemniczą pomoc wkoło siebie, stałem się jakimś magnetycznym ośrodkiem, który przyciągał, wsysał z peryferii ukryte energie drzemiące w tym domu: nie byłem sam w willi. Zaczęły się rozwijać zagadkowe objawy, występowały coraz śmielej jakieś dotąd uwięzione prądy, rodziły się jakieś moce. Lecz czułem, że były mi przyjazne, że stały po mojej stronie. I ona je spostrzegła — ze zgrozą, z bezgraniczną grozą dopadniętej zwierzyny i zwróciła się do mnie po schron, po opiekę. Naiwna! Jakby nie wiedziała, że to ja właśnie je wyswobodziłem.
Odtąd nie chciała sypiać sama, z lękiem wyczekując wieczornych godzin. W domu przez całą noc paliły się światła i jasno było w willi jak w dzień. Ani na chwilę nie rozstawała się ze mną w obawie przed samotnością, w zabobonnym strachu przed czymś okropnym. A gdy usnęła na parę godzin znużona czuwaniem, miewała marzenia straszliwe, bo przez sen nieraz słyszałem jej cichy, stłumiony jęk.
Raz, porwawszy się z łóżka, w bieliźnie, z rozpuszczonymi włosami przypadła do mnie w obłąkańczym przerażeniu i przytuliła zakrytą dłońmi twarz do mojej piersi.
— Co tobie? Przyśniło ci się co? — zapytałem sam zdjęty dreszczem trwogi.
— Boję się — wyszeptała drżąc jak listek — boję się. Tylko nie odchodź ode mnie! Umarłabym w tym domu ze strachu.
Gdyby nie mój stanowczy upór byłaby opuściła pałacyk i przeniosła się gdzie indziej. Lecz przeprowadziłem swą wolę: musiała pozostać.
Wreszcie strach, rozpacz i szał bezsilnej wściekłości dosięgły punktu zwrotnego. Pewnej nocy opętana dławiącą zmorą, z oczyma wychodzącymi z orbit porwała się w koszuli z łóżka i stanęła nade mną, dysząc ciężko. Z ust jej wyszedł zziajany, świszczący szept:
— Bierz mnie, ty kacie jeden; Bierz lub... zginiesz!
W podniesionej ręce błysnęło zimno ostrze weneckiego puginału.
Uderzyłem ją wzrokiem: ramię sparaliżowane opadło bezwładnie, sztylet wyśliznął się z zesztywniałych palców.
— Cha! cha! cha! — zaśmiałem się siadając w fotelu, na którym po raz ostatni ujrzałem znikającą postać Stosławskiego.
— Cha! cha! cha! I na to, jak widzisz, byłem przygotowany. Chciałaś wiedzieć tyle razy, dlaczego gardzę twym ciałem, dlaczego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. W odpowiedzi przeczytam ci coś ze starych, świętych ksiąg. No, możesz teraz już usiąść tam naprzeciw — tylko nie ponawiaj próby! Byłaby równie zbyteczną. Czy chcesz posłuchać?
Z rezygnacją dobijanej ofiary obsunęła się na dywan.
Wydobyłem z szafki Stary Testament. Księgę tę ostatnimi czasy studiowałem z zapałem, zatapiając się w jej tajniki, upojony poezją słowa i głębią treści. Otworzyłem księgę trzecią królewską i głosem spokojnym, przejęty ważnością chwili, odczytałem z rozdziału pierwszego następujący urywek:
...A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku: a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się.
Rzekli mu tedy słudzy jego: Poszukajmy królowi, panu naszemu, młodej panienki, niech stoi przed królem i okrywa go, i śpi na łonie jego, a zagrzewa króla, pana naszego.
A tak szukali panienki pięknej we wszystkich granicach izraelskich i naleźli Abisag Sunamitkę, i przywiedli ją do króla.
A była panienka bardzo piękna i sypiała z królem, i służyła mu...
Przerwałem podnosząc oczy na Sarę. Wyminęła spojrzenie.
— Cóż? Rozumiesz? Wzruszyła nerwowo ramionami:

— Cóż mnie to obchodzi? W jakim związku pozostaje ten fragment z nami?
— Nie kłam, Saro! Ty rozumiesz wszystko. Ten sędziwy egoista — to twój praojciec i mistrz.
— Mówisz jak szaleniec — odparła zacinając z pasją wargi.
— Kłamiesz, Saro! Lecz posłuchaj innych wyjątków z księgi Tobiasza, rozdziałów trzeciego i szóstego. Te wyjaśnią sytuację zupełnie.
— Z księgi Tobiasza? — wyjąkała jak przez sen.
— Tak, z dziejów Tobiasza i Sary; dziwnym zrządzeniem przypadku jesteś współimiennicą tej szatańskiej kobiety...
...Tegoż tedy dnia przydało się, iż Sara córka Raguelowa w Rages, mieście Medskim, i ona usłyszała urąganie od jednej służebnicy ojca swego, bo była wydana za siedem mężów, a czart imieniem Asmodeusz pomordował je, skoro do niej weszli...
Przerzuciwszy kartkę, czytałem dalej z rozdziału szóstego :
I odpowiadając, Anioł rzekł: Jest tu mąż imieniem Raguel... a ten ma córkę... Sarę... Twoja ma być wszystka majętność jej i masz ją pojąć za żonę...
Odpowiedział tedy Tobiasz i rzekł: Słyszę, że była wydana za siedmiu mężów, a pomarli; alem i to słyszał, że je czart zamordował... Otóż się boję, by snadź i mnie się to nie stało...
Ezekł mu tedy Anioł Rafael: Posłuchaj mnie, a pokażę, którzy to są, nad którymi czart przemoc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie... wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają... nad tymi czart ma moc...
Ale gdy ją ty pojmiesz, wszedłszy do łożnicy wstrzymujże się od niej przez trzy dni, a niczym się innym jedno modlitwami z nią nie będziesz zabawiał.

Zamknąłem Biblię i spojrzałem na Sarę.
Nigdy nie zapomnę jej w owym tragicznym momencie.
Rozpacz i wstyd, wściekłość, strach i ogromny, niepojęty ból wypełzły z otchłani tej demonicznej duszy, by zagrać po raz ostatni na twarzy zmąconym akordem dysonansów. Jak pantera rzuciła się ku mnie z drapieżnie zakrzywionymi palcami:
— Ty łotrze podły! Podszedłeś mnie, zniszczyłeś, zdeptałeś i teraz jeszcze chcesz się pastwić nade mną!
Chwyciłem mocno zwiniętą do ciosu pięść i rozbroiłem:
— Uspokój się, wiedźmo! Dziś to nasza noc ostatnia — jutro opuszczę ten dom na zawsze. Lecz nie spędzisz wraz ze mną tych paru godzin, których jeszcze niedostaje do brzasku. Obmierzło mi twe towarzystwo. Ponieważ zachowujesz się jak megiera, zostawię cię samą tam w salonie. Chcę odpocząć tutaj sam nareszcie.
Opierającą się zawlokłem niemal przemocą wśród uporczywego szamotania się do skrzącej się od świateł sali. Potem zamknąwszy za nią drzwi, wróciłem do sypialni i z rozstrojonymi walką nerwami oparłem się ciężko o framugę okna, wpatrując się w noc.
Wtem rozpruł ciszę okropny, rozdzierający krzyk kobiety.
Był tak przeraźliwy, tak przejmujący, że mimo wszystko wtargnąłem z powrotem do salonu.
Tu było ciemno. Przed chwilą jeszcze pokój zalany potokami światła teraz nurzał się w najgłębszej nocy: pogasły nagle elektryczne lampiony, zmierzchły fantastyczne żyrandole. Krzyk ustał nagle i zapanowała głucha, duszna cisza.
Przejęty nieokreślonym lękiem, przyniosłem z sypialni płonącą lampę. Światło padło na estradę w głębi... Na stopniach ostatnich leżała na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami Sara. Z twarzy jej wykrzywionej okropnym uczuciem grozy patrzyły na mnie zeszklone w bezruchu śmierci oczy: zginęła momentalnie pod wpływem jakiegoś nieludzkiego przerażenia.

Szalona zagroda

Wczoraj wróciłem z zakładu: nie jestem już szkodliwy. Niech i tak będzie. Lecz przysięgam, że każdy na mym miejscu w podobnych okolicznościach doszedłby w końcu tam, gdzie ja...
Nie jestem chory i nie byłem nigdy — nawet wtedy... tak... nawet wtedy. To, co zrobiłem, wynikło nie z jakiegoś zboczenia, lecz było konieczne, jak konieczne są przejawy żywiołów, jak śmierć i życie — wynikło ze środowiska z oczywistością niezachwianą. Nie jestem i nie byłem nigdy psychopatą!
Natomiast byłem skończonym sceptykiem, nie przywiązywałem się do żadnej zasady czy doktryny, nie ulegałem nigdy sugestii. Pod tym względem mój przyjaciel K., którego wówczas uważałem za człowieka niezwykle przesądnego, stał na przeciwnym biegunie. Jego dziwaczne, niekiedy obłąkane poglądy i teorie stale wzbudzały we mnie gwałtowną opozycję, stąd ustawiczne spory, kończące się nieraz zerwaniem na czas dłuższy naszych wzajemnych stosunków. A jednak — zdaje mi się — nie ze wszystkim się mylił. Przynajmniej jedno z jego zapatrywań na mnie się fatalnie spełniło. Może dlatego właśnie, że przeciw niemu najzawzięciej występowałem, jak gdyby przeczuwając, że mu posłużę za formę objawienia się.
K. utrzymywał, że w pewnych miejscach muszą się odbyć pewne rzeczy; innymi słowy, że są pewne miejsca, których charakter, natura, dusza oczekuje spełnienia się wypadków, zdarzeń z nimi związanych. Nazywał to „stylową konsekwencją", chociaż czułem w tym wszystkim pierwiastek panteistyczny. Cokolwiek bądź jeszcze przez to rozumiał, nie zgadzałem się z podobnym zapatrywaniem, unikając choćby cienia wszelkiej tajemniczości.
Myśl ta przecież nie dawała mi spokoju, a chęć wykazania jej bezpodstawności nęciła nawet po rozstaniu z K., z którym się już więcej nie spotkałem w życiu. Niedługo potem miałem zaspokoić moją ciekawość.
Stało się... i wyszedłem stamtąd w trzydziestym roku życia osiwiały jak starzec i złamany na zawsze. Włosy mi się jeżą na wspomnienie tej chwili strasznej, niezapomnianej, co zdruzgotała mnie doszczętnie.
Byłem ojcem dwojga dziatek, naszych biednych dziatek. Agnes kochała je do szaleństwa, więcej może niż mnie. I porzuciła przedwcześnie. Zmarła parę lat po przyjściu na świat młodszej dziewczynki. Śmierć ta rozstroiła mnie bardzo. Nie mogąc uspokoić się jednostajnym trybem życia, zacząłem podróżować wraz z dziećmi, które mi były jedyną osłodą tych czasów. Dla oderwania myśli od bolesnych wspomnień czytałem dużo, przerzucając się kolejno w tematy najrozmaitsze, od najbardziej wyuzdanych i brutalnych do pełnych mistycyzmu i symboliki. Przy tym nie zapomniałem o K. i jego teoriach.
Pewnego razu zatrzymaliśmy się na czas dłuższy w mieście N. w zamiarze spędzenia tu miesięcy jesiennych. Samo miasto z cechami typowymi dla większych ośrodków miejskich miało dla mnie najwyższy urok przez swe piękne okolice.
Do jednej z nich wybrałem się z dziećmi dorożką w pogodną sierpniową niedzielę. Wypadłszy poza obręb miasta, przesunął się nasz pojazd między dwoma szeregami topól, przeciął tor kolejowy i pomknął między pola. Byliśmy już pół mili za miastem, gdy po prawej stronie gościńca, nieco w głębi, na pustkowiu zwróciła mą uwagę dość dziwaczna na pierwszy rzut oka budowla samotnie wzniesiona pośród zaniedbanego sadu i zupełnie nie zamieszkana. Zatrzymałem dorożkę i sam poszedłem oglądać budynek.
Gdy zaciekawiony począłem rozpatrywać szczegóły, nagle spoza stosu rumowia przed chatą wysunęła się zawiędła starucha i z lękiem przypadłszy do mnie, szepnęła:
— Panie, rzućcie ten dom póki pora, rzućcie, jeśli wam Bóg i dusza miła!
Po czym spiesznie rzuciła się w bok i znikła w burzanach.
Zajście to zaostrzyło tylko moją ciekawość i podnieciło chęć rozwiązania zagadki, jeśli w ogóle można tu było o czymś podobnym mówić. Po powrocie do domu miałem juz plan gotowy,

postanowiłem bezzwłocznie sprowadzić się do opustoszałej zagrody. Wydała mi się jakby stworzoną do sprawdzenia wywodów mego ekscentrycznego przyjaciela; jeżeli miały jaką rację bytu, to tu powinny ją ujawnić. Uderzyła mnie mianowicie wspomniana scena przy ruderze, jako też niektóre szczegóły miejsca, zgodne z tym, co niegdyś słyszałem od K.
Co do sceptycyzmu, ten nie zmniejszył się bynajmniej; zachowywałem wciąż chłodną rezerwę badacza niedowiarka. Później dopiero miałem z roli obserwatora przejść w czynną; lecz to nastąpiło potem i bez mej świadomości.
Tymczasem pokusa była za wielka, żeby się jej móc oprzeć, i nazajutrz zaopatrzony we wszystko sprowadziłem się z dziećmi do ustronnego domostwa. Co mnie na wstępie zdziwiło, to okoliczność, że gdy chciałem się w sprawie wynajmu porozumieć z gminą, nie robiono mi najmniejszych trudności i pozwolono zamieszkać za śmiesznie małą cenę. Swobodę miałem najzupełniejszą i nie potrzebowałem obawiać się przeszpiegów wsi, gdyż ludzie sami wymijali z daleka mą siedzibę i nieraz widziałem, jak przechodząc mimo, żegnali się zabobonnie. Tak więc całymi tygodniami nie widziałem ludzkiej twarzy, chyba gdy kto przejeżdżał traktem, co się jednak zdarzało rzadko, bo ruch na tej linii od kilku lat osłabł znacznie i przeniósł się o parę wiorst na zachód.
Zacząłem więc obserwację.
Przede wszystkim zastanawiała sama zagroda. Budowa jej na pozór niczym nie różniła się od zwykłych domostw, jakie spotyka się na przedmieściach lub jako przydrożne zajazdy, a przecież...
Skutkiem szczególnego zestawienia proporcji zdawała się coraz to bardziej zwężać ku dołowi — tak że podstawa w porównaniu ze szczytem była zadziwiająco mała i wątła; dach z górną częścią wprost przygniatał podwaliny. Całość dawała się przyrównać do chorobliwie rozwiniętego organizmu ludzkiego, który ugina się pod ciężarem anormalnego wybujania głowy. Konstrukcja ta nadawała domowi charakter czegoś brutalnego, jakiegoś znęcania się silniejszego nad słabszym. Nigdy nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak mogła powstać i utrzymać się tego rodzaju budowla.
Podobne wrażenie robiły okna w stosunku do ścian nieproporcjonalnie małe; wciśnięte w grube mury gubiły się niemal w ich okropnym uścisku. Tak przynajmniej wyglądało to z zewnątrz, chociaż, jak się z czasem przekonałem, w rzeczywistości nie były tak wąskie, a przepuszczały tyle światła, ile w zwykłych warunkach okna znacznie większe.
Do tego przyłączył się drapieżny wygląd rudery skażonej mnóstwem dziur i wyżłobień; wyglądające z nich cegły pokrywały mury niby pryszczami zakrzepłej posoki, obryzgującej ściany.
Nie mniej przykro przedstawiało się wnętrze. Złożone z trzech izb pełne było szpar i przepuklin, przez które wnęcał się swobodnie wiatr, wpadał do wpółzawalonego paleniska, wykręcał resztki popiołów i tłukł się w dymniku.
Najdziwaczniejszą jednak okazała się izba narożna, gdzie przeważnie przebywałem. Liszaje powstałe na jednej ze ścian po oderwaniu się tynku utworzyły zagadkową figurę. Zrazu nie umiałem uchwycić jej należycie. Przerysowałem więc z wolna na papier i oto przedstawił mi się dość dziwny obraz czy raczej jego fragment.
U spodu ściany tuż nad podłogą odciskały się kontury nóg dziecięcych; jedna zgięta w kolanie opierała się końcem stopy o drugą, sztywnie wyprężoną ku ziemi. Tułów przechylony wstecz dochodził mniej więcej po piersi — reszty brakło. Małe, wątłe ramiona wznosiły się w górę ruchem bezsilnej samoobrony. Całość, mogąca wyobrażać ciało kilkuletniego chłopca, tchnęła bezwładem zwłok.
Nieco wyżej ponad tym, a w kierunku nie istniejącej głowy, widniało dwoje rąk, kurczowo zaciśniętych około czego — nie wiadomo; przestrzeń między palcami była pusta. Lecz ręce te należały do kogoś innego: były znacznie większe i żylaste. Do kogo — obraz nie wskazywał, bo urywały się już poniżej łokcia i zatracały gdzieś na białym tle ściany.
Obraz ten jak i cała izba miały w słoneczne dnie specjalne oświetlenie. Promienie wpadające przez okna załamywały się w taki sposób, że światło rozszczepione w krwiste okolą oblewało jeden ze słupców przyciesi; zdawało się wtedy, że ściekają zeń grube krepie krwi i rozwodzą w kałużę u spodu.
Tłumaczyłem sobie to niezbyt przyjemne zjawisko prawami optyki i szczególnym składem chemicznym szkła w szybach, zresztą białych i nieskażenie przezroczystych.

Zbadawszy samo siedlisko, wszedłem w sad czy ogród, stanowiący z nim jedną nierozłączną, a stylową całość.
Był bardzo stary i zapuszczony. Od lat wielu rozplenione chaszcze ujmowały go z zewnątrz zwartym żywopłotem, strzegąc zazdrośnie tajemnicy wnętrza. Wśród chorobliwie wybujałych trawisk i dziędzierzawy butwiały smukłe, przedwcześnie zmarniałe pnie młodych drzewin. Obaliły je nie wiatry, nie mające tu przystępu, lecz powolne, zjadliwe wysysanie im żywotnych soków przez starsze drzewa. Toteż wyschły jak szkielety, a na liściach wykwitły suchotnicze wypryski. Inne, których nie dosięgły jeszcze sturamienne ssawki olbrzymów, marły w cieniu, przesłonione ich brutalnym przerostem.
W jednym miejscu wychyliła się młoda olcha spoza przęseł sąsiedniego dębu i z tęsknotą wyzwolin nurzała się w słońcu; wtedy dognał ją muskularnym konarem, wpił się w miękki jeszcze rdzeń i przedarł na drugą stronę; strzępami zwisły wywleczone nerwy, w gwałtownym skurczu poskręcały się włókna i słoje. Odtąd poczęła usychać...
W sadzie nigdy nie zalegała cisza. Wiecznie jakieś kwilenia, wiecznie mąciły ją jęki. Ptactwo czegoś nieswoje przykrym zgiełkiem zawodziło po krzewach, błąkało się po gałęziach, tuliło po dziuplach. Czasem wszczynały się piekielne gonitwy po całym ogrodzie i zapanowywała groza walki na śmierć i życie. To rodzice ścigali swe młode; biedne, nieprzywykłe do lotu pisklęta tłukły się w daremnym wysiłku o pnie, łamały skrzydła, rozdzierały pierze, póki znużone, pokrwawione nie obsunęły się na ziemię; wtedy prześladowcy uderzali z góry dziobami tak długo, aż z rozszarpanych zwłok nie pozostało ani śladu.
Dziwny ten sad przejmował instynktownym strachem dzieci moje, gdyż unikały go, poprzestając na zabawie przed chatą. Ja, przeciwnie — prawie zeń nie wychodziłem, badając jego zwyrodniałe objawy, wżerając się coraz głębiej w Jego tajniki. I nie wiadomo jak, niespostrzeżenie dałem się wciągnąć w zaklęte koło, wpleść w mrowisko zbrodni i obłędu. Procesu duchowego, jaki się we mnie odbywał, nie zdołałem śledzić — wszystko zaszło prawie nieświadomie. Dziś dopiero, drogą niezrozumiałej dla mnie anamnezy, odtwarzam sobie najsubtelniejsze jego stadia.
Początkowo była mi atmosfera zagrody i jej otoczenia tak wstrętną, że gdyby nie chęć wyświetlenia prawdy, byłbym ją chętnie opuścił. Z biegiem czasu przyzwyczaiłem się do środowiska, a nawet stało mi się ono niezbędne: spoufaliłem się. Miejsce zaczęło przetwarzać mnie na swój ton i uległem prawu, które nazwałbym „.psychiczną mimikry": dostroiłem się do tła. Pozwoliłem się zbrutalizować.
Przekształcenie zaznaczyło się dobitnie w sympatii, jaką po pewnym czasie zacząłem uczuwać dla pierwiastka przemocy i gwałtu, przeglądającego w charakterze zagrody i tego, co się dookoła niej działo. Stałem się złym i złośliwym. Z rozkoszą łobuza pomagałem ptakom tępić potomstwo, drzewom znęcać się nad latoroślami. Inteligencja ludzka stępiała podówczas w przerażający sposób i przeszła w chęć bezmyślnego niszczenia.
Tak mijały miesiące, a szał mój wzrastał tylko i przybierał coraz to wyuzdańsze formy. Razem ze mną jednak jakby i całe otoczenie postępowało w szaleństwie, jakby spodziewało się bliskiego rozwiązania. Musiałem i ja to przeczuć, bo przypominam sobie, jak pod koniec całymi godzinami wpatrywałem się w chimeryczny fragment na ścianie i w jego uzupełnieniu oczekiwałem klucza do zagadki. Albowiem w końcu wiedziałem tylko to, że mam coś rozwiązać, coś wyjaśnić — z tego, co się ze mną działo, nie zdawałem sobie sprawy.
Równolegle z tymi przejawami zmieniał się mój stosunek do dzieci. Nie mogę powiedzieć, żebym je przestał kochać — przeciwnie, lecz miłość ta przerodziła się w coś potwornego, w rozkosz pastwienia się nad przedmiotem swych uczuć: począłem bić dzieci moje.
Przerażone, zdziwione surowością dotąd łagodnego ojca uciekały przede mną, kryjąc się po kątach. Pamiętam te biedne, jasne oczęta zalane łzami, z cichą skargą w głębi. Raz jeden ocknąłem się. Było to wtedy, gdy mój mały, mój biedny synek wśród razów wyjęknął:
— Tato... dlaczego mnie bijesz?
Zaniosłem się od płaczu, lecz nazajutrz powtórzyło się to samo...
Pewnego dnia wstałem znacznie spokojniejszy niż przedtem i jakby odrodzony po długim, gorączkowym śnie. Jasno zrozumiałem położenie; dłużej pozostawać na tym odludziu byłoby

rzeczą niebezpieczną. Dlatego postanowiłem nazajutrz opuścić je na zawsze, rezygnując z dalszych dociekań. Był to ostatni odruch woli.
Tego wieczora w przeddzień odjazdu siedziałem z dziećmi w izbie, wszyscy troje z zadumą patrzyliśmy przez okna na zachód słońca.
W sadzie zacichło nagle, szemrały nasennie jesiony, ćwierkały świerszcze... zaparło dech światu. Chwila naprężenia...
Leniwym przerzutem zwracam spojrzenie na kaprys ściany.
— Trzeba to uzupełnić... uzupełnić...
Ogarnia mnie czułość. Jestem dobry i łez pełen.
— Jerzy! Pójdź tu, dziecię!...
Siada mi na kolanach ufny, wdzięczny... Musiał odczuć szczerość w głosie... Moje ręce gładzą jasną główkę syna, z wolna obejmując szyję...
— Tato!... nie ściskaj tak mocno! Ta-a-t... Zacharczał...
Drugie dziecko przerażone szybko biegnie ku drzwiom...
— Ucieknie ci!...
Rzucam trupa Jerzego, doganiam córkę i jednym uderzeniem roztrzaskuję jej głowę o belkę...
Krew zmieszała się z purpurą słońca.
Tępo patrzę pod ścianę, gdzie leży syn mój: zda się przywarł do obrazu i uzupełnił go z największą dokładnością; na cal się nie wysunął poza linię.
A w rękach nie zaciśniętych już więcej koło próżni, lecz miażdżących mu szyję, poznałem... moje własne...
Problem zagrody był rozwiązany.

Przed drogą daleką

(Urywki z pamiętnika W. Lasoty)

Maj 1905.
Nastają dla mnie dnie szczęśliwe, pogodne. Jakiś dobry duch zawitał w moje progi. Południa mam teraz ciepłe, słońcem nagrzane, wieczory łagodne, kojące. Praca dnia przynosi mi plon; czuję szacunek ludzi, miłość uwielbianej żony. Jestem młody, zdrów i silny. Ramiona moje prężą się męską energią czynu, mózg mój rozwiązuje łatwo stawiane sobie zadania. Krokiem elastycznym przemierzam ulice, lekki, młodzieńczo swobodny sycę oko barwną zmiennością rzeczy. Piękny, ciekawy jest świat!...
Szczęśliwie rozpocząłem trzydziesty rok życia. Zapowiada się pomyślnie, wśród wróżb dobrych na przyszłość. Dochodzę do długo upragnionych spełnień, stoję w świecie stopą pewną, spokojnie spoglądam w rozwierające się przede mną dalekie perspektywy. Jestem na drodze do zakreślonych mi przez los mój i zdolności szczytów.
Przyjaciół szanowne głowy chylą się ku mnie gestem życzliwym, zgodne w uznaniu, serdeczne uściski rąk ludzi obcych umacniają mię w przekonaniu, że życia nie teram, żem tu potrzebny i ważny.
Zdaje się, zachodzą we mnie od niedawna, może nawet w tych ostatnich czasach, znaczne zmiany w stosunku do życia i jego przejawów. Zaczynam je pojmować bardziej po ziemsku — więc serdeczniej, goręcej. Zbliżyłem się jakoś do świata, do ludzi i słyszę teraz wyraźniej gorące ich

tętno. Życie poczyna mieć dla mnie urok całkiem nowy, dotąd nie spodziewany; jakby zdwoiła się dla mnie jego przedziwna uroda.
Staję się z dniem każdym zapamiętalszym wielbicielem kształtów i form, żywiołowej bujności życiowych procesów, cielesnej strony rozwoju. Ja, niegdyś zwolennik eterycznych abstrakcji, twórca fikcji rozwiewanych za najlżejszym tchnieniem, dziś kocham się w plastyce, w concretum, nurzam się z rozkoszą chorobliwą nawet w małostkach dnia. Jest w tym utajony jakiś głęboki jak morze liryzm, rzewne ukochanie czegoś, co miłe i wrogie zarazem, czarowne i groźne, poważne i naiwne czasem jak dziecko. Jestem dziś dziwnie wyrozumiały i miękki.

Zima r. 1905.
Ogarnia mnie coraz przemożniej jakaś niepojęta żądza zabaw, nienasycone pragnienie rozrywek. Chwili nie mogę usiedzieć spokojnie w domu. Zarzuciłem wszystkie niemal swe prace i bawię się.
Wciągnąłem w ten dziki wir i Martę. Zrazu opierała się łagodnie, lecz z czasem uległa, jak w ogóle zawsze w stosunku do mnie. Chwilami mam wrażenie, że patrzy na mnie z lękiem, jak na obłąkańca, lecz że ciągle śmieję się z tych jej bezwiednych obaw, uspokojona pozwala się unosić rozkosznemu prądowi.
W kołach znajomych zdobyłem już podobno przydomek „pas jonowanego życiowca” i jako taki nie omieszkuję zjawiać się na każdym wieczorku, wencie, reducie, stawać do zawodów sportowych, zabierać głos na burzliwych zgromadzeniach. Zwróciłem nawet swym trybem życia uwagę prasy, która, o ile przedtem, gdy pracowałem istotnie twórczo i poważnie, usiłowała ignorować mnie stereotypowo „zabójczym” milczeniem, teraz ze wszech stron rzuciła się na mnie zajadle jak na apokaliptyczną bestię. Sypią się pod moim adresem morały o marnowaniu talentu, o warcholstwie życiowym, o manii orgiastycznej itp. Nie zważam na nic i od rana do późnej nocy, a czasem do drugiego rana, szumię jak młokos.
I w życiu erotycznym przekraczam teraz coraz wyraźniej dawniejszą miarę. Co gorsza, czuję, że jestem wprost anormalny. Sądzę, że po części przyczynia się do tego nerwowy sposób życia, jaki teraz prowadzę. Budzą się we mnie jakieś pierwotne instynkty i chorobliwa pobudliwość zmysłów.
Żal mi tylko Marty. Wprawdzie jej podatny jak wosk charakter przystosował się niebawem i to nie bez uczucia wzajemnej rozkoszy do zmienionych warunków, lecz mimo wszystko ona mi teraz nie wystarcza. Dla mnie jest to chwilami okropne, lecz nie mogę się opanować. Pijany jestem. Na szczęście ona o niczym nie wie; nawet nie przeczuwa. Nie przeniosłaby tego. Owszem, jest teraz dla mnie podwójnie dobra i wyrozumiała. A jednak... a jednak nie czuję się szczęśliwy.
Właściwie nie brak mi niczego, a przecież... jakoś mi dziwnie. Miewam chwile prostracji duchowych lub też niepokojów, tak dusznych, że zrywam się w nocy i cichaczem wypadłszy z domu topię ciemny strach w rozrywkach. Coś mię dusi, dławi. Czasami boję się własnego cienia i nie śmiem pozostać sam przez parę; minut.
Muszę być ustawicznie wśród ludzi, widzieć ludzkie twarze, słyszeć ludzki głos, czuć obecność istot żyjących. Zresztą czuję się coraz częściej okropnie samotny, beznadziejnie izolowany. Niejednokrotnie w czasie najhuczniejszej zabawy, gdy twarz Marty, zaróżowiona od wzruszenia, tchnie tym niewysłowionym blaskiem, który w niej zawsze tak podziwiam, nagle ci piękni, wyfraczeni mężczyźni, wytworne, do omdlenia czarujące kobiety — wszystko to odsuwa mi się gdzieś w głąb, w daleką, bez kresów perspektywę i zostaję sam wśród jasnej, nużącej zgiełkiem świateł sali, sam, absolutnie sam...

Luty 1906.
Oni wszyscy pozostają w nieświadomym porozumieniu co do mojej osoby. Wytworzyła się niemal entente cordiale co do postawy, jaką należy przybrać wobec mnie.
Stało się to nie wiadomo jak, ukradkiem prawie, ale niewątpliwie. Oni sami nie zdają sobie z tego sprawy, co właściwie zaszło, i gdybym ich o to zagadnął, z pewnością każdy odpowiedziałby zdumieniem. A przecież zachowują się teraz względem mnie całkiem inaczej niż przedtem. To nie przywidzenie — stanowczo nie! Coś w tym jest. Nie chodzi tu o lekceważenie lub pogardę. Przeciwnie. Ludzie są dla mnie uprzejmi jak dawniej, nawet, powiedziałbym, czołobitni, lecz... i tu

widzę tajemniczą a zgodną u wszystkich zmianę — szacunek ich dla mnie nabrał cech jakby pewnej bojaźni, jakby żywiołowej trwogi. Lecz nie jest to bojaźń czci, ale coś całkiem innego...
Co właściwie w tym tkwi, odgadnąć nie umiem.
Mam tylko wrażenia i odczucia. Ludzie zachowują się wobec mnie z trwożną rezerwą. Gdy staram się zbliżyć, instynktownie uchylają się, lubo wśród oznak szacunku. Wiem z całą pewnością, że źródłem tego nie jest poczucie niższości, chęć ukorzenia się — nie, wszystko, tylko nie to. Oni raczej traktują mnie jako coś heterogenicznego, niewspółmiernego z nimi, przed czym zdrowy instynkt ostrzega i każe się mieć na baczności. Czasami muszę się uważać wśród nich za ciało obce.
Sytuacja moja jest tym nieznośniejsza, że właśnie teraz najbardziej potrzebuję towarzystwa ludzkiego. Tymczasem gdziekolwiek się pojawię, od razu staję się im ciężarem. Maskują się naturalnie pokrywając przykre uczucie, jakie wszędzie wywołuję, grymasem grzeczności, lecz ja to dobrze widzę i odczuwam, i nie dam się zmylić. Najwidoczniej krępuje ich moja obecność...
Tym to dziwniejsze, że miewam zwykle szalony humor i staram się ubawić ich wszelkimi sposobami. I chwilami udaje mi się wybornie; zapominają jakby o czymś i serdeczna ochota ciepłym nurtem przepływa im po duszy. Lecz wystarczy jakiś drobny szczegół, jakieś słówko poważniejsze, rzucone w przelocie, a wszystko wraca do dawnego stanu, i znów robi się wkoło mnie przerażająca pustka...

20 lutego 1906 r.
Zachodzą mi drogę jacyś ludzie nieznani i przemawiają słowami zagadek... Pojawiają się znaki, skinienia dziwne i odegrawszy przede mną ciemne swe role, zapadają gdzieś w dal. Przytrafiają się zdarzenia szczególne, zajścia dwuznaczne i przewinąwszy się przed mym wylękłym okiem, rozpływają w przestrzeni...
Coś się wkoło mnie dzieje! Na coś się w pobliżu zanosi...
Przed paru dniami byłem z żoną na maskaradzie. Marta w swym przebraniu cygańskim budziła powszechne zajęcie.
Tłumy masek krążyły koło niej bez przerwy. Bawiłem się jak nigdy. Miałem strój rybacki z przewieszonym przez ramię zielonym niewodem. Bezpieczny pod maską, pewny swego incognito, drwiłem niemiłosiernie wywołując na sali wybuchy śmiechu. Nikt nie domyślał się, że złośliwie baraszkujący, pełen szalonej werwy rybitwa i ciemnowłosa cyganka — to małżeństwo.
Mimo to wśród najhuczniejszej wesołości, gdy rozbawiony tłum wyrywał nas sobie formalnie z objęć, miałem dziwnie przykre spotkanie. W pewnej chwili przystąpiło do mnie jakieś wysokie, chude domino i półżartem rzuciło mi, przechodząc, uwagę:
— Wesoły rybaku, miotasz się jak opętaniec i wywijasz siecią tak skwapliwie, jak gdybyś chciał nas wszystkich w nią złowić. Lecz niewód twój pusty, zdobycz wymyka ci się z rąk, a śmiech, który tak chciwie zdobywasz, dźwięczy nieszczerze. Czuć cię wodą. Zbyt przesiąkłeś chłodem topieli i teraz przemocą chcesz się tu rozgrzać. Robisz wrażenie cienia, który zapragnął zostać przedmiotem.
Rzuciłem się ku impertynentowi, aby dać mu porządną odprawę, lecz ten wmieszał się natychmiast w tłum bezpowrotnie.
Doznałem nader przykrego wrażenia. Ciemne słowa nieznajomego dotknęły mię głęboko, kojarząc się bezwiednie z nastrojem dni ostatnich. Dopiero dzielna pomoc Marty zatarła następstwa niemiłego epizodu i noc upłynęła nam już do końca pogodnie.

1 marca 1906.
Od tygodnia mam noc w noc ciągle ten sam, szary sen. Uporczywie powtarza się jakiś obraz beznadziejny suchą monotonią.
Śni mi się jakaś stroma, zapadła sień z jednym do połowy stłuczonym oknem na podwórze. Z sieni pnie się w górę klatka schodowa, kręta tysiącem przegubów, nużąco długa... Stoję na pierwszych stopniach i wchodzę powoli na piętra. Nogi wloką się leniwo, stukają ciężko po dębowych deskach budząc głuche echa pustej przestrzeni. Stopnie są brudne, opylone grubą warstwą szarego kurzu, który pod uderzeniem obuwia wzbija się śniadą chmurą i dusi. W powietrzu czuć suchość, język

przywiera do podniebienia. A schody wiją się bez końca ku niewidomym piętrom, ciągną się nieubłaganie wzwyż nudnym następstwem rzeczy powszednich. Gdy chcę przystanąć na chwilę i rzucam okiem poza siebie, popielate morze stopni pręży się ku mnie wężowymi skręty, że z trwogą odwracam się od szarej otchłani i wdzieram dalej, wyżej, wytężam resztki sił, napinam zwiotczałe nerwy. Pot perlisty występuje mi na czoło chłodne jak żelazo, ręce drgają jak szalone, a tępy wzrok, wlepiony w opętaną drabinę, snuje się gnuśnie po pajęczych wiszarach...
Tak idę godzinami, bez przerwy, noc całą, a gdy już świt osrebrzy mą sypialnię, budzę się z potępieńczym znużeniem jak pielgrzym znużony. Szary, szary sen...

6 marca.
Ciągle jeszcze dławi mnie po nocach ta sama zmora. Już drugi tydzień wędruję we śnie po plugawych schodach i połykam kurz zbutwiałych stopni. Lecz są i pewne zmiany. Sen zdaje się rozwijać nowe motywy i dążyć ku jakiemuś rozwiązaniu...
Nie jestem już sam w pylnej klatce: mam towarzysza. Spotykam go od minionej soboty zawsze mniej więcej w środku drogi ku górze. Wygląda na stróża tego dziwnego domostwa, bo w ręku pobrzękuje pękiem starych, zardzewiałych kluczy. Schodzi skądś z górnych pięter, a stąpa tak cicho, że kroków nie słychać: idzie po schodach jak cień.
Szczególny człowiek. Nigdy na mnie nie patrzy, jakby się bał mego spojrzenia, lecz ustępuje mi trwożliwie z drogi przesuwając swą wydłużoną postać tuż przy ścianie. Usiłowałem parę razy zajrzeć mu w twarz, lecz szeroki pilśniowy kapelusz, nasunięty głęboko na czoło, udaremnia moje wysiłki.
Minąwszy mnie zstępuje niżej w dół i znika nagle jak widmo, gdy ja zajadle, bez tchu wdzieram się na nową, coraz wyższą kondygnację...
Dopiero wczoraj dotarłem nareszcie do końca obłąkanej klatki i stanąłem na czworokątnej platformie przed jakimiś drzwiami okutymi w żelazne sztaby. Tu był kres.
Oparłem się wyczerpany o spróchniałą balustradę ostatnich schodów naprzeciw wierzei i wlepiłem wzrok w żelazne przecznice... Gdyby tak drzwi otworzyć i zajrzeć do wnętrza?
Uderzyłem ze wszystkich sił w żelazną zaporę, lecz okrwawiłem tylko ręce, które od bólu skurczyły się nerwowo i opadły bezradne.
Nie zrażony, oparłem się całym ciałem o skrzydła, usiłując wyważyć je z zawiasów, i szamotałem się z upartymi antabami w nadziei, że uda mi się je wyrwać z nitów. Lecz wściekłe spoiwa trzymały z nieubłaganą wytrwałością i nie poddawały się.
Gdy zniechęcony niemal już słaniałem się na kolanach, uczułem, jak ktoś mi wsuwa w rękę jakieś ostre, stalowe narzędzie. Chwyciłem uradowany, zrozumiawszy, że chce mi ułatwić zadanie i wdzięczny zwróciłem się ku niespodziewanemu pomocnikowi. Lecz w tymże momencie odskoczyłem dziko w kąt między ścianą a balaskami. Człowiekiem, który chciał mi się przysłużyć, był „stróż” spotykany po drodze na schodach. Kapelusz nie ocieniał mu teraz twarzy — ha, ha! — on jej nigdy nie mógł zakrywać, bo w miejscu twarzy czerniały tylko dwie puste jamy!...

10 marca.
Zdaje mi się — prześniłem mój sen do końca. Obraz, który ujrzałem nocy dzisiejszej, nosi na sobie wszelkie cechy epilogu. Jeżeli się sprawdzi jutro, rozumni obserwatorowie życia, którzy ze zdumieniem śledzą me wyuzdanie, może wreszcie pojmą je i przestając uważać mnie za wariata, skłonią w zadumie głowy:
— Tak być musiało.
Piszę te słowa spokojnie; tak spokojnie, że chwilami sam sobie się dziwię. Wszakże to jutro!
Godziny upływają mi zwykłym trybem, wydzwaniane miarowo przez stare zegary, zajęcia dnia powtarzają się z obojętną regularnością rzeczy zwyczajnych.
Na zewnątrz nie dzieje się nic. Wszystko po dawnemu, nigdzie podejrzanej rysy, niepokojącej zmiany. Takie to jakieś dziwne, tak okropnie dziwne! Wszakże jutro!
Chociaż... może się mylę biorąc poważnie wytwory schorzałego mózgu, może ja się mylę... Zresztą wszystko mi jedno; jestem tak apatyczny, tak poddańczo zrezygnowany...

Właściwie nie wiem, po co to piszę. Wartość tych kilku kartek zawisła od jutra; jeśli ono odpowie snowi, pamiętnik będzie stanowił ciekawy dokument.
Jestem niby spokojny, a cały drżę jak w febrze i nie mogę w skupieniu skreślić paru linii. A spieszyć się muszę bardzo, bo czasu mam dzisiaj mało i chciałbym jeszcze odwiedzić wszystkich mych przyjaciół...
Chodzi tedy o epilog dzisiejszej nocy, o zakończenie snu, który dręczy mię od kilku tygodni. Prawdziwie stylowy finał!...
W jakiejś porze nocy ujrzałem się znów przed okutymi drzwiami. Stały nieubłaganie zawarte jak ostatniego razu. Lecz po dokładniejszym zbadaniu jednego z żelaznych skrzydeł dostrzegłem w nim wycięty prostokątny otwór. Prawdopodobnie wykroiłem go sam za pomocą pilnika ubiegłej nocy, chociaż nie mogłem przypomnieć sobie odnośnego obrazu we śnie.
Zajrzałem przez otwór.
Za drzwiami był pokój.
Wyglądał na pracownię zamożnego człowieka urządzoną ze smakiem i wykwintną prostotą.
W kącie stała oszklona szafka z orzecha na książki, na środku biurko, obok mały stolik z krzesłami, obciągniętymi ciemnozieloną skórą. Na ścianach parę obrazów, których treści nie pamiętam.
Za biurkiem, w szerokim fotelu z poręczami, siedział obrócony do mnie plecami jakiś mężczyzna i coś pisał. Od czasu do czasu odkładał pióro, aby zaciągnąć się cygarem, które dymiło obok w popielnicy, po czym zabierał się gorliwie do dalszej pracy. A była dziwna.
Nieznajomy widocznie nie pisał nic ciągłego, bo co parę chwil odkładał na bok zapisywaną krótko kartkę, aby zastąpić ją drugą. Miałem wrażenie, że zajęty jest adresowaniem. Starałem się uchwycić rysy jego twarzy, lecz nie udało mi się: siedział wciąż plecami ku otworowi i nie obejrzał się ani razu.
Tymczasem obok na biurku piętrzył się coraz wyżej stos kart. Były zgięte w połowie, ze sztywnego, lśniącego kartonu, i każda na grzbiecie, ze strony zewnętrznej, miała świeżo napisane atramentem cztery wyrazy. Były to oczywiście adresy różnych osób.
Stąd wnosiłem, że wewnątrz kartony muszą zawierać jakąś treść drukowaną, i to jednakową dla wszystkich: może zaproszenia na jakąś rodzinną uroczystość?...
Nagle przerwał pisanie, potarł ręką czoło i jakby przypominając coś sobie nacisnął guzik dzwonka.
Wszedł służący. Pan, nie opuszczając fotela, wydał jakiś rozkaz poparty gestem, po czym, ukrywszy twarz w dłonie, oparł się łokciami o biurko i zamyślił...
Wtem otworzyły się drzwi naprzeciw i weszło kilku ludzi z jakimś podłużnym, walcowatym pakietem; za nimi wniosło do pokoju dwóch wyrostków trzy podwójne drabiny.
Pan domu nie podniósł czoła, lecz z głową pochyloną siedział nieruchomo w poprzedniej pozycji.
Wtedy ludzie poczęli rozwijać swe rulony, z których obsunęły się na posadzkę szerokie, morowo lśniące płaty czarnej kitajki. Jeden z wyrostków poprzystawiał do ścian gabinetu drabiny, po czym skinąwszy na towarzysza wyśliznął się cicho z pokoju. Pozostali podzielili się na dwie partie; jedni wstąpili na szczeble, unosząc ze sobą w górę krucze opony, drudzy, pozostali u dołu, odmotywali zwoje, przekrawając materię nożycami, gdy w odpowiedniej długości pokryła ścianę.
Z kolei nastąpiło przybijanie kirów. Słyszałem wyraźnie suchy stukot młotków uderzających o mur, w uszach zgrzytał mi jęk gwoździ, które natrafiały na twardą przeszkodę...
Praca szła w szalonym tempie; po kilku chwilach zewsząd zwisały okropne makaty, przesłaniając wszystko jednolitą, połyskującą metalicznie czernią.
Skończywszy pracę robotnicy odeszli. Nieznajomy wciąż siedział nieruchomo za biurkiem, nie podnosząc twarzy. Zdawał się nie dostrzegać zmiany, jakiej uległo otoczenie.
Wtem znów otworzyły się drzwi naprzeciw i do pokoju wniosło paru chłopaków kilkanaście wazonów z kwiatami, doniczki ze świeżymi pękami tuberoz, lewkonii, mirtów, stosy wieńców z białymi szarfami. Złożywszy je pod oknem zniknęli.
Po chwili u wejścia ukazał się służący i otworzył szeroko skrzydła drzwi, czyniąc gest zapraszający do wnętrza. Wtedy dopiero pan domu podniósł się na przyjęcie gości. Oparłszy się lewą ręką o brzeg stołu, drugą wyciągnął ruchem wytwornym na powitanie.
Niedługo czekał. Niebawem w drzwiach zaczerniało parę postaci męskich w stroju wieczorowym.

Szybko przeszedłszy chodnik, rozesłany od wejścia do biurka, ściskali w milczeniu dłoń gospodarza. Twarze poważne, surowe, skupione. Poznałem ich: byli to moi najbliżsi znajomi. Potem przyszli inni. Żaden nie był mi obcy: sami towarzysze pracy, koledzy, gdzieniegdzie ludzie przygodnie poznani. Poprzez zwarty tłum ubrań wieczorowych dojrzałem tu i ówdzie kilka kobiet z towarzystwa, do którego należałem.
Goście po przywitaniu się z panem domu usunęli się w głąb pokoju, zapełniając go powoli ciemnym zastępem. Nie było słychać żadnych rozmów, żadnych szeptów: panowało głuche milczenie, nie przerywane nawet słowami przywitania; podawano sobie tylko ręce bez słów, jakby w niemym porozumieniu...
Nagle tłum rozsunął się wśród oznak szacunku i tworząc szpaler, przepuścił środkiem jakąś kobietę, ubraną w ciężką żałobę. Spod zapuszczonego kwefu wymykały się połyskujące ciepło na skrętach ciemnopłowe pukle włosów; smukła i gibka jak trzcina, szła krokiem pełnym utajonej dystynkcji, której nawet ból i żałoba chwili nie zdołały zatrzeć.
Ujrzawszy wchodzącą, nieznajomy mężczyzna postąpił ku niej i wyciągnął ramiona. Obsunęła się w nie bez słowa i na długą chwilę spoczęła w cichym objęciu. Po czasie on dźwignął wiotką jej kibić i oparłszy na swoim ramieniu, odsunął sprzed oczu jej welon... Kobietą była moja żona...
Długo, długo wpatrywał się w jej twarz, w jej prześliczne oczy i chłonął słodycz jej spojrzenia. Potem powoli, nie spuszczając z niej wzroku, sięgnął wstecz ręką ku biurku i wziąwszy ze stosu leżących tam kart jedną, otworzył ją i podał Marcie do przeczytania...
Była to klepsydra pogrzebowa. Rzucała się w oczy data: 11 marca 1906, a nad nią nazwisko zmarłego: Atosal. — Dziwne nazwisko!...
Nagle przyszło mi na myśl, że należy je odczytać na wspak... Zacząłem... W miarę jak porządkowałem wstecznie litery, nieznajomy powoli obrócił się ku mnie twarzą i... Wśród okrzyku grozy obudziłem się...
Dopisek wydawcy pamiętnika:
W. Lasota zmarł dnia 11 marca 1906 roku śmiercią nagłą, trafiony w głowę przez spadającą z rusztowania cegłę.

Na tropie

Obudziłem się z głową ciężką jak ołów, śmiertelnie znużony. Spojrzałem na zegar: była dwunasta w południe. Spałem dziś niezwykle długo.
W całym domu cisza skwarnego południa, senne odrętwienie lipcowego upału. Byłem sam. Stary Jan wyniósł się gdzieś jak zwykle do sąsiadów na poobiednią fajeczkę, zostawiając mię na łasce Opatrzności.
Z niewymownym trudem podłożyłem ręce pod głowę wlepiając wzrok w sufit. Jakieś potworne wyczerpanie zawiesiło mi u nóg i rąk gigantyczne ciężary i nie pozwalało dźwignąć się z otomany.
Cofnąłem się pamięcią do dnia poprzedniego, lecz nie znalazłem nic, co by mogło wywołać to iście homeryczne rozluźnienie członków. Dzień upłynął mi spokojnie na podmalowywaniu pejzaży; wieczorem przy blasku księżyca odbyłem małą przechadzkę po mieście, po czym koło dziesiątej poszedłem spać. Oto wszystko.
Więc nie tędy droga. W tym tkwi coś innego. A możem ja chory? Lecz skądże by znowu?
Wzrok oderwany od mozaiki stropu mimowolnie padł na stalowy ekran wysunięty na środek pokoju. Był to mój hipnoskop. W chwilach wolnych oddaję się studiom z tak ciekawej dziedziny

jak hipnoza i doszedłem już do dość obiecujących wyników, zwłaszcza w zakresie samousypiania. Wystarczy mi rzucić parę skupionych spojrzeń w głąb ekranu, a natychmiast zapadam w sen, z którego budzę się o godzinie z góry przez siebie naznaczonej.
W ostatnich jednak czasach zaprzestałem doświadczeń zauważywszy, że wpływają rozstrajająco na mój organizm, gdyż budziłem się jakiś nieswój i jakby odkształcony.
Mimo to widocznie wczoraj coś mię skusiło po dłuższej przerwie do podjęcia eksperymentu. Tak przynajmniej kazała przypuszczać pozycja ekranu na środku pokoju; zwykle bowiem stoi pod ścianą.
Dziwiła tylko jedna okoliczność. Nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie, czy istotnie wczoraj wieczorem zaglądałem w hipnoskop. W każdym razie musiało to nastąpić już po powrocie z przechadzki, więc po dziesiątej w nocy. A przecież ostatnim faktem z ubiegłego dnia, jaki mi pozostał w pamięci, była chwila zdejmowania zarzutki, którą zawiesiłem na stojaku. Co się potem stało, nie pamiętam. Prawdopodobnie przyszła mi skądś ochota do autohipnozy, nie omieszkałem jej zaspokoić.
Wszystko więc było wyjaśnione i powód znużenia poniekąd zrozumiały. Chodziło tylko o to, o czym właściwie śniłem i co się ze mną w tym czasie działo. Tu irytowała mię zawsze szczególna niepamięć, jaka omotywała mi mózg po zbudzeniu się: nigdy nie mogłem sobie niczego przypomnieć.
A perypetie autohipnozy musiały być czasami nader zajmujące. Przekonałem się o tym naocznie w dziwny, przypadkowy niemal sposób.
Pewnego dnia, zbudziwszy się nad ranem, spostrzegłem ze zdumieniem na rusztowaniu przy sztalugach kadłub jakiegoś starego posągu. Kamień był już miejscami zwietrzały i porysowany, mimo to znać było jeszcze ślady mistrzowskiej ręki w bajecznie rysujących się liniach torsu. Nie mogłem zrazu absolutnie dociec, jaką drogą ten fragment dostał się do mej pracowni. Myślałem, że może który ze znajomych chciał mi wypłatać figla lub że Janowi przyszła ochota uraczenia mnie tym ułamkiem sztuki. Lecz wszelkie dochodzenia spełzły na niczym; każdy wzruszał ramionami i patrzył na mnie jak na szaleńca.
Poddałem więc szczególny nabytek dokładnej obserwacji i po jakimś czasie doszedłem do przekonania, ale gdzieś już widziałem ten ułamek o tragicznym rzucie głowy. Przed kilku laty, przechodząc koło starego parku w odległej dzielnicy miasta, spostrzegłem w głębi na półrozwalonym piedestale silnie zwietrzały posąg bez rąk, ledwo trzymający się podstawy. Robota wpadła mi jednak w oko i zrobiła wrażenie. Jakiś czas nawet nosiłem się z myślą przeniesienia go na paletę. Potem zapomniałem najzupełniej.
Prawdopodobnie tedy w chwili samousypiania, w tym ostatnim momencie, który rozgranicza jawę od snu, przemknęło mi w myśli wyobrażenie posągu, połączone może z chęcią sprowadzenia go do siebie. Tę ostatnią, niemal już pod progiem świadomości zrodzoną myśl, zaciągnąłem ze sobą jak niewód w mglistą topiel snu, gdzie drogą autosugestii przemieniła się w nieprzeparty rozkaz. Poszedłem i przyniosłem.
O tożsamości posągu przekonałem się podczas jednej z przechadzek, którą umyślnie odbyłem wkrótce potem w kierunku wspomnianego parku. Zastałem tu wszystko tak jak przed laty; lecz w miejscu, na którym stał niegdyś zdefektowany tors, obecnie sterczał nagi, ogołocony postument; tylko paprocie, wybujawszy wysoko ponad brzegi, otuliły go zielonymi spławami, jakby zakrywając ze wstydem bielejącą nagość.
Do dziś dnia nie mogę przecież zrozumieć, w jaki sposób przeniosłem ciężki, kamienny kadłub z parku do pracowni: zaprawdę potrzeba było do tego sił olbrzyma. Działał tu chyba jakiś wściekły, bezwzględny nakaz wnętrza, jakiś kategoryczny imperatyw, wobec którego nie ma namysłu ni wahania; wszystkie siły zestokrotniają się, wszystkie ścięgna prężą w szalonym wysiłku, by zaspokoić, wypełnić coś, co żarzącymi głoskami wypaliło się we wnękach duszy; dźwiga się jakaś niesamowita, nerwowa moc i pędzi na łeb, na szyję, przez debry, wykroty, łamie, druzgoce, wali w proch do stóp swych wszystko, co staje na zawadzie, i dopina celu zziajana, krwią ociekła, lecz triumfująca…
Co mnie jednak najbardziej zaniepokoiło przy tym dziwacznym zdarzeniu — to przypuszczalne

rozrastanie się do rozmiarów wewnętrznego nakazu owej ostatniej, może całkiem przelotnej myśli w chwili zasypiania. Wszystko zależało od tej ostatniej, niemal w przedsionku snu wałęsającej się myśli.
Podniosłem się ciężko z posłania i zacząłem ubierać się.
Po chwili zauważyłem ze zdumieniem, że wdziałem ubranie wizytowe zamiast zwykłego, które noszę codziennie. Czyżby mi Jan przygotował je umyślnie na dzisiaj? O ile sobie przypominam, nie wydałem mu żadnych specjalnych instrukcji, a wczoraj u nikogo z wizytą nie byłem. Być może więc uważał, że moje codzienne szaty już zbyt wytarte i nie wypada mi się w nich pokazywać nawet w „budny" dzień. Już to w ogóle postępował sobie ze mną dość samowładnie. Poczciwina!
Byłem cały tak „zbity", że nie chciało mi się ponownie przebierać i włożyłem mój świeżo wykończony, czarny jak kruk tużurek.
Było mi jakoś nieswojo: jakieś trudne do określenia uczucie niechęci czy wstrętu nurtowało we mnie od chwili zbudzenia się; w ustach rozpanoszył się gorzki obrzask obrzydzenia.
Przeszedłem się parę razy po pokoju dla otrząśnięcia się z przykrych sensacji i odzyskania równowagi. Raz mijając zwierciadło mimo woli spojrzałem w głąb i przeraziłem się: byłem trupio blady, oczy błyszczały mi jakimś podnieconym, fosforyzującym blaskiem, a ręce wykonywały szczególne ruchy. Przypatrzyłem im się z uwagą: wyciągnąłem je na poziomie bioder równolegle naprzód po jednej linii, potrząsając nerwowo palcami, z których zdawałem się coś opuszczać. Mogłem się zresztą przychwycić na tym tylko na krótką chwilę, bo zauważywszy to, prawie gwałtem opanowałem się, wsuwając ręce do kieszeni. Czyżby nerwowe delirium?...
W sionce odezwało się charakterystyczne pochrząkiwanie i cmokanie z fajeczki: Jan wracał z pogawędki. Jakoż po chwili wszedł niezupełnie znać zadowolony ze mnie.
— No, przecież się pan raz pozbierał! Słyszane rzeczy — spać do południa! Dobudzić się nie mogłem. Było tu jakieś panisko, długie, chude jak śmierć. Coś gadał o obrazach. Mówiłem, że pan śpi, żeby przyszedł później. Nie chciał ustąpić. Więc zacząłem pana trochę i ruszać — ale nie pomogło — żelazny sen Pan Bóg tej nocy zesłał, kamienny sen.
— Ma Jan słuszność. Spałem jak zabity. Ale po co u licha zmienił mi Jan ubranie! Przecież nie prosiłem wczoraj o to.
Stary popatrzył na mnie zdumiony, widocznie teraz dopiero spostrzegając, że jestem w wizytowym tużurku.
— Ja zmieniać? A dalibóg — to pan już całkiem chyba tego... — tu zrobił przejrzysty znak na czole. — Wyczyściłem tylko to, co znalazłem rano na krześle. Musiało leżeć nowe — to i jest nowe.
Przerwał, coś sobie przypominając.
— Niech no pan poczeka; coś sobie przypomnę... zaraz... zaraz... Aha, tak... a juści tak. Wczoraj wieczór, najakuratniej pamiętam, miał panisko tamto codzienne z aksamitną kurtą. A jakże, żebym tak zdrów był. Nic innego, tylko pan sam przed spaniem tamto schował, a inne na dziś położył i zapomniał.
Mówił spokojnie jak zwykle, swym serdecznym, dobrotliwie zrzędzącym tonem. Lecz oczy jego chwilami spoczywały na mnie z pewnym zdumieniem, jakby czymś zaciekawione.
— No dobrze już, dobrze. Tak — musiałem widocznie sam przemienić ubrania, choć nie wiem dziś po co. Proszę o śniadanie. Dzienniki są?
— A jakże. Właśnie chłopczysko przyniosło. Jakiś tam nadzwyczajny dodatek, telegram, licho wie co, wsunął mi w łapę. Wziąłem, bo może pan ciekawy. Zaraz przyniosę wszystko.
W parę minut potem dymiła już na stole kawa, rozwierały zapraszająco swe łamy dzienniki.
Wypiłem kawę i zapaliwszy papierosa zabrałem się do odczytywania dzienników. Nawinął mi się pod rękę ów nadzwyczajny telegram, wybity wyjątkowo wcześnie, bo jeszcze przed wydaniem porannym. Na czele rzucał się w oczy tłustym drukiem tytuł sensacyjnego wypadku:

TRAGICZNA ŚMIERĆ HRABIANKI W. S.

Z zasady pogardliwie pomijam wszelkie artykuły z zakresu kryminalistyki; nie lubię krwawych,

szpitalem lub morgą zalatujących wrażeń. I tym razem chciałem już odłożyć tę nadzwyczajność na bok, gdy przelotny rzut oka na czerniejące rzędy liter zatrzymał się na jednym wyrazie. Była nim nazwa pewnej podmiejskiej miejscowości, z którą łączyło mnie parę odległych wprawdzie, lecz dość silnych wspomnień.
Podjąłem wzgardzony telegram i przeczytałem następującą, zresztą zwięźle podaną wiadomość:

Dziś w nocy na „Wygnance" zaszedł dziwny, tragiczny Wypadek. Nad ranem w jednej z komnat „Czerwonego Zamku", dziedzicznej własności hrabiów S., znaleziono zwłoki dwudziestoletniej hrabianki Walerii. Śmierć nastąpiła wskutek celnego ciosu, zadanego w serce puginałem. Innych ran ani obrażeń na ciele dotąd nie stwierdzono. Sprawa przedstawia się ciemno i tajemniczo. Obszerniejszych wiadomości udzielimy w numerze porannym.

Jak już nadmieniłem, uwagę moją zatrzymała na sobie nazwa miejscowości. Była nią wspomniana „Wygnanka", rodzaj przysiółka czy podmiejskiego folwarku oddalonego od miasta niespełna o milę. W okolicy tej byłem wprawdzie raz tylko w życiu, lecz doznałem wtedy tak silnego wzruszenia, że złączenie jej nazwy z sensacyjnym wypadkiem skłoniło mię do bliższego wglądnięcia w sprawę.
Z „Czerwonym Zamkiem" łączyło mnie wspomnienie przepięknej kobiety widzianej raz przed laty. Byłażby nią właśnie tragiczna ofiara ubiegłej nocy?
Podjąłem z kolei numer poranny chcąc dowiedzieć się czegoś bardziej określonego. Oto co znalazłem:

TAJEMNICZA ZBRODNIA!

Okropny wypadek, który zaszedł dziś w nocy ze środy na czwartek w „Czerwonym Zamku", nosi na sobie piętno czegoś tajemniczego. Po bliższym zbadaniu sprawy wykluczono możliwość samobójstwa; panna Waleria S. padła ofiarą jakiejś mściwej, zbrodniczej ręki. Świadczą o tym następujące, dreszczem grozy przejmujące fakty.
Gdy dziś nad ranem koło godziny 8 pani Maria S. po jednodniowej nieobecności powróciła do zamku, zastała u bramy wjazdowej niemal całą służbę w trwożnym pomieszaniu; twarze wszystkich zakłopotane z tajonym wylękiem patrzyły w oczy pani. Pani S. tknięta przeczuciem zapytała o zdrowie ukochanej córki Walerii, którą pozostawiła wyjątkowo w domu. Wtedy wystąpiła w imieniu innych stara piastunka Nastusia, oświadczając z drżeniem w głosie, że panienka albo zaspała, albo, co nie daj Boże, zasłabła; dotąd bowiem z sypialni nie wyszła, chociaż wczoraj wieczorem zapowiedziała, że wstanie wcześniej, by powitać matkę. Budzić nikt dotąd nie śmiał, zresztą panienka onegdaj zamknęła się od wnętrza, a dostać się do pokoju inną drogą nie można.
Zaniepokojona pani S. natychmiast pośpieszyła na górę i zaczęła gwałtownie potrząsać klamką od drzwi sypialni córki. Gdy po kilku podobnych próbach z wnętrza nie odpowiedziano, zaleciwszy zupełne milczenie, przyłożyła ucho do wlotu klucza, nasłuchując oddechu śpiącej. Lecz wewnątrz panowało głuche milczenie. Wtedy przerażona kazała bezzwłocznie wyważyć zaryglowane podwoje. Po wejściu do środka pierwsze spojrzenie skierowała pani S. na łóżko córki. Oto, jaki widok przedstawił się oczom nieszczęśliwej, jak gromem rażonej matki.
Pod kobiercem białych lilii leżała na wznak z rękoma złożonymi jak do modlitwy Waleria. W piersi, w okolicy serca, tkwiła rękojeść puginału; spod kwiatów, na kołdrze, rąbku koszuli na piersiach i białym wełnistym dywanie przeglądały skrzepłe plamy krwi. Nieszczęśliwa zdawała się spać: przymknięte oczy, twarz cicha, bez rysy bólu nadawały jej wygląd pogrążonej w głębokim spoczynku. Lecz serce przeszyte stalą nie biło: w łożu był trup.
Zawiadomiony telefonicznie przez odchodzącą niemal od zmysłów matkę urząd policyjny wysłał na miejsce zbrodni komisarza i rzeczoznawców. Jak wykazała ekspertyza lekarska, zginęła panna Waleria wskutek niezwykle celnego ciosu zadanego sztyletem długości półtora dcm w prawą komorę sercową. Uderzenie było silne — puginał zanurzył się po rękojeść. Najprawdopodobniej śmierć nastąpiła momentalnie, bez przebudzenia się ofiary. Świadczą o tym zamknięte oczy i

pogodny wyraz twarzy.
Rzeczoznawcy utrzymują, że zamachu dokonano już po północy, między godziną drugą a trzecią nad ranem.
Z kolei przystąpiła policja do poszukiwań zbrodniarza. Tu od razu napotkano niezwykłe trudności. Przede wszystkim wysunęła się na plan pierwszy kwestia motywów. Rabunek, chęć zysku są stanowczo wykluczone; w sypialni, jak i w całym zamku, wszystko znaleziono nietkniętym. Więc chyba zemsta lub zazdrość. Tu wyłoniło się pytanie: czy sprawcą zbrodni jest kobieta, czy mężczyzna? Pytanie, na które dotąd nikt nie zdołał dać stanowczej odpowiedzi. Zmarła była kobietą niezwykłej urody; musiała mieć bez wątpienia wiele nieprzyjaciółek, budzić niejednokrotnie chęć współzawodniczenia wśród mężczyzn.
Zrazu sądzono, że do orientacji pomogą lilie, pod którymi znaleziono zwłoki: szczegół dziwny, pełen ponurej, cmentarnej poezji. Lecz tu sprawa utknęła bez wyjścia; większość uznała go za przebiegły środek, użyty dla zmylenia pościgu. Może przyszłość użyczy lepszych wyjaśnień. W ogóle podnieść musimy, że poprzez całą tę grozą ziejącą tragedię „Czerwonego Zamku” przewija się rys niesamowity i zagadkowy.
Nie wiadomo przede wszystkim, w jaki sposób sprawca mordu dostał się do komnaty sypialnej panny „Walerii. Jak zeznała w śledztwie matka, zastała nad ranem sypialnię zaryglowaną od wnętrza. Wyjeżdżając bowiem, kazała córce zamknąć się na noc, izolując ją w ten sposób od służby śpiącej na dole w czeladnej. Obok sypialni ciągnie się długi szereg sal stojących pustką od czasu śmierci pana domu. Zajmują je chyba krewni w czasie rodzinnych zjazdów. Lecz w ostatnich dniach nikogo z przyjezdnych nie było; tylko w pokoju sąsiadującym z sypialnią pań zamku spała krytycznej nocy pokojowa panny Walerii, Małgorzata, która utrzymuje, że nic podejrzanego nie słyszała. Wejścia innego nie ma, okna znaleziono rano pozamykane jak onegdaj wieczorem. Przypuściwszy nawet, że zbrodniarz jakimś dziwnym sposobem, może w porozumieniu z kimś ze służby, wnęcił się do wnętrza zamku, staje się przed nierozwiązalną zagadką, jak zdołał dostać się przez zaryglowane drzwi lub zamknięte okna do sypialni bez wywołania łoskotu i obudzenia nim ofiary.
Miejmy jednak nadzieję, że sprawność naszych agentów wkrótce wprowadzi władze na właściwy trop i rzuci jaśniejsze światło na mroczną aferę. Szczegółowe streszczenie śledztwa podamy w numerze wieczornym.
Przeczytawszy dość pobieżnie to resume dochodzeń, obróciłem stronicę dziennika, by przypatrzyć się podobiźnie zamordowanej, którą umieszczono nieco dalej.
Wystarczył mi jeden rzut oka na twarz ofiary, by przekonać się, że podejrzenia me co do jej identyczności były najzupełniej uzasadnione: p. Walerię znałem; była nią ta sama kobieta, którą przed dwoma laty ujrzałem na krótką chwilę, by się już więcej w życiu z nią nie spotykać. A jednak silne wrażenie, jakiego wtedy doznałem, pozostawiło ślad niezatarty.
Był nim obraz natchniony widokiem tej idealnie pięknej kobiety wykonany wkrótce potem w przeciągu kilku godzin wytężonej, twórczej pracy. Kreacja ta była dla mnie wyzwoleniem: po skończeniu obrazu odetchnąłem i zwróciłem się ku pogodnym pomysłom. Pamięć Walerii poczęła przesłaniać się powoli coraz gęstszym woalem, że cała przygoda w końcu wyglądała na przelotną wizję. Dziś pod wpływem strasznego jej zgonu wspomnienia odżyły, budząc dawno przebrzmiałe echa.
Podniosłem story i usiadłszy pod oknem, zacząłem jak najdokładniej studiować wizerunek zdjęty na miejscu zbrodni. Rycina była wykonana doskonale. Chociaż nieszczęśliwej nie widziałem już od lat dwu, rysy jej oddane z przedziwną wiernością nie pozostawiały ani cienia wątpliwości. Była to ta sama twarz przypominająca subtelnością rysunku ascetyczne, jak z wosku niepokalanej białości wycięte owale świętych dziewic, to samo chłodne, marmurowe czoło z chryzmatem niezmąconej pogody. Z tym wyrazem twarzy dziwnie zestrajał się ubiór głowy i tło atłasowej poduszki, które wskutek szczególnego ułożenia fałdów i zgięć utworzyły dookoła jak gdyby szeroki, biały kornet. Dłonie skrzyżowane cicho na piersi dopełniały obrazu tej dostojnej, przeczystej śmierci. Wyglądała na świętą zakonu radosną wyzwoleniem z grzesznej ziemi, uśmiechniętą do rozkoszy nieba.
Powoli poprzez natłok przypuszczeń, kombinacji, domysłów wydarło się silne, nieukojone

pragnienie zwiedzenia miejsca zbrodni. Szalona jakaś ciekawość wlokła na ponury teren nocnego uczynku, pchała do rozpatrzenia sytuacji.
Zrzuciłem lekkie, sukienne ciżmy i sięgnąłem po trzewiki pod otomanę. Jakież było me zdumienie, gdy zamiast zwykłych, spacerowych, wydobyłem nowe, przed kilku dniami nabyte lakiery. Wściekły, odrzuciłem je precz i gwałtownie otworzyłem szafkę nocną, w nadziei, że tam znajdę me codzienne obuwie. Lecz poszukiwania były bezskuteczne, bo trzewików nie znalazłem. Zrezygnowany więc, nie chcąc tracić czasu na dochodzenia, wdziałem wzgardzone lakiery i wyszedłem z domu drzwiami od strony ulicy, zamknąwszy mieszkanie na klucz.
W pół godziny potem byłem na trakcie, co długą, białą wstęgą snuł się ku „Wygnance".
Było koło trzeciej. Malowniczość krajobrazu podniesiona grą słonecznych promieni sprawiała wrażenie rozbieżne z tym, czego by należało się spodziewać; wszystko witałem jako rzeczy przykro rozpoznane, wszystko wracało niemile znajomym. Drażniło mnie przy tym uczucie fałszywego oświetlenia: było przejaskrawione i stąd jakieś inne, niewłaściwe. Zacząłem dobierać w wyobraźni innych naświetleń, by rzeczom przywrócić „właściwy" nastrój i duszę. I tak niespostrzeżenie żółtoczerwone smugi, którymi słońce zasłało skiby łanów, powoli zbladły, zbłękitniały, by wreszcie rozbłysnąć srebrnozieloną poświatą księżyca. Świat ściemniał na chwilę, sposępniał na granat, by znów roziskrzyć się światłem białej, miesięcznej nocy.
W jakiejś chwili chód mój jak gdyby zmienił się; przestał być układem ruchów świadomej siebie woli, przybrał charakter czegoś drewnianego: zesztywniał; szedłem jak automat. Z wyprężonymi przed się rękoma szedłem naprzód, wskazując dłonią cel drogi...
Po lewej ścieliły się zanurzone we mgłach łany zbóż i poruszane wiatrem szemrały tajemnym pochrzęstem kłosów...
Po prawej ciągnął się stary, biały mur najpierw jakiegoś cmentarza, potem parku czy ogrodu, tworząc jedną, długą bez końca linię. Gałęzie kalin przerzuciwszy się przez zmurszałe zręby chwiały się na wietrze ciche, zwierzając nocy smutek ogrójca śmierci. Delikatne witki wierzb kołysane letnim podmuchem opłakiwały na murach człowieczą, smutną dolę. Cień jakiś skurczony przesuwał się wzdłuż ścian, to w górę piął, to wydłużał, aż znikł w sadzie. Majaki mżyły na odartej z wapna ścianie. Poznały mnie z daleka i znakami przyzywały do siebie. Poruszały się kłapiącym ruchem ich potworne żuchwy, zakrzywiały krogulczym szponem kosmate ręce, to znów biegły naprzód, zachęcając do naśladowania — złe, rozchichotane, nieuchwytne...
Naraz coś pod nogami zagruchotało głuchym, dudniącym odzewem: szedłem przez most. Ten łoskot samotny wśród bezdennej ciszy świata był tak straszny, że zwinąłem się w opętańczej trwodze i zatkawszy uszy zacząłem biec, by dłużej nie słyszeć. Nie mogłem znieść tego dudnienia; przypominało coś okropnego, było aż nadto dobrze znane, choć nieokreślone miejscem ni czasem.
Przebiegłem most zapuszczając się w aleję topól.
Powiewały majestatycznie gibkimi wierzchołkami, podając jedna drugiej wiatrową gawędę. Chwiejąc się na nogach, wybrnąłem z alei i stanąłem u wylotu. Noc znikła, zgasło upiorne światło miesięczne, pozapadały się łapczywe cienie: byłem pod zamkiem koło stawiska w ciepłe, słoneczne popołudnie.
Przetarłem oczy, niepewny czy śnię, czy marzę, i puściłem się wzdłuż murów. Zamek z tej strony przedstawiał się stosunkowo najbardziej dostępnie; zresztą zewsząd broniły go spadziste mury. Z gościńcem łączył go most zwodzony, który na noc cofano na bastiony. Tylko stąd od południa przerwany mur ustępował miejsca wspierającej się o bok grodziska ścianie.
Więc chyba tędy mógł morderca dosięgnąć połowy wysokości zamku. Lecz i tak pozostawała do pierwszego okna wielka przestrzeń zupełnie gładka, bez śladu wrębów.
Opuściłem głowę bezradnie, bijąc się z tysiącem domysłów. Nie pozostawało nic innego, chyba przypuścić, że zbrodniarz działał w stanie jakichś niezwykle wzmożonych zdolności, pod naciskiem nerwowej, wściekle ześrodkowanej siły, która pcha po gładkich jak szkło powierzchniach, utrzymuje w równowadze nad przepaścią, podnosi od zewnątrz zasuwy od okien, działa lekko, cicho, nieprzeparta, zajadła... Nie mogłem rozwiązać zagadki.
Zniechęcony, zwłaszcza po zauważeniu w pobliżu paru kręcących się indywiduów, które od chwili ciekawie śledziły moje ruchy, zawróciłem na gościniec i wkrótce przesuwałem się znów pomiędzy

pierzejami topól.
Spokojne, wystałe słońce przeglądało koleją pomykające w dal rzędy drzew, znaczyło chwile rzutami cieni. Gdzieś dzięcioł kowal zapamiętale dziuplę, kukułka wróżyła szczęście. Złocista, nagrzana godzina piąta.
„Skąd wzięła się owa zmora miesięczna?” — myślałem intensywnie.
Najprawdopodobniej wczułem się głęboko w przypuszczalny stan duszy zbrodniarza idącego na czyn w nocy, przy księżycu, i przeżyłem jego udrękę. Plastyka i natężenie perypetii świadczyły tylko o mojej wrażliwości. Przebieg niby powtórzonych przeżyć mordercy opierał się co do joty na wynikach, do których doszedłem drogą analizy faktów podanych w dzienniku. Wszystko tedy na pozór było w porządku. A jednak w głębi nurtowały mnie jakieś na pół świadome myśli, zadające kłam wszystkiemu, bystre, logiczne, uparte.
Udawałem przecież, że wszystko jest na miejscu, i cieszyłem się spokojem niezmąconej powierzchni.
Rzeczywiście miałem już tego dość. Tragedia „Wygnanki” wciągnęła mnie zbyt osobiście w swe wiry tak, że zachodziła obawa, bym się nie dał im wchłonąć. Ostatecznie, pal licho wszystko! Co mnie to obchodzi? Należało z wolna wycofać się.
Lecz myśl krążyła po objazdach, zmierzając z ukosa do drażliwego punktu. Niepokój nieznośny zapuścił mi w duszę chłodne jak stal wizerunki i już, już zbierał rozpierzchłe chwilowo oka matni, gdy wtem szczegół zewnętrzny skierował uwagę na co innego i ku mej głębokiej radości nie pozwolił dokończyć skojarzenia.
Zbliżywszy się na odległość paru kroków do fatalnego mostu uczułem, że przejść go nie zdołam.
Obawa posłyszenia owego dudnienia, co głuchym wspomnieniem błąkało się w zaułkach mózgu, rzuciła mnie gwałtownie wstecz. Nie pozostawało nic jak obejść go spodem.
Bez namysłu porzuciłem gościniec i zacząłem schodzić w rów, na szczęście zupełnie suchy. Zstępując po bujnie trawą zarosłej skarpie, spostrzegłem, że ktoś mnie w tym uprzedził. Darń była miejscami uszkodzona i zdarta i nosiła wyraźnie ślady obuwia powstałe z obsuwania się po zboczu.
Ponieważ rów był na razie suchy, ślady urywały się tuż pod skarpą. Odkryłem jednak ciąg dalszy po zbliżeniu się na linię mostu, pod którym przewijała się rzeczka, ginąc dalej wśród niezmiernych obszarów nieużytków.
Więc ktoś również porzucił szosę tuż przed mostem. Szczególne! Może z tych samych powodów?
Ponętna ewentualność skłoniła mnie do dalszego śledzenia tropów. Dlatego, przeskoczywszy wąski pas wody, nie wróciłem już na gościniec, lecz zboczyłem w kierunku śladów. Przyjrzawszy się im dokładniej doszedłem do przekonania, że pochodziły od trzewika męskiego i były trochę szersze od mych lakierów.
Zrazu szły brzegiem rowu równolegle do gościńca, lecz wkrótce kierunek nagle się zmienił: trop skręcił w prawo między pola i nieużytki, znacząc się wyraźnie na gliniastym, wilgotnym podglebiu.
Widocznie nad ranem po pogodnej nocy spadł deszcz i przepoił ziemię; trakt wysechł rychło, gdy grunt niski, ilasty zachował dotąd utajoną wilgoć.
Chociaż droga tędy była ogromnie uciążliwa, przecież nieznajomy nie wrócił na szosę, lecz brnął przez puste, grząskie pola bez ścieżek, miedz, drogowskazów, jakby zautomatyzowany, w raz obranym kierunku.
Nie byłbym poszedł za jego przykładem, gdyby nie ciekawość, dokąd też zawiedzie.
Niebawem zastanowiła mnie niejednostajność linii; biegła to w prawo, to w lewo, uskakując dziko na boki, zakreślając dziwaczne zygzaki. Wreszcie utworzyła gwałtowny kabłąk, który obiegłszy szerokim kołem pole, powrócił do punktu wyjścia.
Miałem przed sobą ciekawą zagadkę. Albo był to ślad jakiegoś maniaka lub tez trop człowieka głęboko nad czymś zamyślonego.
Może uparta myśl, zatoczywszy kolisty obieg, stanęła znów u wrót znękanego mózgu: może wędrowca opętała fatalnie jakaś idea, nie wypuszczając go mimo wysiłków z błędnego koliska?
Stanąłem w jego tajemniczym środku i rzuciłem okiem przed siebie.
Z wolna zwinięta w kłębek linia rozprężyła się i popełzła chwiejnie naprzód. Opętaniec przeciął nareszcie magiczny krąg i wyzwalając się z trudem podążył prosto odruchem woli. Jakoś falistość

znaków nieznacznie wyrównała się, krok zmężniał i z bezprzykładną chyżością zmierzał ku miastu.
Nie mogłem nadążyć tym nieludzkim skokom, które garnęły pod siebie parę metrów na raz; ten człowiek widocznie uciekał. Lecz nie spuszczałem go z oka i szedłem tuż za nim.
Było mi ciężko i z biedą podnosiłem nogi. Ilasty i na pół tylko podeschły grunt czepiał się obuwia, które też wkrótce pokryło się ceglastą glinką.
Byłem smutny.
Po znękanej głowie snuły się myśli, niby tumany mgieł pędzone biczami wichury; rozbłyskiwały i gasły jakieś światła dźwigane w górę przez nieznane ręce.
Z dali gwarzyło już miasto, konały przeciągłą skargą fabryczne syreny. Dźwięk mnie doleciał smętny, rozlewny... Poznałem. To trębacz grał na farnej wieży hejnał ku czci Panny Marii. Poważna, czcigodna melodia...
Zacząłem rozglądać się uważniej po najbliższej okolicy. Trop, zdaje się, zbliżył się teraz ku straconemu już dawno z oczu gościńcowi. O ile mogłem się zorientować w położeniu, minąłem już linie podmiejskich browarów i zmierzałem od strony nieużytków ku miastu.
Szedłem z zapartym tchem spodziewając się, że lada chwila kroki zboczą z pola i zawiną do któregoś domu.
Nagle zabiło mi serce.
Okolica wydała się bardzo dobrze znaną; rozpoznałem tylne partie domów wychodzące na ogrody i sady.
Przyspieszyłem kroku z oczyma wbitymi w dziwny trop, głusząc wrzawę nacierających wściekle myśli...
Wtem natknąłem się na jakąś zaporę. Podniosłem oczy i ujrzałem się u furtki mego własnego ogródka. Gorączkowo otworzyłem i wszedłem do środka. Siad wił się bez przerwy dalej, dobiegał samych drzwi mego domu.
Szarpnąłem drzwi. Były zamknięte.
Jakieś atomy dotąd rozpierzchłe, porozrzucane jak opiłki żelaza, polaryzowały się z przeklętą chyżością, porwane przez nadchodzący z dali prąd. Czułem już, czułem nieubłagane zbliżanie się porządkującej bezład fali.
Stałem bezradny czas pewien na progu, nie odrywając wzroku od śladów; wszystkie szły do domu, a dom był zamknięty.
Wtem rzuciłem spojrzenie nieco w lewo od wejścia i odkryłem nowe linie odcisków; jeden poczynał się u progu trochę dalej i biegł w głąb ogrodu, drugi jak gdyby wracał, po drodze krzyżując się z tamtym i docierał z powrotem do wejścia tylko całkiem z boku, tak że go zrazu nie zauważyłem.
Poszedłem za pierwszym w głąb. Wkrótce ślad skręcił koło rogu domu i podążył między klomby kwiatów.
Nagle żachnąłem się; trop kończył się przy ulubionym klombie białych lilii. Lecz moich jasnych kwiatów nie było — wszystkie wyrwała czyjaś straszna ręka; na środku sterczały tylko złamane łodygi.
— To on!
Gnało mnie do domu, do wnętrza. Nie szukając klucza, z szaloną siłą pchnąłem drzwi i wyważywszy z zawias runąłem do środka.
Zacząłem na nowo czegoś szukać. Otworzyłem szafę, biurko, stół, przeglądnąłem wszystkie szuflady, skrytki, wpadłem do pokoiku Jana, przerzuciłem całe stosy rupieci, książek, bielizny. Nie znalazłem nic.
Przypadkiem wzrok padł na sczerniałe drzwiczki pieca.
— Może tam?
Wyrwałem prawie blachę, chciwie zanurzając ręce w czeluść.
Nareszcie głęboko, głęboko natknąłem się na coś twardego. Wyszarpnąłem, wydarłem... Było małe zawiniątko: trzewiki moje zawalane po kostki czerwoną glinką i moje codzienne ubranie z aksamitną kurtką.
Rozwinąłem miękkie, zmięte...

— Tak! To ja!
Było zbluzgane krwią Walerii.

Karolowi Irzykowskiemu
poświęcani

Spojrzenie

Zaczęło się jeszcze wtedy — przed czterema laty, w owo dziwne, straszliwie dziwne popołudnie dnia sierpniowego, gdy Jadwiga po raz ostatni wyszła z jego domu...
Była wtedy jakaś inna niż zwykle, jakaś bardziej nerwowa i czegoś wyczekująca. I tuliła się doń namiętniej niż kiedykolwiek...
Potem nagle, szybko ubrała się, zarzuciła na głowę swój niezrównany szal wenecki i pocałowawszy go mocno w usta odeszła. Jeszcze raz mignął tam u wejścia brzeg jej sukni i smukły kontur trzewika i wszystko skończyło się na zawsze...
W godzinę potem zginęła pod kołami pociągu. Odonicz nie dowiedział się nigdy, czy śmierć ta była dziełem przypadku, czy też Jadwiga rzuciła się sama pod rozhukaną w pędzie maszynę. Była przecież istotą nieobliczalną ta smagła, ciemnooka kobieta...
Lecz nie o to chodziło, nie o to. Ten ból, ta rozpacz, ten żal — to wszystko było przecież w tym wypadku tak naturalne, tak oczywiste. Więc nie o to chodziło.
Zastanawiało coś całkiem innego — coś tak śmiesznie błahego, coś tak drugorzędnego... Jadwiga, wychodząc od niego po raz ostatni, nie zamknęła za sobą drzwi.
Pamięta, jak odprowadzając ją przez pokój potknął się i pochylił zniecierpliwiony, by wyprostować zagięty róg kobierca. Gdy po chwili podniósł oczy, Jadwigi już w pokoju nie było. Odeszła pozostawiając drzwi otwarte.
Dlaczego nie zamknęła ich za sobą? Ona zwykle tak przytomna, tak czasami pedantycznie przytomna kobieta?...
Pamięta owo przykre, owo nader przykre wrażenie, jakie sprawiły na nim wtedy te szeroko na oścież roztwarte drzwi, powiewające, niby żałobna chorągiew na wietrze, swym czarnym, gładko politurowanym skrzydłem. Drażnił go ich niespokojny ruch, który co chwilę odcinał mu sprzed oczu, to znów odsłaniał ziejącą żarem popołudniowego słońca część skweru przed domem...
Wtedy to nagle przyszło mu na myśl, że Jadwiga opuściła go na zawsze, pozostawiając do rozwiązania jakiś zawiły problem, którego zmysłowym wyrazem było owo uchylenie drzwi...
Tknięty złowróżbnym przeczuciem poskoczył ku nim i wyjrzał poza rozchwiane skrzydło w dal, na prawo, w stronę, w którą prawdopodobnie odeszła. Ani śladu... Przed nim rozpościerał się szeroko pusty, rozpalony od skwaru letniego plac, hen aż po nasyp kolejowy tam na krańcach horyzontu. Nic — tylko ta złocista, zalana słońcem płaszczyzna... Potem długi, kilkumiesięczny tępy ból i głucha, szarpiąca rozpacz utraty... Potem... wszystko minęłc — rozwiało się jakoś, usunęło gdzieś w kąt...
I wtedy przyszło to. Chyłkiem jakoś, nieznacznie, ni stąd, ni zowąd, niby od niechcenia. Problem otwartych drzwi... Problem! Śmiech powiedzieć, doprawdy! Problem nie domkniętych drzwi.

Uwierzyć trudno, na honor, uwierzyć trudno. A jednak, a jednak...
Po nocach całych snuły mu się w mózgu upartą, senną zmorą — miał je w dzień pod przymkniętą na chwilę powieką, wyłaniały się wśród jasnej, trzeźwej jawy gdzieś daleko w perspektywie drażniącym majakiem...
Lecz teraz nie chwiały się już pod naporem wiatru jak wtedy, w ową fatalną godzinę, tylko powoli, całkiem powoli odchylały się od fikcyjnej futryny. Zupełnie tak, jak gdyby ktoś z zewnątrz, z tamtej drugiej, niewidzialnej dla jego oka strony, chwycił za klamkę i ostrożnie, bardzo ostrożnie otwierał je o pewien kąt...
Właśnie ta ostrożność, ta szczególna przezorność ruchu mroziła do szpiku. Jak gdyby obawiano się, by kąt odchylenia nie był za wielki, by drzwi nie otworzyły się za szeroko. Wyglądało na to, że się z nim przekomarzają, nie chcąc w całej pełni pokazać tego, co się kryło poza tym przeklętym skrzydłem. Uchylano przed nim tylko rąbka tajemnicy, dawano mu do poznania, że tam, po tamtej stronie, za drzwiami istnieje tajemnica, lecz bliższe szczegóły zazdrośnie zatajano...
Odonicz bronił się przed tym maniackim refrenem wszelkimi siłami. Po tysiąc razy na dzień przekonywał siebie, że poza drzwiami wchodowymi nie ma nic niepokojącego, że w ogóle poza żadnymi drzwiami nic się nie kryje, nic się nie czai. Co chwila odrywał się od przymusowo na się nałożonej pracy, krokiem spiesznym, drapieżnym przypadał kolejno do wszystkich drzwi pokoju, otwierał je, niemal wyrzucał z zamku i zapuszczał głodne spojrzenie w przestrzeń poza nimi. Oczywiście, zawsze z tym samym wynikiem: nie stwierdził ani razu nic podejrzanego; przed oczyma rozkładał się po staremu bądź pusty, jałowy skwer, bądź banalny fragment korytarza lub ciche, ustalone raz na zawsze wnętrze sąsiedniej sypialni czy łazienki.
Wracał niby uspokojony do biurka, by za parę minut znów ulec prześladującej go myśli... W końcu poszedł do jednego z najwybitniejszych neurologów i zaczął się leczyć. Wyjeżdżał parokrotnie nad morze, brał zimne kąpiele, zaczął wieść życie hulaszcze...
Jakoś po czasie zdawało się, że wszystko przeszło. Uporczywy obraz uchylonych w perspektywie drzwi powoli zatarł się, wypłowiał, jakby przygasł, w końcu rozwiał się.
I byłby Odonicz z siebie zupełnie zadowolony, gdyby nie pewne objawy, które wyłoniły się w parę miesięcy po ustąpieniu tamtej zmory.
A przyszły tak jakoś nagle, niespodzianie, na miejscu publicznym, na ulicy...
Właśnie był u wylotu Świętojańskiej i zbliżał się do punktu skrzyżowania jej z Polną, gdy wtem na samym rogu, niemal u węgła ostatniej kamienicy, zdjął go znienacka piekielny strach. Wypadł skądś z zaułka i chwycił za krtań.
„Nie pójdziesz dalej, kochanku! Ani kroku dalej!"
Odonicz zamierzał początkowo skręcić wprost na Polną w miejscu, gdzie kończyła się wspomniana kamienica, której okna spoglądały na obie ulice — gdy uczuł w sobie ten sprzeciw. Nie wiadomo dlaczego, nagle wydał mu się kąt przecięcia ulic za silny jak na jego nerwy: po prostu zbudziła się w nim gwałtowna obawa, że tam za załomem, na zakręcie można spotkać się z niespodzianką.
Narożny dom, który należało okrążyć pod kątem niemal prostym, by skręcić na Polną, chronił na razie przed tą niemiłą ewentualnością, zasłaniając swą potężną, kilkupiętrową masą widok z tamtej strony. Lecz ostatecznie ściana musiała się kiedyś skończyć, odsłaniając nagle, przerażająco nagle to, co było na lewo od węgła. Ta nagłość, ta gwałtowność przejścia z jednej ulicy na drugą zakrytą dotąd przed jego oczyma niemal zupełnie, przejmowała bezgraniczną trwogą: Odonicz nie śmiał wyjść na spotkanie „nieznanemu". Więc poszedł drogą kompromisu i tuż przed samym zakrętem zamknąwszy oczy, z ręką opartą o mur kamienny, by nie upaść, powoli zaczął zbaczać na Polną.
W ten sposób posunął się parę kroków naprzód, prześliznął palce po krawędzi ściany i otarłszy się o wystający kant domu, uczuł, że zakręt został szczęśliwie przebyty i że wkroczył w strefę drugiej ulicy. Mimo to nie śmiał jeszcze otworzyć oczu, lecz wciąż macając ręką ściany domów schodził w dół Polnej.
Dopiero po paru minutach takiej wędrówki, gdy już zdobył niejako „prawo obywatelstwa" w nowej strefie, gdy nareszcie uczuł, że już tutaj „wiedzą" o jego obecności — odważył się i podniósł przymknięte powieki. Spojrzawszy przed siebie, z uczuciem ulgi przekonał się, że nie ma nic podejrzanego. Wszystko było zwyczajne i normalne, jak przystało na ulicę wielkomiejską:

przejeżdżały pędem dorożki, przelatywały jak błyskawice autobusy, mijali się przechodnie. Odonicz zauważył tylko o parę kroków od siebie jakiegoś gapia, który z rękoma zapuszczonymi w kieszenie, z papierosem w gębie przypatrywał mu się znać już od chwili z ciekawością, uśmiechając się złośliwie.
W ten sposób wyłonił się na horyzoncie nowy problem: „na zakręcie".
Odtąd Odonicz stracił pewność siebie i swobodę ruchów w miejscach publicznych. Nie mogąc przejść bez uczucia tajemnego lęku z jednej ulicy na drugą stosował metodę obchodzenia skrętów w szerokich kołach; było to wprawdzie nader niewygodne, gdyż nakładał zawsze ogromnie wiele drogi, lecz unikał w ten sposób gwałtownych zboczeń, łagodząc znacznie kąt załamania ulic. Teraz już nie potrzebował przymykać oczu przy narożnych kamienicach.
Wszelkie niespodzianki, jakie mogły kryć się poza węgłem, miały teraz dość czasu do „zamaskowania się" przed nim; owo bliżej nie określone, zgoła heterogeniczne i dziko mu obce „coś", którego istnienie wyczuwał przez skórę po tamtej stronie zakrętu, mogło teraz spokojnie, nie zaskoczone jego nagłym wyłonieniem się na rogu nowej ulicy, przyczaić się na pewien czas. Bo że coś tam było, coś zasadniczo „innego" — o tym nie wątpił już wtedy ani trochę.
W każdym razie, przynajmniej w owym czasie, Odonicz wcale nie życzył sobie spotkania z „tym" oko w oko; przeciwnie, pragnął schodzić mu z drogi, ułatwiając „maskowanie się" w samą porę. Trwoga, która przejmowała go na samą myśl. że mogłyby nastąpić przed nim jakieś w tym względzie rewelacje, jakieś niepożądane objawienia i niespodzianki — umacniała go tylko w przekonaniu, że niebezpieczeństwo jest istotnie poważne.
Opinia innych ludzi o tej sprawie nie obchodziła go przy tym zupełnie. Uważał, że każdy powinien sobie z „tym" dawać radę sam, o ile w ogóle u kogokolwiek poza nim zachodziła podobna możliwość.
Odonicz zdawał sobie jasno sprawę, że może na całym świecie prócz niego nikt nie zwrócił na „to" uwagi. Przypuszczał nawet, że większość bliźnich parsknęłaby mu w nos ordynarnym śmiechem, gdyby tak odważył się któremu z nich powierzyć swoje wątpliwości. Dlatego milczał uporczywie i sam pasował się z „nieznanym".
Od czasu owego wewnętrznego sprzeciwu, który tak znienacka zaatakował go na rogu Polnej, nabrał zasadniczego wstrętu do wszelkich ścian, przepierzeń, w ogóle do wszelkich „osłon" nietrwałych i prowizorycznych, które tylko na chwilę zakrywają to, co poza nim. W ogóle uważał, że wszelkie tak zwane ekrany są wymysłem zgubnym, a nawet nieetycznym, gdyż ułatwiają niebezpieczną grę „w chowanego" budząc przy tym często nieufność i trwogę tam, gdzie może nieraz nie ma ani śladu niesamowitości. Po co ukrywać rzeczy, które na zatajenie nie zasługują? Po co niepotrzebnie wzniecać podejrzenie, jak gdyby „tam" było coś naprawdę do ukrywania?...
Odonicz stał się zdecydowanym zwolennikiem dalekich, jasnych perspektyw, szerokich placów, rozległych i otwartych hen, hen, daleko, jak okiem sięgnąć przestrzeni. Nie cierpiał natomiast dwuznaczności zaułków, przyczajonych zdradziecko w półmroku podsieni, hipokryzji wielkomiejskich przecznic i krętych uliczek bez wyjścia, które zdają się wiecznie czyhać na samotnego przechodnia. Gdyby to od niego zależało, budowałby miasta wedle zupełnie nowego planu, którego zasadą byłaby prostota i szczerość; byłoby tam dużo, bardzo dużo słońca i szeroko rozrzuconej przestrzeni.
Dlatego też najchętniej odbywał przechadzki poza miasto po rozległych, z rzadka zaludnionych domostwami bulwarach lub też podwieczorną porą po podmiejskim wygonie gubiącym się cicho w mgłach oddalenia...
I mieszkanie Odonicza uległo w tym czasie radykalnym przemianom. W myśl zasady prostoty i szczerości pousuwał wszystko, cokolwiek mogło trącić manierą „przykrywek i obsłonek".
Znikły więc stare, perskie dywany i tłumiące echo kroków sumaki, zeszły ze ścian bezpowrotnie fałdziste kotary i draperie. Ogołocił okna z dyskretnych firanek, powyrzucał jedwabne ekrany. Nawet parawan z zielonej kitajki, ulubiony niegdyś sprzęt Jadwigi, przestał ocieniać potrójnym skrzydłem wnętrze sypialni. Nawet szafy okazały się sprzętem podejrzanym. Toteż kazał je wynieść na strych poprzestając na zwykłych wieszadłach i szaragach.
Tak przekształcone mieszkanie zdobyło charakter dziwnej, graniczącej z ubóstwem prostoty.

Wprawdzie nieliczni znajomi zwracali mu uwagę na przesadną prymitywność urządzenia, przebąkując coś niecoś o stylu szpitalno-koszarowym, lecz Odonicz przyjmował te uwagi z uśmiechem pobłażania i nie dał się przekonać. Przeciwnie, z dniem każdym znajdował coraz większe upodobanie w swym interieur, które opuszczał coraz rzadziej, unikając w ten sposób „niespodzianek” czyhających zewnątrz. Lubił to swoje ciche, prostolinijne wnętrze, gdzie nie potrzebował się lękać żadnych zasadzek, gdzie wszystko było jasne i otwarte.
Nie przy tajało się tu nic poza oponami, nie czaiło się nic w cieniu zbytecznych sprzętów. Nie było tu żadnych nastrojowych półmroków i półświateł, żadnych niedomówień i problematycznych przemilczeń. Wszystko było oczywiste.
W dzień zalewały mieszkanie strugi zdrowego, jędrnego słońca, za pierwszą przygrywką do wieczornych zmroków rozbłyskiwały elektryczne żarówki. Oczy pana domu mogły swobodnie i bezkarnie wędrować po ścianach gładkich, nie poobwieszanych draperiami, ozdobionych chyba tu i ówdzie parą angielskich, pogodnej treści sztychów. Nic tu nie mogło zaskoczyć, nic przykucnąć niespostrzeżenie za jakimś węgłem.
„Jak w szczerym polu — myślał sobie nieraz Odonicz pojąc wzrok oczywistością otoczenia. — Stanowczo dom mój nie jest terenem dogodnym dla chowanki”.
Jakoż zdawało się, że zarządzone środki prewencyjne odniosły pożądany skutek. Odonicz uspokoił się znacznie i czuł się nawet w tym czasie względnie szczęśliwym. I nic nie byłoby zamąciło ciszy, gdyby nie pewne szczegóły, zresztą dość niewinnej natury, gdyby nie pewne, takie sobie śmieszne szczególiki...
Jednego wieczora ślęczał Odonicz przez parę godzin bez przerwy nad wykończeniem większej naukowej pracy, którą zamierzał drukować w najbliższej przyszłości. Dzieło wchodzące w zakres studiów przyrodniczych zwalczało niektóre nowsze hipotezy biologiczne wykazując ich bezradność wobec fenomenów zaobserwowanych w życiu stworzeń na pograniczu między światem zwierzęcym a roślinnym.
Znużony dłuższym wysiłkiem myśli odłożył na chwilę pióro, zapalił papierosa, po czym odchyliwszy głowę na poręcz fotela położył prawą rękę na biurku, prostując ścierpłe od pisania palce...
Wtem — wzdrygnął się, wyczuwszy pod nimi coś miękko-ustępliwego. Mimo woli cofnął rękę i spojrzał uważnie na prawą partię biurka, gdzie zwykle leżał ciężki, masywny przycisk z porfiru. Wtedy ze zdumieniem spostrzegł zamiast kamienia kawałek suchej, wąskoporowatej gąbki.
Przetarł oczy i dotknął ręką przedmiotu. Była to gąbka! Typowa, jasnożółta gąbka — spongia vulgaris...
— Co za diabeł? — mruknął półgłosem, obracając ją w palcach na wszystkie strony. — Skąd się u mnie wzięła? Przecież się nigdy gąbką nie nacieram. Zresztą za mała do tego użytku. Hm... szczególne... Lecz gdzie podział się przycisk, do licha? Zawsze tu od lat leżał na tym samym miej-scu.
I zaczął szukać po biurku, zaglądnął do szuflady, pod stół: nadaremnie, kamień znikł bez śladu. Na jego miejscu leżała gąbka, zwykła, pospolita gąbka... Omamienie czy co?
Wstał od stołu i zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju.
— Dlaczego gąbka? — rozumował zaniepokojony. — Dlaczego właśnie gąbka? Równie dobrze mogło być żelazko lub kawałek kołka z płotu.
„Za pozwoleniem, mój kochany — odezwał się w nim nagle jakiś głos nieproszony — to nie jest to samo. Nawet i takie zjawiska są odpowiednio uwarunkowane. Zapominasz o tym, że od paru już godzin przebywasz niemal wyłącznie w świecie stułbi, ukwiałów, gąbek i tym podobnych jamochłonów. A właśnie życie gąbki szczególnie cię interesowało. Chyba temu nie zaprzeczysz, co?”
Odonicz przystanął na środku pokoju, uderzony tym wywodem...
— Hm — mruknął — istotnie zaprząta me myśli już od paru godzin. Lecz cóż z tego, do stu szatanów?! — wrzasnął nagle na cały głos. — To jeszcze nie racja!
I spojrzał znów z ukosa na biurko. Lecz tu ku niepojętemu zdumieniu ujrzał zamiast gąbki zaginiony przycisk. Leżał sobie cicho i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, na wyznaczonym mu od lat

raz na zawsze miejscu. Odonicz powiódł ręką po czole, przetarł powtórnie oczy i przekonał się, że nie marzy: na biurku leżał przycisk, porfirowy przycisk z gładką, toczoną gałką. Gąbki ani śladu — jak gdyby jej nigdy tutaj nie było.
— Przywidzenie — zawyrokował. — Halucynacja pod wpływem chwilowego przepracowania.
I zasiadł z powrotem do biurka. Lecz jakoś nie zdołał sklecić ani jednego zdania więcej tej nocy; przywidzenie nie dawało mu spokoju i mimo wysiłków nie potrafił skupić się do pracy...
Historia z gąbką była jakby przygrywką do innych podobnych objawów, które odtąd coraz częściej zaczęły go prześladować. Jakoż niebawem zauważył, że i inne przedmioty w pokoju znikają mu na czas jakiś sprzed oczu, by po chwili wyłonić się z powrotem na dawnym miejscu. Na odwrót, niejednokrotnie spostrzegał na biurku najrozmaitsze rzeczy, których tam nigdy przedtem nie było.
Najciekawszym jednak w tym wszystkim był szczegół, że fenomeny szły równolegle z chwilowym zainteresowaniem, jakie odczuwał dla tych przedmiotów przed momentem ich zniknięcia lub wynurzenia się: prawie z reguły myślał o nich przedtem nader intensywnie.
Wystarczyło mu z pewną dozą wewnętrznego przekonania pomyśleć, że na przykład jakąś książkę zgubił — by po chwili istotnie stwierdzić brak jej w szafie bibliotecznej. Podobnie, ilekroć wyobraził sobie w sposób możliwie plastyczny egzystencję jakiegoś przedmiotu na stole, wkrótce przekonywał się naocznie, że rzeczywiście zjawiał się tam jak na zawołanie.
Fenomeny te zaniepokoiły go w wysokim stopniu, budząc poważne podejrzenia. Kto wie, czy to nie nowa zasadzka? Chwilami miało się wrażenie, że to powrotny atak „nieznanego”, tylko przypuszczony z innej strony i w innej formie. Powoli narzucały się pewne wnioski, kształtował się z nieubłaganą wnikliwością pewien światopogląd.
— Czy świat otaczający mnie w ogóle istnieje? A jeśli rzeczywiście istnieje, czy nie jest wytworem kształtującej go myśli? A może wszystko jest tylko fikcją jakiejś głęboko zamyślonej jaźni? Tam gdzieś, w zaświatach, ktoś ciągle, ktoś od prawieków myśli — a świat cały, a wraz z nim biedny ludzki narodek, jest produktem tej wieczystej zadumy!...
Kiedy indziej popadał Odonicz w egocentryczny szał i powątpiewał o istnieniu czegokolwiek poza sobą. To on tylko wciąż myśli, on, dr Tomasz Odonicz, a wszystko, na co patrzy i co spostrzega, to tylko wytwór jego kontemplacji.
Moment, w którym po raz pierwszy dotarł do tej ostateczności, zaciążył nad nim fatalnie. Nagle z dreszczem niesamowitego lęku uczuł się Odonicz okropnie samotnym.
„A jeśli rzeczywiście tam poza węgłem nie ma niczego? Któż zaręczy, czy poza tak zwaną rzeczywistością w ogóle coś innego istnieje? Poza tą rzeczywistością, której twórcą prawdopodobnie jestem sam? Dopóki w niej tkwię zanurzony po szyję, dopóki mi ona wystarcza — wszystko jako tako. Lecz gdybym tak zapragnął dnia jednego wychylić się z bezpiecznego środowiska i spojrzeć poza jego rubieże?”
Tu uczuł ostry, dojmujący do szpiku kości chłód, niby mroźną, polarną atmosferę wiecznej nocy. Przed rozszerzoną źrenicą pojawiło się wyobrażenie pustki bez dna i bez krańców...
Któregoś dnia, goląc się przy dużym, ręcznym zwierciadle, doznał Odonicz szczególnego wrażenia: wydało mu się nagle, że ta część pokoju, którą miał poza sobą, widziana teraz w lustrze wygląda „jakoś inaczej”.
Odłożył brzytwę i pilnie zaczął studiować odbicie tylnej części sypialni. Istotnie, przez chwilę wszystko tam poza nim przedstawiało się inaczej niż zwykle. Lecz na czym polegała ta zmiana, nie umiałby bliżej określić. Jakaś specyficzna modyfikacja, jakieś dziwaczne przesunięcie proporcji — coś w tym rodzaju.
Zaciekawiony położył lustro na stole i oglądnął się, by skontrolować rzeczywistość. Lecz nie znalazł nic podejrzanego: wszystko było po dawnemu.
Uspokojony zajrzał ponownie w zwierciadło. Lecz teraz znów pokój wyglądał normalnie; szczególna modyfikacja znikła bez śladu.
„Hiperestezja ośrodków wzrokowych, nic więcej” — uspokajał się naprędce skleconym terminem.
Lecz przyszły następstwa. Odonicz zaczął odczuwać odtąd lęk przed tym, co było poza nim. I dlatego przestał oglądać się poza siebie. Gdyby go kto zawołał na ulicy po imieniu, nie odwróciłby się za żadną cenę. Stąd też poszło, że wszelkich nawrotów dokonywał drogą okrężną i nigdy prawie

nie wracał do domu tą samą ulicą, którą wyszedł. Gdy już koniecznie wypadało mu obrócić się, czynił to nadzwyczaj ostrożnie i w możliwie powolnym tempie, w obawie, by wskutek nagłej zmiany frontu nie spojrzeć w twarz „temu”. Chciał przez ruch powolny i stopniowy zostawić mu dość czasu na wycofanie się lub powrót do dawnej, niewinnej postawy.
Ostrożność tę posunął w końcu do tego stopnia, że mając zamiar oglądnąć się, przedtem „ostrzegał”. Ilekroć przyszło mu odejść od biurka w głąb pokoju, wstawał najpierw z ostentacyjnie hałaśliwym odsunięciem krzesła, po czym mówił głosem podniesionym, żeby go tam dobrze „z tyłu” słyszano: — Teraz obracam się.
Dopiero po tej zapowiedzi, przeczekawszy jeszcze chwilkę, odwracał się w zamierzonym kierunku.
Życie w tych warunkach wkrótce stało się istną katownią. Odonicz skrępowany na każdym kroku tysiącem obaw, co chwila wietrzący czyhające nań niebezpieczeństwo, wiódł egzystencję pożałowania godną...
A jednak i do tego przyzwyczaił się. Owszem, po pewnym czasie owo wieczne czuwanie w stanie napiętych nerwów stało się drugą naturą. Poczucie otaczającej go w każdym momencie tajemniczości rzuciło jakiś posępny urok na szary szlak jego życia. Powoli nieznacznie polubił ową grę w chowanego; w każdym razie wydała mu się ona bardziej zajmującą niż banalność zwykłych ludzkich przeżyć. Zapalił się nawet do tropienia niesamowitych poszlak i trudno by mu było obejść się bez świata zagadek.
Ostatecznie sprowadził trapiące go wątpliwości do dylematu: albo tam poza mną jest coś innego, coś zasadniczo różnego od rzeczywistości, którą znam jako człowiek — albo też nie ma nic — zupełna pustka.
Gdyby go ktoś zapytał, z którą z tych dwu ewentualności wolałby spotkać się po tamtej stronie — Odonicz nie potrafiłby dać stanowczej odpowiedzi.
Niewątpliwie nicość, bezwzględna, bezgraniczna pustka byłaby czymś okropnym; z drugiej strony jednak może nicość jest nawet lepsza niż straszliwa rzeczywistość innego rzędu? Bo któż wiedzieć może, jakim jest owo „coś” naprawdę?
To zawieszenie między krańcami stało się zaczynem walki dwóch sprzecznych tendencji: z jednej strony dławił go strach przed nieznanym — z drugiej pchała w objęcia tajemniczości wzrastająca z dniem każdym ciekawość. Jakiś przezorny, doświadczony głos przestrzegał wprawdzie przed niebezpieczną decyzją, lecz Odonicz zbywał rady pobłażliwym uśmiechem.
W jakiś jesienny wieczór siedząc nad otwartą książką nagle wyczuł poza plecami „to”. Coś działo się tam poza nim: rozsuwały się tajemnicze kulisy, dźwigały w górę kotary, rozchylały się fałdy draperii...
Wtedy niespodzianie powstało szalone pragnienie: oglądnąć się i spojrzeć poza siebie, ten tylko raz, ten jedyny, jedyny raz. Wystarczyło odwrócić szybko głowę bez zwykłego ostrzegania, żeby nie „spłoszyć” — wystarczył jeden rzut oka, jedno krótkie, momentalnie krótkie spojrzenie...
Odonicz odważył się na to spojrzenie. Ruchem nagłym jak myśl, jak błyskawica oglądnął się i spojrzał. I wtedy z ust jego wyszedł nieludzki krzyk grozy i strachu bez granic; konwulsyjnie chwycił się ręką za serce i jak piorunem rażony zwalił się bez życia na posadzkę pokoju.

Posłowie

Ciekawy, a nie przebadany należycie wydaje mi się paralelizm fantastyki naukowej i niesamowitej. Rozróżnik ich jest mechanicznie prosty: pierwsza zakłada wyjaśnienia zajść naturalne, gdy druga

— ponadnaturalne. Niezrozumiała pozostaje podrzędność obu na polu literatury, i nie tylko podrzędność aktualna, lecz historyczne jej koleje. Oba rodzaje miały swe wielkie postaci: H. G. Wellsowi odpowiada w niesamowitym temacie — Edgar Allan Poe. Dzieła obu tych autorów pozostały do dziś nie tylko żywotne, lecz pod wieloma względami nieprześcignione przez następców. Gdy zaś skoncentrować się — ze względu na książkę, której przydaję te uwagi — na beletrystyce niesamowitej, trudno zrazu wytłumaczyć sobie, czemu pełni ona w naszym wieku funkcje wyłącznie rozrywkowe. Napraszający się najpierw sąd, że wątpliwość tych dzieł wynika z wątpliwego charakteru zjawisk w nich przedstawianych, bo idzie o wszelakie zjawy, duchy, siły nieczyste itp., należy kategorycznie oddalić. Zjawy, duchy, siły nieczyste znaleźć wszak możemy w pierwszych arcydziełach literatury światowej. Od diabłów np. wprost się w niej roi (diabeł Braci *Karamazow,* diabeł *Doktora Faustusa).* Utrzymuję, że rzecz nie w samej fantastyczności obiektów literackich, lecz w stosunku do nich — autora, więc i dzieła.

Czym są w opowieści niesamowitej widmowe żywioły, magie czarne i białe? O co idzie wkraczającemu w ich sferę bohaterowi? O nic ponad sposoby skutecznego działania. Bohater taki to zatem „ nieortodoksyjny technolog” , posługujący się energią „ pozagrobową” bądź „ piekielną” zamiast chemicznej lub cieplnej, zaklęciem jako „ urządzeniem nawodzącym” zamiast celownika optycznego bądź elektromagnetycznego, oraz wtajemniczeniem spirytystycznym czy też czarnoksięskim zamiast studiów politechnicznych — jako zapleczem teoretycznym działania. A kiedy — tak bywa często w tych opowieściach — podjęte działania zawodzą lub dają koszmarne w skutkach rykoszety ciemnych sił — mamy do czynienia z taką żywiołową katastrofą, której w sferze racjonalnych technik będzie odpowiadać na przykład burza piorunami spalająca sieć elektryczną lub powódź znosząca tamy.

Ze względu na te własności literatura niesamowita jest blisko spokrewniona z powieścią produkcyjną. Jak w produkcyjniaku nie idzie o żadne problemy pozawytwórcze, więc też o żadne zagadnienia psychologii postaci, tak w pisarstwie niesamowitym nie liczy się nic prócz pokazów pewnych działań i objawianej w nich sprawności albo niesprawności. I różnica w tym jedynie, że pokazy technik cukrowniczych bądź budowlanych mniej zajmują czytelnika od pokazów starć z żywiołem zaświatowym.

A więc w gruncie rzeczy osądzającemu literaturę niesamowitości może być wszystko jedno, czy jej centralne obiekty istnieją, czy nie istnieją, skoro piśmiennictwo to tak samo nie dociera do autentycznych spraw ludzkich, jak nie docierała do nich powieść produkcyjna. Wyrażając to samo nieco brutalniej: dowód istnienia zjaw, strzyg i demonów ani o włos nie polepszyłby marności niesamowitego gatunku. Przecież cukrownie i budowy na pewno są realne, lecz nie wpływa to na wartość produkcyjniaków. Kwestia autentyzmu bytowego sił nadnaturalnych, pozazmysłowych itp. nie należy, jednym słowem, do spraw zajmujących pierwszoplanowo badacza literatury. Nie w tym sęk, czy dziwy te istnieją poza książkami, lecz w tym, jaki użytek robi się z nich wewnątrz książek.

Dzisiaj zjawiska nadnaturalne kolidują przede wszystkim z nauką, jako racjonalnym porządkiem wykrytym w świecie. Powtarzam - kolidują z nauką, a więc niekoniecznie z domniemaniami poszczególnych uczonych. Udajcie się do laboratorium fizyków laserowych z witką leszczynowa i powiedzcie im, że sporządziliście z niej laserowy promiennik, a wyrzucą was za drzwi. Przybądźcie jednak z taką witką jako różdżką, oświadczcie im, że aktem woli zatrzymujecie auta, że myślą umiecie giąć klucze i noże, a zaproszą was skwapliwie na doświadczenia, których kontrolne warunki nie oni, lecz wy będziecie ustanawiali. Nie zmyśliłem sobie tego wcale, tak właśnie działo się ostatnim czasem w Anglii i w Ameryce, ta zaś okoliczność, że zręczny prestidigitator umie to samo, co kandydat do cudownych darów (Uri Geller), nie zlikwidowała wcale sprawy. Liczni naukowcy uwierzyli mu, ponieważ chcieli mu uwierzyć. Skwapliwość takiego ulegania oszustwu wyjaśnić może tylko niedosyt światopoglądowy naukowców, wyspecjalizowanych tyleż głęboko co wąsko, i dlatego poza obwodem swego fachu właściwie bezradnych. O tym, jak naskórkowy jest racjonalizm takich fachowców, świadczy zapał, z jakim gotowi są go się pozbyć po jednym niesamowitym pokazie. Oczywiście nie jest to reakcja całego środowiska naukowego; część uczonych nazywa fenomeny niewyjaśnialnymi, część kwestionuje ich realność, część wreszcie próbuje je „ oswajać” racjonalnie.

Nie jest to jednak, jak można by sądzić, po prostu zderzenie fizyki z metafizyką. Proszę zważyć, że owe zjawiska kolidują dziś z nauką, lecz nie zawsze tak było. Dawniej kolidowały z wiarą religijną. A więc nie tylko fizyka, lecz i metafizyka (wiary systemowej) miała we „ wiedzy tajemnej" przeciwnika. Gusła, uroki, czary, lewitacje sprawiały teologom kłopoty dużo wcześniej, nim jęły sprawiać je uczonym. Nawet reakcja pierwszych i drugich była dosyć podobna. Jedni usiłowali rzecz niejako przemilczeć, zatuszować, oddalić, skazać na wygnanie, drudzy natomiast gotowi byli podejmować próby oswojenia tych zjawisk. Oczywiście próba „ domestykacji" takich urągliwych fenomenów wewnątrz fizyki wyglądać musi inaczej niż wewnątrz metafizyki. W fizyce mówi się o promieniowaniach, o mechanizmie przyczynowym, o nieznanych formach energii, a w teologicznej metafizyce o duszach pokutujących, o diabelskich konszachtach itp.
A zatem istoty tych zjawisk nie stanowi dla nas ich natura metafizyczna. Istoty tej należy się dopatrywać w wywrotowej robocie, atakującej taki rodzaj ładu, który w danym momencie historycznym zinstytucjonalizował się jako naczelny.
Jest więc tak chyba: pierwej człowiek wznosi z największym trudem ład, a potem wystawia go na szwank chaosu. Najpierw wymienia ignorancję na wiedzę, a potem gotów jest wyzbyć się tej wiedzy na rzecz porażającej ignorancji, ponieważ jest ona tajemnicą. Jestem przekonany, że gdyby udało się dokumentnie zracjonalizować i przyswoić praktycznej wiedzy zjawiska pozazmysłowe, więc dokonać tym samym aktu ich „naturalizacji" , to utraciłyby natychmiast swą dotychczasową urokliwość, i w poszukiwaniu przyprawiającej o zamęt tajemnicy ludzie jęliby szukać Niedocieczonego gdzie indziej. Chodzi więc, jak sądzę, o określoną potrzebę właściwą człowiekowi, o potrzebę owej hybris, czyli przekraczającego miarę naruszenia ładu społecznego i kosmicznego, którą dawne społeczności zaspokajały zliturgizowanymi praktykami, np. orgiastycznego typu. Jest więc tak, że człowiek sam niejako wprowadza w uporządkowany przez siebie obraz świata porcje tajemniczego nieładu. Kiedy zaś to uczyni, bierze się do uładzenia takich zastrzyków chaosu — i ze zmagań tych powstaje osobliwa dialektyka historyczna. Kiedy mianowicie rozpoznana w danej epoce historycznej tajemnicza żywiołowość ulegnie z kolei należytemu, bo właściwemu normalnym ludzkim praktykom, uporządkowaniu — kiedy np. powstaną już tablice astrologiczne, klasyfikacje czarów zawartych w księgach wiedzy tajemnej, gdy się skrystalizuje jakaś „ teoria spirytyzmu" lub tp. — czyli kiedy w pierwotny nieład zagadki wkroczy metoda, schemat i klucz, zawłaszczone tym sposobem i jakby oswojone już zjawiska zatracają swą pierwotną atrakcyjność i ulegają stopniowemu unieważnieniu, widomemu w postaci rosnącej na nie obojętności. Potem, w następnym wieku, następne pokolenia z ich nowymi rzecznikami Niesamowitego, wszczynają od nowa trud porządkowań, tak borykając się z Niedocieczonym, jakby nie mieli nigdy poprzedników. A ponieważ Tajemnicy przyprawia zawsze konkretne oblicze duch czasu, dawne upostaciowania Zagadkowego Chaosu — widome w magiach, czarach i okultyzmach — obecnie zastępują pseudoracjonalne pogłoski o Kosmicznych Przybyszach czy Talerzach Latających. Zmienia się forma i treść konkretna, ale nie zmienia się istota pojedynku toczonego z Chaosem — zarazem pożądanym i likwidowanym zabiegami porządkowującymi.
Zapewne, wszystkie doznane przez ludzi na tej drodze zawody mogą świadczyć o tym, że taki żywioł widmowy jest bardzo trudno pochwytny. Sądzę jednak, że daremność takich wysiłków (wszak nic nie zrodziła rzeczowego magia, tak samo jak nie dały rezultatu poszukiwania Gości Kosmicznych czy Latających Talerzy) świadczy o czymś całkowicie odmiennym, mianowicie o tym, że poczucie zagrożenia jakby dzikim żywiołem nieznanym jest ludziom niezbędne. Tym samym problem okazuje się poważny, skoro kwestia „potrzeby Niesamowitego" jest bodaj że niesamowitsza od wilkołaków czy zjaw, którymi ta potrzeba była żywiona. A zatem opowieść grozy jest namiastką tej hybris, którą dawniej ludzie prokurowali sobie realnie, namiastką słabiutką, dziesiątą wodą po kisielu, toteż może być dziś tylko małokalibrową rozrywką.
Dzięki powiedzianemu możemy teraz udzielić odpowiedzi na wstępnie postawione pytanie. Naczelne funkcje literatury nie są w kulturze namiastkowe. Literatura wysokiego lotu nie daje żadnych surogatowych zaspokojeń, lecz jeśli się ku nim w ogóle zwróci, to aby zagłębić się w ich nierozpoznanych, nieuświadamianych mechanizmach. Jeśli, na przykład, w społeczeństwie panuje narkomania, to rzeczą literatury nie jest rywalizacja z narkotykiem, zastępowanie halucynacji

wywołanej chemicznie — wizją wywołaną słowami, lecz jest rzeczą literatury zejść w korzenie całego zespołu psychosocjalnych uwikłań, który narkomanię rodzi i żywi.
Przez analogię literatura tematu niesamowitego po to, aby nie pełnić funkcji namiastkowych, powinna zrezygnować z tanich uroków i podjąć wysiłek penetracji zjawisk głębszy, to znaczy — potraktować sferę niesamowitości nie metodami produkcyjmaka, lecz antropologicznego rekonesansu. Oczywiście musiałaby wtedy przenieść akcent ze zjawiskowej grozy dziwów na ich prawdziwe socjopsychiczne podglebie. Jednym słowem, byłaby to literatura zorientowana antropologicznie. Właśnie takie pierwociny orientacji antropologicznej w niesamowitym temacie są do odnalezienia w pismach Edgara Allana Poe jako skryta w licznych jego opowieściach o monstrualnej bądź tajemniczej fasadzie — drwina, umiejscowiona nieraz nader perfidnie, bo uczestnicząca na przykład w wykładach o jakimś magnetyzmie zwierzęcym. Są to wykłady tak namaszczone, tak koturnowe, tak uczone, że chyłkiem zaprawione ironią, gdyż ocierają się już o persyflaż, a nie o autentyk naukowej postawy. Jednakowoż przymieszki te trudno nam dzisiaj odkryć dlatego, że kontynuatorzy dzieła Poego ową szansę uszlachcenia gatunku ze wszystkim zaprzepaścili. Czy rzecz jest dostatecznie wyraźna? Powiadam, że Poe (analogicznie jak kiedyś na innej, równoległej, drodze — Wells) stał na rozstaju, który sam utworzył. Że mogło od niego pójść albo piśmiennictwo niesamowitości tropionej jako wieczny głód człowieka, albo niesamowitości jako łechczywej rozrywki. Jako wniknięcie w uległość narkotykowi lub jako namiastka narkotyku. Ten wybór drogi, nieokreślony w jego czasach, ziścił się sposobem niekorzystnym dla gatunku, dla kultury i dla samego wreszcie prekursora.
Ostatni człon mego wyliczenia może wydać się zaskakujący do absurdu. Jakże to, co się działo po śmierci Poego i nie w jego książkach, mogło mu zaszkodzić? Otóż właśnie zaszkodziło — analogicznie zresztą, jak to zaszło w przypadku Wellsa. Gdyby się bowiem ci prekursorzy okazali inicjatorami nurtu piśmiennictwa wstępującego wzwyż, gdyby ich dzieła oznaczały początek łańcuchowej reakcji, zapełniającej biblioteki beletrystyką najwyższej próby w wymiarze artystycznym i intelektualnym, to blask idący od takiego spełnienia padłby również i na nich. A ponieważ stało się na odwrót, ponieważ zapoczątkowane przez nich piśmiennictwo, odcięte od potencjalnych szans, stało się czysto rozrywkowym dopływem kultury masowej, poszedł od tego stanu rzeczy rykoszet wstecz — i dlatego ani Poe, ani Wells w oczach szczególnie wymagających znawców literatury nie należą do jej najznamienitszych postaci.
Powyższe wyjaśnia, na czym polega dziś bezbronność literackiej grozy i niesamowitości. Jeśli opowieść taka nie przeraża, to nudzi; jeśli nie poruszy czytelnika do szpiku kości, to nie poruszy go wcale. Dlatego literatura ta z upływem lat uległa postępującej degradacji. Coraz mniej można w niej znaleźć traktowanej poważnie tajemnicy, a coraz więcej — trików, tasowań i cyrkowych sztuczek. O najlepszych opowieściach współczesnych grozy da się rzec tylko, że są napisane zręcznie. Kultura pierwotna, praktykująca określoną magię, była jej tak samo wierna, jak Watykan — katolicyzmowi, i myśl, żeby ta kultura mogła wymienić swą magię na jakąś inną, jest tak samo nonsensowna jak pomysł, że Watykan może jednego dnia przejść na buddyzm. Tymczasem współczesny autor niesamowitego tematu elementy fikcji tasuje i kombinuje niczym klocki zabawy dziecinnej. Wszelkie chwyty, dowolnie anachroniczne mieszanki są dobre, jeśli wezmą publiczność. Dlatego właśnie udający zgodność z wiarą jeszcze poważną — chrześcijańską — satanizm, tkwiący w *Egzorcyście,* umożliwił tej powieści i temu filmowi zdobycie frenetycznego odzewu, ponieważ szło o wyjątek z czysto rozrywkowej reguły, jako nawrót do problematyki, mającej jeszcze pozarozrywkową sankcję autentyczności. Lecz sukces ów zdarzył się podług zasady, że na bezrybiu i rak ryba.
A cóż ze Stefanem Grabińskim, któremu przypisane jest to posłowie? Powiedzmy pierwej: habent sua fata libelli. Jakże marzył ów lwowski nauczyciel gimnazjalny o wejściu w świat wielkiej literatury i jak późno przyszło się choć w cząstce ziścić jego marzeniom. Grabiński jest dziś bowiem nie tylko w naszym kraju czytany, ale i obcy znawcy unoszą się nad żywotnością jego dzieła, zapoznawanego przez pół wieku.
Cokolwiek by rzec o przyczynach tej żywotności, jasne jest, że i on nie wstąpił na, tak nazwaną przeze mnie, drogę antropologicznej penetracji niesamowitego tematu. Nie wstąpił na nią, chcę

rzec, w pełni świadomie i konsekwentnie — toż nie posługiwał się ani dystansującą od grozy drwiną, ani dociekliwością psychologiczną. Nie poszedł w tym kierunku, chociaż...
Powieści jego, trzeba to powiedzieć, obwaliły się nam. Nie wytrzymały próby czasu, ponieważ zbyt wyłącznie stały okultystyczną erudycją. *Salamandra* na przykład to wręcz klasyczny przypadek „magicznego produkcyjniaka". Magia *Salamandry* to technika walki, z właściwym sobie „oprzyrządowaniem", z zapleczem wiedzy fachowej, z urządzeniami celowniczymi, spustowymi itd. Podobnie jak w powieści produkcyjnej, pola uwagi autorskiej nie wypełniają problemy motywacyjne stron działających, ich wysokie racje i wybory, lecz stopień właściwych im sprawności prakseologicznych. Niby mówi się o pojedynku Dobra i Zła, lecz jakże oklepane, mgliste, banalne są owe zwierzchnie pobudki starcia na śmierć i życie! Ani one oryginalniejsze, ani celniej zaprezentowane niż w byle powieści produkcyjnej. Tu dobro, a tam zło, tu bezwzględna jasność, tam mrok totalny — i diagnozą tą musi się czytelnik zadowolić. Skoro zaś cały ładunek sprowadza się do okazanej skuteczności działań, to ładunek ów wart tyle, ile owe działania. Produkcyjniak pokazujący pełna ofiarniczego samozaparcia walkę o uruchomienie smolarni jako ostatniego słowa techniki musiałby od razu być nieumyślną humorystyką. Dlatego nieodparta staje się naiwność pojedynku na zaklęcia i czary, którego terenem jest *Salamandra.*
Ocalała przede wszystkim nowelistyka Grabińskiego. Dobrze brzmią nam te zwłaszcza nowele cyklu *Demon ruchu,* w których pierwiastek ponadnaturalny objawia się dyskretnie, w dwuznacznych upośrednieniach. Nic tak nie uszkadza grozy zaświata jak pokazy, by tak rzec, panoramicznie otwarte. Sęk w tym, że nienaiwnie skonstruowanego zaświata zaprezentować nie można. Słabość tę dzieli literatura z wszystkimi odmianami okultyzmu: przybywając bowiem na seanse, duchy najpotężniejszych nawet, zza grobu przywołanych myślicieli zawsze plotły trzy po trzy, jak to poświadczają zachowane protokoły. To, czego się można było od nich dowiedzieć o zaświatach, tkwiło między bezgranicznym prymitywizmem a bezgraniczną banalnością. Specjalnych więc hipotez ad hoc używali spirytyści, by odtłumaczyć tak niemiły im stan rzeczy, np. głosili, że duchy komunikują się z nami zawsze w stanie umysłowego niedowładu, bo tyle trudu wymaga nawiązanie kontaktów z medium. Były to zresztą hipotezy jawnie nieodpowiednie, co uwidacznia byle przykład (zdarzało się, że zjawa mówiła podczas seansu o swym odzwyczajeniu się od palenia — sugerując tym samym zaświat z wytwórniami wyrobów tytoniowych). Jest więc pierwiastek niesamowity spokrewniony z silnymi jadami tym, że może działać podniecająco tylko w małych dawkach. Nieopatrznie dozowany, zabija — co prawda nie czytelnika, lecz same utwory.
Czas jednak zrezygnować z tak kostycznych uwag, boż nie w nich upatruję sens mojego posłowia. Opowiem więc po swojemu o jednej ze znakomitszych nowel Grabińskiego, o *Kochance Szamoty,* ponieważ — mniejsza czy z autorskiej woli! — ujawnia ona, tkwiące w gatunku latentnie, możliwości prawdy psychologicznej.
Są to, jak głosi podtytuł, kartki ze znalezionego pamiętnika, więc rzecz opowiada się w pierwszej osobie. Młody, naiwny człowiek — naiwność, a wręcz prowincjonalność wyrazu aż bije ze stylu — dostał niespodziewanie list od wracającej do kraju niewiasty, pani Jadwigi Kalergis, pierwszej piękności stolicy, słynącej nadto z bogactwa, list, zapraszający go niedwuznacznie na miłosne tete-a-tete z ową damą, jakkolwiek dotąd nic obojga nie łączyło — prócz jednostronnego uwielbienia, jakie młodzieniec żywił dla niedosiężnej pani. Z dala tylko śmiał się wpatrywać w nią na koncertach, w teatrze, ukradkiem chodził pod oknami jej wytwornego pałacyku, lecz słowem nie ośmielił się do niej odezwać — świadomy niepokonywanego dystansu. Skądże więc jej domysł — jego uczuć — i skąd łaska listu, przy całej lakoniczności zapowiadającego niebywałe spełnienia? Oczom nie wierząc, młodzieniec pokazuje kopertę znajomym, co nie wydaje się skądinąd w najlepszym obyczaju dżentelmeńskim, lecz co wypada kłaść na karb jego naiwności.
Miłosne spełnienia przechodzą wszelkie nadzieje Szamoty, choć z wolna, a naturalnym biegiem rzeczy, oswajając się z sytuacją romansu, poczyna coraz wyraźniej dostrzegać dziwaczność jego scenerii oraz, by tak rzec, metody. Jest to romans czysto zmysłowy, tak ograniczony do fizycznego sedna, że toczy się w ogóle bez słów — w sypialni, w „ głębokiej niszy na łożu rzeźbionym w giallo antico" (jakkolwiek naiwny, młodzieniec jest przecie, jak widać, znawcą sztuki). Amory są niebywale namiętne, a przy tym stroną aktywną wciąż jest w nich dama, okupująca niejako swe

kamienne milczenie wyrafinowaniem pieszczot. Po paru miesiącach Szamocie poczyna wreszcie dolegać taka forma związku — posiadłszy ciało, domaga się i duszy. Lecz odpowiada tylko milczenie lub przychodzące po miłosnych nocach listy z prośbami, aby nie pytać o nic, nie nękać itd. Tymczasem uszczęśliwiany rozwija bystrzejące obserwacje. Pani Kalergis ma takie same znamiona („myszki”) na ciele jak on; odznacza się, jak i on, opalenizną nie przystojącą raczej damie podług kanonów czasu; gdy raz, podrażniony sposobem bycia kochanki, kłuje ją szpilką, z jego, a nie z jej ciała tryska krew...
Wreszcie w rok po pierwszym stosunku romans urywa się niesamowitym, a jednocześnie makabrycznie sprośnym akcentem. Pani Kalergis przyjmuje go w sypialni po ciemku, wzywa szeptem, lecz mężczyzna nie może znaleźć w pościeli jej głowy, twarzy, rąk — nic oprócz „ogniska płci”, jak mówi nowela. W obrażonej dumie zrywa się, zapala światło i widzi „w zgiełku koronek... rozrzucony bezwstydnie, obnażony po linię brzucha, kadłub kobiety — kadłub bez piersi, bez ramion, bez głowy...”
Szamota ucieka przerażony — aby w miesiąc potem dowiedzieć się, że Jadwiga” Kalergis nie żyje już od dwóch lat, że więc przeżył romans z umarłą.
Historię tę wykłada się podług typowego kanonu spirytyzmu — i tak też czyniła to zazwyczaj krytyka. Najdociekliwszy z badaczy dzieła Grabińskiego, Artur Hutnikiewicz, autor monografii o naszym pisarzu (mało który literat polski niniejszego wieku zyskał sobie równie sumienne i wszechstronne opracowanie całej twórczości), podaje dwie wykładnie rzeczy — jako dwa warianty eksplikacji spirytystycznej. Pierwsza zamyka się w doczesności, gdyż do niej ogranicza sferę spirytystycznej fenomenalistyki. Szamota uległ obłędowi na tle erotycznym, listy rzekomej kochanki sam pisał do siebie, a będąc obdarzony zdolnościami mediumistycznymi (o czym nie musi się wiedzieć), materializował „ideoplastycznie” osobę rzekomej Jadwigi Kalergis, która była więc jego fantomem, lecz z upływem czasu wyczerpująca się energia fantomotwórcza dała o sobie znać: coraz dłużej wyczekiwać musiał pojawienia kochanki, aż na koniec zredukowała się zjawa do okolicy narządów płciowych — rzecz zrozumiała, powiada Hutnikiewicz, gdy zważyć naturę podniet psychicznych, co stały u źródeł zjawiska. Drugi wariant wykładni, także dopuszczalny, sugerowany jest przez zakończenie noweli: oto niepodobna wykluczyć, że Szamota jednak przeżył romans ze zjawą zmarłej, przy czym wtedy albo (dodaję od siebie) duch Jadwigi tak się posiłkował, dla materializacji, spirytystycznym darem Szamoty, jak typowe zjawy seansów posługują się po temu „ektoplazmą”, emanowaną przez uśpione medium, albo też materializacja zachodziła niejako wprost (czyli bez pośrednika), a jej stopniową redukcję powodowały te „zrozumiałe trudności” , na jakie musi się natykać każdy duch umarłego, który usiłuje przezwyciężyć zapory oddzielające go od świata żywych.
Dodaje też Hutnikiewicz, że niejako matrycą sprawczą, a zarazem alegorycznym zapleczem tej makabrycznej historii może być werset biblijny, podający sposób, w jaki Bóg z części Adamowego ciała stworzył Ewę.
Wszystko to o tyle widzi mi się niewątpliwe, że zacytowane wykładnie odpowiadają zarówno kanonom klasycznego spirytyzmu, jak i autorskim intencjom. Nowela dopuszcza jednakowoż jeszcze inny rodzaj interpretacji, o tyle ciekawy, że będący takim przekreśleniem spirytystycznych wyjaśnień, który wcale jej całościowo nie szkodzi, lecz właśnie przemieszcza rzecz w obszar problematyki zarazem naturalistycznej, racjonalnej i wiarygodnej psychologicznie. Odrzucając zarówno mediumistyczną, jak „pozagrobową” paradygmatykę, nie stajemy wobec utworu, zapadającego się bezsilnie w nicość, lecz zyskujemy taki, który staje się niezwykle przenikliwą analizą zajść erotycznych na ich pozaświadomym planie.
Postuluję mianowicie przemieszczenie wszystkich zajść w obręb psychiki bohatera, którego opętanie erotyczne przekroczyło granice umysłowej normy albo, gdyby ktoś wolał, którego fiksacja seksualna stała się treściowym źródłem omamów. Gdy przyjmiemy taką wersję, wyjawia się, że on to sam sobie wszystko wyroił, sam się otoczył fantazmatami, którym nic obiektywnie nie odpowiadało, bo wprowadził się w taką sferę zwidów, w której jego dotąd stłumione rojenia erotyczne mogły się wreszcie rozkiełznać. A mogły się urwać z łańcucha przyzwoitości, mocnego w czasie, w jakim osadzono akcję, właśnie dzięki spirytystycznym pozorom, którym bohater dał

sam najgorętszą wiarę. Gdyby to bowiem nie tylko było wszystko z niego, ale gdyby on ponadto o tym, że właśnie tak jest, dobrze wiedział, to nigdy by się nie ośmielił dać sobie przyzwolenia na równą czelność wyobraźni. Więc spirytystyczne pozory stanowią konieczną przesłankę zuchwałego romansu.

Interpretacja psychologiczna, którą proponuję, nie jest naciągana, jako że przylega do wszystkich szczegółów narracji. Nazwisko „Kalergis” pada, jak sądzę, nieprzypadkowo dobrze znamy rolę, jaką autentyczna pani Kalergis odegrała w życiu Norwida. Tym samym stała się ona prawzorem niedostępnego erotycznie ideału kobiety pięknej, której wdziękami napawają się inni — nie była wszak autentyczna pani Kalergis westalką — lecz wara bohaterowi, który najpłomienniej, bo najbezsilniej, kocha. Bohater noweli Grabińskiego nawet nie próbował swojej Jadwidze Kalergis wyznać żywionych uczuć, niechybnie świadomy beznadziejności takiego kroku, musiał więc być jej nierówny socjalnie, boż o krok zapamiętania w uczuciu trudno by go posądzać. Miłość, żywiona sekretnie z odległości, obraca się na koniec przeciwko samej sobie, gdy już w nieświadomości zgromadziły się wżarte w sentyment — resentymenty: pożądanie wykracza więc z rojeń platonicznych, łaknąc spełnienia tym bardziej drastycznego, że niemożliwego. Nie jest to już w tej fazie namiętność błagalna, lecz skora do wzięcia pomsty na niedotykalnej wybrance. Odtrąconemu, a właściwie nie dopuszczonemu nawet do pobliża piękności, już nie może wystarczać jako rekompensata — atak erotyczny, uwieńczony odpowiadającą łaskawie przychylnością. Nie — w realizującym się marzeniu on będzie teraz stroną nagabywaną, a ona nagabującą, to ona okaże bezwstydną wręcz aktywność, oddając mu się tak, aby zaspokoić jego żądze w okolicznościach, które ją będą poniżały.

Przypominam tu analogiczny mechanizm odwrócenia ról, widomy w *Zbrodni i karze,* gdzie Marmieładow śni, że mała dziewczynka usiłuje go uwieść. Właściwe nieświadomości mechanizmy życzeniowego spełnienia łakną takich krótkich zwarć, żeby rojący podmiot doznał najpełniejszej satysfakcji, wyzwolonej z wszelkich konwenansów; więc plan, ukuty przez nieświadomość młodego człowieka, ma sprawić, by wyniosła wybranka nie tylko mu się oddała, lecz by ponadto jeszcze oddaniem tym ujawniła swoją względem niego gorszość; tylko wtedy bowiem rekompensata okaże się zupełna. On, dawniej niższy, będzie wyniesiony, ona, dawniej wysoka, będzie zdegradowana. Wniosek bowiem psychologiczny tak opiewa: „ zdobyłem ją, jakem chciał, ale ona mnie niewarta, bo jam rycerski, a ona rozwiązła, więc nawet moich minionych niezaspokojeń już nie muszę żałować” . W samej rzeczy trudno o mocniejsze jeszcze zadośćuczynienie ambicjom — i nie tylko erotycznym — bohatera. Oczywiście nazwanych planów nie mógłby on zrealizować świadomie w imaginacji, boż postępowanie to okazałoby się jawną „delectatio morosa” , wręcz onanistycznym snem na jawie. Dlatego musi użyć systemu samoomamień, musi sporządzić projekcję, w zewnętrzność, swych rozgorzałych chętek, których nawet samemu sobie nie odważyłby się wyjawić, toteż całą odpowiedzialność za wyuzdanie zwali na rzekomą partnerkę. Ona była zimna i nieprzystępna, a on daremnie roznamiętniony; otóż teraz on się okaże dotknięty w swojej prawości męskiej jej rozwiązłością, więc ukarze ją porzuceniem, tym mu smakowitszym, że i sprawiedliwym, i jej uwłaczającym. A czemu wszystko mu się jawi w takiej zgodzie z kanonem spirytyzmu? Odpowiedź będzie prosta: ponieważ w czasie właściwym akcji kanon ten znany był każdemu członkowi „towarzystwa”, ponieważ orientować się w nim należało do dobrego tonu. Toteż i nieświadomość Szamoty kształtuje zgodnie z tym kanonem swoje projekcyjne zwidzenia.

Nowela Grabińskiego może być więc potraktowana jako utwór naturalistyczny, skierowany na demaskowanie nieświadomych mechanizmów erotyki, czyli jako psychologicznie uwierzytelniona analiza rekompensacyjnych samozaspokojeń. Odnajdujemy w niej bowiem wszystkie typowe, a przez psychoanalizę wyodrębnione mechanizmy, w rodzaju stłumienia, przemieszczenia, projekcji, symbolicznej wieloznaczności oraz typowego dla stosunków panujących między „Ego” a „Id” — samookłamywania się i osłaniania autentycznych motywów — systemem przesłaniających je pozorów. Pozorami takimi będzie właśnie całość uruchomionej fenomenalistyki spirytystycznej, która nie może być zatem po prostu odrzucona, ponieważ pełni w noweli rolę niezbędną, jakkolwiek radykalnie odmienną od tej, którą przypisała jej krytyka pospołu z samym pisarzem.

Ten swój sukces — mówię o wielowykładalności opowiadania, które w granicy może być

rozumiane jako prawdziwe psychologicznie przy pełnym zanegowaniu wszelkich pretensji spirytyzmu — zawdzięcza ono nieobecności autorskich komentarzy, co by usiłowały uwierzytelniać właśnie spirytystyczne zaplecze zjawisk. Nieobecność tę wywołała forma narracji — biegnącej w pierwszej osobie. Z uwagi tej zdaje się wynikać, że jeśli zabieg przesunięcia znaczeniowych akcentów z podłoża antynaturalistycznego w obręb naturalistycznej prawdziwości (np. ze spirytyzmu w psychologię głębi) okaże się niewykonalny, to utwór musi podzielić los tego dyskursywnego podłoża, które go porodziło. Czyli, z drugiej niejako strony to samo mówiąc, jeśli się autorska wykładnia zajść nierozdzielnie zrasta z samymi zajściami, to żywotności utworu tyle, ile żywotności owej wykładni. Jeśli zaczyna budzić politowanie tajemna wiedza, będąca obszarem źródłowym narracji, to niesamowitość idzie razem z ową wiedzą do lamusa.

Stąd właśnie bierze się fatalna prawidłowość, rozcinająca nam dziś na dwoje dzieło Grabińskiego. Poszedł on niestety fałszywą drogą, stając się coraz świetniejszym erudytą okultyzmu i coraz bezbronniejszym od tego właśnie autorem, ponieważ im więcej takich wiadomości wprowadzał do utworów, tym gorzej to rokowało.

Zresztą przemiana fascynujących domniemań myśli dyskursywnej w martwą literę nie jest wcale lokalną przypadłością gatunku, w którym tworzył Grabiński, lecz powszechnikiem literatury, toteż ciągle od nowa sprawdza upływ czasu zasadę, nakazującą pisarzom zawierzać samoistnej wymowie zdarzeń, których własną spoistością winno stać dzieło, a nie jakimikolwiek ujednoznacznionymi dyskursywnie a komentująco — interpretacjami owych zdarzeń. Inaczej powiadając, literatura nie powinna nigdy podejmować się ilustrowania jakichkolwiek hipotez czy teorii, poglądów bądź domniemań, ograniczonych do jedynego mianownika prawdy niepodważalnej, nie powinna widzieć swego posłannictwa w dowodzeniu takiej prawdy historiami, co są wcieleniem partykularnym jedynej systemowo koncepcji. Dyrektywa ta nie może oczywiście dotyczyć komentarzy, pochodzących od postaci powieściowych, te bowiem zawsze mogą podlegać przeuzasadnieniom czy wręcz „odtłumaczeniom" podobnym do tego, jakieśmy powyżej przeprowadzili. Wiedza o podejmowanym temacie jest pisarzowi bez wątpienia niezbędna, rzecz tylko w tym, aby nie stał się jej zbytnio zapamiętałym propagatorem, mającym na przykład dzieła za dowody prawdziwości niesamowitych zjawisk. Zapewne nie sposób całego piśmiennictwa grozy i niesamowitości w tej jego części, która (niczym książki E. A. Poe) skutecznie opiera się niszczącemu działaniu czasu, uznać za podległe wyłącznie przeprowadzonej przeze mnie „naturalizacji" makabry dzięki jej przekładowi na psychologię. Utworom żywotnym właściwe są rozmaite rodzaje głębi znaczeniowej, więc tak alegorycznej, jak symbolicznej, bądź też uwikłanej naraz w odległe od siebie strefy ludzkiego doświadczenia. Lecz nie wziąłem się tutaj do omawiania całego gatunku, nastręczającego sporo dylematów, ponieważ słowami tymi chcę wrócić przede wszystkim do pisarza mojej lwowskiej młodości, który nie przepadł w rywalizacji z rówieśnymi mu Europejczykami. Może nie tyle trzeba biadać nad tym, że sporo jego książek nam się zestarzało, ile raczej wyrazić podziw dla jego wyobraźni już wyzwolonej — skoro płody jej przeżyły zgon wątpliwej metafizyki, co niegdyś świadczyła im służby podporowe.

Grabiński dał niewiele utworów tak świetnych jak *Kochanka Szamoty,* lecz dał ich dość, by nie zostać zapomnianym pisarzem.

Kraków, w listopadzie 1974

Stanisław Lem

Od wydawcy

Za podstawą obecnej edycji *Niesamowitych opowieści* przyjęto tekst wydania z 1958 roku („Czytelnik"). W kilku tylko przypadkach postanowiono zrezygnować ze skrótów dokonanych przez poprzedniego edytora i zaprezentować czytelnikowi pełniejszy tekst autorski. Ponadto, ze względu na znaczne wartości artystyczne, włączono do zbioru dwa nowe opowiadania: *Maszynistę Grota* z tomiku *Demon ruchu* i *Szaloną zagrodą* z *Niesamowitej opowieści.*

Spis treści

Obwoluta i okładka: Janusz Bruchnalski
Ilustracje: Bronisław Kurdziel
Redaktor: Ewa Kurzydłowa
Redaktor techniczny: Wanda Zarychtowa
Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975
Wyd. I. Nakład 50 000+283 egz. Ark. wyd. 18,8 Ark. druk. 22,25
Papier druk. imp. kl. V, 84x104, 62 g
Oddano do składania 21 I 1975. Podpisano do druku 10 IX 1975
Druk ukończono we wrześniu 1975. Zam. nr 643/75
Z-17-9. Cena zł 40.-
Drukarnia Wydawnicza, Kraków, Wadowicka 8